

SIERGIEJ BIELAJEW

**PRZYGODY
SAMUELA PINGLE'A**

TYTUŁ ORYGINAŁU: PRIKLUCZENIJA SEMUELA PINGLA
PRZEKŁAD: TADEUSZ KOSSAKIEWICZ



CZYTELNIK • WARSZAWA • 1961

Zeszyt pierwszy

1

Ulegając natarczywym prośbom mojej kochanej żony i naszego syna Jima, młodego doktora biologii, zamierzam opisać w tych zeszytach możliwie wyczerpująco te przedziwne wypadki, które zdarzyły się w Ashwharfie przed trzydziestu pięciu laty, jak również przygody, których nie poskapił mi los. Działo się to w czasie, kiedy ludzkość otrząsnęła się z okropności pierwszej wojny światowej i pragnęła rozkoszować się długotrwałym pokojem, nie podejrzewając, że wkrótce znowu będzie rzucona w odmet nieszczęść wojennych.

Część wydarzeń i przygód może się wydać komuś zgoła nie do wiary. Uważając jednak, że postęp nauki i techniki jest nieograniczony, mam nadzieję w niedalekiej przyszłości zobaczyć razem ze swoimi rówieśnikami wynalazki i rzeczy bardziej zdumiewające niż opisywane przeze mnie lub podane niedawno do wiadomości przez mego syna w jego monografii „Rozwiązanie zagadki przesączalnych wirusów” (rok 1966).

Wspomnienia o dniach mojej młodości niewypowiedzianie wzruszają mnie teraz, jednak nie omieszkać przedstawić ich w sposób właściwy klasykom, do czytania których od lat najmłodszych wdrażał mnie ojciec i którzy utworami swoimi wpajają w nas miłość do naszej pięknej ojczyzny.

Będę szczerze zadowolony, jeżeli przyjaciele znajdą w moich zapiskach pożyteczne i pouczające dla siebie wiadomości, ponieważ światło wiedzy wskazuje drogę ludzkości, a uważne obserwowanie uczynków ludzi nas otaczających wzbogaca osobiste doświadczenie każdego.

Dlatego, dodając sobie otuchy nadzieją na pobłażanie moim brakom i słabostkom przez tych, którym wypadnie czytać te zeszyty, ja, Samuel Pingle z Ashwharfu, w dniu pięćdziesięciolecia swoich urodzin, 17 maja 1963 roku, przystępuję do prawdziwego, możliwie dokładnego opisanie faktów.

Urodziłem się pod koniec pierwszej wojny światowej w Ashwharfie, maleńkim i przytulnym miasteczku na brzegu Oceanu Atlantyckiego, w rodzinie Isidore'a Pingle'a, sekretarza biura zamku Oldmount, majoratu lorda Packlingtona.

Byłem ostatnim dzieckiem w rodzinie i jedynym, które pozostało przy życiu. Liczni bracia i siostry, którzy urodzili się przede mną, poumierali w dzieciństwie. Nic przeto dziwnego, że rodzice ogromnie kochali swego „pędraka”. Matka moja nie odznaczała się mocnym zdrowiem. Zapalenie płuc wpędziło ją do grobu, kiedy kończyłem siedem lat. Ojciec i ja gorzko i z nieutulonym żalem opłakiwaliśmy tę ciężką stratę.

Ojciec razem z wujkiem Reggie'em, bratem matki, starym kawalerem, spędzał dni swego wdowieństwa w niewielkim domu w pobliżu Rynku. Wujek, sierżant w stanie spoczynku Reginald Brand, któremu w roku 1917 w Gallipoli granat urwał lewą rękę, z dumą nosił medal wojskowy „Za Męstwo” i opowiadał mi wiele zadziwiających historii. Zdaje się, że to one zrodziły we mnie silne pragnienie ujrzenia na własne oczy krajów tropikalnych i zapoznania się na miejscu z owymi cudami. Wówczas, w dzieciństwie, nie podejrzewałem nawet, iż rzeczywistość może okazać się bardziej fantastyczna niż przygody, o których w

długie wieczory zimowe opowiadał wujek pykając fajkę przy trzaskającym wesoło ogniu kominka.

Przypominam sobie, iż wujek mówił o pewnym okręcie, który był tak duży, że kiedy stawał w poprzek Cieśniny Dover, to jego dziób opierał się o szczyt wieży Calais na francuskim wybrzeżu, a powiewająca na rufie bandera strącała w morze ze skał Dovru stada pasących się tam owiec. Maszty tego okrętu były tak wysokie, że chłopiec-junga, wspinający się po wantach na wierzchołek masztu, opuszczał się z powrotem na pokład jako posunięty w latach starzec z długą brodą. Wujek opowiadał również, jakoby zdarzyło mu się pewnego razu płynąć na jachcie do Indii Zachodnich wśród wysp tak wąską cieśniną, że ręką można było dotykać przybrzeżnych skał usianych samorodkami złota i szlachetnymi kamieniami, opowiadał także o Cieśninie Tawaba-Ko, której potem nadaremnie szukałem w atlasach geograficznych. Na drzewach rosnących wzdłuż brzegów tej wąskiej cieśniny znajdowało się takie mnóstwo małp, iż niemożliwe było manewrować żaglami: małpie ogony wplątywały się w olinowanie statku.

Słuchając tych historii poprzysiągłem sobie, iż zostanę podróżnikiem.

Z biegiem lat dobroduszny humor wujka zaczął przybierać odcień ponurej tajemniczości i w tych czasach, o których zamierzam opowiedzieć, wujek uchodził w Ashwharfie za starego zręde i dokuczliwego kłótnika. Mając rentę wojskową wujek dużą część wolnego czasu spędzał w knajpie „Królewski Tygrys” w przyjemnym dlań towarzystwie stałych bywalców tego przybytku. Gospodarz „Królewskiego Tygrysa”, zezowaty Tom Hridge, miał w okolicach Ashwharfu sławę nieprześcignionego czempiona gry w karty. Ciążyły na Bridge’u i inne sprawy. Opowiem o nich nieco później.

Zazwyczaj wujek od wczesnego ranka siedział w „Królewskim Tygrysie”, pykając olbrzymią brazylijską fajkę, nabitą „Zachodnim sfinksem”, to znaczy tytoniem trzeciego gatunku po cztery pensy za paczkę, i cmoktał „Ale” z solidnego cynowego kufla. Miał przy tym wygląd człowieka, który dość się napracował w życiu i obecnie ma pełne prawo beztrudno wydawać swoją małą rentę.

Wujek dość często wracał do domu podchmielony i droczył się ze mną, nazywając mnie nieoblizanym niedźwiadkiem, za co mocno się obrażałem. „Nieoblizany niedźwiadek” oznaczało „niezgrabiasz”. Zwrot ten pochodził od głupiego zabobonu, jakoby nowo narodzony niedźwiadek dopóty nie ma niedźwiedziego wyglądu, dopóki matka nie wyliże go. Ja zaś rosłem całkiem normalnie i na rękach moich pęczniały wspaniałe bicepsy.

Pewnego razu posprzeczałem się z wujkiem poważnie i ten, przeprosiwszy mnie, przestał się ze mną droczyć.

Po śmierci matki kłopot wychowywania mnie spadł na barki naszej starej służącej Olivii, ponieważ ani ojciec, ani wujek nie mieli na to dostatecznej ilości wolnego czasu. Wątpliwe zresztą, czy można było nazwać troskliwość Olivii pełnowartościowym wychowywaniem. Olivia pilnowała, abym na czas był nakarmiony, a kurteczka i porcięta moje były całe i czyste. To wdrażało mnie do przestrzegania porządku.

Potem zacząłem chodzić do szkoły hrabstwa i pod każdym względem pozostawiony byłem samemu sobie.

Niegdyś w okolicach Ashwharfu były kopalnie węgla. Za moich jednak czasów węgla już nie wydobywano, gdyż szyby wyczerpały się. Chłopcy z Ashwharfu, a wśród nich i ja z przyjacielem swoim Eddem, synem aptekarza Orphy’ego, często wprawiali się w łażeniu po starych szybach, polując tam na nietoperze. To było bardziej interesujące niż chodzenie z Olivią w niedzielę do kościoła, gdzie pastor, wielebny Jeremiasz, wygłaszał kazania, z których nie rozumiałem ani słowa. Pod tym względem wujek całkowicie był po mojej stronie, udowadniając Olivii, że dla chłopców w moim wieku spacerowanie na świeżym powietrzu jest pożyteczniejsze niż kazania Jeremiasza. Nie ulega wątpliwości, że co do tego zupełnie zgadzałem się z wujkiem.

Z dziedzińca kościelnego otwierał się prześliczny widok na góry, otaczające Ashwharf, i na przestwór oceanu. Szare baszty zamku Oldmount ładnie rysowały się na tle Lasu Patricka, pokrywającego góry. Na wprost, w pobliżu Ashwharfu, za szosą przebiegającą górą i prowadzącą do sąsiedniego miasteczka Wesly, wznosiła się Skała Dwóch Róż, a nad nią taras, skąd widać było wybrzeże w obu kierunkach. Za tarasem zaś, o czym wiedziałem, były najbardziej ciekawe opuszczone szyby. Pośród nich straszliwą i tajemniczą sławą cieszył się szyb Długa Trąba, do którego decydowali się zejść tylko nieliczni śmiałkowie. Edd chwalił się tym wyczynem. Ja jednak nie byłem tam ani razu. Droga do Długiej Trąby nie była bliska. Niemniej zawsze marzyłem o tym, by zejść do tego szybu i przekonać się, czy prawdą jest, że nie ma on dna.

Włóczęc się po górach, rozmyślałem o tych czasach, kiedy będę już dorosły i wypuszczę się w daleką zaoceaniczną podróż. Sprzyjało temu, oprócz opowiadań wujka, czytanie książek opisujących nieznanne kraje. Jakże gorąco zazdrościłem właścicielowi Oldmountu, który zwykle każdej jesieni udawał się w podróż po szerokim świecie! Na wiosnę lord Packlington zwyczaj przyjeżdżał do Oldmountu i mieszkał w swoim zamku bardzo osamotniony. Ani razu nie widziałem go, a ojciec mój także niezbyt chętnie opowiadał o swoim gospodarzu, chociaż widywał się z nim i ze zrozumiałych względów znał wszystkie sprawy dotyczące Oldmountu. Można było tylko wywnioskować, że lord Packlington parał się nauką i bardzo dobrze odnosił się do swoich pracowników; niektórzy mieszkańcy Ashwharfu traktowali to jako dziwactwo.

Gdy skończyłem szkołę podstawową, ojciec mój nieoczekiwanie dla wszystkich umieścił mnie w college'u w Dijanie, gdzie, jak wiadomo, mogą się kształcić tylko dzieci bardzo zamożnych rodziców. Zawdzięczałem to łaskawości lorda, dał on bowiem mojemu ojcu niezbędne środki i rekomendację, która zupełnie wystarczała, ażeby uciąć wśród wychowanków college'u wszelkie dysputy na temat mojej całkiem niearystokratycznej rodziny. Mało tego, wśród kolegów z tej samej klasy co ja pozyskałem nawet przyjaciół, zachwycających się moimi sukcesami w stylowym pływaniu, piłce nożnej i boksie. Na wakacje do Ashwharfu przyjeżdżałem nie na długo, ponieważ jeden z moich kolegów, Robert Small, stale zapraszał mnie do siebie, do majątku swojego ojca, gdzie bardzo przyjemnie obaj spędzaliśmy czas. Na Nowy Rok przysyłałem pozdrowienia mojemu dobroczyńcy lordowi Packlingtonowi, zawiadamiając go jednocześnie o swoich postępach w nauce, na co ojciec niezmiennie odpowiadał mi: „Jego lordowska mość dziękuje Ci za pozdrowienia i życzy dalszych sukcesów”.

Począwszy od klasy trzeciej moją szczególną sympatią zaczęła się cieszyć biologia i botanika. Uważałem, że nauki te mogą się przydać w oczekujących nas podróżach i że dość przyjemnie będzie dokonać jakiegoś odkrycia w postaci rzadkiej rośliny rosnącej w tropikalnych dżunglach, dokąd bezwarunkowo postanowiłem się wybrać.

Budowałem z Robertem zgoła niezwykle plany i ojciec jego, znany negocjant, obiecał wysłać nas w podróż po Morzu Śródziemnym z chwilą, gdy staniemy się starsi.

2

Mając lat szesnaście ukończyłem średni kurs college'u z listem pochwalnym i dyplomem, gdzie podpisy rektora i profesorów pod wspaniałym herbem królewskim zaświadczały, że zdobyłem dostateczne wiadomości z historii Królestwa, geografii, chemii elementarnej, biologii, botaniki i innych nauk. Olbrzymia pieczęć z wizerunkiem złotego lwa dodawała niezbędnej powagi mojemu dyplomowi. Nic przeto dziwnego, iż nieskończoną ilość razy zachwycałem się tym historycznym dla mnie dokumentem, czytając na pieczęci łaciński napis wokół lwiej głowy: „Niech Neptun chroni marynarza” — starożytne zaklęcie, zachowane na

mocy naszych tradycji w herbie Dijanu od czasów Cezara.

Po drodze do Ashwharfu wstąpiłem na kilka dni do Roberta, z którym umówiłem się, iż za miesiąc udamy się w podróż od dawna obiecaną nam przez jego ojca. Zamierzaliśmy odwiedzić Riwierę i spędzić pewien czas w Szwajcarii. Miałem nadzieję, że ojciec mój da mi na to niezbędne środki.

Promieniejąc szczęściem powracałem do Ashwharfu. To nie żarty ukończyć średni kurs Dijanu! Na przystani kazałem odesłać rzeczy swoje do domu, sam zaś ruszyłem piechotą w górę King Street. Chciałem przyjrzeć się rodzinnemu miastu. Przecież cały rok nie było mnie tutaj.

W domu przywitała mnie Olivia.

— Witaj, Sam — powiedziała po prostu, zgodnie z prawem przysługującym starej piastunce. — Mister Pingle otrzymał twój telegram i przygotował się do spotkania, ale dzisiaj wczesnym rankiem lord wezwał go do zamku...

— Co się stało?

— Nie wiem. Wujek Reggie też wyszedł, ażeby dowiedzieć się nowin od Bridge'a.

— Musiało się coś stać — powiedziałem wchodząc do przygotowanego dla mnie pokoju. — Nowiny mogą dotyczyć lorda Packlingtona, nieprawdaż? — zapytałem Olivie, która pomagała mi zdjąć podróżny płaszcz.

— Niby tak — odpowiedziała. — Ale możesz się chyba sam wszystkiego dowiedzieć. Mister Pingle prosił, żebyś zadzwonił do niego. Automat telefoniczny jest naprzeciwno, na rogu. Mister Pingle ucieszy się bardzo, gdy usłyszy twój głos. Ja tymczasem przygotuję śniadanie i kawę.

Kilkakrotnie usiłowałem połączyć się telefonicznie z Oldmountem, ale próżne starania — z zamku nikt nie odpowiadał. Wreszcie telefonistka powiedziała:

— Aparat zepsuty, nie działa.

Postanowiłem udać się do zamku i zobaczyć z ojcem. Zacząłem odczuwać dziwny niepokój. Postój taksówek był na King Street, ale ja poszedłem krótszą drogą. I oto zakurzone ulice Ashwharfu wzbudziły we mnie dziwny smutek. Co się stało w Oldmounce? Dlaczego byłem przekonany, że ojcu przydarzyło się nieszczęście. Przez Krzywy Zaulek wyszedłem na Ginger Street, gdzie naprzeciwno siebie rozlokowały się drugorzędna restauracja „Neptun” i knajpka „Królewski Tygrys” — dwa zakłady cieszące się jednakową sławą w kronice Ashwharfu. Na chwilę zatrzymałem się pod oknem „Królewskiego Tygrysa”. Rozlegały się tam głosy gorącej dyskusji. Z wietrznika wydostawały się kłęby dymu jak podczas pożaru. Oznaczało to, że wujek Reggie jest tutaj i pali fajkę. Wszedłem. Nikt w knajpie nie zwrócił na mnie uwagi. Wszyscy zajęci byli wujkiem, który dymił niczym wulkan i perorował z niezwykłym podnieceniem:

— To nam na sucho nie ujdzie. Kiedyś wspomnicie starego Reggie'ego i przekonacie się, że miał on rację. Zbyt wiele teatrów. W Afryce się biją, w Chinach się biją.

Z przemówienia wujka można było wnioskować, że spór dotyczy teatrów działań wojennych.

— Jeżeli nie chcemy, ażeby bitka rozpoczęła się w Ashwharfskiej Zatoce, to nasz premier powinien zmienić parasol... Ten, który ma w tej chwili i z którym udaje się na dyplomatyczne wojaże, nie wywiera już wrażenia na zagranicy.

Zezowaty Tom Bridge, nalewający whisky do ustawionych bufecie szklaneczek, prze-rwał wujkowi:

- Doskonale powiedziane. Jednak nie dalej niż wczoraj dwóch górników — akurat w tym samym miejscu, gdzie pan; przyjacielu, siedzi — radziło zmienić nie parasol, ale premie-ra...

W knajpie rozległ się śmiech stałych gości. Roześmiałem się także. W tym momencie Tom Bridge zobaczył mnie.

— Prosimy bardzo, dżentelmenie. Obejrzyj się, Reggie. Twój krewniak pragnie się z tobą zobaczyć.

Wujek odwrócił się do mnie:

— Sam!...

Uścisnęliśmy sobie mocno dłonie. Stali bywalcy knajpy przyglądali mi się. Usłyszałem, że jeden z nich wymamrotał, bezceremonialnie wskazując na mnie:

— A to ci heca będzie, jeśli wszystko okaże się prawdą... Ot, biedak!...

Bridge wyszedł zza bufetu i zbliżył się do mnie.

— A z ciebie, Sam, zrobił się taki elegant, że wprost oczom nie chce się wierzyć. Prawdziwy pan...

— Ale to nie przeszkadza mi po przyjacielsku przywitać się z panem, kochany panie Bridge — powiedziałem wyciągając ę do właściciela knajpy.

— Ho! ho! — roześmiał się Bridge chrypliwym basem, z rozmachem uderzając po mojej dłoni. — Zuch z twego krewniaka, Reggie. Nie zapomniał o tym, że kiedyś wyciągnąłem go z jamy, dokąd wlaźł z synalkiem aptekarza. Uf, figlarze!... No, siadajże i opowiadaj. Kiedy przyjechałeś? A, pakebotem? Zaledwie przed godziną? Peggy, dużą gorzką pomarańczówkę dla dżentelmena!

Wujek Reggie ujął mnie pod ramię i zwrócił się do Bridge'a:

— Nie śpiesz się, Tom. Pozwól chłopcu przyjść do siebie. Wydaje mi się, że on nic jeszcze nie wie...

Wszyscy umilkli i patrzyli na mnie tak, że zrobiło mi się nieswojo.

— Co się stało? — wyszeptalem opadając na krzesło i gotując się do usłyszenia czegoś strasznego o ojcu.

Wujek usiadł przy stoliku i machnął ręką, ażeby zostawiono nas w spokoju. Służąca Peggy, przyjaźnie wyszczerzywszy żółte zęby, przyniosła na tacy kieliszek pomarańczówki.

— Dzień dobry, Sam.

— Dzień dobry, Peggy.

— Wypij łyk, kochanie — przemówił wujek mrużąc oczy. — To pokrzepia.

Gdy wujek mrużył oczy, oznaczało to, że chce powiedzieć coś ważnego.

— Niech wuj wreszcie powie, co się stało? — wymamrotałem.

Siedzieliśmy przy stoliku. Kieliszek z ciemnopomarańczową nalewką stał obok takiego samego kieliszka, do połowy opróżnionego. To była porcja wujka. Pomarańczówkę zamawiał tylko w dniu wielkich wydarzeń w życiu Pingle'ów. I oto teraz ręka wujka uroczyście ujęła kieliszek, ale w spojrzeniu jego było coś pogrzebowego.

— Wszyscy cię kochamy, Sam — przemówił wujek. — Cały Ashwharf zna ciebie. Bardzo często wspominaliśmy cię obaj z Tomem i mówiliśmy: „Przecież dobrze się stało, do diabła, że nasz chłopiec Sam kształci się w arystokratycznym college'u”. No, niech lord Packlington będzie sobie dziwakiem, ale nie zrujnuje się chyba, jeśli pomoże synowi swego sekretarza. Tak mi się wydaje.

Była to zwykła metoda wujka rozpoczęcia poważnej rozmowy od lirycznej wstawki. Trąciłem się kieliszkiem ze starcem i upiłem z kieliszka nieco nalewki.

— Do rzeczy, wujku. Co stało się z ojcem? Dlaczego nie witaliście mnie na przystani?

— Były powody, chłopcze — odpowiedział wujek dopijając swój kieliszek. — Ojciec twój żyje i nic mu nie dolega. Jest w Oldmounce.

— Wiem... Ale telefon w zamku nie odpowiada...

— Hm!... Nie odpowiada? A więc sprawa przybiera poważny obrót. Na razie nie mogę nic określonego powiedzieć, ale...

Szybko wstałem od stołu. Ukrywano coś przede mną. Powinienem osobiście być w Oldmounce. Wujek uczeplił się mojej ręki.

— Chwileczkę!... Jakiś ty niecierpliwy!... Mam wątpliwości, twoja obecność w zamku

na coś się przyda...

Czy wujek powie mi, o co chodzi?

— Doprawdy, ja nic nie wiem. Zaczekaj, gdy wróci twój ojciec...

Ale ja, nie słuchając dalej wujka, wybiegłem na ulicę. Za rogiem jest postój taksówek. Po upływie dwudziestu minut zobaczę ojca i dowiem się, o co chodzi.

Oto znana mi apteka. Olbrzymie pękate butle, napełnione różnokolorowymi płynami, jaskrawo połyskiwały barwami tęczy w szerokich oknach w promieniach ashwharfskiego słońca. Tutaj pyszniły się także stopy gorczyczników, środków przeciwko odciskom i bólowi zębów, patentowanych spluwaczek i mnóstwo innych rzeczy, których przeznaczenie być może nie było zupełnie jasne nawet dla ich wynalazców. W ostatnim oknie, podobnie jak w czasie mego dzieciństwa, leżała pod zakurzonym szklanym kloszem wielka sztuczna jaszczurka, przedmiot nienasyconej ciekawości ashwharfskiej dzieciarni.

Nie zwalniając kroku spojrzałem na jaszczurkę. Ta sama obłupana skóra z żółtymi pręgami i po dawnemu jedno oczko szeroko otwarte na świat jak gdyby ze strachu. Niespokojne, trwożliwe wspomnienia z lat dziecięcych przemknęły mi przez głowę. Ojciec przysyłał mnie tutaj po lekarstwa wówczas, gdy chorowała matka...

Potknąłem się i całkiem nieoczekiwanie upadłem na chodnik. Prawdopodobnie zaczępiłem noskiem trzewika o występ kamienia. W każdym bądź razie, gdy wstałem i zacząłem otrząpywać chusteczką do nosa kurz z ubrania, kręciło mi się w głowie, prawe ucho i skroń paliły mnie, a przechodzący starsuszek trafnie zauważył:

— Niech pan, młodzieńcze, wstąpi do Orphy'ego. Niezgorzej się pan podrapał.

Starsuszek był tak dobry, że nawet usłużnie otworzył mi drzwi apteki.

Wszedłem ogłuszony całkowicie upadkiem. Mister Orphy, aptekarz, rówieśnik mego ojca, stał za kontuarem i przymknąwszy oczy czochrał się ostrożnie plecami o występ szafy, wypełnionej lekarstwami. Sądząc z wyrazu twarzy Orphy'ego czynność ta sprawiała mu zadowolenie.

Przy stoliku pod oknem siedział grubas doktor Fleet, rozwaliwszy się tak, że taboretu spod niego w ogóle nie było widać. Miało się wrażenie, iż ashwharfski eskulap w cudowny sposób zawisł w powietrzu niczym majestatyczny aerostat. Wymachując prawą ręką, w uniesieniu dowodził coś aptekarzowi:

— Absolutnie niedopuszczalne z punktu widzenia nauki...

W tym momencie przestąpiłem próg apteki. Doktor Fleet umilkł, a Orphy otworzył nieco jedno oko.

— To ty, Sam?

Wskazałem obolałe ucho. Aptekarz i doktor od razu postawili diagnozę, nie pozwalwszy mi dojść do słowa.

— Sprytnie cię zajechali, Sam — powiedział aptekarz przestając się czochrać i otwierając drugie oko.

— Co pan sądzi, doktorze?

Doktor Fleet uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Siniak i zadrapania. Szpetne raczej niż niebezpieczne.

Ciekawość nie dawała widocznie aptekarzowi spokoju, dopytywał się:

— Kiedyś ty zdążył się pobić, Sam?

— Niech pan się go nie pyta, Orphy. Wszystko jest jasne — rzekł doktor Fleet, dysząc ciężko, i otarł jedwabną, koloru lila, chusteczką swoją purpurową twarz, podobną do księżycy w pełni i obramioną rudymi baczkami.

Przyglądał mi się z odległości trzech kroków tak, jak gdyby patrzył na mnie przez szkło powiększające, i mówił przesadnie głośno:

— Jasne jak przez mikroskop. Elastyczny, sprężysty przedmiot padając pod kątem trzydziestu stopni mniej więcej przed dwunastu godzinami uderza tego chłopca po głowie. Trafia-

jąc prostopadle przedmiot ten skrzyłby mu kark. W ostatecznym razie byłby niezgorszy wstrząs mózgu.

— Wybaczcie, dżentelmeni — odezwał się. — Przewróciłem się na ulicy, i nie przed dwunastu godzinami, ale w tej chwili. Wydaje się, że moje ucho...

Chciałem dotknąć obolałego ucha, które już zaczęło puchnąć.

— Nie dotykać rękami! — burknął doktor Fleet, marszcząc okrutnie brwi, i rozkazał aptekarzowi: — Niech pan zrobi chłopcu niezbędną toaletę. Jasne wszystko jak przez mikroskop.

— Chodź no tutaj, Sam — łagodnie zawołał mnie aptekarz.

Nie chciało mu się wychylać zza kontuaru. Zbliżyłem się do szaf i stary Orphy zaczął nakładać mi opatrunek z angielskiego plastra. A doktor Fleet tymczasem kontynuował rozmowę, przerywaną moim nieoczekiwanym przyjściem:

— A więc, przyjacielu Orphy, takie to sprawy. Ludzie chorują, bo nie przestrzegają zasad higieny, chorują w wyniku obrażeń doznanych w nieszczęśliwych wypadkach, zapadają także od chorobotwórczych mikrobów. Objadł się, opił, zgrzał się zbyt podczas upału, odmroził nogi lub ręce — chory. Pobił się z kimś albo upadł na ulicy, jak na przykład nasz Sam — chory. Mikroby dostały się do organizmu, zaczęły się w nim rozmnażać — chory. Nie ma, Orphy, choroby bez odpowiedniego mikrobu, dowiedli tego wielcy uczeni Pasteur i Koch. A jeżeli niektórzy pozwalają sobie wątpić i w dodatku robią przestępcze doświadczenia, to wie pan, przyjacielu Orphy... — w tym miejscu ręka doktora Fleeta uniosła się w górę jak gdyby do uderzenia — ...prawo ukarze takiego przestępcę. I zdaje się, już ukarało. Prawda, że przy tym niekiedy cierpią niewinni, ale widocznie takie jest prawo natury...

Doktor Fleet westchnął głęboko. Orphy zakończył opatrunek i wskazał mi lustro wiszące wśród krzykliwych reklam firm aptekarskich.

— Popatrz na siebie, Sam — powiedział. — Zupełnie nie widać... — I dodał uśmiechając się: — Przyznaj się, Sam, przebrałeś nieco miarkę, co? Pachniesz jak obsypane kwiatem drzewo pomarańczowe. Zalecam przespać się...

Chciałem powiedzieć starej małpie, iż nie odczuwam potrzeby snu, ale było to nadaremne.

— Boli mnie głowa — burknąłem.

— No to zażyj te tabletki — zaproponował Orphy.

— Do diabła z tabletkami! — przerwał doktor Fleet wykluwającą się już transakcją handlową, ocierając przy tym z wściekłością pot z twarzy. — Wytłaczają je niczym popielniczki. Przeciwno otłuszczeniu zjadłem już tonę tabletek, ale rozdyma mnie, jak pan widzi... Dlatego niech pan, młody człowieku, oszczędza pieniądze. Przy sposobności, czy nie ma pan zadyszki, panie Pingle?

To pytanie doktora Fleeta znane było nie tylko w Ashwharfie. Kiedyś Fleet wydrukował w czasopiśmie „Lancet” artykuł pod złowieszczym tytułem „Zadyszka — plaga ludzkości”. Od tej chwili myśl o zadyszce powoli i nieuchronnie sprowadzała doktora z drogi normalnego myślenia. Pytanie o zadyszce zadawał wszystkim pacjentom i przygodnym rozmówcom. O zadyszkę pytał nawet tych, którzy zwracali się do niego o poradę na zastarzałe odciski na piętach.

— Nie, panie doktorze — odpowiedziałem uprzejmie.

— Dziwne — mruknął doktor Fleet mrużąc oczy. — Zresztą nie ma wartości, które nie podlegałyby przewartościowaniu. — Doktor przeniósł wzrok na aptekarza: — Nieprawdaz, Orphy?

Ten wzruszył ramionami. W tym momencie otworzyły się drzwi między szafami i ukazał się w nich Edd, syn aptekarza, w białym fartuchu nie pierwszej świeżości. Przez ramię miał przerzucony ręcznik. Pomimo opaski poznał mnie od razu.

— Sam! Kochany! Ja tu męczę się nad miksturami i nagle słyszę znajomy głos... Witaj!

Co słyhać u ciebie? Przewróciłeś się? Kiedyś przyjechał? Znasz ostatnie nowiny?

— Nic nie wiem — odpowiedziałem ściskając wilgotną dłoń Edda. — Niewielka przegrada sprawiła, że nie znajduję się w tej chwili w Oldmounce.

— Toś ty nie widział jeszcze ojca? — wykrzyknął Edd. — Przecież doktor Fleet wie...

— Na razie nie ma jeszcze nic wiarogodnego — mruknął doktor. — Chodzą jednak słuchy, że w Oldmounce przeprowadzano wiwisekcję na zwierzętach — doktor Fleet ostrzegawczo podniósł prawą rękę i dodał: — bez zezwolenia władz...

— Jest to surowo ścigane przez prawo — uzupełnił Orphy sprząając z kontuaru tubę z tabletkami.

— No więc co? — powiedziałem czując, że głowa mocniej zaczyna mnie boleć.

— Mój Boże, on nie rozumie! — doktor Fleet zakołysał się taborecie, usiłując stanąć na nogach. — No, czas na mnie, muszę iść z wizytami. — Spęłzył z taboretu i sięgnął po swoją pasiastą walizeczkę z narzędziami. — A historia ta dotknie również pana, Pingle. Niech pan przyjmie do wiadomości, że doświadczeniami na zamku trudnił się nie kto inny, tylko sam lord Packlington.

— Słuchajcie, słuchajcie! — szybko powiedział Orphy, jak gdyby doktor Fleet występował w parlamencie.

— Więc co z tego? — wykrzyknąłem.

Doktor i aptekarz popatrzyli na mnie ze współczuciem.

— Doświadczenia lorda otoczone były taką tajemnicą, że nikt się tego nawet nie domyślał. A teraz zasłonę lekko uniesiono.

Doktor Fleet pokiwał głową.

— Nie będę się dziwił, jeżeli okaże się, iż lord Packlington dokonywał doświadczeń i nad żywymi ludźmi... Prawo ukarze go... jeśli już nie ukarało.

Nie podobał mi się zirytowany ton doktora. Zresztą wszystkim w Ashwharfie było wiadomo, że doktor Fleet jest zawsze w stanie chronicznego podrażnienia. Przecież ma w domu dwie brzydkie córki — Annie i Jenny, których w żaden sposób nie może wydać za męża. Dlatego dyskusowanie z doktorem było bezcelowe. Mimo to zaprotestowałem:

— Człowiek nauki powinien mieć możliwość swobodnego robienia doświadczeń.

Słowa moje wywołały skutek. Doktor Fleet klasnął w dłonie:

— Ach, to tego uczą teraz w college'ach!

Stary Orphy zrobił taką minę, że ogarnęło mnie obrzydzenie gdym spojrzał na niego. Zawołał na Edda:

— Marsz do roboty! Znowu mikstury dla mister Seytona i pigułki dla wielbnego pastora niegotowe, co? Ruszaj!

Edd wolno powlókł się za szafy. Widocznie Orphy trzymał go krótko.

I w tej oto chwili postanowiłem wziąć odwet za Edda. Powiedziałem:

— Wiecie co, dżentelmeni? Gdyby dla dobra nauki potrzebne było ryzykowne doświadczenie, to oddałbym siebie do dyspozycji...

Doktor Fleet zaniósł się śmiechem:

— Do dyspozycji uczonego lorda? Cha! cha! cha! Oj, Pingle, zamęcz pan mnie i Orphy'ego wcześniej, nim lord zamęcz pana! Proszę iść do domu i położyć sobie lód na głowę. Istotnie, zdradza pan symptomy wstrząsu mózgu...

Chłodno uniosłem kapelusza:

— Do widzenia.

— Jeden szyling, Sam — przypomniał mi Orphy o kawałku plastra.

Aptekarz chciał otrzymać pieniądze za swój towar i dlatego głos jego przybrał odcień poetyckiego wzruszenia.

Moneta, rzucona przeze mnie na kontuar, miękko zabręczała. Doktor pieszczotliwie popatrzył na monetę.

— Za diagnozę i poradę przyślę panu, panie Pingle, rachunek do domu — zauważył rzeczowo. To było całkiem naturalne: doktor Fleet pragnął otrzymać należne mu honorarium za udzielenie doraźnej pomocy bliźniemu.

3

Głowa bolała mnie nieznośnie. Postanowiłem nie jechać do Oldmountu i czekać na ojca w domu.

Obok furtki do naszego ogrodu siedziała na ławeczce Mary, małeńka córeczka naszych sąsiadów. Kołysała szmacianą lalkę i śpiewała cieniutkim, żalonym głosem:

*Gdy maleństwa płaczą,
Znaczy, że są chore;
Ciocie płaczą ze zmartwienia,
A wujkowie — z radości.*

Jasnowłosa kruszyna przywitała się ze mną.

— Wujku Sam!... Wujek bił się? Jaki siniak! — Mary uśmiechnęła się figlarnie: — Ja wiem... Pijani zawsze się biją.

Serce moje drgnęło i mimo woli powiedziałem dumnie i zdecydowanie:

— Zgadłaś. Pojedynkowałem się i tak mnie pokiereszowano. Ale przecież wujkowie nie płaczą ze strapienia, co?

Furtka otworzyła się. Edith Winter, starsza siostra Mary, szybko podeszła do mnie.

— Mój Boże! Pan ranny, Sam?

Ciemnopopielate loczki Edith mieniły się brązem na słońcu. Głębokie oczy dziewczyny patrzyły na mnie z trwogą.

— Czy niebezpiecznie?

Starałem uśmiechnąć się patrząc na młodziutką twarz, której nigdy nie zapomniałem.

— Proszę mi wybaczyć, Edith, żartowałem o tym pojedynku. To tylko lekkie zadrapanie, śpieszyłem do postojów taksówek i przewróciłem się w pobliżu apteki. Chciałem pojechać do Oldmountu i zobaczyć się z ojcem...

— O, ja rozumiem, Sam — powiedziała Edith stając się coraz bardziej zatroskana i poważna. — Panu konieczny jest spokój.

— Tak, postanowiłem wrócić do domu i zaczekać na ojca... Na ganku domu ukazała się Olivia. Zobaczywszy opaskę na moim uchu w pierwszej chwili straciła głowę i o mało nie rozplakała się. Po upływie kilku minut siedziałem w starym fotelu ojca. Olivia krzątała się koło mnie, przygotowując śniadanie. Słychać było, że Edith pomaga jej w kuchni. Dziewczyna na chwilę zajrzała do pokoju.

— Ach, Sam, widziałam, że przyszedł pan z przystani! A potem spieszenie opuścił pan dom. Zrozumiałam...

— I co dalej? Proszę mówić, Edith.

— Nie, nie, Sam. Pan musi odpocząć. Przespać się.

Wykonałem zniecierpliwiony ruch:

— Nie potrzebuję odpoczynku. Niech pani mówi, co się stało.

Edith westchnęła:

— O lordzie Packlintonie opowiadają straszliwe rzeczy...

Olivia, która w tej chwili weszła, przerwała Edith:

— Nikt jeszcze nic sensownego nie wie. Ashwharf zawsze był pełny plotek. Kochana

Edith, zdaje się, że mistress Winter woła ciebie.

Olivia bardzo taktownie pozbyła się Edith i postawiła na stole gorące śniadanie.

— Wcinaj, Sam, a potem połóż się i odpocznij. Opowiedz, jaka to przygoda cię spotkała?

Dobra Olivia kiwała głową, słuchając mojej opowieści i czuwając, podobnie jak w dzieciństwie, żebym się solidnie najadł.

— Prześpij się, chłopcze — powiedziała ciepło. — Przygotowałam ci łóżko i grzałkę. Usnąłem w pustym domu rodzinnym, zmęczony i przejęty zaszłymi wydarzeniami.

Obudziwszy się zobaczyłem ojca siedzącego w fotelu koło mego łóżka. Abażur był nisko naciągnięty na lampę, która oświetlała blade ręce ojca złożone na jego kanciastych kolanach.

— Czekałem, aż się obudzisz — cicho powiedział ojciec. — Jak się czujesz, chłopcze?

— Wspaniale. Witaj, kochany — odezwałem się próbując wstać.

— Leż, leż — nakazał ojciec wyciągając do mnie rękę, którą mocno ucisnąłem. — Jest już późno, śpij do rana. Chciałem ci jedynie powiedzieć, żebyś się nie niepokoił...

Przy tych słowach przypomniałem sobie bardzo dokładnie wszystkie wydarzenia dnia.

— A właśnie że zaniepokoiłem się — powiedziałem głośno. — Unieś abażur, ażebym mógł cię widzieć.

Światło padło na dobrą twarz ojca. Wydało mi się, że twarz ta schudła i postarzała się. Ojciec tkliwie patrzył na mnie.

— Otóż jestem. Widzisz?

— Widzę i pragnę usłyszeć, co się z, tobą działo.

— Chcesz dowiedzieć się prawdy, Sam?

— Tak.

— Masz do tego pełne prawo. Wujek Reggie też nalega, abym opowiedział ci wszystko, co mi jest wiadome.

I ojciec zaczął swoją opowieść:

— Lord Packlington ma, a raczej miał wystarczającą ilość środków, ażeby robić to, co mu się podoba...

Przerwałem ojcu:

— Przepraszam, powiedziałeś: „miał”. Czyżby lorda spotkała ruina?

— Gdyby tylko to, Sam, to byłoby pół biedy. Lord nasz jest ostatnim z rodu Packlingtonów, właścicieli Oldmoutu. Nie ma on następców w prostej linii, ponieważ jest kawalerem. Jest tylko zaręczony z lady Eveline Harnett. Ale ślub od trzech lat jest odkładany. Wiele przyczyn składa się na to i nie we wszystkich potrafisz się, chłopcze, w pełni zorientować. Ludzie zbyt mało wiedzą o tym człowieku, a ludzie z kół arystokratycznych, zdaje się, jeszcze mniej. Lord, jeśli chcesz wiedzieć, zawsze jaskrawo odbijał od swego środowiska...

Sądząc ze słów ojca lord Packlington, wybitny uczony, istotnie przeprowadzał w zamku swoim doświadczenia, zdaje się, związane z fizjologią zwierząt i roślin. Być może jego pasja naukowa zmuszała go do odkładania ślubu z lady Eveline, często podróżował i podróże te były widocznie związane z jego naukowymi badaniami.

Oczekiwany ślub lorda nie podobał się jego kuzynowi Merlingowi. Mister Merling, wielki karierowicz, mógłby zostać następcą lorda Packlingtona, a także właścicielem Oldmoutu majoratu, gdyby lord trwał nadal w stanie bezżennym umarł nie zostawiwszy po sobie syna. Ożenek lorda przekreślał plany Merlinga. Dlatego dokładał wszelkich starań, żeby nie dopuścić do ślubu.

Tymczasem lord Packlington zrobił jakieś nadzwyczajne odkrycie. Jakie — ojciec nie wiedział. Ale do sprawdzenia tego odkrycia niezbędne było przeprowadzenie doświadczeń nad ludźmi. Zażądał przeto od władz, aby przydzieliły mu do tych doświadczeń skazanych na

śmierć przestępców albo zezwoliły na wynajmowanie ludzi za wynagrodzeniem pieniężnym. Chociaż żądanie, sformułowane we właściwy sposób, wysłane było w tajemnicy, dowiedzieli się o nim w jakiś sposób okoliczni mieszkańcy Oldmountu. Dziesiątki ludzi z Wesly i Ashwharfu zaczęły oblegać biuro zamku proponując swoje usługi.

— Ludzie ci gotowi byli na wszystko — powiedział ojciec. — Jak najbardziej nieprawdopodobne pogłoski rozchodziły się między nimi. Opowiadano, że lordowi potrzebne są ludzkie nogi i ręce i jakoby wujek Reggie nie stracił swojej ręki w Gallipoli, ale sprzedał ją po prostu lordowi i w dodatku za moim pośrednictwem. Głupie plotki! Ale trzeba zrozumieć ludzi, Sam. Ci, którzy przyszli, chcieli po prostu zarobić! Tak, Sam, sądzone mi było spędzić wiele ciężkich godzin na pertraktacjach z tymi biedakami. Zbiegło się to akurat z lokautem w Wesly. Ale na nikim, przysięgam, nie przeprowadzano doświadczeń w zamku, na nikim. Możesz sobie teraz wyobrazić, co się działo, gdy wiadomość ta dotarła do gabinetu ministrów. Merling niezwłocznie wykorzystał tę chwilę. Ktoś rozpuścił pogłoskę, że lord Packlington przeprowadzał wiwisekcję na ludziach. Gotów jestem przysiąc przed sądem, że to kłamstwo...

— No, ale sam lord powinien był zdemaskować oszczerców! — wykrzyknąłem.

— Ach, Sam, nie znasz zupełnie lorda! On uważał, że godność nie pozwala mu rozmawiać z ludźmi pokroju Merlinga. — Ojciec rozłożył ręce. — I oto wczoraj spadł grom. Merling przeprowadził w parlamencie ustawę, na mocy której naszego lorda Packlingtona pozbawia się wysokiego tytułu, majoratu i skazuje na banicję z granic królestwa.

— Ależ to potworne! Krzywdzące! — wyszeptałem czując, że coś twardego, chropowatego podchodzi mi do gardła i przeszkadza mówić.

Ojciec podał mi wody w szklance.

— Wiedziałem, że to cię zdenerwuje, chłopcze... Odłóżmy rozmowę do jutra.

— Nie, nie... — mruknąłem w obawie, że się rozplączę przy ojcu jak dziewczyna. U tego, który ukończył średni kurs Dijanu, byłoby to całkiem nie na miejscu. — Mów wszystko. Mówże wreszcie!... No!

Ojciec uśmiechnął się.

— Jeżeli będziesz kaprysił, to zgaszę lampę i wyjdę z pokoju.

W okresie mych lat pacholących było to karą, gdy grymasiłem i nie kładłem się spać. Przypomnieliśmy sobie o tym teraz i ja również się uśmiechnąłem.

— Wybacz. Ale oznajmiłeś mi straszliwą nowinę. To niemożliwe!...

— Parlament wszystko może — odezwał się ojciec, starając się nadać swemu głosowi ton uroczysty, ale uchwyciłem w nim słabą nutkę ironii, czego nigdy dawniej nie dostrzegałem. — Przeprowadzili ustawę, która obowiązuje tylko jeden raz i właśnie w stosunku do naszego lorda. Dzisiaj dotarło to do Oldmountu. Jutro stanie się wiadome w Ashwharfie i na całym świecie...

— A co się dzieje z lordem Packlingtonem? — spytałem.

Ojciec zwlekał nieco z odpowiedzią, po czym smętnie wyszeptał:

— Były lord opuścił przed kilku godzinami Oldmount. Regent królewski, mister Seyton, nałożył pieczęcie na prywatne pokoje Packlingtona. A jutro do zamku przybędzie nowy lord, prawny spadkobierca majoratu, były Merling. To wszystko, chłopcze. żebyś ty wiedział, jak mnie te przejścia zmęczyły.

4

Upłynęło kilka dni. Nowy właściciel wszedł w prawa dziedzica zamku i ojciec wkrótce zakomunikował mi jeszcze jedną nieprzyjemną nowinę: nie będę się mógł kształcić na wyższym kursie w Dijanie. Merling nie zgodził się łożyć na dalsze moje studia. To był straszliwy

cios. Nie mogłem pokazać się na ulicy. Wytykano mnie niemal palcami. Rówieśnicy moi naigrawali się ze mnie tak, że policzki moje płonęły ze wstydu i oburzenia.

— Trzeba, chłopcze, jakoś się urządzić — powiedział pewnego dnia wujek, gdy siedziałem przy oknie w jak najbardziej ponurym nastroju.

Nieustannie pocierając zapałkami i zapalając fajkę, która uporczywie gasła, wujek wybuchnął gniewem przeciwko byłemu lordowi:

— Co jego to obchodzi, że osadził cię, chłopcze, na mieliźnie. A mnie i ojcu twemu sił nie starcza, ażeby wziąć cię na hol i ciągnąć do zacisznej przystani. Czcigodny filantrop zniknął z horyzontu. Opowiadali dzisiaj w „Tygrysie”, że na zawsze skończył obrachunki z życiem. Nie mam nic przeciwko...

— Proszę, wujku, nie mówić tak o człowieku, który nam pomagał — zaprotestowałem.

Wujek pomachał swoją jedyną ręką, w której trzymał fajkę.

— Patrz życiu prosto w oczy, Sam. Nie bój się nigdy prawdy. Teraz będziesz musiał iść przez życie rozpychając się łokciami — oto prawda. Zmusz czcigodnych tłuszciochów, którzy siedzą po biurach w Ashwharfie, do ścieśnienia się. Niech ustąpią ci trochę miejsca pod słońcem. Dyplom Dijanu! To chyba coś znaczy!

Tak, trzeba było się urządzić. Przekonałem się niebawem, że ani dyplom, ani list pochwalny college'u same przez się nie zdołają dostarczyć na mój stół porannej kawy i lekkiego śniadania, przyzwoitego obiadu i obfitej kolacji, jak również paczki papierosów o przyjemnym zapachu, zelówek do trzewików i innych niezbędnych drobiazgów, do których przyzwyczałem się w internacie Dijanu i w domu przyjaciela mego Roberta.

W bezpłodnych poszukiwaniach pracy obszedłem wszystkie instytucje Ashwharfu i Wesly. Ale w Królestwie jak gdyby był nadmiar laborantów, sekretarzy i kancelistów. Dla mnie zabrakło kącika pod rodzinnym niebem.

Godzinami siedziałem w domu zmęczony i zdenerwowany, oddając się gorzkim rozmyślaniom.

Trzeba się na coś zdecydować. Mieszkać u ojca i czekać — aż zarobek sam spadnie z nieba — było niemożliwe. Biedny ojciec! Poniżając się zabiegał u mister Seytona, aby dał mi u siebie posadę młodszego klerka. Ale Seyton wydał tylko usta. Co takiego? Mieć do czynienia z osobnikiem, któremu patronował były lord, sromotnie przepędzony z Oldmountu?

Nie, nawet za połowę uposażenia nie przyjmie mnie do siebie.

A ja nie wiem, jak mam wybrnąć z tej sytuacji. Nie mogę już liczyć na pomoc lorda, a tym bardziej na pomoc ojca. Wydał na mnie wszystko, co miał. Teraz moim obowiązkiem jest pomagać ojcu.

Miałem słabą nadzieję, że rektor Dijanu i związek nauczycieli znajdą środki na to, ażebym mógł kształcić się dalej na wyższym kursie. Napisałem do rektora rozpaczliwy list, lecz odpowiedzi nie otrzymałem.

W owych czasach chłopcom i dziewczętom naszym niełatwo było znaleźć pracę odpowiadającą ich uzdolnieniom i zapałowi. Jedynym zajęciem wielu bezrobotnych było szlifowanie bruków w próżnej nadziei znalezienia choćby drobnej monety, ale pieniądze nie poniewierały się na ulicach miast. Wydawało się to wówczas mimo wszystko bardziej prawdopodobne niż znalezienie pracy z pomocą biur pośrednictwa.

Wymyślałem najprzeróżniejsze kombinacje, jak by się urządzić. Przyszło mi pewnego razu do głowy, że Edd mógłby poprosić starszka Orphy ego, by ten zatrudnił mnie w aptece przy myciu butelek. Czy nie byłoby to jednak śmieszne gdyby dijański dyplomant stał się apteczną pomywaczką?! Najgłówniejszą wszakże przeszkodą do otrzymania posady u Orphy'ego było to, że Edd sam mył butelki w aptece swego ojca. Tak gorliwie krzątał się za aptecznymi szafami, iż wątpliwe było, czy zniósłby konkurenta w swojej miksturowej kuchni.

Myśli te nie dawały mi spokoju.

Co ja mam w tym miasteczku do roboty? Spędzić tutaj całe życie z Orphy'm, Brid-

ge'em, doktorem Fleetem, z czerwono nosym wujkiem?

Postacie miejscowych czcigodnych obywateli przesuwają się przed moimi oczami. Wikariusz — wielebny Jeremiasz, złotousty kaznodzieja, znany amator smacznych potraw. Jednooki naczelnik poczty Colly, obarczony liczną rodziną. Sędzia Withley, przyjaciel reagenta Seytona. Pułkownik Fredson, o przydomku „niezmordowany połykacz rumu”... Galeria ashwharfskich typów przemknęła przez moją głowę. Tłum naczelników poczty, aptekarzy wyłaził z kominka, zapełniał pokój. Obstał mnie, mrugał do mnie porozumiewawczo i coś szyderczo mamrotał.

Zrobiło mi się strasznie. Obudziłem się.

Pamiętam, że podbiegłem do okna i otworzyłem je. Ściemniało się. W domkach Ashwharfu zapalano światła. Obok w ogródku mistress Winter głośno wołała:

— Mary!... Gdzieżeś się podziała, niegodziwa dziewczyno? Gdzie Edith?

Rozległ się płaczliwy głosik Mary:

— Ja nie wie-em...

Muszę się przyznać, że jedyną przyczyną, która mnie wówczas zatrzymywała w Ashwharfie, była Edith Winter.

Domek ich stał obok naszego. Ojciec Edith pracował na poczcie pod zwierzchnictwem mister Colly'ego. Cierpiał na dolegliwości sercowe i prawie nie pokazywał się ludziom. Od czasu do czasu widywałem go w ogródku obok domu. Siadywał w plecionym fotelu, opuściwszy na kolana chude ręce, i smętnie wpatrywał się w pasemko wód oceanu widoczne w oddali. Edd opowiadał, że stary Winter zbiera pieniądze, ażeby wyjechać dokądś daleko na południe.

Przypominam sobie, że pewnej niedzieli Olivia wzięła mnie z sobą do kościoła. Po nabożeństwie niania moja na cmentarzu przykościelnym zagadała się z innymi kobietami. Wszystkie zamilkły pełne szacunku, gdy z kościoła wyszedł pastor, wielebny Jeremiasz. Był w towarzystwie mistress Winter i chudziutkiej dziewczynki w okrągłym słomkowym kapeluszu z dwiema wstążkami.

— Niech pani, droga mistress Winter, nie upada na duchu — łagodnie powiedział pastor. — Nie należy tracić nadziei, że mężowi pani polepszy się. Powiedziałem już, aby doktor Fleet zwrócił szczególną uwagę na tego pacjenta. I proszę się nie niepokoić o honorarium. Gmina weźmie wszystkie wydatki na siebie.

— Jestem niewymownie wdzięczna panu pastorowi — wyszeptała wzruszona mistress Winter. — Jest mi nieraz tak ciężko... Przecież mam dwoje dzieci...

— Wiem o tym. Obowiązkiem naszym jest troszczyć się o dzieci. Głowa do góry!

Po tej rozmowie Olivia zwróciła się do mnie:

— Sam, przywitaj się z Edith. Czyżbyś jej nie poznał?

Wracaliśmy do domu we czwórkę. Olivia pocieszała mistress Winter, ja zaś z Edith szedłem na przodzie. Domyśliłem się, że ojciec jej poważnie jest chory, i zrobiło mi się okropnie żal dziewczyny.

Wiedziałem, że Edith bardzo kocha ojca i ciężko przeżywa jego niedomaganie.

Tego dnia Olivia przygotowała bardzo dobry obiad i poleciła mi, ażebym zaniósł Winterom coś smacznego.

— Spełnisz szlachetny uczynek, Sam, jeśli odwiedzisz chorego — powiedziała Olivia zawiązując w serwetkę naczynia z jedzeniem.

Poszedłem do Winterów i od tej chwili zaczęła się między nami przyjaźń, bardziej zażyła aniżeli zwykła sąsiedzka znajomość. Tego dnia Edith odprowadziła mnie do furki i powiedziała:

— Pan jest taki dobry, Sam! Nigdy, nigdy nie zapomnę tego.

Nic na to nie odpowiedziałem. Byłem zbyt wzruszony tym, że nazwano mnie dobrym.

Często grywaliśmy na placu w krokiet. Przegrywanie z Edith sprawiało mi przyje-

mność i wielce byłem rad, gdy klaszcząc w dłonie cieszyła się z odniesionego zwycięstwa. Podobał mi się łagodny charakter tej kędzierzawej dziewczyny. Gdy w ubiegłym roku przyjechałem do Ashwharfu, nie od razu poznałem Edith. Wyrosła, wyprostowała się, w jakiś szczególny sposób zaczęła czesać swoje gęste włosy, w oczach jej pojawił się nowy, jakiś tajemniczy blask, i to mnie oczarowało. Spacerując pewnego razu z Edith poprosiłem ją, aby pozwoliła mi napisać do siebie. Zgodziła się. Napisałem z Dijanu. Odpowiedziała mi tak mile, że nauczyłem się tego listu na pamięć i długo przechowywałem go.

Z Edith zrobiła się teraz prawdziwa piękność. Uśmiech jej onieśmielał mnie. Często przyłapywałem siebie na tym, iż gubię się w towarzystwie tej delikatnej, pełnej gracji dziewczyny; nie wiem, co mówić.

To właśnie zatrzymywało mnie w Ashwharfie. Dodać tu jeszcze należy, że nie tak dawno słyszałem rozmowę wujka z Olivia, prowadzoną w kuchni.

— Co do mnie — perorował wujek — to ja bym nie przeszkadzał naszemu chłopcu rozstać się na pewien czas z Ashwharfem. Trzeba rozumować praktycznie, jak lubi wyrażać się Tom Bridge. Jeżeli nie ma się w ręku atutów, trzeba wychodzić w najłabszą kartę. Niechaj Sam powłóczy się nieco po szerokim świecie. Zobaczysz, natrafi na złotodajną żyłę i wróci z pełnymi rękoma. Wtedy to, Olivio, pohulamy na weselisku...

— Co też pan mówi, mister Brand! — zaprotestowała Olivia.

— Całkiem poważnie — odpowiedział, wujek i słychać było, jak zawzięcie wytrząsa o skraj trzona kuchennego popiół ze swojej brazylijskiej fajki. — Dlaczego kędzierzawa Edith nie może być narzeczoną naszego chłopca? Za trzy lata skończy osiemnaście. Do tego czasu chłopiec powinien zdobyć pieniądze i wówczas będą mogli pomyśleć o rodzinnym gniazdku. Och, Olivio, nie zdążymy się obejrzeć, gdy trzeba będzie brać się do niańczenia wnucząt!...

Wujek zaniósł się dobrodusznym śmiechem.

Dalszej rozmowy nie słyszałem, ale słowa wujka głęboko zapadły mi w serce. Były dla mnie przyjemne!

Przypomniałem je sobie teraz. Odwróciły moją uwagę od niewesołych myśli.

Weszła Olivia.

— List do ciebie, Sam.

Rozerwałem kopertę. Stojąc przy oknie przeczytałem w półmroku zorzy wieczornej linijki liter naniesione na papier twardym charakterem pisma mojego przyjaciela Roberta i upuściłem na podłogę ciężki, ze złożonym brzegiem arkusik. Robert pisał:

„Szanowny Mister Pingle! Po tym wszystkim, co stało się wiadome o osobie, która udzielała Panu poparcia, sądzę, że Pan sam zrozumie, iż należy zrewidować niektóre stosunki osobiste. Moi przyjaciele także przypuszczają, że chyba nie będzie Panu na rękę dalsze spotkanie się z nami w murach naszej szkoły. Zrozumiałe również powinno być to, że zamierzona nasza wspólna podróż odpada ostatecznie. Proszę przyjąć zapewnienie itd. R. Small”.

Mój Boże, jak poprawnie!

Twarz mnie paliła jak po spoliczkowaniu. Nie chcą mieć ze mną nic wspólnego? Obecność moja szokowałaby ich? Tym lepiej. Ach, ileż racji jest we wzburzeniu wujka!

5

Siedziałem z Edith na skwerku u wylotu King Street, biegnącej stąd w dół do portu. Przed naszą ławką, na klombie obramionym zielenią, drzemały wędnące floksy. Na dole ponad dachami murowanych domów, ze spiczastymi, dachówką krytymi dachami, widać było kawałek zamglonego oceanu. Wśród nich wznosił się masywny budynek ashwharfskiego kantoru stołecznego banku „May End Little Union”, w którym praca była marzeniem wielu

mieszkańców Ashwharfu.

— Wiesz, Edith, wyjeżdżam z Ashwharfu — odezwałem się.

Po raz pierwszy zwróciłem się do swej towarzyszki per „ty” i czekałem, jak ona na to zareaguje.

— To bardzo dobrze, Sam — odpowiedziała dziewczyna i odwróciła się. Wargi jej zadrżały, ale głos pozostał spokojny. — Zobacysz, jak żyją ludzie. Ojciec zawsze mówił, że podróże — to najciekawsza rzecz na świecie. Gdyby był zdrow, wyjechałby do Australii... Wybierzesz, Sam, to, co dla ciebie najodpowiedniejsze — dokończyła Edith.

— I dla ciebie, Edi — dodałem cicho.

Popatrzyła mi prosto w oczy.

— Wiem, ale na razie lepiej nie mówmy o tym. Tyś taki dobry, Sam! Mnie w tej chwili jest bardzo, bardzo smutno, a bez ciebie będzie jeszcze smutniej. Ale rób to, co jest lepsze dla ciebie, Sam, i proszę, nie myśl o mnie, nie bierz mnie pod uwagę. Wujek Reggie mówił, że trzeba brać się za bary z życiem. A tyś silny, Sam. Potrafisz zwyciężyć... Tak, tak, Sam, wierzaj mi. Znam ciebie lepiej, niż sam siebie znasz!

Edith łagodnie uśmiechnęła się.

— Chcesz wiedzieć, o czym myślę?

— Ależ oczywiście, bardzo chcę.

Powiedziała poważnie:

— Myślę, że przyjaźń pomaga ludziom w życiu. Przeczytałam to wczoraj w pewnej książce, i to jest bardzo słuszne...

Potem poszliśmy w dół King Street na molo i długo patrzyliśmy na zatokę. Piękne jachty żaglowe pędziły do Przylądka Jen i tam zwinnie zawracały łapiąc wiatr w żagle. Jeden z nich wyprzedził pozostałe, żagle jego błyszcząły w promieniach zachodzącego słońca.

— Jak sprawnie manewruje chłopak żaglami — zauważyła Edith machając ręką w kierunku jachtu, na którym czerniała postać korpulentnego żeglarza siedzącego na rufie.

— To Bob — odezwałem się.

— No tak, Bob Beardwarf — przytaknęła Edith. — Powiadają, że wkrótce odziedziczy spadek.

Nie podobało mi się, że Edith tak wiele uwagi poświęca łodzi tego Boba, siostrzeńca pana Seytona. Ale rzeczywiście jacht jego był piękny.

— Może pójdziemy już do domu? — zaproponowałem Edith.

— Zgoda, Sam. Trochę tu chłodno — potulnie przytaknęła, chociaż nad wodą nie było wcale chłodno.

Gdy wróciłem do domu, ojciec jadł kolację. Na jego nieme pytanie mogłem tylko opuścić głowę.

— Nic pocieszającego.

— Jedz, jeśliś głodny — powiedział ojciec.

Po kolacji starszynek wezwał mnie do gabinetu, gdzie każdy drobiazg, poczynając od szczyptec do kominka w kształcie szerokich pazurów i kończąc na olbrzymiej popielniczce z pancerza gwinejskiego żółwia, był mi znany od dzieciństwa. Widziałem błyszczącą siwiznę na skroniach ojca i dobrotliwe spojrzenie jego zmęczonych, wypłowiałych oczu. Kochany ojciec! Ze staroświeckiego sekretarzyka wyjął dwa banknoty i powiedział cichym głosem, w którym wyczuwało się smutek:

— Drogi chłopcze! Kształciłeś się, jak tego pragnęła twoja nieboszczka matka... — Wymawiając to ojciec spojrział na wiszący na ścianie między oknami duży portret swojej żony, która tak przedwcześnie opuściła nas, i przyłożył chusteczkę do powilgotniałych oczu.

Milczałem wzruszony. W takich chwilach odżywały w mojej pamięci delikatne rysy matki. Tak bardzo mnie kochała!

— Synu mój, ciężko mi mówić, ale powiem — ciągnął dalej ojciec patrząc na mnie

spod gęstych siwych brwi. Miał wygląd uroczysty i wyrażał się nieco staroświecko. — Od byłego naszego lorda nie ma żadnych wiadomości i nie jest wykluczone, że już nie żyje. Ale nie ośmielam się potępiać losu, bowiem znam surową mądrość praw rządzących ziemią i niebem. Jeśli nie sążone ci jest dokończyć wykształcenia, niech tak będzie. Jednak, wszyscy — ja, wujek Reggie i nasza kochana Olivia — pragniemy, ażebyś znalazł własne szczęście. Przeprowadziłem dzisiaj z nauczycielem naszym, pastorem Jeremiaszem, długą rozmowę. Czcigodny sługa kościoła całkowicie zgadza się z tym, co radził przedtem wujek Reggie...

— Wiem o tym — wypowiedziałem opuszczając głowę.

— To bardzo dobrze, iż orientujesz się w naszym położeniu — westchnął ojciec. — Sameś winien pokierować własnym losem. Mój chłopiec Sam ma krzepkie ręce i głowę na karku, a serce równie dobre, jak jego nieboszczka matka...

Znowu obaj spojrzeliśmy ze smutkiem i wdzięcznością na portret.

— Ty, Sam, nie uchylasz się od pracy — ciągnął dalej ojciec. — Ja i Reginald widzieliśmy, jak starałeś się tutaj urządzić, i postanowiliśmy... — Wypowiadając te słowa ojciec wręczył mi dwa banknoty: — Bierz, chłopcze. Te pieniądze to wszystko, co mam, to mizerne resztki moich oszczędności. Staraj się je wydatkować tak, abyś w przyszłości mógł z wdzięcznością wspominać swoich rodziców. Pamiętaj, rodzice zawsze kochają swoje dzieci. Wiedz również, iż w biurze nad papierami lorda Packlingtona przesiadywałem codziennie po cztery dodatkowe godziny, a twoja dobra matka oszczędzała na drobiazgach. Pracowaliśmy, żeby choć coś niecoś zaoszczędzić dla ciebie. — Ojciec z przejęciem potrząsnął głową i wyciągnął do mnie ręce: — Mój drogi!...

Nie mając sił mówić nachyliłem się do piersi ojca, długo całowałem jego suche, powalane atramentem ręce i oblewałem je wdzięcznymi łzami.

— No? no, chłopcze...

Ojciec pieszczotliwie poklepał mnie po ramieniu.

— Schowaj pieniądze... świat jest wielki, w posiadłościach króla słońce nie zachodzi, a Neptun patroluje naszej banderze na morzach. Urządź się! A jeśli wrócisz, to bądź pewny, że znajdziesz w Ashwharfie ludzi kochających cię po dawnemu.

Przymrużywszy z lekka oczy ojciec spojrział z ukosa w okno, przez które widać było domek Winterów. Zrozumiałem, że zna już moją tajemnicę.

Ojciec przegadał ze mną do północy, siedząc w fotelu naprzeciw ukochanego kominka. W latach młodzięcych podróżował i dlatego jeszcze raz musiałem wysłuchać historii o polowaniach na żółwie w Nowej Gwinei.

Kochany pechowiec! Dotychczas pamiętam jego dobrotliwe spojrzenie, gdy wspinał się wąskimi krętymi schodami do swojej sypialni. Co kilka schodków przystawał na chwilę. Z kuchni zaciągało wilgocią, świeca, którą niósł, topiła się i stearynowe sople spadały na ciężki miedziany świecznik drgający w jego ręku. Nachyliwszy się przez poręcz, ojciec kiwnął głową.

— Nie zaśpij, chłopcze. Stary Orphy wyjeżdża po terpentynę punktualnie o szóstej i zgodził się zabrać cię z sobą. W Wesley zdążysz na pociąg siódma siedemnaście. Dobranoc.

Spałem marnie. Postanowienie zapadło. Rano wyjadę z Ashwharfu po cichutku, ażeby nikt tego nie zauważył. Do Edith będę pisywał listy...

Wydawało mi się, że za oknami zerwał się sztorm. Ale to tylko wujek Reggie powracał do domu. Sprzeczał się o coś głośno z Olivią, lecz nagle umilkł. Olivia miała własny sposób rozprawiania się z zakłócającymi spokój w jej kuchennym królestwie. Wkrótce usłyszałem delikatne kroki wujka i ostrożne skrzypnięcie drzwi do jego pokoju...

Poranek promieniał wiosennym urokiem.

Dachówki ashwharfskich domów, obmyte świeżą rosą, jaskrawo i różnobarwnie błyszcząły w słońcu. Majestatyczny ocean drzemał jeszcze w zamglonej, fioletowej dali pod wspaniałym podniebieniem różowych obłoków. Szosa łagodnie wiła się wokół wzgórza. Stary

Orphy nie śpieszył się zbyt, siedząc na wózku, gdzie głucho pobrzękiwały oplecione słomą butelki apteczne. Kościsty koń mężnie pokonywał wzniesienie na górnej szosie. Ashwharf powoli zniknął w dole. Zieleń przydrożnych krzaków pieściła mój wzrok. Myślami żegnałem się ze wszystkim, co było tutaj dla mnie drogą. Oto i zakręciło koło mostu.

Nieoczekiwanie zobaczyłem Edith. Stała na brzegu potoku i machała ręką. Orphy prze-zornie ściągnął lejce. Dziewczyna podbiegła do zatrzymanego wózka, z którego zeskoczyłem na szosę.

— O, Edith!

Poszliśmy szosą naprzód. Edith wyciągnęła do mnie rękę z bukietem fiołków:

— Szczęśliwej drogi, Sam.

Oczy Edith podobne były do ciemnych wilgotnych fiołków.

Wyszeptałem wzruszony:

— Jak to dobrze, Edith, żeś przyszła!

— Chciałam uściskać ci rękę na pożegnanie. To wszystko — powiedziała.

— Do widzenia, Edi. Nie zapomnisz o mnie, co?

— Do widzenia, Sam. Wracaj!... Będę czekała...

Koń głośno zastukał kopytami w deski mostu. Wózek skręcił za wzgórze i Edith już nie zobaczyłem.

Aptekarz melancholijnie poruszył lejcami.

— Dotychczas nie wiedziałem, że młoda Winterówna lubi ranne spacerować.

Przemilczałem to czekając, aż stary Orphy przestanie interesować się cudzymi sprawami, po czym obojętnie zauważyłem :

— Jak dzisiaj ciepło!

Ale aptekarz był upartym człowiekiem i lubił wtykać nos w nie swoje sprawy. Długo zrzędził:

— Nie mógł to starowina Pingle obmyślić coś lepszego, niż pozbawiać chłopca rodzicielskiej opieki? Hm!... Otóż ja... dalej niż do Wesly nie jeździłem i Edda nigdzie nie puszczał. Doktor Fleet ma rację: nawet w rajku apteka jest niezbędna. I dla nas wystarczy...

Nagle aptekarz z niezrozumiałą irytacją smagnął boleśnie konia i krzyknął:

— No ty, infuzorio!

Czteronoga „infuzoria” nerwowo machnęła ogonem i od razu przeszła w wyciągnięty kłus. Ashwharf pozostał za nami.

Zeszyt drugi

1

Gdybym chciał szczegółowo opowiedzieć o swoich nieszczęściach, które spadły na mnie od czasu tego pamiętnego, czarującego poranka, kiedy to opuściłem Ashwharf w poszukiwaniu stałego kawałka chleba, to trzeba by było poświęcić na to ogromnie dużo czasu, pracy i papieru. Powiem jedynie, iż niepowodzenia prześladowały mnie, znamionując beznadziejność mojego losu na tej planecie. Zdawało się, że cały świat zmówił się, ażeby sprawiać mi same przykrości. Pieniądze ojca tajały w moich rękach niczym śnieg na rozpalonej blasze. Marzenia również zamieniały się w parę. Uciekałem od jednych niepowodzeń, ażeby natknąć się na inne, jeszcze bardziej bezlitosne.

O zwyczajach panujących w biurach pośrednictwa pracy mógłbym napisać całą mono-

grafię — tak doskonale zapoznałem się z beznadziejnym oczekiwaniem propozycji i szaleńczym biegiem pod wskazany adres. A gdy wpadałem wreszcie do jakiegoś magazynu, gdzie potrzebny był windziarz lub goniec, to zastawałem tam albo tłum mnie podobnych, albo odpowiedź: „Miejsce dopiero co zajęte”.

Pewnego razu jak gdyby mi się poszczęściło. Zarządzający domem jakiegoś księcia potrzebował piętnastu chłopców na jeden dzień. Wydrukowano o tym ogłoszenie. Praca, jak dowiedziałem się później, polegała na tym, że chłopcy, ubrani w rycerskie zbroje z czternastego wieku, stali na podestach paradnych schodów w czasie wieczornego rautu i oddawali honory wojskowe zaproszonym gościom. Zebrało się nas chyba z tysiąc, ścisk był straszliwy. Początkowo wybrano trzystu ludzi. Zanurzyłem się w tłum i prześliznąłem się na książęce podwórko jako trzysta pierwszy. Zjawił się zarządzający i jeszcze jacyś ludzie i mniej więcej dwie trzecie zebranych usunięto z powrotem na ulicę. Pozostało stu kandydatów na szczęśliwców, a wśród nich ja również. Ustawiliśmy się w dwuszeręgu jak żołnierze na przeglądzie. Wszyscy starali się mieć dziarski wygląd, wypinali pierś, a ręce trzymali jak w postawie zasadniczej. Zarządzający przeszedł obok nas, wpatrując się w nasze oblicza, ale nic nie powiedział. Potem przeszedł jeszcze raz, wpatrując się w każdego człowieka, jak gdyby oceniał go, i od czasu do czasu wskazując bez pośpiechu palcem, mówił:

— Tak.

Koło mnie przeszedł obojętnie, jak by obok ulicznej urny na niedopałki. Zobaczyłem chłodną wygoloną twarz z pąsowym nosem i na zawsze ją zapamiętałem.

Piętnastu szczęśliwców pomaszerowało za zarządzającym do kantoru, a pozostałych grzecznie wyproszono z podwórka.

Straciwszy nadzieję na znalezienie pracy za pomocą ogłoszeń w gazetach, postanowiłem, że będę wstępował po kolei do wszystkich magazynów, biur, kantorów wymiany, fryzjerń, sklepów mięsnych, sklepów z jarzynami i będę proponował swoje usługi. Okazywany dyplom nie wywierał wrażenia na właścicielach, wszędzie spotykałem się z odmową. Chociaż nie, właściciel trafiki na rogu Bright Street i placu Palmerstona, chędogi staruszek w okularach i staromodnej kamizelce, zainteresował się moją osobą, gdy mu się przedstawiłem i dokazałem dyplom.

— Bardzo się cieszę, młodzieńcze — przemówił, z zaciekawieniem oglądając lwią głowę na pieczęci dijańskiego college'u. — A wie pan, że nie bardzo mi się podoba. Nie ma w nim, powiedziałbym, srogości. Co? Dijan? Bardzo dobrze...

Staruszek był głuchy, trzeba więc było krzyczeć do niego, nachylając się przy tym do ucha:

— Muszę się urządzić!...

Przerażony staruszek popatrzył na mnie.

— Urządzić się? A pana nazwisko Pingle?

— Tak. Nie mogłem dalej się kształcić...

— Zaraz, zaraz... — Staruszek zaczął w zamyśleniu masować nos. — Przecież ja o panu gdzieś czytałem... Czy pan jest tym samym...

— Proszę wybaczyć, nie rozumiem...

Oczki staruszka błyszczały zaciekawieniem.

— No, no... Pan jest tym samym Pingle'em, któremu pomagał lord Packlington...

— Najzupełniej zgodne z prawdą! — zawołałem oczekując, że staruszek natychmiast postawi mnie za kontuarem, by wspólnie ze mną handlować „Zachodnim sfinksem” i papierosami.

Ale stary sklepikarz nieoczekiwanie zatupał nogami.

— Proszę zostawić mnie w spokoju! Jestem, pan rozumie, konserwatystą, i nie mogę pozwolić, ażeby różni tego rodzaju... Ach, ach, młodzieńcze, trzeba się wstydzić!...

Przez trzy dni błąkałem się po dokach zgłodniały. Tak się jakoś zdarzyło, iż napotkany

przeze mnie koło przystani szyper „Flądry”, przyjaciel wujka od kieliszka z „Królewskiego Tygrysa”, poznał mnie. Kiedy usłyszał o dyplomie, z ust jego wyrwał się tylko przeciągły marynarski gwizd.

— Towar niejadalny... Rozejrzyj się, dziecino, po świecie. Niech owioną cię sztormy, a fale morskie niech nasycą cię solą jak należy. Mówi ci to ten, który włóczył się po morzach przez dwadzieścia trzy lata. Wujka to ty, Pingle, masz zucha i ze względu na niego gotów jestem ci pomóc. Słuchaj, zamustruj się na okręt i płyn, gdzie oczy poniosą, nie odrzekaj się żadnej pracy. Nitka do nitki, a będzie z tego lina, rozumiałeś? Jako żeś mój rodak, więc urządzę cię na rudowęglowcu bezpłatnie. Odpowiada?

— Zrobione — odpowiedziałem podobnie, jak robili to marynarze w Ashwharfie.

Tak rozpoczęło się moje podróżowanie.

Pękaty ciemny rudowęglowiec, przesycony ropą naftową i tłustym śmierdzącym pyłem węglowym od wierzchołków masztów aż po sam kil, miał dziwną, jak dla oceanicznego statku, nazwę — „Zielony Kot”. Ponieważ koty nie pływają nawet w sadzawkach, to rzecz prosta, iż rudowęglowiec miał zwyczaj urządzić chwiejbę także podczas absolutnego sztilu. Prawie całą załogę rudowęglowca stanowili Chińczycy. Praca na tym obrzydliwym statku była szczególnie brudna. Nie jest wykluczone, że szyper chciał wypróbować mnie i dlatego polecił moją osobę kapitanowi „Zielonego Kota”. Kapitan John Greaves nie zaliczał się do gadatliwych. Powiedział:

— Biorę. Praca przy kotłach. Być posłusznym. Za wykroczenia będę karał.

I oto z półtuzinem Chińczyków zaliczony zostałem do zespołu pomocnika palacza. Byłem zadowolony. Wydawało mi się, że postępuję na przekór wszystkim.

Ten rejs na Zachód w łonie brudnego potwora wypruwał ze mnie wnętrzości. Początkowo współtowarzysze pracy odnosili się do mnie z ironiczną podejrzliwością. Ale z chwilą gdy czarny pył jednakowo pokrył grubą warstwą nasze twarze, stosunki poprawiły się. Podczas pracy nauczyłem się kilku chińskich zwrotów i podobało mi się to, że mogłem porozumieć się z białozębym Cza i siłaczem niskiego wzrostu Ta Szi. Przecież rozmawiałem z ludźmi językiem, którego nie uczono mnie w college'u.

Zszedłem na brzeg Nowego świata, straciwszy na wadze dziewięć kilogramów, umorusany jak diabeł, ale z pieniędzmi w kieszeni. Można było rozpoczynać karierę na lądzie stałym. Myśl o nowym oceanicznym rejsie przyprawiała mnie o dreszcze.

Drapacze chmur przypominały mi ashwharfskie skały, a ulice podobne były do wąwozów. Imąłem się pracy tragarza, rozlepiałem afisze teatralne, sprzedawałem gazety i sznurówadła do trzewików. Moim codziennym pożywieniem zaczynał być nieduży talerz owsianki i kawałek chleba. I wreszcie poszczęściło mi się.

2

Do Belle Harbor trafiłem przypadkowo. Szyny kolejowe, biegnące tam z miasta, ułożone są na betonowych podkładach na jednym poziomie z wodą, dlatego wydawało mi się, że pociąg pędzi po falach w poprzek zatoki Belle Bay. Belle Harbor to podmiejskie lotnisko na brzegu oceanu. Prawie jednakowe domki, pomalowane w wesołe jaskrawe barwy, wyciągnęły się w równe linie. Wszystkie mają werandy i pasiaste firanki. Koło domków ogródki, a wokół nich sztachety. Brak drzew rekompensują wspaniałe, olśniewająco zielone, jak by lakierowane trawniki i kwitnące krzewy. Wzdłuż brzegu biegnie asfaltowa droga, a całą przestrzeń między nią i oceanem zajmuje szeroka piaszczysta plaża. Belle Harbor zalicza się do słynnych kąpielisk morskich.

Uwagę moją zwróciła wysoka wieża, z której skakano do wody.

Dżentelmen, smętnie wylegujący się na piasku i palący fajkę, powiedział półgębkiem:

— Ach! pan pyta o tę wieżę babilońską? Zbudowano ją dla Blake Snake'a... Co? Pan nie wie, kto to Blake Snake? — Dżentelmen ożywił się i ułożył brzuchem na gorącym piasku. — Hm, domyślam się, pan nietutejszy królik! A więc tak, do pana wiadomości, nasz Blake Snake to największy czempion świata w skokach figurowych do wody. Pojutrze rozpoczynają się tutaj zawody z jego udziałem. Zbierze się tu ze sto tysięcy widzów, ażeby patrzeć z upodobaniem na tego zuchwałego chłopca.

— Ciekawe — wyrzekłem przykucając.

— No, albo pan płaci dziesięć centów, albo wynocha stąd — nieoczekiwanie zaproponował mi dżentelmen.

— Za co mam płacić? — zdumiałem się.

— Ja już zająłem swoją osobą przestrzeń o powierzchni trzydziestu kwadratowych cali, widzi pan? — powiedział dżentelmen i obróciwszy się na wznak, rozrzucił ręce i nogi tak, że w samej rzeczy zajął pewną część plaży. — Od wieczora zaczął się tutaj zbierać widzowie, ażeby lepiej widzieć Snake'a. A stąd to chyba każdy, choćby z jednym okiem, doskonale dojrzy całą grę mięśni naszego ulubieńca. Dlatego za jeden cal mojej przestrzeni żądam na razie dziesięć centów. Pod wieczór cena wzrośnie. Jeżeli pan zajmie miejsce z tamtej strony i posiedzi tak do zachodu słońca, to może pan zarobić pięćdziesiąt procent.

Ten chytrooki jegomość jawnie kpił ze mnie. Milczałem obmyślając zemstę. Istotnie, wieża była niezwykle wysoka. Nie budowano takich u nas w Dijanie, gdzie uchodziłem za jednego z lepszych pływaków.

— A mimo wszystko wydaje mi się — odezwałem się spoglądając z uśmiechem na dżentelmena — że wasz Snake nie potrafi zrobić w tym samym czasie trzech spirali i pętli.

— Od stworzenia świata zrobione to zostało tylko jeden raz — powiedział dżentelmen — i to przez diabła, kiedy na łeb na szyję leciał z nieba do piekła. Niech pan, króliku, nie mówi tego, co przekracza pana możliwości umysłowe...

— A pan niech lepiej zapłaci mi natychmiast dziesięć centów. Pokażę panu ten hokus-pokus. Będzie pan mógł uprzedzić publiczność, ażeby nie potrzebowała fatygować się tutaj pojutrze.

Ja również kpiłem z rozmówcy.

— Płacę dolara, jeśli to prawda — wyrzekł posępnie. — Ty, gałganie, wyśmiewasz się ze mnie, ale ja ci tu zaraz wrzepię tak, że raz na zawsze stracisz, króliku, chętkę do drwinek.

Zerwał się z miejsca, a wygląd miał wprost ohydny.

— Skacz, króliku — zasyczał, a z trudności, z jaką sprawiało mu zachowanie pionowej pozycji, wywnioskowałem, że dżentelmen już od rana gruntownie zapoznał się z whisky. Uchwycił mnie za kołnierz: — Chcę popatrzeć, jak będziesz wykonywał trzy spirale. Sam Snake robi tylko dwie, niech to diabli!

Dziwny miłośnik sportu doprowadził mnie za kołnierz do podstawy wieży. Wyrwałem się i zacisnąłem pięści.

— Idź i przetrzyj oczy, mokry worku, i szukaj pieniądze. Królik pobije twojego czarnego węża*.

Ale facet znowu mnie schwycił.

— Włóż! Skacz albo cię zjem!

Popchnął mnie. Ażeby nie upaść, musiałem chwycić się poprzecznej belki. Prowadziły stąd na górę wąskie drabiny. Owładnęło mną zwykłe uczucie gimnastyka. Przecież w Dijanie słynny byłem z tego, że podczas skoków wykonywałem najprzeróżniejsze karkołomne kombinacje. Teraz także obmyślałem skok figurowy, by wygrać dolara. Wszak w kieszeni nie miałem ani jednego centa.

* Gra słów. Blake Snake — dosłownie: czarny wąż. (Przypis autora)

Wieża, choć zbudowana solidnie, była lekkiej konstrukcji i w górze kończyła się niedużą, otwartą ze wszystkich stron platformą. Z platformy — w stronę oceanu — wystawała długa, elastyczna jak stalowa sprężyna deska. Rozebrałem się i wyprostowując spojrzałem dokoła. Przede mną była pustka — bezchmurne niebo i niezmierna przestrzeń wodna.

Pomyślałem sobie: być może tam, po drugiej stronie oceanu, na ashwharfskim brzegu stoi teraz Edith i patrzy w tę stronę...

Dwa kutry bruździły wodę na dole. Zapewne dostrzeżono mnie, gdyż w kierunku wieży ze wszystkich stron płynęli kąpiący się. Na brzegu szybko zbierali się widzowie.

Chłodny wiatr owionął mnie przyjemnie. Wszedłem na deskę. Ta ledwie skrzypnęła pode mną i zaczęła się łagodnie ugiąć. Nigdy nie cierpiałem na lęk przestrzeni i mogłem chodzić tuż nad krawędzią stromych urwisk, nie doznając zawrotów głowy. Taka to już siła przyzwyczajenia. Nie dochodząc do końca deski spojrzałem w dół. Z góry tak było wszystko wyraźnie widać, że rozróżniałem błysk rybiej łuski w błękitnawej, przenikniętej słońcem wodzie.

Nagle dojrzałem, iż jeden z pływaków, zamachawszy dziwnie rękami, zniknął pod powierzchnią wody. Widziałem, że niczym kamień leciał na dno. Człowiek ten tonął. Trzeba go ratować. Odbiłem się z całej siły, a deska natychmiast podrzuciła mnie w górę. Opisując długą pętlę, robiłem jednocześnie spirale wokół swojej osi i tuż nad wodą wyprostowałem jakoś ręce, czując instynktownie, że zaraz wbiję się klinem w fale oceanu.

Otworzywszy w wodzie oczy zobaczyłem sylwetkę pogrążającego się człowieka. Podchwyciłem go i wypłynąłem z nim na powierzchnię.

Potem ktoś boleśnie chwycił mnie za włosy... Ocuciłem się na brzegu, otoczony tłumem. Pociągnąwszy łyk whisky z podanego mi płaskiego flakonu, przyszedłem ostatecznie do siebie.

Żwawy jegomość w tygryśkich kąpielówkach pytał mnie:

— Nazwisko pana? Zdumiewający skok! Wyratowanego przez pana odwieziono już kutrem do miasta. Jest pan zawodowcem czy dylem * ?

Ale w tym parnym czasie przez tłum przeciskał się niski grubas, który prawie że krzyczał:

— Gdzież on jest? Pokażcie mi go.

Wszyscy rozstąpili się z szacunkiem przed grubasem. Ten zatrzymał się przede mną, rozstawił ręce, po czym lekko uderzył mnie pulchną dłońią po ramieniu.

— Na pana będą stawiali sto do jednego. Okey...

Jegomość w tygryśkich kąpielówkach kręcił się koło mnie:

— Małeńki wywiad. Dla sportowego dziennika. Gdzie pan się uczył skoków?

Ale grubas majestatycznie, ruchem małego palca lewej ręki, zmusił reportera do ułotnienia się.

— Dżentelmeni, nie przeszkadzajcie młodemu czempionowi w ubieraniu się. Ej! gdzież jego garnitur?

Okazało się, że dwóch smagłych chłopczków zdążyło już wspiąć się na wieżę i przynieść stamtąd moje ubranie. Zacząłem się ubierać. Chłopczkowie grzebali w piasku, szukając rzuconej im monety.

Grubas popatrzył na mnie.

— Pan należy do mnie!

Szukałem swojej podartej czapki.

— Pan wybacz, ale niezupełnie rozumiem...

— A po co rozumieć? Należy pan do mnie... Chodźmy!

Miał dziwny sposób rozmawiania. Podporządkowując się nieświadomie grubasowi,

* Dyl — skrót wyrazu dyletant.

poszedłem za nim wzdłuż plaży, odprowadzany przez tłum. W Nowym świecie dorośli są bardziej ciekawi aniżeli dzieci u nas w Ashwharfie. Grubas, nie zwracając uwagi na otoczenie, powtórzył łagodnie, ale zdecydowanie:

— Ja pana nikomu nie odstąpię. Czekam pana błyskotliwa kariera. Będzie się pan kąpał w złocie. Zrobić cztery spirale!... I jakie!... Osłupieć można!

Na drodze koło plaży stał wspinały samochód. Kierowca otworzył z szacunkiem drzwiczki.

— Proszę — uprzejmie powiedział grubas puszczając mnie przodem.

Zajmując miejsce w aucie, niczym nie ryzykowałem. Wszystko jedno i tak nie miałem gdzie się podziąć. Gdy odjechaliśmy nieco od plaży i pożegnalne okrzyki odprowadzających zamarły w oddali, przypomniałem sobie, iż nie otrzymałem wygranego dolara od chytrookiego jegomościa. Zrobiło mi się przykro jak nigdy dotychczas.

— No, tego dolara to ja nie daruję — mruknąłem zajęty własnymi myślami.

Grubas roześmiał się:

— Wreszcie z ust pana padło właściwe słowo. Nie należy darowywać długów nawet w kwocie jednego dolara. Z chwilą gdy podpisze pan kontrakt, będzie ich pan miał tysiące...

Odwrociłem się do niego:

— Przesyć mi pan złotymi obietnicami. Pan kto? Belzebub?

Rozmówca mój jeszcze się głośniejszym roześmiał.

— Nie. Jestem kłownem. Wszyscy mnie znają. Nazywam się Clips.

3

Znany wynalazca cyrkowych karkołomnych numerów i najbardziej utalentowany w tej dziedzinie artysta Clips zaproponował mi współpracę w cyrku „Koloseum”. W barze „Wesoła Mysz”, dokąd przyjechaliśmy, Clips poczęstował mnie skromnym śniadaniem i teraz zajmował się przygotowaniem jakiegoś bardzo złożonego cocktailu. Służba ustawiła przed nim kilka butelek, a on zręcznie nalewał z każdej po kieliszku od likieru do większego kieliszka, mieszał długą srebrną łyżką i pił tę piekielną mieszaninę, zagryzając jakimiś chrupiącymi placuszkami.

Przezornie wstrzymywałem się od tego deseru i uważnie słuchałem, co mówił Clips. Nie pojmowałem, dlaczego ten blagier i oczywisty alkoholik zwrócił na mnie swoją życzliwą uwagę. Gdy napomknąłem o college'u i dyplomie, machnął na to ręką.

— Świat zmoczył się podziwianiem tych słów. Ja pana nawet o nazwisko nie pytam. Pana psychologia nie jest mi potrzebna. Widzę jedno: pańskie mięśnie aż proszą się na arenę.

Po drugim kieliszku przeszedł bardzo umiętnie na ton koleżeński.

— Będzie z ciebie niezrównany artysta — nieprzyzwoicie schlebiał mi kłown. — Trzeba wykierować cię na ludzi, chłopcze. I nie będę Clipsem, jeżeli po miesiącu nie będziemy obaj zgarniali złota łopata...

Po tym wstępie Clips wyłożył mi swój pomysł.

Dawno już wykombinował śmiertelny numer programu pod intrygującą nazwą: „Człowiek lżejszy niż powietrze”, ale w żaden sposób nie mógł znaleźć wykonawcy głównej roli.

— Czyżby nawet Blake Snake odmówił panu pomocy? — zapytałem Clipsa.

Ten o mało nie udławił się łykiem rozgrzewającej mieszaniny.

— Kto?

— Znakomity skoczek figurowy... Dla niego zbudowano przecież wieżę, z której skoczyłem.

— Coś ci się pokręciło, mój przyjacielu — odpowiedział Clips. — Wśród nas nie ma

sportowca o takim węzowym nazwisku. Wieża zaś należy do Towarzystwa Sportowego w Belle Harbor. Ale nie przerywaj mi głupstwami o nie istniejącym mister Snake'u.

— Przepraszam — bąknąłem doznając przy tym skrycie gorącego pragnienia, ażeby ponownie spotkać chytrookiego dżentelmena i otwarcie się z nim rozmówić. Mało tego, że nie oddał mi przegranej, ale jeszcze sprytnie ze mnie zakpił.

O ile zdołałem zrozumieć Clipsa, to numer polegał na figurowym skoku poprzez arenę cyrku „Koloseum”. Ale wszystkie szczegóły pomysłu stały się dla mnie jasne dopiero następnego dnia, gdy u dyrektora cyrku zobaczyłem na własne oczy dziwny aparat gimnastyczny. Wywarł on silne wrażenie na moją wyobraźnię i dlatego zgodziłem się na wykonanie roli „Człowieka lżejszego niż powietrze”.

Zresztą nie tylko uwielbienie dla technicznej doskonałości aparatury Clipsa zniewoliło mnie do wyrażenia zgody, lecz w głównej mierze rzucone przez kłowna zdanie, kiedy to już bardziej konkretnie rozmawialiśmy w barze na ulicy Siedemnastej:

— Każdy chce jeść chleb z masłem, a nie suchy.

Przy ogólnym współczuciu trupy i pod kierownictwem Clipsa przeprowadzałem w ciągu trzech tygodni próby zadziwiającego pomysłu kłowna-wynalazcy. Odżywiano mnie doskonale. Pomimo wzmoczonego treningu odpocząłem nawet w tym czasie i nieco przytyłem. Prawie nie myślałem o oczekującym mnie debiucie, postanowiwszy płynąć z prądem.

Nadszedł wreszcie dzień premiery. Ubrano mnie za kulisami w złocisty strój haftowany błyszczącym galonem i pod dźwięki „Marsza gladiatorów” wyprowadzono na arenę. Clips cudownie prowadził konferansjerkę, sypiąc takimi wesołymi kawałami, że galeria pokładała się ze śmiechu. Ukłoniłem się szarmancko, Clips zaś ułożył mnie w ozdobnej kołysce, szepnąwszy:

— Więcej dziarskości, Sam. Nie zwracaj uwagi na te wszystkie wpatrzone gęby. Wyobraź sobie, że to normalny trening.

Orkiestra zagrała melancholijnego walca „Zaśnij, kotka, jeśli chcesz”.

Leżąc w kołysce starałem się uzbroić w zimną krew. Ale posępne myśli jak by naumyślnie pchały mi się do głowy. Dla- czegoś przypomniałem sobie, iż trzeba napisać do Edith, jeżeli... jeżeli dzisiaj wszystko zakończy się pomyślnie. Ach, jeżeli nie zginę!... Po co związałem się z tym Clipsem? Opanowała mnie nagle chęć, ażeby wyskoczyć z kołyski i uciec z areny. Lecz było już poniewczasie.

A Clips tymczasem chodził wokół kołyski i podrygując śmiesznie nogami, jak gdyby je miał bez przegubów, wtórował po cichu orkiestrze na banjo i mruczał przez nos:

*Zaśnij, kotku, jeśli chcesz,
I do mamy uśmiechnij się grzecznie,
A jutro rano, skoro świt,
Obudź się koniecznie...*

Orkiestra umilkła kończąc melodię minorowym, smętnym akordem. Skrzypkowie i alciści opuścili smyczki i zdjęli surdyny ze strun, trębacze mogli nieco odetchnąć. Perkusista zaś zaczął wybijać taki szalony werbel, że „Koloseum” zamarło, Clips zmrużył oczy i patrząc na mnie uniósł wysoko lewą narysowaną brew, co miało oznaczać: „Rozwaga i uwaga”.

I jeżeli wyobrazić sobie, że kołyska, w której leżałem, była w rzeczywistości łyżką potężnej katapulty, to czytelnik łatwo zrozumie wszystko pozostałe.

Odetchnąłem głęboko i spojrzałem na Clipsa, jak gdyby mówiąc: „Jestem gotów”.

Clips odrzucił banjo i efektownie dał sygnał maszynistom za kulisami, ogłuszająco wystrzeliwszy w górę z pistoletu. Orkiestra zagrzała z taką siłą, iż wydało się, że runęły ściany. Sprężyna katapulty wyprostowała się, a ja na złamanie karku poleciałem aż pod kopułę cyrku. Zapewne lady o słabych nerwach przeraźliwie zapiszczały, ale ja nic nie słyszałem.

Stromym torem opadałem już w dół.

Siła sprężyny katapulty, dostosowana do ciężaru mojego ciała w ubraniu, z matematyczną dokładnością wyrzucała mnie na określone miejsce areny. W tym zaś miejscu stał nieduży zbiornik, wykonany z przezroczystej masy plastycznej i napełniony roztworem soli o określonym nasyceniu. Lecąc głową w dół, bezwarunkowo powinienem był trafić do tego zbiornika. Dotknąwszy powierzchni roztworu należało zrobić natychmiastowy obrót tak, ażeby znaleźć się w pozycji siedzącej w zbiorniku. Sztuka polegała na tym, że całą siłę uderzenia pochłaniał mój aktywny obrót w cieczy. Podczas treningów wszystko to wychodziło mi doskonale.

I teraz w oczach widzów wykonałem ten karkołomny numer. Słona woda nieprzyjemnie szczypała mnie w wargi. Clips podał mi rękę, wyskoczyłem na piasek.

Wielkie reflektory oświetlały mnie wszystkimi barwami tęczy. Entuzjastyczny ryk widzów zagłuszał triumfalne dźwięki orkiestry.

— Kłaniaj ze się, czorcie! — zasyczał Clips ściskając boleśnie moją rękę.

Ale ja chciałem zapaść się pod ziemię.

W szatni narzucono na mnie włochate prześcieradło, a masażysta przystąpił do nacierania mego ciała zmęczonego nerwowym napięciem.

— Wszyscy są zachwyceni! — wpadł do szatni sam dyrektor. — Jaką szokującą prasę będziemy mieli jutro! Okey! A co dzieje się na sali! Trzydzieści sześć hysterii! Siedmiuset ludzi ochrypło wywołując pana! Proponuję kontrakt! Tysiąc za skok! Tournee dookoła świata...

— Niech pan pozwoli chłopcu przejść do siebie — powiedział błagalnie Clips patrząc na mnie z zachwytem.

„Ludzie ci zniszczą mnie — pomyślałem w tej chwili, a lodowaty dreszcz przebiegł po całym ciele. — Prędzej czy później skręcę sobie kark. Co prawda za każdym razem sprawdzają sprężynę i najpierw podrzucają worek z balastem, ale... ale jeżeli... wówczas nie zobaczę Edith, nie wrócę do Ashwharfu...”

Bezwiedny strach, który nie tak dawno ogarnął mnie na arenie, całkowicie zawładnął moją duszą. Odczepić się od tej zgrai geszefciarzy nie było tak łatwo, ale na szczęście przypomniałem sobie dżentelmena z fajką i sposób prowadzenia przez niego rozmowy.

— Nieco cierpliwości — powiedziałem. — Zarobicie, panowie, na mnie sto za sto. Proszę płacić za dzisiejszy skok. Nie, nie czekiem, lecz gotówką.

Dyrektor rzucił pieniądze na stolik.

Nawet nie popatrzyłem na nie.

— A teraz pozwólcie mi odprężyć się nerwowo — poprosiłem zmęczonym głosem.

Do drzwi dobijali się reporterzy, fotografowie. Clips i dyrektor machali rękoma:

— Czempion, dżentelmeni, przyjąć panów nie może.

Pokój opustoszał. Szybko się ubrałem, przekręciwszy uprzednio klucz we drzwiach, wsunąłem pieniądze do kieszeni i wyjrzałem przez okno. W pobliżu okna przebiegała rynna. Można było dosięgnąć jej ręką.

Szminką do charakteryzacji napisałem dużymi literami na odwrocie afisza:

„Kochany Clipsie! Nie chcę więcej ryzykować życiem”.

Afisz ten przymocowałem do lusterka na stoliku i ostrożnie otworzyłem okno. Podwórko na dole, na moje szczęście, było puste.

Odczuwając radosne uczucie wyzwolenia przestąpiłem parapet i uczepiłem się rynny.

Zeszyt trzeci

1

Na brzeg zszedłem w Kalkucie. Nade mną świeciło indyjskie słońce, wściekle i pałace. Po tułaczce w charakterze trzeciorzędnego aktora estradowego los rzucił mnie właśnie tutaj.

Ostatnim etapem mojej wędrówki była Afryka, gdzie razem z pewnym wesołym przedsiębiorcą obijałem się po budach jarmarcznych w okolicy Capetownu. Udawałem tam — w sposób bardzo naturalny — lunatyka i pozwalałem swemu partnerowi przebijać moje policzki cienkimi drutami do robót dziewiarskich, co też wykonywał bardzo sprawnie. Podczas seansu partner mój zapewniał publiczność:

— Ladies and gentleman! Macie przed sobą znanego na całym świecie Pema Single'a, znajdujące się w kompletnej katalepsji.

Zamknawszy oczy nie myślałem nawet o spaniu. Wstyd mi było zajmować się głupstwami i dlatego miałem szczerzy zamiar wziąć się do innej, godniejszej pracy. Wpadłem w jakieś diabelskie koło, które toczyło mnie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w przepaść. Lecz w porę otrzymałem roztropną radę.

W zwierzynicy jarmarcznym pracował wysoki, szczupły pogromca, którego na afiszach zwano „Władcą Hien”. Wygląd miał okrutny, wykonywał wiele sztuczek, od których mróz przebiegał widzom po plecach. Umiał połykać szpady, zapalać naftę w ustach, wypuszczając na dwie stopy w górę fontannę ognia, i brać się za bary z czarnym himalajskim niedźwiedziem. Ale za kulisami był to wyjątkowo cichy i skromny człowiek. On to właśnie podsunął mi myśl, ażeby pojechać do Indii.

— Tam się pan lepiej urządzi. Ja już przyzwyczałem się do tych Burów i afrykańskich Metysów, tutaj też umrę. A przed panem życie, ma pan przecież dyplom! Tylko tam wywrze on wrażenie, a nie tutaj, na skraju świata.

Władca Hien poznał mnie z agentem firmy, która dostarczała do zwierzynców mały z wyspy Madagaskar. Z Południowej Afryki udaliśmy się na północ. W kajucie parowca agent spał jak zabity i chrapał tak, że aż zajrzał do nas pomocnik kapitana:

— Panowie, zdaje się, wiozą z sobą oswojonego hipopotama?

Na wyspie Mauritius rozstałem się z towarzyszem podróży. Czekala go przesiadka i jeszcze dwa dni podróży do Tamarawe, portu na wschodnim wybrzeżu Madagaskaru.

Samotnie przecinałem Ocean Indyjski, porównując w myślach dwóch ludzi — Clipsa i Władcę Hien.

Pierwszy często powtarzał filozoficzną myśl:

— Im bardziej ryzykujesz życiem, tym więcej ci płacą.

A Władca Hien, uściskawszy mi po przyjacielsku rękę, powiedział na pożegnanie:

— Szczęśliwej podróży, Sam. Życzę panu spotkać się w życiu z takim ryzykiem, które nie kazałoby myśleć o zapłacie.

Tak, różni ludzie bywają na świecie...

Na placu koło kalkuckiej przystani ogłuszył mnie szum i zgiełk wielkiego miasta. Łoskot tramwajów, syreny samochodów, krzyki tragarzy i sprzedawców, przenikliwe dźwięki fakirskich fletów i zawrodożenie żebraków zupełnie mnie oszołomiły. W czasie podróży oceanem przyzwyczałem się do ciszy.

Stałem posepny i zakłopotany, studiując reklamy hoteli i rozmyślając, dokąd się udać. Trzeba było oszczędzać szczupłych środków, które zostały mi po zakończeniu podróży okrętami. Cały mój skromny bagaż składał się z podróżnego worka i nie przedstawiał szczególnej

wartości.

Kilku komisjonerów kręciło się koło mnie, proponując usługi. Byli straszliwie natrętni i szczerze się ucieszyłem, gdy jakiś niedbale ubrany człowiek powiedział do nich:

— Ano, odczepcie się od sahiba!

Ku memu zdumieniu ludzie ci usłuchali i pokornie odeszli.

— Wydaje się, że podróż zmęczyła pana? — spytał nieznajomy.

Nie miałem wielkiej ochoty na rozmowę z pierwszym lepszym. Ale nieznajomy widocznie sam nie lubił naprzykrzać się, gdyż zauważył tylko:

— Jeżeli w tym piekle nie ma pan ani rodziny, ani znajomych, to niech się pan uda — Delhi Road sto jeden, kantor „Halley i Syn”. Trudnią się oni różnymi komisowymi sprawami. Młody Halley na początek gdzieś pana urządzi. Tylko niech się pan z nim targuje jak na bazarze. Lubi on zedrzeć nieco skórę z nowicjusza.

Podziękowałem i poszedłem na Delhi Road. Upał zmęczył mnie i dlatego ucieszyłem się, gdy znalazłem się w stosunkowo chłodnym gabinecie właściciela komisowego kantoru. Pod sufitem łagodnie szumiął wentylator. Opuszczone nieco stopy łagodziły jaskrawe światło wpadające z ulicy i dlatego nie od razu dostrzegłem młodego jeszcze, tęgiego blondyna w złotych okularach, który z ważną miną siedział w olbrzymim skórzanym fotelu przy dużym biurku. Blondyn wyciągnął do mnie rękę nad biurkiem.

— Proszę wybaczyć, mister Pingle, że nie wstaję na powitanie pana. Przeklęty upał roztopia mózg. Do tego jeszcze przyplątał się napad podagry. Proszę siadać... Dawno pan w Indiach?

— Dopiero co przyjechałem.

— Skąd?

— Z Capetownu. Przedsiębiorstwo, w którym pracowałem...

— Pękło? Rozumiem. A więc chęć znalezienia miejsca pod indyjskim błogosławionym słońcem przyprowadziła pana tutaj?

— Ma pan rację, mister Halley.

Blondyn marzycielsko wznosił oczy do góry.

— Tak, pogoń za kawałkiem chleba rzuca ludźmi po świecie jak samum ziarenkami piasku na Saharze. Zwabiły pana poematy o naszej perle Wschodu? Tak, tutaj ludzie robią majątki. Trzeba być energicznym, krzepkim... — Halley krytycznie obejrzał moją toaletę i ciągnął dalej, podniecając się własnym krasomówstwem: — Założyciel naszej firmy, Jonathan Halley Senior, przyjechał do Kalkuty przed stu sześciu laty, mając w kieszeni trzy szylingi i zaświadczenie parafialnego kapłana o niezłomności wiary. To ostatnie okazało się najważniejsze i Jonathan...

Nie byłem specjalnie skłonny wysłuchiwać historii o niezłomnym przodku i dlatego szybko wyjąłem z kieszeni portfel i dijański dyplom.

— Oto, mister Halley, trochę pieniędzy i zaświadczenie...

Halley grzecznie odsunął od siebie portfel i wziął do ręki dyplom. Po przeczytaniu kilku wierszy rozpląnął się w uprzejmym uśmiechu.

— Dijan? O, poznaję słynnego Iwa o złotej grzywie! Pan ukończył kurs średni? Nadzwyczajne! Kiedyś dwaj moi kuzyni również tam się uczyli. Przepiękne wykształcenie. Historia. Prawoznawstwo... ślicznie!... Ha, nawet botanika i chemia!... No, to nie jest tak ważne. A więc czego by pan sobie życzył?

— Urządzić się jakoś.

Powiedziałem, że pragnąłbym uczyć się dalej, ale trzeba zarabiać na życie. Powiedziałem, że chciałbym przysłużyć się swoimi wiadomościami pozytywnej sprawie. O arenie przypomniałem sobie w tej chwili ze wstrętem.

— Urządzić się? — jeszcze raz zapytał Halley. — Ach, jakież to proste! To mi się podoba. Ale pan stawia mi niewykonalne zadanie. Wolnych miejsc nie ma. A właściwie to

nawet są, jest ich dużo, ale... ale są dla pana nieodpowiednie...

— Niezupełnie rozumiem, mister Halley.

— Widzę, że pan zupełnie nie rozumie. Istnieją tutaj bardzo skomplikowane stosunki społeczne. Stanowisk, które mogą zajmować tuziemcy lub mieszańcy, nie powinien zajmować Europejczyk, a tym bardziej nasz rodak. Gdzie pan się urodził?

— W Ashwharfie.

— Boże, w Ashwharfie... Tym bardziej. Każdy z nas w oczach otaczającej społeczności powinien reprezentować prawdziwego dżentelmena, być stateczny, zawsze gładko wygolony, nieskazitelnie ubrany, wobec miejscowej ludności powinien zachowywać się oschle, stanowczo, bez familiarności. Nie wątpię, że przyswoił pan to sobie jeszcze w college'u? Wówczas może pan liczyć na powodzenie.

Wydało mi się, że Halley zaczyna czarować, i dlatego właśnie przemówiłem oschle i twardo:

— Mister Halley, chciałbym przejść wreszcie do interesu.

Halley kiwnął głową.

— Kantor nasz rozporządza nieograniczonymi możliwościami. — Wziął z biurka po dłużną księgę z napisem „Rejestr” i zaczął ją przerzucać: — Ogrodnik, portier... Widzi pan? Portier... Nie mogę przecież zrobić z pana portiera... Ha, major Savage poszukuje kucharza!... Zrozumiałe, że skieruję do niego Chińczyka — doskonali kucharze... Ach! otóż... ale... — Powoli położył księgę na biurku i uprzejmie powiedział: — Dwadzieścia pięć...

Spojrzałem na Halleya ze zdumieniem.

— Co?

Czarujący uśmiech rozjaśnił jego pulchną twarz.

— Dwadzieścia pięć procent pańskiego przyszłego uposażenia wpływać będzie do kasy naszego kantoru co tydzień w ciągu roku. Za zlecenie, pertraktacje, referencje...

Przypomniałem sobie mądrą radę o targowaniu się i wycedziłem, okraszając suchość tonu słabym uśmiechem:

— Dziesięć w ciągu trzech miesięcy.

Halley zaprotestował i zaczęliśmy się targować. Nie ustępowałem, mając nadzieję, że nie dogadamy się i natychmiast się rozstaniemy. Przecież jego kantor nie jest tutaj jedyny. Ale Halley przytaczał dziesiątki argumentów, poczęstował mnie wodą z lodem, robił arytmetyczne obliczenia i wszystko takim uprzejmym tonem, że machnąłem ręką:

— Dziesięć i cztery.

Halley się roześmiał.

— Z pana, mister Pingle, urodzony kupiec. Bardzo to przyjemne prowadzić rzeczowe pertraktacje z takim dżentelmenem. Pozwoli pan złożyć sobie życzenia... Jest pan już zaangażowany...

— Ale ja nigdy nie byłem kucharzem! — wykrzyknąłem.

— Boże, za kogo mnie pan ma? — klasnął w pulchne dłonie Halley. — Przecież nie do majora Savage'a został pan zaangażowany. Mówiąc między nami, to stary zrzęda, nawet Chińczycy nie mogą się do niego przyzwyczaić. Nie, pan uda się niezwłocznie do mister Pollocka, właściciela fabryki tytoniu. Potrzebny mu jest dzielny młody człowiek, którego z pełnym zaufaniem mógłby posyłać na swoje plantacje. Będzie pan oczarowany posadą.

Halley pieszczotliwym ruchem nacisnął guzik. Gdzieś zadźwięczał sygnał i młody Hindus w białej kurtce wyrósł koło drzwi.

— Ali, zaprowadź sahiba Pingle'a do sahiba Briglita — rozkazał służącemu, ściągawszy lekko brwi. Potem uprzejmie zwrócił się do mnie: — Starszy klerk natychmiast przystąpi do formalnego spisania naszej umowy, zarządzenia wydam telefonicznie. Do widzenia, mister Pingle. Mam nadzieję, że w bardzo krótkim czasie pan znowu mnie odwiedzi i zawiadomi, jak się panu spodobało u mister Pollocka...

O, nie miałem wówczas doświadczenia i nie znałem się zupełnie na ludziach. Mister Halleya posądzałem jedynie o nadmiernie ugrzeczniony stosunek do mnie. Umowę sporządził mister Bright, chudawy i uprzejmy klerk. Musiałem przy tym wpłacić tygodniową zaliczkę. Do fabryki tytoniowej Pollocka udałem się z listem polecającym kantoru „Halley i Syn”.

Ulice, którymi szedłem, były brudne i obrzydliwe — wąskie szczeliny między szeregami jednopiętrowych domów. Przeskakiwałem kałuże pomyj. O chodnikach nie było mowy. Jakieś szmaty zwisały z balkonów. Nagie brązowe dzieciaki bawiły się w kurzu w nieskomplikowaną grę, która polegała na przerzucaniu skorup. Dzieci są wszędzie i zawsze jednako-
we. Kobiety w różnobarwnych opaskach na czarnych prostych włosach wykrzykiwały coś do dzieciarni gardłowymi głosami. Półnaczy mężczyźni przykucnęli w milczeniu pod ścianami i nie dostrzegali mnie.

Kilka murowanych budynków, ogrodzonych parkanem, tworzyło fabrykę. Przeszedłem obok otwartych szop, gdzie hinduscy chłopcy i dziewczęta przebierali wiązki tytoniu. Wskazano mi dom w głębi podwórza. Tam przed tarasem dwóch służących trzymało za uźdę wspa-
niałego ogiera jasnokasztanowatej maści. Zbliżyłem się do tarasu w chwili, gdy ukazał się na nim wysoki szczupły mężczyzna ubrany w elegancki strój do konnej jazdy. Zapinał guziki na irchowej rękawiczce, trzymając pod pachą stek ze srebrną rękojeścią.

Był to Pollock we własnej osobie. Po przeczytaniu listu najpierw lekceważąco rzucił na mnie okiem, potem lekki uśmiezek przebiegł po jego nienagannie wygolonej twarzy.

— Będzie pan, panie Pingle, zatrudniony jako drugi klerk na plantacjach Wahradge. Proszę się udać do kantoru.

Służący podprowadzili ogiera. Wykonawszy dystyngowany ruch stekiem, Pollock zręcznie wskoczył na siodło i klusem skierował się przez podwórze do bramy.

Przyznaję, że z zazdrością patrzyłem za oddalającym się jeźdźcem.

W biurze fabryki z dziesięciu klerków mozolnie trudziło się nad buchalteryjnymi księgami. O wszystkim, co mnie interesowało, dowiedziałem się od dyrektora biura, małego łysego staruszka, mister Kessa.

— Dzisiaj wieczorem jedzie od nas Jim Harle — powiedział Kess patrząc na mnie przy-
mrużonymi oczami krótkowidza. — Od dawna pracuje już w Wahradge'u. Niech pan z. nim jedzie. Powinien gdzieś tutaj być, proszę go poszukać.

Nie zdążyłem jeszcze wyjść od Kessa, gdy rozległ się przeraźliwy dzwonek i w całym biurze zapanowało radosne ożywienie. Odsuwano krzesła, zamykano z trzaskiem szuflady biurek, rozbrzmiała głośna rozmowa klerków. Z sąsiedniej sali wyszły maszynistki. Słychać było ich wesołe urywane okrzyki.

Rudawy niskiego wzrostu klerk zamknął szufladę pod pulpitem, włożył słomkowy kapelusz i w tej samej chwili obrócił się w moim kierunku.

— Halo! — wykonał powitalny gest ręką. — Pan chyba nowicjusz? Pozwoli pan, że się poznamy. Harle...

— Jim Harle? — spytałem ściskając mu dłoń. — Właśnie pana szukam. Zostałem wyznaczony na stanowisko klerka na plantacji...

W paru słowach wszystko sobie wyjaśniliśmy.

— A teraz szybko stąd zmykajmy, bo możemy wpaść w oczy Kessowi — przynaglił mnie Jim. — Nie zakończyłem jeszcze pewnego pisma i staruszek może mnie zatrzymać. Jestem głodny jak tygrys przed zachodem słońca, Pan też ma bardzo pożądlive spojrzenie. Wiem, gdzie dają dobrze jeść. Jest pewien bardzo przyzwoity i tani pensjonat. Potem wrócimy, wysłuchamy błogosławieństwa Kessa na drogę i udamy się na dworzec.

Po drodze do pensjonatu i w czasie obiadu Jim zasypał mnie lawiną pytań:

— Jak się pan dostał do Pollocka? Przez Halleya? To straszliwy szachraj. Werbując klientów agencji jego grają rolę niezainteresowanych i nawet uprzedzają, że należy się targować o procenty. Ile też on zdarł z pana?

— Dziesięć w ciągu czterech miesięcy.

— Wystarczyłoby w zupełności sześć. W ciągu roku daje to dwa od stu, normalna renta. Pan jeszcze nie ma doświadczenia — poważnie powiedział Jim. — Proszę mi wierzyć. Musi się pan przyzwyczaić do tutejszych zwyczajów i obyczajów. Inaczej zginie pan.

A ja myślałem o Halleyu i jego pomysłowym sposobie chwytania klientów.

2

I oto jestem w Wahradge'u, zagubionym w dżunglach środkowego Pendżabu. Kilka biednych wiosek skupiło się na brzegu rzeki, a dookoła rozpościerają się maluteńkie chłopskie poletka i rozległe plantacje mister Pollocka. Z tarasu bungalowu, w którym mieszkam z Jimem, widać chałupy najbliższej wsi Ranbeer. Stosunki rolne są tutaj ogromnie złożone. Ziemia należy do radży Denby-Gange'ego, mieszkającego pośród bogatego sadu w jednopiętrowym domu, cudacznie ozdobionym rzeźbą w drzewie i kamieniu. Radża ma czeladź i rządcę nazwiskiem Seth-Nagr, który jeździ po wioskach na małym koniku i zbiera podatki. Pollock dzierżawi plantacje za pośrednictwem pełnomocnika swego Watsona, kierującego licznym sztabem dozorców pilnujących robotników plantacyj i składów.

— Jaki to diabeł skierował pana, panie Pingle, w te przekłete strony? — spytał pewnego wieczora Jim Harle wylegując się w hamaku i paląc papierosa za papierosem, ażeby odpędzić nadlatujące znad rzeki komary. — Jaka katastrofa spotkała pana w życiu?

Opowiedziałem mu o rodzinnym mieście nie wgłębiając się w szczegóły swojej biografii.

— Tak — mruknął Jim. — Ale klerkiem w biurze tytoniowym to mógł pan chyba być i w metropolii. Co innego ze mną, nie mogę tam nawet nosa pokazać. Małe nieporozumienie z policją i musiałem odbijać...

— Ja jednak mam nadzieję na coś lepszego — powiedziałem przysłuchując się monotonnemu śpiewowi dochodzącemu ze wsi.

— Na razie nic panu innego, panie Pingle, nie pozostaje. — odezwał się Jim. — Ale gleba nadziei szybko się wyczerpuje. Koło się zamyka i często ma się chęć znaleźć mocny gwóźdź w ścianie, ażeby powiesić się na własnych szelkach.

— Jim, jest pan pesymistą — zmarszczyłem się.

— Niech pan sam osądzi. W Crowntonie zostawiłem matkę i siostrę myśląc, że będę mógł im pomagać. Lecz oto mija już cztery_ lata, a ja nie mogę wykroić jednego penny z tego, co zarabiam. Życie jest drogie, ale ja nie wchodzę w układy z dostawcą. Jeżeli stracę resztki uczciwości, dusza moja stanie się nieskończenie uboga. Na razie otuchy dodaje mi tytoń, który tutaj nic nie kosztuje, pan rozumie...

Jim bardzo źle wyrażał się o Pollocku.

— Paradował na swoim Tolly'm, gdy pan się z nim poznał? To jego zwykły spacer dla zdrowia, życie Pollocka jest tak przyjemne, iż nie ma on zamiaru przedwcześnie się z nim rozstawać. Boi się zarówno zbyt dużego schudnięcia, jak i zbyt dużego utycia. Siwiznę uważa za straszliwą zapowiedź starości, do dymu tytoniowego odnosi się z odrazą, sam zaś na papierosach zrobił majątek. Każdego rana mierzy sobie temperaturę. Lekarz co sobota jada u niego obiadki przepisuje dietę na tydzień naprzód.

Następnie Jim krytycznie poruszył nawyki zarządzącego plantacjami mister Watsona.

Jeśli pan chce stać się rozbójnikiem w smokingu, to niech pan ślepo wykonuje to wszystko, co on rozkaże. I jeżeli pana od razu nie chwyci cholera lub nie zeszpeci, jak mnie, żółty jack *, to będzie pan mógł nałowić tutaj złotych rybek i na stare lata wyjechać do

Ashwharfu, ażeby je tam smażyć i jeść...

Jim opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy o tym kawałku ziemskiego globu, na którym mieszka czterysta milionów ludzi, należących do osiemnastu narodowości i mówiących setkami odmiennych języków.

Niech się pan nauczy mówić językiem urdu — nalegał Jim. — To prawdziwy „francuski język” Hindostanu, wchodzi do niego wiele perskich i arabskich wyrazów. Nazwa języka pochodzi od „Urdy-a-myelle” — tak nazywa się starożytny bazar w pobliżu dworca królewskiego w Delhi. W świąteczne jarmarki zbierają się tam sprzedający i kupujący ze wszystkich krańców Indii. Tam też powstał, jak sądzę, ten język. Tak jak dyplomaci wszystkich krajów rozumieją po francusku, tak tutaj każdy mieszkaniec Indii rozumie język urdu. Chce pan, będę panu pomagał?

Mogłem jedynie podziękować Jimowi i, ku swemu zadowoleniu, zacząłem wkrótce robić postępy wydając polecenia służącym:

— Czaa-bana-o! (Przygotuj herbaty!) Pani pilana-la-o! (Przynieś wody!)

Wszyscy pracujący na plantacjach dobrze znali po trzy, pięć miejscowych języków, nie licząc urdu. Dozorcy pochodzący z ludności miejscowej byli dla mister Watsona agenturą do różnych spekulacji towarami, nabywanymi przez wiejskich lichwiarzy. Tego wszystkiego nie uczono w Dijanie, i było dla mnie nowością, że we wsiach istnieją „kamia” — chłopci zadłużeni u lichwiarzy i po wsze czasy zaprzędani im z żonami i dziećmi, to znaczy niewolnicy w pełnym tego słowa znaczeniu.

Zarządzający mister Watson, grubasek o krótkich nóżkach omdlewał z upału. Siedząc pod mangusodrzewem, gdzie było nieco chłodniej, ratował się przed skwarem popijaniem whisky z wodą sodową.

— Ciesz się, Pingle, że interesuje się pan językami — mówił mister Watson patrząc na mnie znad okularów. — Znajomość języków poszerza horyzonty myślowe. Będzie panu lżej pracować. Przyznaję się, iż nie lubię ludzi, którzy jedzą jak lwy, a pracują jak koźły.

— Mister Harle uczy mnie urdu — powiedziałem.

— Wspaniale. Za wystarczającą znajomość każdego z miejscowych języków otrzyma pan ode mnie dziesięcioprocentowy dodatek do swojej pensji, oczywiście po egzaminie, który osobiście przeprowadzę. Co do tego wszystkiego mam ogólne zarządzenie mister Pollocka. Niech pan się wprawia w językach tu na plantacjach... Ach, tak!... Przecież pan jest uczony, skończył pan college, zna pan botanikę... — Watson uśmiechał się ale bez zjadliwości. — Wie pan co, Pingle, że dla pana i dla sprawy będzie korzystnie, jeżeli uda się pan na czterdziesty pierwszy odcinek, gdzie chłopci siali dawniej badźrę **, i rozejrzy się pan, co się tam dzieje z naszym tytoniem. Poprosiłem pana do siebie między innymi i z tego względu. Chciałbym zrobić pana potem zarządzającym jednej z plantacji. Niech pan tam jedzie jutro o wschodzie słońca. Wiem, o co tam chodzi. Ale niech pan sam obejrzy...

Na odcinku rosły nie kończące się rzędy tytoniu. Był to jeden z droższych gatunków egipskich. Obnażeni, na czarno opaleni robotnicy, pielęgnowując tytoń, okopywali grządki i pełli chwasty.

Dozorca, pilnujący pielenia, dotknął czoła i piersi na znak powitania i wskazał mi rząd tytoniu:

— Popatrz, sahib, rośliny chorują.

Istotnie, rośliny czterdziestego pierwszego odcinka przedstawiały żaloszny widok. Obok, na odcinku numer czterdzieści dwa, tytoń kwitł i przyjemny zapach rozchodził się stamtąd w rozpalonym powietrzu. A tutaj rośliny były jak by przygniecione. Sięgały zaledwie połowy normalnej wysokości, chociaż tabliczka na grządce świadczyła, że sadzenie na odcinkach

* Żółty jack — tak nazywano febrę tropikalną.

** Badźra — rodzaj jęczmienia.

trzydzieści osiem — czterdzieści sześć odbyło się jednocześnie. Tylko na nielicznych egzemplarzach widoczne były słabo rozwijające się kwiaty.

— Popatrz, sahib — powiedział dozorca i zerwawszy kilka liści podał mi je.

Zacząłem się im przyglądać. Dozorca pokazał mi, na co trzeba zwrócić uwagę, środkowa żyłka liścia, widocznie, rozwijała się w zwolnionym tempie. Na skutek tego cały liść pomarszczył się i nabrał odrażającego wyglądu. Na innych liściach wystąpiły wyraźnie pojedyncze, podwójne i potrójne ciemnobarwione pierścienie i fantastyczne desenie; najprawdopodobniej to oryginalne połączenie barw świadczyło o chorobie rośliny, podobnie jak wysypka na skórze dziecka świadczy, że jest ono chore na odrę lub płonicę.

Tak, rośliny poważnie chorowały. Dozorca zwrócił moją uwagę na łodygi. Były nienormalnie zdrewniałe. Dozorca ostrym nożem rozciął wzdłuż górną łodygę. Zobaczyłem ciemne, prawie czarne, jak gdyby martwe pasma chorej tkanki.

Powoli szliśmy wzdłuż grządek i wszędzie widziałem ten smutny obraz choroby i obumierania. Na niektórych egzemplarzach całe liście pożółkły, zmarszczyły się, bezwładnie pochylając się ku ziemi. Były martwe, jak by wypalił je jakiś wewnętrzny ogień. Niektóre rośliny zmarniały całkowicie.

— Tytoń nie rośnie. Kiepski tytoń. Dla gospodarza strata — powiedział dozorca, ze współczuciem kiwając głową.

Zebrałem do koszyczka całą kolekcję chorych roślin i liści, zapisałem w notesie numery grządek, gdzie przeszło trzy i pół tysiąca krzaków dotknięte były nie znaną mi chorobą, i skierowałem się ze sprawozdaniem do mister Watsona.

Po drodze rozmyślałem nad tym, co zobaczyłem.

Z lekcji botaniki zapamiętałem kilka interesujących rzeczy. Gdyby na przykład wszystkie nasiona jednego egzemplarza zwykłego bielunia rozwinęły się i zaczęły rosnać swobodnie, nie krępowane zewnętrznymi warunkami, to w ciągu pięciu lat wszystkie lądy naszej planety pokryłyby się krzakami tej rośliny. Każdy może to sprawdzić wykonując obliczenia na kawałku papieru. Rachunek bardzo prosty. Jeden egzemplarz bielunia daje mniej więcej w ciągu roku dziesięć tysięcy nasion. W ciągu pięciu lat, pod warunkiem że wszystkie nasiona będą dawały takie samo potomstwo, otrzyma się dziesięć tysięcy bilionów krzaków bielunia. Powierzchnia lądów naszej planety wynosi sto trzydzieści sześć bilionów metrów kwadratowych, a na jednym metrze kwadratowym może się zmieścić nie więcej, niż siedemdziesiąt dwa krzaki tej rośliny.

Przypomniałem sobie, że według sałaty można określać strony świata. Sałata to roślina-kompas. Ma taki wygląd, jak gdyby ją umyślnie przygotowano do zielnika, ułożywszy między dwoma arkuszami papieru w celu zasuszenia. Płaszczyzna liści rosnącej sałaty ustawiona jest zawsze wzdłuż południka północ-południe.

Ale na lekcjach botaniki nic nam nie mówiono o chorobach roślin. Zrozumiałe przeto, że z wielkim zainteresowaniem czekałem, co powie mister Watson wysłuchawszy mego sprawozdania.

— A czy w waszym college'u tego nie uczono? I pan nie wie, co to jest? Otóż, Pingle, rośliny czterdziestego pierwszego odcinka chore są na mozaikę. Nie wolno robotnikom ścinać liści roślin zdrowych tymi samymi nożycami, którymi ścinają chorego tytoń. A oni robią po swojemu, gdy tylko dozorca się zagapi.

— Ale co mają do tego nożyce?... — odezwałem się.

Watson przerwał mi:

— Sok roślin chorych na mozaikę jest zaraźliwy. Nożyce przenoszą z chorych roślin na zdrowe wirusy tytoniowej mozaiki. Co to takiego wirus, tego zdaje się nikt sensownie nie wie. To nazwa naukowa. Po łacinie wirus oznacza jad — w ogóle każde zakaźne prąźródło. Wirusa tytoniowej mozaiki odkrył mister Iwanowski z dalekiej Rosji — oto co mi jest wiadome. Nazwisko jego dobrze jest znane w laboratoriach Indii, gdzie bada się tę przeklętą zarazę,

przynoszącą olbrzymie straty plantacjom tytoniowym. Niech pan sam osądzi. Z powodu tej choroby spada i urodzaj, i jakość tytoniu. Chore liście trzeba wybrakować, gdyż nie nadają się do produkcji.

— A więc to tak! — odezwał się oszołomiony słowami Watsona.

— Tak. Jeżeli pan, panie Pingle, nie chce się zbyt nudzić w biurze rachunkami, to niech się pan przygląda temu, co dzieje się na plantacji. Pański przyjaciel Harle woli odsia-
dywać swoje godziny przy pulpicie. Niechaj tak będzie. A mnie się podobało zachowanie pana dzisiaj na plantacji. Nie omieszka, mnie już o tym zawiadomić. Dlatego niech pan natychmiast weźmie ze trzydziestu ludzi i uda się na odcinek. Niechaj ludzie pod pana nadzorem wyrwą wszystkie zakażone rośliny i w obecności pana je spalą. Zarazę należy niszczyć z korzeniami. Dozorcom trzeba poważnie zwrócić na to uwagę. Winnych ja sam ukarzę. Prócz tego napiszę do mister Pollocka. O przedsięwziętych środkach zawiadomi on Laboratorium Wirusowe w Kalkucie.

4

W południe wszystko, co żyło na plantacjach, kryło się przed niemiłosiernym indyjskim słońcem. Drzewa nie dawały cienia, albowiem promienie padały prostopadle do powierzchni ziemi. Leżałem pod dachem czaupala — lekko otwartej altany, zbudowanej na skraju palmowego lasku, i czekałem, kiedy słońce zdecydowanie przekroczy zenit.

Robotnicy zakończyli przeorywanie nieszczęsnego odcinka i teraz powracali do altany na odpoczynek. Z wieloma z nich zdążyłem się poznać; z chęcią dzielili się ze mną nowinami. W najbliższych dniach do okolicznych wsi powinni przybyć dwaj poważani bramini z Benaresu. Chłopi mają zamiar budować na brzegu rzeki świątynię dla Hanumana — boga o głowie małpy. Do Ranbeeru przyjechał mukkudam — agent werbujący robotników do fabryki, ale ranbeerskim chłopom wystarczają zarobki na plantacjach i nie chcą porzucać pracy u mister Watsona.

Ludzie ci podobali mi się i dlatego niezupełnie pojmowałem pesymistyczny stosunek Jima Harle'ego do tutejszego życia. Patrzyłem na drogę przebiegającą w pobliżu płotu. Oto w kierunku Ranbeeru wierzchem na małym koniku przejechał Seth-Nagr w czarnym długim surducie i szerokich szarawarach, ściągniętych jedwabnym pomarańczowym pasem z pociemniałą złotą frędzlą. Na głowie rządcy posiadłości radży pysznił się turban, na palcach zaś widać było grube srebrne pierścienie. Krótkie nogi w żółtych trzewikach sterczały na boki. Piętami młócił syty brzuch swego konika.

Oto śniada kobieta idzie po wodę, a dwóch wrzeszczących malców uczepiło się jej odzienia.

A oto jeszcze jakiś jeździec. Co, u licha, przecież to Jim Harle! Dlaczego nie siedzi w biurze, ale jest tutaj, na plantacji, w takim nieodpowiednim czasie? Oczywiście, szuka mnie. Czy nie przydarzyła mu się jakaś nieprzyjemna historia?

Mister Watson nazywał Harle'ego moim przyjacielem. I tak było w rzeczywistości. Zdążyłem się przywiązać do tego żywego, o ciętym języku człowieka. Prócz tego było mi go żal. Jim był w niezgodzie z Watsonem i usposobienie jego, i tak już niewesołe, zrobiło się ostatnio jeszcze bardziej ponure.

— Stał się pan beniaminkiem Watsona — z odcieniem ironii powiedział do mnie Jim po mojej pierwszej bytności na plantacjach, gdy siedzieliśmy obaj na tarasie bungalowu patrząc, jak zachodzące słońce złoci wierzchołki palm. — Ale ja nie zazdroszczę panu, Pingle. Będąc na pańskim miejscu postarałbym się jak najszybciej wydostać z tego zapadłego kąta. Wszystko jest tutaj dla mnie wstrętne. Watson odnosi się do mnie niesprawiedliwie. To imperty-

nent, jego ton doprowadza mnie do wściekłości. Któregoś dnia tak mnie rozgniewa, iż nie wytrzymam i odpowiem mu jak należy.

Znając takie nastroje Jima, niepokoiłem się o swego wybuchowego i ambitnego kolegę. Niestety, jakże jeszcze kiepsko znałem się na ludziach.

I teraz z niepokojem patrzyłem na zbliżającego się Jima.

— Co się stało? Wygląda pan na zdenerwowanego...

Odchodzę stąd — oznajmił Harle. — Pokłóciłem się na serio z Watsonem. Za moją słuszną uwagę dotyczącą pracy nazwał mnie smarkaczem i nieukiem.

Ogarnęło mnie oburzenie. Watson w stosunku do mnie był zawsze grzeczny. Widocznie dyplom mój oddziaływał na niego. Jeżeli Jim Harle nie osiągnął poważniejszych wyników w nauce, to nie znaczy wcale, ażeby zarozumiały, opasły Watson miał Jima lekceważyć.

— To świństwo, Harle, ja w pełni pana rozumiem. Ale dokądże pan pójdzie?

— Dokąd oczy poniosą. Mam tego dość. Zwalniam się. Poważnie porozmawiałem z Watsonem. Pragnę jedynie, ażeby on to odczuł. Dobrze by się stało, gdybym odszedł nie sam. Jeżeli pan jest moim przyjacielem, to pan mnie podtrzyma.

Było mi żal Harle'ego. Miał taki nieszczęśliwy wygląd... Tak, grubiaństwo zarządzającego oburzało mnie.

W milczeniu uścisnąłem dłoń Jima.

Nazajutrz zakomunikowałem mister Watsonowi, że zwalniam się z pracy. Grubas zdziwił się, wzruszył ramionami i powściągliwie powiedział:

— Proszę bardzo...

Wieczorem poinformowałem o wszystkim Harle'ego. Jim gwałtownie dziękował mi.

— Z pana prawdziwy przyjaciel, nie pomyliłem się co do pana. Zuch z pana. Jutro udamy się razem na poszukiwanie szczęścia.

Lecz rano nie zastałem Harle'ego w jego bungalowie. Robotnicy powiedzieli mi, że poszedł do Ranbeeru. Z walizką w ręku skierowałem się tam również, żywiąc nadzieję, iż spotkam go na szosie obok przystanku samochodu pocztowego. Długo tam na Jima czekałem i zacząłem się już bardzo niepokoić. Wreszcie Harle zjawił się, ale bez żadnego bagażu, zadowolony i uśmiechnięty.

— Śpieszyłem, ażeby uprzedzić pana, Pingle — powiedział jak najbardziej ujmującym tonem — że samochód spóźni się o dwie godziny. Powiedział mi o tym Seth-Nagr. Przy sposobności... wie pan, pogodziłem się z tym Watsonem. On tak mnie prosił, zaproponowawszy mi stanowisko zarządzającego, że pozostałem. Będzie pan musiał podróżować samotnie...

Na bydlaka tego popatrzyłem z uśmiechem.

— Sprytnie pan usunął konkurenta po fachu. Teraz widzę pana, panie Harle, na wylot. Duszę pan ma naprawdę zebraczą i zakażoną wirusem dwulicowości.

Chłopak próbował protestować. Przerwałem oschle:

— Przykro mi, sir. Straciłem zainteresowanie do rozmów z panem.

Odwrociłem się. Harle poszedł w kierunku plantacji Wahradge.

5

Nie czekałem na samochód i nie wróciłem do miasta. Ruszyłem na piechotę na wschód, do Burmy, ażeby dokładniej poznać prawdziwe życie. Nie straszne mi były dżungle i tygrysy. W Wahradge'u widziałem ludzi bardziej żarłocznych i przebiegłych niż tygrysy.

Ludzie Wschodu odnosili się do mnie niezwykle gościnnie, skoro tylko przekonali się, iż nie jestem poborcą podatków. Przypominam sobie nieduże pole zasiane jęczmieniem, z

kilku kształtnymi palmami, zastygłymi w zadumie na tle tropikalnego lasu. Stała tutaj malownicza chata. Poprosiłem o wodę. Gospodarz Hindus łagodnie powiedział:

— Zaraz cię ugoszczę.

Wskazał wierzchołek palmy, gdzie widać było duże, wielkości chochli do zupy, ciemne orzechy.

Pomyślałem: w jaki sposób zerwie on je z takiej wysokości?

Hindus gwizdnął po cichu i z dachu chaty zeskoczyła na ziemię duża, o długim nosie małpa. Następnie wykonał ręką rozkazujący ruch i coś powiedział. Małpa z szybkością błyskawicy wspięła się po gładkim, z lekka nachylonym pniu drzewa.

— Zaraz będziemy jedli coś smacznego — rzekł gospodarz uśmiechając się.

Uniosłem głowę i obserwowałem, co będzie robiła oswojona, wytresowana małpa. Ale ta, ku mojemu zdumieniu, nie miała najmniejszego zamiaru zrywać orzechów. Spokojnie usiadła na wierzchołku palmy i przystąpiła do wyłapywania pcheł, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi.

— To jej się zdarza — jak by usprawiedliwiając się powiedział Hindus i głośno zawołał do małpy: — Battu... Battu... prędeż!

Małpa pograżona była w swoim przyjemnym zajęciu. Zręcznie wyłapywała pchły, rozgryzała je ostrymi zębami i wypluwała na nas.

Cokolwiek by wołał gospodarz, wszystko było nadaremne. Postanowiłem nastraszyć Battu i zerwawszy kapelusz z głowy, wysoko podrzuciłem go w powietrze. Battu to zainteresowało i jak by w uśmiechu wyszczerzyła zęby. Zacząłem powtarzać ten manewr. Battu patrzyła, patrzyła i nagle, szybko powstawszy, zerwała olbrzymi orzech i z siłą podrzuciła go w górę. Ledwie zdążyłem uskoczyć od tego pocisku, który mógł zmiażdżyć głowę. Hindus zaś rzucił się pod osłonę chaty.

Tymczasem Battu przypomniawszy sobie o ciężących na niej obowiązkach i natychmiast zlązła na ziemię z drugim orzechem, który położyła obok progu chaty.

Gospodarz wywiercił sztyłem dziurę w skorupie, wylał chłodne słodkie mleko do kubka i dał mi się napić. Następnie przystąpił do wbijania w otwór orzecha drewnianego klinu i rozszczepił go na dwie połowy. W środku był biały smaczny miąższ. Z rozkoszą zajadałem tę tropikalną potrawę. Battu również otrzymała należną jej porcję, z którą powędrowała na dach chaty.

Często się dziwiłem, jak szczerze niekiedy los zwała na jednego człowieka całą masę różnorodnych wydarzeń, gdy w tym samym czasie inni ludzie wiodą nudny i nieciekawy żywot. Cyrkowe loty i podróż przez dżungle były jednak drobnostką bez większego znaczenia w porównaniu z tym, co mnie dopiero oczekiwało.

Podróżując pieszo, znajdowałem niekiedy schronienie w chatkach wiejskich, nauczyłem się spać na gołej ziemi i zadowalać na kolację kawałkiem kukurydzianego placka. Bywało, że nocowałem również pod odkrytym niebem.

Pewnego razu, zabłądziwszy i nie znalazłszy wsi, do której wskazano mi drogę, zmęczony bez reszty, zwałem się na kamienistą ścieżkę. Odpoczywałem bojąc się myśleć o swojej tragicznej bezradności. W tykwowej manierce miałem zaledwie dwa łyki wody.

Wielka błękitna mrówka, wodząc mętnymi turkusowymi oczyma, skradała się do mnie po twardej wyschniętej ziemi, ażeby ukłuć mnie w twarz. Tracąc oddech uniosłem pięść i rozgniotłem owada. To przypomniawszy mi, że jestem człowiekiem.

Ściemniało się. Pod paprociami zwinnie pełzały gady. W lesie na górze miauczały barsy. Poczłogałem się w bok, natrafiłem na strumyk i ugasilem pragnienie. Zmuszony byłem spędzić noc na drzewie, ażeby zabezpieczyć się przed nieprzyjemnym spotkaniem. Sen porzucił mnie. Chociaż żołądek mój był pusty, podobnie jak pusty był worek podróżny, zebrałem resztki sił i wyszedłem na drogę.

Na szerokiej polanie, do której doprowadziła mnie droga, oczom moim ukazało się osiedle z trzcinowych chat. Gwiżdżąc marsza dijańskich futbolistów, dziarsko, tak mi się przynajmniej zdawało, wszedłem do osiedla i zajrzałem do skrajnej chaty. Stary Hindus podobny do szkieletu siedział przy ognisku i trząsł się febrycznie. Jego brudne węzłowate nogi podobne były do patyków, znoszona opaska — dhoti — przykrywała mu biodra.

— Pokój temu domowi, gospodarzu — powitałem starca w języku urdu.

Starzec coś odpowiedział i zakasłał się.

„Z pewnością biedak chory jest na zapalenie płuc. Nic tu po mnie” — pomyślałem i udałem się do następnej chaty.

Na zniszczonych matach leżało kilkoro ludzi i wszyscy kasłali. W trzeciej z kolei chacie również siedzieli i leżeli kaszlący ludzie. Gdy wsunąłem tam głowę, kobieta, podająca kubek z wodą jednemu z leżących, spytała z przestrachem:

— Czego chce ten człowiek?

Wszedłem do środka i zapytałem kobietę:

Gdzież oni się tak przeziębili? Miesiąc faalkun dawno już minął, a wraz z nim i chłodne deszcze, ludzie zaś dalej chorują na zapalenie płuc. Trzeba robić ciepłe kompresy.

Słyszałem coś niecoś w college'u o leczeniu kompresami. Teraz żal mi było tych nieszczęsnych, którzy tak ciężko oddychali, krztusząc się flegmą. Gdyby był tutaj nasz doktor Fleet! On wie, jak należy walczyć z plagą ludzkości — zadyszka.

Kobieta, siedząca w kucki, pokiwała głową.

— O, młody sahibie, od razu widać, żeś ty dobry człowiek! A stary doktor nie zechciał z nami nawet rozmawiać. Rano przyjechał do nas z fortu, ale gdy zobaczył, że Sahawet, mąż mój, kaszle, to co tchu wyleciał z chaty, wskoczył na konia i odjechał galopem. A ty, młodzieńcze, masz dobre serce. Niech Bóg da tobie jak najdłuższe życie!

Sahawet, który ciężko dysząc leżał na macie, z trudem odwrócił do mnie głowę i chrypliwie dodał:

— Niech raczej powiększy ilość rupii w sakiewce wędrowca. Uchodź stąd, młodzieńcze, nie patrz na to, jak będziemy umierali.

W tej chacie nie było co myśleć ani o odpoczynku, ani o jedzeniu. W czwartej natknąłem się na taki sam obrazek: wszyscy jej mieszkańcy — mężczyźni, kobiety i dzieci — leżeli i kasłali. Doszedłem do wniosku, że musi to być jakaś suchotnicza wieś i że lepiej nie przebywać wśród gruzlików, ale iść dalej, odnaleźć blokhauz i poprosić o przytułek. Swoją drogą podróżowanie zmęczyło mnie i zamierzałem już skręcić w kierunku wybrzeża i urządzić się znowu gdzieś-na plantacjach. Mimo wszystko posada klerka dawała kawałek chleba i dach nad głową.

I oto niefortunny włóczęga opuścił osiedle. Słońce stało wysoko i, jak mnie poinformowano, można było dotrzeć do blokhauzu jeszcze za dnia. Ale nie odszedłem nawet jednej mili od osiedla, gdy naprzeciwko mnie wyłonili się zza krzaków dwaj żołnierze w mundurach naszych wojsk kolonialnych. Karabiny skierowali wprost na mnie.

— Z powrotem!

— Dlaczego? — spytałem błagalnie, unosząc ręce do góry. — Poddaję się...

— Z powrotem! — padła nieubłagana odpowiedź.

Cichy gwizd, pocisku karabinowego nad moją głową nie pozwolił mi na dalsze rozmyślenia. Popędziłem w tył nie zastanawiając się nad drogą. Wyprzedziła mnie strzała z przypiętą do niej karteczką. Płynnie opadła na zakurzoną, spaloną słońcem trawę. Oderwawszy kartkę przeczytałem napisane ołówkiem linijki, których treść gwałtownie zmroziła mi krew w żyłach: „W Nabuhatrze dzuma. Przekraczanie obszaru oznaczonego żółtymi chorągiewkami jest zabronione pod rygorem śmierci. Komendant kordonu — Boro”.

Na skraju lasu, w odległości kilkuset jardów ode mnie, również stali patrolujący żołnierze i coś wołali wymachując rękoma. Gdy zrobiłem krok do przodu, dwóch z nich strzeliło w

moim kierunku. W całkowitej rozpacz, przygnębiony nieprzewidzianymi wydarzeniami, powlokłem się z powrotem do Nabuhatry. Kula czy dzuma — wszystko jedno koniec. Jakże straszliwa jest samotność człowieka. Nie odważyłem się wejść do którejkolwiek z chat, skąd przez cały czas dochodził chrypliwy, rozdzierający kaszel, osunąłem się na zakurzoną drogę i siedziałem tak z godzinę zamknawszy oczy. Nie miałem ochoty patrzeć na ten obrzydliwy świat. Słyszałem, iż kilkakrotnie strzelano gdzieś w oddali, ale się nie ruszyłem. Niechaj pocisk trafi we mnie...

Po pewnym czasie dosłyszałem czyjeś kroki.

— Co za pomysł rozlokowywać się pośrodku drogi — powiedział ktoś obok mnie spokojnym głosem. Otworzyłem oczy.

Człowiek w białym korkowym hełmie i ciemnych okularach, w luźnej kurtce, z dwoma torbami przez ramię stał i uważnie mi się przyglądał.

— Czyżbym panu przeszkadzał? — zapytałem starając się nadać słowom swoim jak najwięcej zuchwałości.

— We wsi dzuma. Nie zalecam oddychać kurzem — odpowiedział nieznajomy nie zwracając uwagi na ton mego pytania. — Niech pan wstanie, przejdziemy na bardziej odosobnione miejsce. — Uśmiechnął się z lekka. — Proszę się nie upierać, ale słuchać starszych...

Wypowiedziane to zostało tak życzliwie, że uległem.

— Nieprzyjemna historia — powiedział nieznajomy ocierając twarz chusteczką, gdy rozłożyliśmy się w cieniu niskiego kamiennego płotu. — Najprawdopodobniej chciał się pan dostać do Ghendge'u, ale zabłądził pan, a kordon pana nastraszył. No, niech się pan otrząśnie i odpowie. Durnie zagrozili, że ustrzelą pana, co?

— Tak.

— No, nie ma rady. Trzeba oczekiwać tego, co jest nieuchronne. Z chwilą gdy na obszarze otoczonym żółtymi chorągiewkami wszyscy wymrą, żołnierze obleją Nabuhatrę ropą naftową i podpalą.

W oddali rozległ się wystrzał.

— To kordon strzela do psów, które uciekają z zadżumionego terenu.

— A ludzie?

— Leżą chorzy. Wiele już umarło.

— A co potem się stanie? — spytałem.

— Potem zaorzą ziemię, wymordują susły w norach i posypią wszystko wapnem chłorowanym. Po roku będzie można znowu osiedlać się na tym terenie...

Ogarnęła mnie rozpacz. Wszystko skończone — jesteśmy osaczeni. Rozszarpia nas tutaj szatany dzumy — mikroby, bardziej straszliwe niż tygrysy i barsy. A za żółtymi chorągiewkami czekają kule. Nikt stąd nie wyjdzie żywy, przed dzumą nie ma ratunku.

Popatrzyłem spode łba na mego rozmówcę. Wygolona twarz jego, poprzecinana niewielkimi zmarszczkami, była dziwnie spokojna, szare przenikliwe oczy patrzyły na mnie uważnie.

— Pan, zdaje się, studiuje moje oblicze? — próbowałem się uśmiechnąć. Nie chciałem, by ten kandydat na nieboszczyka dostrzegł, iż boję się dzumy.

— Ma pan rację — usłyszałem w odpowiedzi. — Jeśli się nie mylę, pan bywał w Belle Harbor?

— Tylko jeden raz — mruknąłem.

— Proszę mi wybaczyć, że jestem tak natrętny — ciągnął dalej nieznajomy. — Czy to nie pan przypadkiem skoczył kiedyś z wieży do wody, ażeby ratować tonącego?

Przypomniała mi się bardzo żywo i powiedziałem:

— Na moim miejscu każdy postąpiłby tak samo. Skoczyłem, gdy zobaczyłem, że kąpiący się idzie na dno. Ale kogo uratowałem, nie wiem do dnia dzisiejszego.

Nieznajomy wstał i uściśnął mi dłoń.

— Pozwoli pan, że mu podziękuję. To mnie pan uratował. Kuter ratowniczy odebrał mnie z rąk pana i szybko odwiózł do miasta.

— Bardzo się cieszę, że widzę pana w dobrym zdrowiu — wyrzekłem odpowiadając na uścisk dłoni. — Szkoda, że spotkaliśmy się w takiej chwili...

— Nie będziemy się oddawać posępnym myślom. Jestem biologiem i przyroda nie jest dla mnie tak straszna i tajemnicza jak dla innych. Nazwisko moje Millroys, do usług pana.

— Ja się nazywam Samuel Pingle — ukłoniłem się z całą kurtuazją właściwą wychowankom Dijanu.

— Bardzo dobrze, Pingle — wyrzekł zamyślony Millroys, po czym szybko dodał: — No, najpierw coś zjemy, a następnie zastanowimy się nad położeniem.

Millroys wyjął z torby suchary i konserwy.

— Jeżeli do wody dodać kilka kropli rumu, to na pewno nie zaszkodzi — powiedział nalewając rum z podróźnej manierki do małej szklaneczki. — Najpierw proszę to wypić, a potem niech się pan zabiera do jedzenia.

Przez chwilę przysłuchiwał się kaszlowi dochodzącemu z pobliskich chat.

— Klasyczna dżuma płucna... Wywołuje ją specjalny mikroorganizm. Przenoszą go pchły pasożytujące na gryzoniach, najczęściej na szczurach, bobakach i skoczkach. Tutaj łowią je w sidła. Jakiś miejscowy myśliwy oprawiając trofea porozwieszał skórki, które były zakażone, i mamy tego następstwa.

Rum Millroya należał do mocnych gatunków. Zrobiło mi się nieco lżej na sercu i spróbowałem zażartować:

— Pan, mister Millroys, jest zdaje się w dobrych stosunkach z dżumą?

Biolog smętnie popatrzył na koniuszki swoich palców.

— W tutejszych krajach spotyka się dwa rodzaje dżumy. Jedna nazywa się waba i kosi wszystkich bez różnicy. Szybko się na nią umiera. Druga — mari. W tym wypadku choroba przebiega wolniej... Dlaczego pan nie je?

Kawałek sandwicza nie chciał mi przejść przez gardło. Słowa Millroya przyprawiły mnie to o żar, to o dreszcze. Siłą woli starałem się zapanować nad nerwami. Przecież ten człowiek siedzący naprzeciwko mnie mówi o dżumie zupełnie spokojnie.

— Teraz niech pan, panie Pingle, słucha uważnie. Wiele już lat prowadzę studia nad dżumą i dawno zaszczepiłem sobie odtrutkę, która czyni mnie odpornym i na wabę, i na mari. Przysługa za przysługę. Pragnę panu pomóc. Ale w tej chwili mam z sobą tylko odtrutkę na wabę. Jeżeli się pan jeszcze nią nie zaraził, to można mieć nadzieję, że — po szczepieniu — waba nie zaatakuje pana. Jeżeli jednak mamy w tej chwili do czynienia z mari, to... — Millroys spojrział na mnie z zaciekawieniem — to w takich przypadkach nauka jest bezsilna.

— A więc i co do waby nie ma nic pewnego? — wyszeptalem. — Ale, mister Millroys, ja tak bardzo pragnę żyć...

— Proszę mi dać swoją rękę i odwrócić się. Niech pan nie patrzy na to, co będę robił — powiedział Millroys.

Po upływie minuty poczułem ukłucie w lewe przedramię i usłyszałem pytanie biologa:

— No jak, Pingle?

— Całkiem przyjemnie — wymamrotałem czując dziwne podniecenie.

— Nie odczuwa pan dreszczy?

— Nie, nie — szeptałem. Zęby moje same postukiwały, a szczęki chwytają nieprzyjemny skurcz.

Millroys wziął mnie za rękę i namacał puls.

— Niech się pan weźmie w garść. To niewielkie nerwowe podniecenie szybko minie. No, pomogę panu, Pingle, przesunąć się, ażeby mógł pan usiąść wygodniej...

Przesiedliśmy się na kamienie pod drzewami.

— Pojdę na rozpoznanie — powiedział Millroys. — A pan niech się postara uspokoić.

Ucieszyłem się, kiedy odszedł. Ten gaduła drażnił mnie.

Wzeszedł purpurowy księżyc. Za odległymi krzakami wyły szakale. Z drugiego końca polany, na skraju lasu, dochodziły gwizdy i nawoływania żołnierzy. Rozległo się kilka donośnych wystrzałów. Czyżby Millroysa zastrzelono w pobliżu żółtych chorągiewek? Prawdopodobnie zamierzał uciec z tego ogniska śmierci.

Później na tle bladego nieba przedświt ukazała się postać pochylonego nade mną Chińczyka, który wpatrywał się we mnie badawczo. Potem Chińczyk zniknął, a do mnie uśmiechnął się życzliwie mister Watson.

Otworzyłem oczy, przede mną stał Millroys i pytał:

— Pan nie kaszle? To dobrze. Jeżeli zechce się panu kasłać, to niech się pan kładzie na brzuchu. Będzie panu lżej.

Na wierzchołkach ciemnego lasu księżyc połyskiwał czerwienią. Apatyczną ciszę tropikalnej nocy zakłócał kaszel chorych i pojedyncze wystrzały.

Millroys przysłuchiwał się.

— Wykończyli już wszystkie psy i zabili jedną kobietę. Teraz strzelają na wszelki wypadek. Mnie znają. Ale mimo to z pewnością obawiają się, iż będziemy usiłowali stąd odejść. Oczywiście, ucieczka dla nas nie byłaby wskazana. Dlaczego inni wspólnie z nami mają ponosić karę, na którą tylko myśmy zasłużyli?

Słowa te doprowadziły mnie do wściekłości.

— Nie zasłużyłem na żadną karę. Proszę mówić tylko za siebie. Jeżeli chce pan wiedzieć, mister Millroys, za nic nie opuściłbym domu. Ale trzeba żyć...

Słońce wzeszło. Dokuczało mi piekielne pragnienie. Zapas wody w naszych manierkach dawno się wyczerpał. Woda w chatupach była zakażona, a czysta studnia znajdowała się za żółtymi chorągiewkami. Millroys powiedział:

— Jeżeli się pan nałyka kurzu, będzie źle. Trzeba oddychać powoli i tylko nosem. To zabezpiecza...

Nałożył mi na nos i usta maskę z gazy. Wszystko było mi najzupełniej obojętne i dlatego pozwoliłem zawiązać sobie końce gazy na karku.

Kamienie rozpałały się na słońcu. Siedzieliśmy pod nachylonym płotem i milczeliśmy, ostrożnie wciągając nosem cierpkie powietrze. Na nasze szczęście wiatru nie było. Wąsate, szare, maleńkie owady, podobne do moli, zapobiegliwie pełzały po płocie, żwawe jaszczurki zamierały na gorących kamieniach i beztrudnie migotały swoimi paciorkowatymi oczkami. Nic im nie brakowało do szczęścia. Dżuma nie dotknie tego drobiazgu wszechświata.

— Należy walczyć z wycieńczeniem organizmu — wyrzekł Millroys.

Niczym przez mgłę widziałem, jak zwinnie nakrył dłonią jedną z jaszczurek, ujął w palce i zjadł. Pokrzepiwszy swe ciało stał się jeszcze bardziej rozmowny:

— W Nabuhatrze dziewiętnaście chat. W jedenastu, zdaje się, wszyscy już umarli.

Dzień ciągnął się bez końca. Absolutna cisza, nieubłagana jak los, powoli i władczo ogarniała to przeklęte, zagubione osiedle. Kaszel w chatach stopniowo zamierał. Millroys odalił się, ażeby zobaczyć, co dzieje się we wsi. Nie wierzyłem w jego szczepionki i sądziłem, że gdzieś tam po drodze zwali się z nóg. Ale wrócił.

— Halo, Pingle, żyje pan? No, niech pan słucha. Stary Muhham, ten ze skrajnej chaty, jeszcze żyje. Wracam właśnie od niego.

— Zdaje się, że zmora ta-nigdy nie przeminie — wyszeptalem ledwie poruszając wargami. — Waba czy mari? Cetno albo lichu? Gra o życie lub śmierć.

Odchodząc od zmysłów zamknąłem oczy..

...Na progu chaty w promieniach zachodzącego słońca siedział siwobrody obnażony Hindus i żarliwie grał na piskliwym flecie. Od czasu do czasu zakastał i spluwał na piasek. Spod kamienia barwy lila wypełzły powoli dwa długie pasiaste węże o wzorzystych płaskich głowach, rozpędziły wesołe jaszczurki i szeleszcząc przesunęły się obok mnie w kierunku

starca. Staneły przed nim na ogonach, wygięły się i zacięły się rytmicznie kołysać, rozdymać wzorzyste szyje.

Ale, być może, to mi się tylko zdawało w koszmarnej północy?

Minęła jeszcze jedna niespokojna noc. Gwiazdy roztopiły się w paśowym odbłasku zorzy. Pałace, obojętne na wszystko słońce znowu powoli wznosiło się nad milczącym osiedlem umarłych. Nie kasłałem. Tylko pragnienie wywoływało bolesne skurcze. Obudził mnie Millroys. Był spokojny i zebrany w sobie, jak gdyby miał ruszyć w drogę.

— Gratuluję, Pingle. Ocalał pan dzięki szczepionce: w Nabuhatrze była waba. Teraz musimy stąd odejść... — Podniósł rękę. — Wiatr od gór czysty... Doskonale. Podpalimy trzcinę złożoną koło wiejskiego czaupala. Trzeba będzie przejść przez ogień. Hindusi powiadają, że śmierć nie ma władzy nad tym, co oczyszczone zostało ogniem... Spróbujemy, Pingle?

Millroys prawdopodobnie też bredził, ale nie sprzeciwiałem się kolejnemu szaleństwu. Długo się guzdrał z wiązkami trzciny i jakichś ziół, aż wreszcie smrodliwy, przyćmiony płomień wzbił się w górę. Gęsty dym zasnuł słońce. Millroys wziął mnie za rękę i obaj weszliśmy w dym. Ogień liznął mi twarz, osmalił włosy i ubranie. Kręciło mi się w głowie... Wstrzymawszy instynktownie oddech pomyślałem: „Upaść — spalić się...”

Istotnie, w piekle tym wydawało mi się, iż lepiej jest upaść i spalić się, niż znowu wychodzić na straszliwy zadzumiony świat.

Lecz Millroys podtrzymał mnie silną ręką i szybko przeprowadził przez ogień na drugą stronę ogniska, które wybuchnęło wielkim płomieniem. Wilgotne, świeże powietrze pieszczotliwie musnęło mnie zdumiewającym chłodem. W przejrzystym kryształach delikatnego poranka za błękitnym pasemkiem lasu ujrzałem śnieżne wierzchołki, wydałem słaby okrzyk i zemdlałem.

Zeszyt czwarty

1

Zapewne zbyt długo leżałem na twardej trzcinowej macie, gdyż plecy bolały mnie bardzo, a każdy ruch był tak męczący, iż nie mogłem nawet unieść powiek. W ustach czułem obrzydliwą gorycz. Sprytna, wypacykowana twarz Clipsa pływała w fioletowej mgłę, oświetlona reflektorem spoza niewidocznych kulis, i uśmiechała się.

— Skacz, Pingle, a staniesz się znowu czempionem!...

— Nie chcę! — zawołałem.

I w tym momencie silne ręce energicznie uniosły mi głowę.

— Niechże pan łyknie, Pingle. Niech pan pije, mówię panu. To smaczne...

Dzwoniąc zębami o czubek metalowej łyżki, przełknąłem ciepły płyn pachnący migdałami i szafranem. Twarz Clipsa rozwiła się...

— Proszę otworzyć oczy, Pingle! — znowu rozkazał władczy głos.

Przez otwarte drzwi widać dalekie szmaragdowe góry. Łóżko, na którym leżę, przysunięte jest do ściany bungalowu, a obok stoi Millroys i wysoka dziewczyna w białym fartuchu.

— Jak się czujemy, Pingle? — spytał Millroys dotykając mojej ręki leżącej na wierzchu kapy.

— Dobrze — burknąłem nie zdając sobie sprawy, czy to sen, czy jawa. — Co mi jest? Dżuma?

— Nie, to tylko reakcja na szczepienie waby i mari. Udało się panu, Pingle, wygrzebać

z nieszczęścia. Za dwa dni będzie pan zdrowy i będzie pan mógł podróżować po różnych Nabuhatrach, oczywiście, jeśli pan zechce. — Millroys uśmiechnął się i zwrócił się do dziewczyny: — A może Pingle zabawi u nas w gościnie? Jak pani sądzi, Lizzie?

— U nas jest całkiem znośnie, profesorze — łagodnie odpowiedziała Lizzie.

— Pan będzie mieszkał tutaj — powiedział Millroys. — Służący Cho będzie pana doglądał, dopóki pan jeszcze niezdrow...

— Dziękuję panu, profesorze — tyle jedynie mogłem wymówić.

Takie było moje przebudzenie na stacji naukowej profesora Millroysa, dokąd przywiózł mnie on z Nabuhatry.

Sympatyczny i nadzwyczaj uprzejmy Chińczyk Cho, przyniósłszy mi wysmienite śniadanie, był bardzo mile zdziwiony, gdy powiedziałem do niego kilka zdań w jego ojczystym języku. Od tej chwili zdobyłem jego zaufanie.

Dwa dni nie odchodził ode mnie, doglądając jak małego dziecka, i od niego dowiedziałem się nieco szczegółów.

Stacja rozlokowana była na brzegu rzeki na północ od Rangunu, akurat przy drodze biegnącej do tego portu, który znajduje się na brzegu Zatoki Bengalskiej na zachód od granicy Tay. Millroysa przewano tutaj „węzowym profesorem”, dlatego że ślęczał całymi dniami w laboratorium nad jadowitymi węzami, i uważano go za bardzo bogatego człowieka.

Na trzeci dzień poczułem się zupełnie zdrowy i mogłem nieco bliżej zapoznać się ze stacją naukową.

Składała się z jednego murowanego domu, gdzie znajdowały się laboratoria i pokoje profesora, i z kilku bungalowów, w których mieszkała jego asystentka miss Lizzie, tuziemiec-kierowca i kilku służących-Chińczyków. Za wysokim murem rozpościerał się duży park tropikalny, gdzie profesor hodował wszelakie rodzaje węzów.

— Poświęciłem się, Pingle, badaniom nad jadami różnych węzów — powiedział Millroys wprowadzając mnie do parku. — Sądzę, że można je wykorzystać do leczenia niektórych chorób zakaźnych. Ale jady, zbierane tutaj, potrzebne są przede wszystkim do przygotowywania odtrutek przeciw ukąszeniom tych gadów, które pan przed sobą widzi...

Szliśmy ścieżkami między szeregami klatek z gęstą siatką, w których znajdowały się węże.

— Przecież w Indiach od ukąszeń węzów ginie niejedyn tysiąc ludzi, a w Brazylii, powiedzmy, ofiarą ukąszeń pada około dwudziestu czterech tysięcy ludzi rocznie. Oczywiście, że najlepszą profilaktyką byłoby masowe wytepienie węzów, ale skoro człowiek został już ukąszony, trzeba go ratować szczepieniem...

Park „węzowego profesora” zadziwił mnie. Część jego uprawiona była pod starannie utrzymany ogród botaniczny, ze ścieżkami, klombami i zbiornikami wody, z których przelewała się szmerzącymi przyjemnie wodospadami. Tutaj Lizzie pokazała mi mnóstwo kwiatów i roślin, o których jedynie słyszałem na lekcjach botaniki. Ananasy i banany widziałem przedtem, ale dopiero teraz dowiedziałem się, że liście ananasa dają doskonałe włókno, przydatne na tkaniny, i że na przykład kurtka kucharza Cho zrobiona jest z „ananasowego płótna”.

Podobało mi się bardzo drzewo podróżników. W parku była cała aleja nimi wysadzona. Wierzchołek tego wysokiego drzewa wygląda jak wielki wachlarz z długich dwurzędowych liści podobnych do liści palmowych. Jednak to nie palma, ale drzewo z rodziny bananowych. Powietrze w parku nasycone było silnym aromatem jak w perfumeryjnym sklepie. Bujnie rosły wysokie trawy tropikalne, a wśród nich — imbir, kardamon, wanilia. Olbrzymie ekscentryczne orchidee zachwyciły fantastycznym zarysem kwiatów, pachnących niczym tysiąc odkorkowanych flakonów z najlepszymi perfumami. Okazało się, że wanilia również należy do rodziny storczykowatych, czego dotychczas nie wiedziałem. Ciekawe było dla mnie zobaczyć, że owoce drzewa kakaowego wyrastają bezpośrednio z pnia, a nie na gałęziach. Jest to nieduże drzewo z ciemnozielonymi liśćmi. Dojrzałe owoce, o czerwonej lub pomarańczowej

barwie, są nieco większe niż ogórek. W soczystym miąższu owocu znajdują się liczne nasiona. Właśnie one są tym kakao, z którego robi się olej kakaowy, proszek kakaowy i czekoladę. Już przed Kolumbem mieszkańcy Ameryki środkowej przygotowywali z tych nasion pożywny napój i nazywali go „czokolatl”. Stąd też pochodzi nazwa „czekolada”.

Część parku zachowana była w dziewiczym stanie dziko rosnącego lasu tropikalnego. Było tutaj bardzo dużo palm, ale ani jednego drzewa iglastego. Palmy — źródło dobrobytu tuziemców. Dostarczają one pożywienia — daktyli i orzechów kokosowych oraz materiału budowlanego i włókna. W poemacie indyjskim „Braharadge” wymieniono przeszło trzysta pięćdziesiąt sposobów wykorzystania palm dla dobra człowieka. Widziałem palmy pandusowe z napowietrznymi korzeniami, drzewa muszkatowe, magnolie, wiele odmian lauru, agawy i jukki. Długie pędy lian, przeciągnięte od drzewa do drzewa, tworzyły gęszcz nie do przebycia, w którym rozlegał się wrzask małp, skaczących z gałęzi na gałąź, i śpiew najprzeróżniejszych ptaków.

Szczególnie mocne wrażenie wywarł na mnie bengalski banian z rodziny fikusowatych. Nasiona banianu roznoszą ptaki pozostawiając je na gałęziach drzew. I oto z początku banian zaczyna rósć wysoko na innym drzewie, nie stykając się z ziemią, podobnie jak wyrasta niekiedy na gruzach brzoźka albo osika. Z biegiem czasu banian wypuszcza ze swego pnia długie napowietrzne korzenie. W skrętach zwisają one niczym tłuste węże. Dosięgnąwszy ziemi, krzepko się w niej umacniają i przekształcają w potężne kolumny podpierające olbrzymią, w kształcie namiotu, koronę banianu. Drzewo, które początkowo dało przytułek nasionom banianu, zgniło w tym czasie, ale za to pozostał ogromny twór flory, pod którym z powodzeniem można umieścić kilka wysokich bungalów.

Na pierwszy rzut oka nic nie wskazuje na śmiertelne niebezpieczeństwa czyhające tutaj. W tej urzekającej ciszy przyjemnie było rozmyślać nad majestatyczną pięknnością drzew oraz przepychem traw i kwiatów.

Ale wśród nich były miejsca oparkanione, gdzie przebywały najrozmaitsze rodzaje węzów. Te, które mogły wspinać się na drzewa, znajdowały się w zamkniętych klatkach. Pozostałe — za ogrodzeniami; gady te można było swobodnie obserwować.

Profesor zaproponował mi pracę stróża w parku. Zgodziłem się. Kilkakrotnie osobiście pokazał mi, jak należy obchodzić się z węzami.

Millroys, miss Lizzie i ja wciągaliśmy wysokie buty gumowe i uzbrajaliśmy się w specjalne kije, rozwidlone z jednego końca. Profesor, niczym zapalony myśliwy, włożył w zarośniętą trawą chaszczę. Trzeba było wyszukiwać nory, szperając pod kamieniami, i wywabiać węże na światło dzienne. Widełkami kija przyciskało się głowę gada do ziemi i, podczas gdy ten wił się, mocno ujmowało się go tuż przy głowie i wrzucało do brezentowego worka. Millroys wykonywał to bardzo zręcznie. Miss Lizzie nie pozostawała za nim w tyle. Ja też nie chciałem uchodzić za tchórza. Profesorowi spodobało się, że już na pierwszym pokazie chwytania węzów, rozmnażających się na wolności w parku, nie okazałem strachu.

Udało mi się schwytać dwa czerwonawe wężyki, a trzeciego gorliwie starałem się wyciągnąć spod kamienia.

— Pingle, pan natknął się na gniazdo doliophisów — powiedziała, przysunąwszy się do mnie, miss Lizzie.

— Niezupełnie panią rozumiem — odpowiedziałem głosem pełnym szacunku, patrząc w błyszczące czarne oczy Lizzie.

— Przecież to doliophisy — uśmiechnęła się Lizzie prawie pieszczotliwie. — I pan się nie boi?

— Bać się? Strach, według mnie, to przeżytek utrudniający ludziom rozprawianie się z przyrodą — odpowiedziałem skromnie, powtarzając słowa zasłyszane kiedyś od Władcy Hien.

Lizzie pomogła mi przyzwycząić się do mojej niepowседневnej pracy. Nieduży żwawy Chińczyk Li zamiatał co rano ścieżki w parku, potem wspólnie wybieraliśmy węże tego gatunku, który zamawiał profesor, i odnosiliśmy te syczące skarby w zamkniętych koszykach do laboratorium. Tam, o ile mogłem się zorientować, Millroys i Lizzie zbierali jad i w jakiś sposób go przerabiali. W każdym bądź razie co tydzień przyjeżdżał z Rangunu nieduży samochód ciężarowy i wywoził opakowane starannie skrzynki z ampułkami. Na skrzynkach wypisane były adresy odbiorców — firm amerykańskich trudniących się przygotowaniem preparatów leczniczych.

Jakoś raz się zdarzyło, że przyniosłem do laboratorium pełny koszyk węzów lachesis. Profesor łaskawie kiwnął głową.

— Właśnie przed chwilą rozmawialiśmy o panu, Pingle. Mówiłem miss Lizzie o panu jako o roztronym i odważnym człowieku.

Dziewczyna badała pęsetą paszczę jakiegoś gada, którego trzymała w lewej ręce.

— Nie uważa pan, panie Pingle, że należałoby nieco bliżej zapoznać się z mieszkańcami parku? — spytała.

— Z największą przyjemnością! — odpowiedziałem porywczo.

— Miss Lizzie udzieli panu kilku lekcji — powiedział profesor. — Prawdopodobnie w szkole hrabstwa na lekcjach biologii prowadzono z panem dysputy o chrząszczach i motylach? — uśmiechnął się.

— Ukończyłem średni kurs w Dijanie — wyrzekłem z godnością.

— Tym lepiej — pochwalił profesor. — Chociaż i tam, sędzę, niewiele pan słyszał o węzach.

Następnego ranka Lizzie przysłała do parku i zapytała:

— Klatki gotowe, Pingle?

— O tak, miss! Dzień dobry.

— Dzisiaj mamy pierwszą lekcję — surowo powiedziała dziewczyna. — Przejdźmy do południowej części parku.

Szliśmy szerokimi piaszczystymi ścieżkami zalanyymi promieniami słońca. Ociężałe liście kaktusów leniwie rozłożyły się na gorących skałach pokrytych błękitnymi i różowymi liszajami. Lizzie zatrzymała się w pobliżu kamienia oplecionego lianami o delikatnych listkach.

— Będziemy musieli usunąć z parku wszystkie dorosłe okazy mussur. Tak się rozmnożyły, że niezdługo zjedzą wszystkie nasze lachesisy. Pokażę panu, jak należy się obchodzić z mussurami. Są niejadowite, ale mogą ukąsić. Wydzielina ich gruczołów nadaje się jako rozpuszczalnik do innych stężonych jadów.

Lizzie z powagą włożyła grube rękawice, przeznaczone do chwytania węzów, i szybko odrzuciła kamień. Gady, ukryte pod nim, zasyczały.

Z półtorej godziny polowaliśmy w parku, chwytając brązowe, o białych brzuskach mussury i wsadzając je do trzcinowych klatek. Potem przekazaliśmy je Li w celu zniszczenia.

— Niech pan, Pingle, stara się zapamiętać nazwy węzów — mówiła Lizzie. — Trzeba obserwować ich przyzwyczajenia, istotnie, szkoda, że w college'ach nie ma wykładów z nauki o węzach...

Tak, profesor słusznie podkreślił, że na lekcjach naszych mówiono o motylach i chrząszczach. Coś niecoś pamiętałem Jeszcze o szczyhawkach, tępiących gąsienice, i chrząszczach-pływakach, odżywiających się larwami komarów. Wiedziałem, że chrząszcz-skróćik niszczy larwy much, a chrząszcz-sprężyk znany jest z tego, że gdy go się położy na plecach, to potrafi podskoczyć i znowu stanąć na wszystkich swoich sześciu łapkach. Słyszałem o

chrząszczach-kołatkach i chrząszczu-kradniku, który w chwili niebezpieczeństwa zwija się w niedostrzegalny zwitek.

Ale węże... Im dłużej słuchałem wykładów Lizzie, tym bardziej zachwyciałem się pracą naukową hodowców węzów. Lizzie była wytrwałą i cierpliwą nauczycielką, a ja znowu poczułem się ashwharfskim sztubakiem.

Oto żółty cieniutki wężyk zwinął się w kłębek na piasku. Lizzie z lekka podrażniła go szklaną pałeczką i gad otworzył pyszczyk, gdzie wśród drobnych zębów drżał rozszczepiony języczek niczym pajęczynka na przeciągu. Chytre oczka nabiegły przyczajoną złością. Lizzie powiedziała:

—Powtórzmy najważniejsze, Pingle. Naukowa nazwa węzów w ogóle?

—Ophidia.

—Słusznie. Należą one do...

—Podrzędu reptilia, inaczej gadów.

—Słusznie. Do typu strunowców. Węże cechuje brak nóg. Dzielą się na kilka rodzin: węże dusiciele, węże wodne, żmije. Jaki to wąż? No, Pingle...

Żenując się i jękając niczym pierwszoklasista odpowiedziałem:

— To młody tarbophis z rodziny węzów wodnych. Jego dolna szczęka jest nieruchoma i skierowana w przód. Według kształtu i umieszczenia zębów węże te należą do grupy tylnobruzdkowatych...

— Dobrze — pochwaliła Lizzie. Wziąwszy węża do ręki, pałeczką otworzyła mu paszczkę. — Proszę patrzeć uważnie, Pingle. Węże należące do tej grupy nazywają się jeszcze zwodniczo niejadowitymi. Widzi pan przewód gruczołu wargi górnej? Wydzielina jego jest trująca, ale zęby tarbophisa, podobnie jak i całej tej grupy, mieszczą się bardzo daleko i praktycznie rzecz biorąc, ugryźć on nimi nie może. Chyba że wsunie się w paszczę węża mały palec.

Uważałem za słuszne głośno zauważyć:

—Wątpliwe, czy ktoś będzie miał ochotę to zrobić...

Po prawie półtoramiesięcznej nauce Lizzie życzliwie powiedziała:

— Zrobił pan duże postępy. Przyjemnie mi będzie zakomunikować o tym profesorowi.

W parku „węzowego profesora” zrozumiałem, jak wiele daje człowiekowi bezpośrednia obserwacja zwierząt. Węże... Według słów Lizzie jest chyba z półtora tysiąca rodzajów tych gadów. Należą one do odmiany jaszczurek, które w ciągu milionów lat istnienia naszej planety przystosowały się do pełzania na brzuchu i przełykania pokaźniejszej zdobyczy w całości. Dlatego zniknęły u nich zbędne przy pełzaniu kończyny, a do przełykania większej zdobyczy wytworzyło się charakterystyczne przysposobienie — węże mają ruchome nie tylko szczęki, ale i resztę kości dolnej części czerepu! Oto dlaczego mogą one tak szeroko rozdziawiać paszczę, która wydaje się przy tym niewspółmiernie wielka w porównaniu z ich głową.

Bardzo ciekawe jest, że powieki węzów są nieruchome. Są przezroczyste i zrośnięte jedna z drugą; przykrywają oczy węzów podobnie jak szkiełka zegarki. Być może, iż to nadaje spojrzeniu węża szczególny, odrażający wyraz?

Tak się zżyłem z ophidiami, że gdy nawet we śnie zobaczyłem wielkie ilości dusicieli, nie doznawałem strachu, ale odwrotnie, podejmowałem z nimi walkę. Orientowałem się w zdradliwych nawykniach karlikowych dusicieli, które czyhają na ludzi w piaskach pustyni. Poznałem narowy węzów-strzał, które wlażą na gałęzie drzew, ażeby stamtąd spadać na ofiarę niczym strzały wypuszczone z mocno naciągniętego łuku. Nauczyłem się doglądać węzów koralowych, wspaniale malowanych kobr i żalobnych kolczatek, tych najniebezpieczniejszych wrogów człowieka. Ani jeden ancistrodon nie mógł się ukryć przede mną w trawie, a grzechotniki umiałem rozpoznawać z odległości czterdziestu stóp.

Pewnego razu kucharz Cho poskarżył się, że myszy polne zagnieździły się w spiżarni i

niszczą produkty. Profesor zarządził, ażeby dostarczyć z parku z dziesięć węzów iig-szu. Li wytrząsnął je z koszyka przed kuchnią. Te półorametrowe iig-szu były chude i podobne do rzemiennych pasków. Rozejrzawszy się, poważnie popęzły do bungalowu, gdzie przechowywane były nasze zapasy żywnościowe, dość zwinnie wspięły się po schodach i rychło uspokoiły się na poddaszu, jak gdyby zawsze się tam gnieździły.

Gdy w nocy obchodziłem park, ażeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, Chińczycy zawołali mnie do kuchni. Słychać tam było przytłumione odgłosy. To iig-szu, niezrównane myszołowy, opychały się niszcząc małe gryzonie.

— Żaden kot nie może im dorównać — zauważył profesor wchodząc ze mną rano na poddasze. — Niech pan, Pingle, nacieszy swój wzrok...

Na poddaszu leżały, wyciągnąwszy się, iig-szu, ale to nie były poprzednie chude, cieniutkie węże. Leżały tam grube stworzenia, napchane myszami do syta, i smacznie spały. Nie ma na świecie takiej siły, która byłaby w stanie obudzić iig-szu wtedy, kiedy się on nasyci. Trzeba czekać tak długo, dopóki iig-szu nie przetrawi jedzenia. Wówczas wąż budzi się i można go przenieść na nowe miejsce, gdzie zagnieździły się myszy. Tam, gdzie przebywały iig-szu, myszy nie ośmiela się zjawić przynajmniej przez pół roku.

Li zbierał śpiące stworzenia do koszyka, a Cho opowiadał profesorowi, jak to służył przedtem u misjonarza francuskiego w Kambodży i jak myszy polne urządziły najście na bungalow świątobliwego ojca. Zjadły mu wszystkie zapasy, całą bibliotekę, obuwie i ogryzły nogi łóżka, a misjonarz spędził tydzień w hamaku, umierając z głodu i zachwycając się tym, co wyczyniały w jego domu te polne diabła.

— Oto co się zdarza — rzekł profesor — gdy pod ręką nie ma się iig-szu lub co najmniej dobrego kota.

Opinia Lizzie o moich postępach spowodowała, że profesor mi oznajmił:

— Trzeba będzie poszukać innego stróża, a pana, Pingle, będę stopniowo wdrażał do pracy w laboratorium.

Z pewnym lękiem włożyłem biały fartuch laboratoryjny.

— Z pana, Pingle, będzie dzielny laborant — zauważył profesor — jeżeli będzie pan trzymał się cennej zasady. „Czystość i dokładność przede wszystkim”. Sam będę pana uczył. Być może nic pan nie straci w porównaniu z wyższym kursem Dijanu...

Millroys odnosił się do mnie, podobnie jak i wszyscy na stacji, bardzo życzliwie i zaczął po trochu przyuczać mnie do laboratoryjnej techniki. Dowiedziałem się, że wszystkie jady węzów pod względem działania na organizm ludzki dzielą się na dwa rodzaje: jedne z nich paraliżują system nerwowy, drugie wywołują zakażenie tkanek.

Moc jadu sprawdzano w laboratorium na świnkach morskich. Prócz tego zajęcia profesor pracował jeszcze osobno w swoim gabinecie i do moich obowiązków należało przygotowywanie mu czystych próbek i kolb.

Nauczyłem się już sporządzać niezbyt złożone roztwory i nie mogłem doczekać się chwili, kiedy będzie przyjęty nowy stróż i profesor ostatecznie przesunie mnie do laboratorium.

3

Wszystko szło jak najlepiej. Nieszczęście spadło na mnie nieoczekiwanie, gdy rozpoczęła się nade mną łaska bezchmurnego nieba.

Zaczęły ginąć z parku najrzadsze okazy węzów — dwustopowe dżyrry. Millroys skupował je od tuziemców po kilka pajs za sztukę i wpuszczał do parku. Dżyrry, jak wiadomo, gnieźdzą się w krzakach na wschodnich stokach Himalajów. Profesor w żaden sposób nie

mógł wybrać się sam na taką daleką ekspedycję, a tuziemcy widocznie potrafili co tydzień pędzić po te węże tam i z powrotem, co było, jeśli się zastanowić, nadzwyczaj zagadkowe. Dlatego Millroys szczególnie cenił dżyrry. Wysuszony jad dżyrr, jak również węzów lachesis, można było przechowywać dłużej niż dwadzieścia lat i nie tracił on swoich śmiertelnych właściwości — zabijał w ciągu pięciu, siedmiu godzin. Odtrutki, które przygotowywał z nich Millroys, ratowały człowieka od niechybnej śmierci. Dlatego „węzowy profesor” dosłownie trząś się nad tymi tworam piekła. I oto dżyrry zaczęły w tajemniczy sposób znikać, jak by zapadały się pod ziemię. Obszukałem wszystkie znane mi w parku nory i szczeliny. Być może dżyrry przekopały sobie podziemne przejścia? Ale to, jak twierdziła Lizzie, nie leżało w ich usposobieniu. Sprawdziłem dokładnie całe ogrodzenie. Wysypałem ścieżki świeżym piaskiem z myślą, że zobaczę z rana po śladach, dokąd popełzli nasi jeńcy. Ale nic z tego. Zameldowałem o tym wszystkiemu profesorowi. Ku mojemu zdumieniu Millroys wpadł we wściekłość. Tak krzyczał na mnie, jak gdyby podejrzewał, że potajemnie smażę sobie jego węże na kolację albo solę je na zapas, tak jak gospodynie ashwharfskie solą minogi.

Zmartwiony zwróciłem się do Lizzie. Poradziła mi obserwować Chińczyków, ale ci byli dla mnie poza wszelkimi podejrzeniami.

Złodziej! To stało się dla mnie jasne, gdy pewnej ciepłej, bezksiężycowej nocy dwanaście największych dżyrr zniknęło z parku. W pierwszych promieniach wschodzącego słońca dojrzałem na świeżym piasku jednej z bocznych ścieżek parku odciski bosych stóp.

„Aha! — pomyślałem. — Chwilowo nie będę o tym zawiadamiał rozgniewanego profesora i jego asystentki, przypilnuję, złapię i przyprowadzę złodziejczka za kołnierz. Niech »węzowy profesor« dowie się, kto odżywia się jego jadowitą zwierzyną”.

Po wyjściu z parku obejrzałem każdy cal terenu koło muru, którądy, według mego przypuszczenia, mógł przełazić nieznany złodziej. W pobliżu przebiegała droga do Rangun. Ustronna, odludna ścieżynka wiła się w bok od drogi i dochodziła do ogrodzenia parku; Zaczęło mnie to zaciekawiać.

Wieczorem, gdy stacja pogrążyła się we śnie, przygotowałem grubą bambusową pałkę, włożyłem miękkie buty gumowe, w których nieraz łąziłem po basenach wyławiając węże wodne, sprawdziłem latarkę elektryczną, wsunąłem do kieszeni kastet, wypożyczony od Cho, i zamknąwszy bramę oraz furtkę, postanowiłem wyjaśnić tajemnicę.

Całą noc uczciwie czuwałem nie zamykając oczu i tak bezszelestnie obchodziłem park wzdłuż muru, że mógł mi tego pozazdrościć afrykański boomslang — najchytrzejszy wąż na świecie. Ale nic się nie wydarzyło. Rano przeliczyłem dżyrry. Nie brakowało ani jednej. W taki to sposób przez cztery noce z rzędu dyżurowałem w parku z zamiarem połamania pałki na plecach złodzieja, ale ten się nie zjawiał.

Piątej nocy usłyszałem delikatny szmer całkiem niepodobny do szelestu ancistrodona lub pobrękiwania grzechotnika. Węże spały i nie miały powodu ruszać się w krzakach.

Cichutko, niczym kotek, stąpając w gumowych butach, zdążyłem podkraść się do wschodniej ściany muru akurat w porę. Cień człowieka z workiem na plecach gramolił się na mur, ale chwyciłem złodzieja za bosą nogę i ściągnąłem go z powrotem do parku.

— Leż, szatanie, i nie ruszaj się! — wyszeptałem. — Zanim przyprowadzę cię do straty fizyczne w postaci siniaków, mam ochotę popatrzeć z upodobaniem na twoją fizjonomię.

— Na wszystkie świętości, niech mi pan przebaczy — usłyszałem w ciemnościach płaczliwy głos. — Przysięgam panu, że nie jadłem cztery dni...

Przy świetle latarki ujrzałem zawstydzoną twarz białego. Początkowo sam się zdetonowałem, ale przyjrzawszy się uważniej rysom twarzy złodzieja, poczułem jeszcze większy przypływ wściekłości.

— Niech pan nie opowiada bajeczek — wyszeptałem zgrzytając zębami. — Mnie to nie obchodzi, że jadł pan w zeszłym tygodniu. W jaki sposób i dlaczego znalazł się pan tutaj?

Złodziej milczał, ciężko wzdychając, jak gdyby kajał się.

— Jak to pan skombinował, ażeby kraść dzyrry? Kto pan jest?

— Czy nie wszystko jedno kto — odpowiedział złodziej. — Niech mnie pan puści. Potrafię się odwdziżyć.

I cicho się roześmiał.

— A jakże! Pan znowu znalazł się na mojej drodze! Ażeby to diabli! Doskonale znam pańską wstrętą fizjonomię.

— Czyżby?

— Tak. Pan przegrał do mnie zakład w Belle Harbor i haniebnie uciekł nie zapłaciwszy dolara. Ale znalazłem pana na krańcu świata i teraz się porachujemy.

Tak, to był ten sam dżentelmen, który karmił mnie bajeczkami o czempionie Blake Snake'u. Teraz błagał pokornym głosem:

— Niech pan zabierze swoje kolana z mojej piersi. Z trudem wytrzymuję sto funtów pańskiego ciężaru...

— W jaki sposób kradł pan dzyrry? — nalegałem przygniatając złodzieja. — Pokaż pan rękawice...

— Chwytałem je bez rękawic, przysięgam...

— Głupi w to uwierzy — odezwałem się znając nawyknięcia jadowitych dzyrr.

— Wszystko panu opowiem, słowo daję. Tylko niech mnie pan nie gniecie — wymamrotał złodziej.

— Niech pan odda broń — zażądałem.

— Oto moja broń.

W świetle latarki zobaczyłem dziesięć gołych palców złodzieja. Wówczas wspaniałomyślnie zezwoliłem:

— Niech pan wstanie i opowie. Nie należy wykonywać zbędnych ruchów, bo zastrzełę pana.

Złodziej wymamrotał przeprosiny.

Historia stawała się zbyt interesująca, dlatego nie chciałem od razu wszczynać alarmu. Ciekawe było poznać śmiałka, któremu przyszło do głowy kraść jadowite węże i włóczyć się boso po naszym parku, w dodatku nocą.

Sapiąc i głęboko oddychając złodziej usiadł na ławce. Worek z dzyrrami leżał spokojnie obok naszych nóg. Na wszelki wypadek nie wypuszczałem pałki z ręki.

— Nie umiem opowiadać — posepnie zaczął złodziej ostrożnym szeptem, jak gdyby się bał, że może nas ktoś podsłuchać. — Nazywam się Vandock. Jestem w tej chwili bez pracy i kradnę z głodu.

— A dawniej? — spytałem.

— Co dawniej? Całe życie przeżyłem włóczęgając się po szerokim świecie. Były wesole dzionki, gdy nosiło mnie pod tropikami od Panamy do Zanzibaru i Afryki środkowej. Polowałem na lwy w Ugogo i na goryle na Celebesie. Los rzucał mną z New Yorku do Macao i odwrotnie. Po Belle Harbor rzuciłem kotwicę w Rangunie. Pozwoli pan, że o przyczynach tułaczki będę milczał. Ale, jak powiada indyjskie przysłowie, „mędrcom wystarczy aluzja”. Mówiąc nawiasem, czy nie ma pan w kieszeni chociaż skórki chleba? Przez cztery dni zapomniałem jej smaku... Nie? Dobrze. Otóż, jeżeli zdrowy, silny człowiek nie ma pracy na tym świecie, to gotów jest zająć się badaniem węzowych nawyków, byleby to dało mu możliwość codziennego zdobycia gorącej stawy. A stało się to tak. W roku zeszłym dźwigałem walizy jakimś tam geologom królewskiej ekspedycji w Himalajach i wtedy spostrzegłem, że te przekłete dzyrry chowają się na noc pod krzaki i śpią spokojnie jak wszystkie zgodne stworzenia. Okazuje się, że w ciemnościach są one łagodne jak baranki i wcale nie kęsają. Geolodzy odjechali przez Bombaj do Królestwa, a mnie zostawili, bym dalej włóczył się po ulicach. Dla bezrobotnego ulice wszystkich miast są jednakowe i wiele rzeczy musiałem doświadczyć. Uczyłem się sztuki fryzjerskiej i praktykowałem na głowie gospodarza, dopóki przypadkowo

nie odciąłem mu połowy ucha. Rzecz prosta, potem cały dzień wylegiwałem się na śmietniku za miastem, wypluwając z ust okruszyny zębów. Służyłem u handlarza masłem i uczyłem się języka perskiego. Los prowadził ze mną bardzo podstępą grę. Ale po co ja to wszystko panu opowiadam? Syty głodnego nie rozumie. Co handlarz naftą może wiedzieć o zapachu piżma? Dzięki i za to, że nie rozłupał mi pan głowy pod murem. A teraz niech pan wezwie ludzi i zamknie mnie gdziekolwiek do jutra. Tylko najpierw niechaj mnie pan nakarmi, a rano może pan odesłać do sędziego. Cóż, nie udało się! Wybrał się dureń na polowanie, a jego samego postrzelili. Zmęczyło mnie takie sobacze życie. Lepiej się powiesić...

Powodując się mimo woli współczuciem powiedziałem temu mędrcomi:

— Wierzę w to, co widzę, a nie w to, co słyszę. Pokaż pan te swoje sztuczki.

Okazało się, że Vandock nie skłamał. Rzeczywiście, nawyknięcia dzyrr znał doskonale. Węże te, złe podczas dnia, po zachodzie słońca stawały się łagodne i spały spokojnie. Vandock w mojej obecności szperał gołymi rękoma w krzakach i zbierał złośliwe dzyrry, jak gdyby to były grzyby, po czym spokojnie pakował je do worka jak nowo narodzone szczenięta. Tak jest, każdy zarabia na chleb w ten sposób, w jaki zmusza go do tego los.

Brezentowy worek Vandocka napęczniał niczym gęsto tkana poszewka nabita kukurydzianą słomą.

— A teraz, kochanie, niech pan wytrząśnie zdobycz na ziemię — oschle powiedziałem Vandockowi. — Daruję panu dolara i dorzucam pół rupii. — Wyjąłem z kieszeni monetę. — Wynos się pan stąd, ale pod warunkiem, że już nigdy nie zobaczę pana w parku.

— Ależ nie — uśmiechnął się Vandock. — „Wężowy profesor” nie zrujnuje się z powodu kilku pajsów, którymi przepłaca mi dzyrry. A z pańskiej groszowej pensji nic nie wezmę. Dopóki nie nadejdą dla mnie lepsze czasy, dopóty będę przyłaził tutaj...

Wypowiedział to skromnie, prawie wstydliwie, i zrobiło mi się żal chłopca.

Jeżeli nie ruszę jego łupu, to jutro sam albo przez podstawionych chłopców sprzeda profesorowi zawartość worka, pójdzie do knajpy i naje się po raz pierwszy od czterech dni. Jeżeli jednak uderzę na alarm, to nie uda mu się wykręcić od więzienia.

Byłem przeznaczeniem Vandocka. Trzeba się było decydować. Wypuścić go? A jeżeli ten diabeł będzie dalej składał wizyty, to gospodarz zacznie mnie karać za to, że nie dość dobrze pilnuję mienia powierzonego mojej pieczy.

— Nie pożałuje pan tego, dobry człowieku, jeżeli kiedyś porozmawia pan jeszcze ze mną — przerwał moje rozmyślenia Vandock takim samym żalonym głosem. — Słowo daję, gady te są teraz całym moim utrzymaniem. Proszę mnie tego nie pozbawiać. Doprawdy dla profesora to niewielka strata... Skoro tylko znajdę pracę, zerwę z tym procederem.

W owej chwili przeżyłem bardzo wiele. Przypomniałem sobie jasno i wyraziście, jak to sam głodowałem podobnie jak ten włóczęga... Małodusznie uległem prośbie chytrookiego oszusta.

— Zostaw pan dla siebie z dziesięć dzyrr — powiedziałem Vandockowi zgasiwszy latarkę. — Niech pan nimi handluje i życzę panu dobrego apetytu, gdy jutro zacznie pan jeść polewkę. Tylko warunek: niech pan nie niepokoi dzyrr częściej niż raz w tygodniu.

— Dziękuję panu — radośnie wybełkotał Vandock rozwiązując worek.

Szybko załatwił się z dzyrrami. Słychać było, jak węże kłapały o ziemię, rzucane na odległy trawnik.

— Bardzo mi było przyjemnie odnowić z panem starą znajomość — już bardziej swobodnie powiedział Vandock ładując na plecy uszczuplony nieco worek. — Zostawiłem dla siebie osiem okazów. Na razie to mi wystarczy. Pozwoli pan, że odwiedzę park w środę, ponieważ w czwartek zaczyna się pełnia.

— Zmiataj pan stąd — wyszeptalem — może się pan zjawiać i w czasie pełni. W środę będę spał od pierwszej do drugiej w nocy. Ale w ogóle to niech się pan postara jak najprędzej wynieść z naszej okolicy na zawsze.

— Ależ pan jest wspaniałomyślny! — wybąkał Vandock i zniknął.
Słyszałem jego szybkie kroki, lekki skok i wszystko ucichło.

Wokół mnie zapadła milcząca noc tropikalna. Ale na sercu było mi smutno, żałowałem Vandocka i byłem z siebie niezadowolony.

4

— A czy nie przyszło pani na myśl, miss Lizzie, że dzyrry są zjadane przez jakieś zwierzęta? — zapytał Millroys asystentki, gdy w dzień zawiadomiła go o braku dzyrr. — Mimo wszystko jeszcze bardzo mało wiemy o zachowaniu się gadów. A pan co myśli, panie Pingle?

— Należałoby mi dać Li do pomocy — odpowiedziałem. — We dwóch łatwiej wypatrzyć, dokąd dzyrry znikają.

— Nie docenia pan, Pingle, własnych zdolności. Jestem przekonany, że pan złapie uciekinierów. Ale nie będziemy zaprzętać sobie głowy drobnostkami. W tych dniach przyjeżdża tutaj mój siostrzeniec Rolls i załatwi tę sprawę. A pan, Pingle, będzie łaskaw przygotować roztwór według tej oto formuły...

Na stole laboratoryjnym leżała notatka. Zdziwiłem się, dlaczego profesor napisał formułę, skoro zwykle przygotowywałem roztwór na podstawie jego słów.

— I niech pan się pośpieszy — surowo powiedział Millroys. A zwracając się do Lizzie, pracującej obok, powrócił do rozmowy przerwanej moim przyjściem. — Będzie pani, Lizzie, całkowicie oczarowana moim siostrzeńcem. Nadzwyczaj utalentowany człowiek. Kilka lat mieszkał na Jawie, napisał książkę o owadożernych roślinach. Teraz na długo jedzie do Australii badać florę jej południowego wybrzeża. Pragnie skorzystać z niektórych moich rad. Jestem chyba niezłym organizatorem...

— O tak! — mimowolnie wyrwało mi się.

Millroys powoli odwrócił głowę w moją stronę:

— Ach! Pingle, pan jeszcze tutaj? A ja sądziłem, że roztwór jest już gotowy. Otóż, Lizzie, skorzystamy z krótkiej wizyty Rollsa i sprawdzimy to doświadczenie, o którym pani mówiłem. Przy sposobności załatwimy także sprawę dzyrr. On powinien doskonale wiedzieć. Przecież on...

W tym momencie roztwór był gotowy.

— Zrobione, profesorze — powiedziałem.

Lizzie z niezadowoleniem popatrzyła na mnie.

— Jakżeż mnie pan przestraszył, panie Pingle!

— Dziękuję panu, Pingle — powiedział profesor. — Ja sam przefiltruję roztwór.

Pozostało mi uklonić się i opuścić laboratorium.

Po kilku dniach, jakoś z rana, Li powiedział do mnie:

— W nocy przyjechał siostrzeniec gospodarza.

Miałem wielką ochotę popatrzeć na gościa, ale w parku było właśnie dużo roboty i w żaden sposób nie udawało mi się zobaczyć przybysza.

Po dwóch dniach Lizzie zarządziła, ażeby przenieść kilka klatek na stronę słoneczną. Pracowałem w pocie czoła razem z Chińczykami. Przenosząc klatkę zobaczyłem przez furtkę nieznanego mi człowieka, rozmawiającego z Lizzie na tarasie domu. Człowiek ten siedział na balustradzie tyłem do mnie, gwałtownie gestykułował i prawdopodobnie opowiadał coś śmiesznego, ponieważ Lizzie śmiała się tak, że śmiech jej dochodził aż do mnie.

— Mój Boże... Niechże pan, panie Rolls, da spokój! Pan mnie zamęczy, panie Rolls!

Oczywiście, że to nie mógł być nikt inny, tylko młody siostrzeniec profesora. Niewąt-

pliwie gospodarz mój bardzo lubił Rollsa, ponieważ Cho pitrasił w kuchni jak najbardziej wykwintne dania, a kiedy niósł obok mojego bungalowu trzy nakrycia do stołowego pokoju profesora, to mrugał porozumiewawczo :

— Po obiedzie przyniosę panu jeszcze coś niecoś smakowitego.

W laboratorium Lizzie pracowała samotnie. Profesor przesiadywał z siostrzeńcem, zamknąwszy się w swoim prywatnym gabinecie, i pracował do późnej nocy. Widziałem oświetlone okno gabinetu, gdy godziny nocnego dyżuru spędzałem w parku. Do prac profesora potrzeba było bardzo dużo materiału to z wiwariów, to z magazynu, i ja dosłownie się rozrywałem. Biedna Lizzie też się umęczyła. Wreszcie z ulgą powiedziała:

— Rolls odjechał dzisiaj wczesnym rankiem. Jaki czarujący człowiek, nieprawdaż, panie Pingle?

— Niestety, nie przedstawiono mnie mister Rollswi. Widziałem go na tarasie...

Lizzie oblała się rumieńcem.

— Widział pan? O, to czarujący rozmówca. Jakież niepospolity człowiek!

Zamyśliła się i twarz jej pograżyła się w smutku.

— Szkoda, że mister Rolls tak prędko odjechał — powiedziałem szczerze.

Gdy w południe wróciłem do laboratorium, spotkała mnie zaniepokojona Lizzie.

— Na litość boską, niech pan nie hałasuje. Proszę mówić szeptem i chodzić na palcach...

— Co się stało? — wyszeptałem.

— Profesor Millroys zachorował...

— Co mu jest? Wąż go ukąsił?

— Nie. żółta febra... Ostry atak... Leży nieprzytomny...

Dziewczyna miała łzy w oczach.

— Co za nieszczęście! Trzeba doktora... Przywieźć z Rangunu?

— Samochód wróci stamtąd dopiero na wieczór — smutnie powiedziała Lizzie.

— To ja polecę do wsi i wynajmę konia — zaproponowałem porywczo.

Lizzie nerwowo poruszyła ramionami.

— Ach, Pingle, profesor zna doskonale środki na żółtego Jacka! Przed chwilą zrobiłam mu pierwszy zastrzyk. Za godzinę zrobię drugi. Najprawdopodobniej sprawa ograniczy się do dwóch, trzech ataków, nie więcej. Przecież ja tutaj, nim się pan u nas zjawił, chorowałam na wszystkie rodzaje malarii i profesor mnie wyleczył. Ma on własny pogląd na choroby i doskonale daje sobie z nimi radę.

Millroys długo chorował i wszystko na stacji jak gdyby pograżyło się w żałobie. Lizzie była smutna i często dostrzegałem łzy na jej zmizerowanej twarzy. W laboratorium pracowała teraz sama. Wieczorem dostarczano pocztę, którą segregowała i zanosila do gabinetu choremu profesorowi. Lizzie również karmiła Millroya, dając każdego wieczora szczegółowe wskazówki Cho, co ma przygotować na dzień następny.

Na moje pytania o stanie zdrowia profesora, Lizzie tylko kiwała głową, ja zaś bolałem nad człowiekiem, który zapewne walczył ze śmiercią.

— Profesor wraca do zdrowia! — pewnego razu powiedziała do mnie radośnie Lizzie, przybiegłszy rano do parku. — Przysłała dla pana kartkę, oto ona.

Z radością przeczytałem słowa skreślone znanym mi już charakterem pisma:

„Drogi Pingle! Malaria porządnie mnie wymęczyła, ale już przychodzę do siebie. Mam nadzieję niedługo zobaczyć pana. Interesuję się bardzo pańską pracą. Proszę przeczytać książkę, którą da panu Lizzie. Niech się pan uczy, jeżeli do końca życia nie chce pan być stróżem”.

— Książka jest na tarasie. Niech pan ją przestudiuje. Trzeba się przygotowywać do pracy naukowej, Pingle — dodała Lizzie i pośpieszyła do laboratorium.

Owładnęło mną zniecierpliwienie, gdyż chciałem się dowiedzieć, co zaleca mi profesor,

i popędziłem do swojego bungalowu, gdzie na stole dostrzegłem książkę pt. „Biologiczne zagadki”. Książka oczarowała mnie od pierwszej strony. W Dijanie uczono nas, ażeby robić krótki konspekt z tego, co się przeczytało, i przepisywać najbardziej interesujące miejsca. Przecież wiele się zapomina, a króciutka notatka często odtwarza w pamięci treść całej książki.

Zacząłem więc robić niewielkie wyciągi z „Biologicznych zagadek”. Książka omawiała przyczyny powstawania chorób roślin, zwierząt i ludzi. Teraz przypominam sobie, co wówczas zapisywałem.

„Mikroby widoczne przez mikroskop, wywołujące choroby zakaźne, to zagadka rozwiązana na razie tylko połowicznie”.

„Istnieją również choroby zakaźne wywołane nie przez mikroby, lecz przez wirusy”.

„Co to jest wirus? Wirusem nazywa się w ogóle każde zakaźne prąźródło. Biologiczną zagadką są tak zwane wirusy przesączalne. Są one zdolne przenikać przez takie sączki, przez które nie mogą przejść mikroby nawet pod dużym ciśnieniem”.

„W roku 1892 rosyjski uczoney Iwanowski wycisnął sok z tytoniowych liści zakaźnych chorobą mozaikową. Sok ten, nawet w znikomych ilościach, zdolny był zakaźać rośliny zdrowe. Iwanowski chciał dociec, co jest przyczyną tytoniowej mozaiki. Może to mikrob? Byłoby wówczas ciekawe przyjrzeć mu się pod mikroskopem i zbadać jego właściwości w laboratorium, otrzymać go w czystej postaci”.

„Mikroskop nie wykrył mikroba mozaiki. Iwanowski przepuścił więc zakaźony sok przez sączkę o takich maleńkich otworach, iż nie mógł się przez nią przemycić nawet najmniejszy mikrob. Okazało się jednak, że tak oczyszczony z mikrobów sok całkowicie zachowywał zdolność zakaźania chorobą mozaikową zdrowych roślin tytoniu”.

„Dopiero po siedmiu latach, w roku 1899, uczeni doszli do wniosku, że wirusy to całkiem coś nowego. Od tej chwili datują się odkrycia, jedno bardziej zdumiewające od drugiego”.

„Już od roku 1555 w ogrodach Turcji hodowano bardzo ładne nakrapiane tulipany z fantastycznymi pręgami na płatkach. Uważano to za oznakę gatunku. Na przestrzeni wieków wyhodowano tysiące takich gatunków tulipanów. Ale okazało się, że nakrapianie tulipanów to nic innego tylko objaw choroby wirusowej. W roku 1928 dowiedziono tego bez żadnych wątpliwości”.

„Wirusy są powodem wielu, często bardzo ciężkich zachorowań. Odrę, ospę na przykład wywołują wirusy. Ospa owcza, dzuma świń, pryszczycza bydła rogatego, niedokrwiistość koni, śpiączka lisów i innych zwierząt futerkowych powodowana jest wirusem. Ospa lustrzanego karpia, gnilica pszczoł, choroby jedwabników — przyczyną tego są wirusy. Wirusy niszczą także wielkie ilości roślin. Zboża, owoce, kultury techniczne, drzewa owocowe — wszystko to cierpi z powodu różnych chorób wirusowych”.

Sam widziałem chorobę mozaikową tytoniu i wiem, jakie szkody i straty ona przynosi. Wirusy — to straszliwy wróg. Ale co to właściwie jest?

„Wirusów nie widać. Ich działanie otoczone jest tajemniczością. Istota ich jest nieznaną...” — mówiło się w książce.

Studiowanie tej książki pociągało mnie. A tymczasem mussury, długie pasiaste twory, znowu się rozmnożyły i trzeba było oczyszczać z nich park. W czasie wyłapywania tych węzów usłyszałem donośny głos Lizzie:

— Proszę wysłać terminowy telegram do doktora Rollsa!

Wydawała polecenie jednemu ze służących, udającemu się do Rangun w nieprzewidzianym czasie.

— Proszę powiedzieć w urzędzie telegraficznym, żeby nie pomylili adresu. Proszę go zapamiętać: Rolls-Mazatlan.

Słowo „Mazatlan” dlaczegoś mocno wryło się w moją pamięć. Zapamiętałem je. A wła-

ściwie lepiej by było, gdybym go nie zapamiętywał: było ono przyczyną niezwykłych przygód.

Tej nocy miałem dyżur w parku. Widziałem jaskrawo oświetlone okno gabinetu, gdzie pracował Millroys. Nietoperze z piskiem przelatywały koło okna. Ale profesorowi, zdaje się, nie bardzo przeszkadzały te piskliwe stworzonka. Sylwetka jego w pozie zaczytanego człowieka wyraźnie rysowała się na za słońce.

Noc przeszła spokojnie, jak zresztą i poprzednie. Dzyrry nie ginęły i zaczęły nawet składać w piasku jajka. Skoro tylko dzyrrrom wylęgną się małe wężyki, Vandock może ich kraść tyle, ile dusza zapagnie. Stacja zaprzestanie skupować dzyrry. Wystarczy własnych.

Ale Vandock się nie zjawiał. Zapewne bał się spotkania ze mną.

5

Lizzie napomknęła o moich osiągnięciach.

— Rozmawiałam dzisiaj z profesorem o panu — powiedziała odwiedziwszy mnie w parku. — Zdobył pan pewną wiedzę z zakresu hodowania węzów i wkrótce nieodwołalnie przeniesiemy pana do laboratorium.

— Jak zdrowie profesora? — spytałam.

— Niezadługo się ukaże. Osłabł mu wzrok po chorobie. Nie znosi światła dziennego i zmuszony jest pracować przy lampie. Ileż to razy prosiłam go, ażeby szanował oczy! Przecież mogłabym czytać mu na głos. Ale on nawet słuchać o tym nie chce i wieczorami czyta u siebie.

— Bardzo długo pracuje. Siedzi w gabinecie do świtu — powiedziałam. — Okno jego jest oświetlone. Widać, jak siedzi i czyta.

— Ach! pan to zauważył? — żywo zapytała Lizzie.

— Naturalnie — potwierdziłam.

Bardzo żałowałam, że profesor się nie zjawia. Pocięchą były mi krótkie liściki od niego, które od czasu do czasu przekazywała mi Lizzie. Oczywiście było, że powracał do zdrowia. I za każdym razem, pełniąc nocny dyżur w parku, widziałem na zasłonie okna sylwetkę Millroya pochylonego nad biurkiem i pogrążonego w czytaniu.

Siedział nieruchomo. A ja myślałam: „Oto jak człowiek potrafi pracować. O wszystkim na świecie zapomina dla nauki”.

Często rozmyślałam o Millroysie. Odnosił się do mnie ze szczególną życzliwością, dał mi dobre miejsce... Nawet w czasie choroby znajdował czas, ażeby interesować się moją pracą, ale bardzo mało ze mną rozmawiał i zdawało mi się, że profesor stale obserwuje mnie z daleka, chociaż najlepiej by zrobił, podchodząc po prostu do mnie. Widocznie jednak w charakterze jego leżało, ażeby czynić ludziom dobro w taki właśnie sposób. Nazbyt też był zajęty, by każdego dnia rozmawiać ze stróżem swego parku.

Pewnej nocy Vandock zakradł się do parku po dzyrry.

— Moje panu uszanowanie — podrażnionym głosem przywitałam złodzieja, gdy punktualnie o pierwszej w nocy przelazł przez mur.

— Dziękuję panu, Pingle — uprzejmie odpowiedział Vandock.

— Zna pan moje nazwisko? — zdumiałam się.

— Cóż w tym dziwnego, że znam „Człowieka lżejszego niż powietrze”? Za ostatniego dolara kupiłem wtedy bilet do „Kolosium” i od razu pana poznałem. Prawdę powiedziawszy, miał pan bardzo niewyraźną minę, gdy leżał pan w kołysce.

Szybko i bezszelestnie szperał po krzakach.

— Panie łaskawy, gdzie się podziały dzyrry? — dość familiarnie zapytał mnie szeptem.

— A w ogóle... zdaje się, że pan naumyślnie nawrzucał tutaj kolczatek?

— Miałem właśnie zamiar uprzedzić pana, panie Vandock, że dzyrry nocują teraz w pobliżu południowej ściany ogrodzenia.

— Pańskie słowa pomogą skrócić nieprzyjemną dla mnie operację poszukiwania zwierzyny — uprzejmie podziękował Vandock przeskakując rów. Po czym szybko przystąpił do napełniania worka.

— Nie więcej niż pięć sztuk — uprzedziłem go zapalając latarkę. — Proszę pokazać, ile zamierza pan ich wynieść?

Vandock otworzył worek.

— Dokładnie pięć. Wszystkie jak na dłoni. Ale porzucam już to zajęcie. Pański profesor chory, a tej starej pannie Lizzie węzowy towar jest niepotrzebny. Mógłby się pan zatroszczyć o mnie, przyjacielu, i pomóc bezrobotnemu. Przy sposobności chciałbym się zapytać, na co też choruje pański Millroys?

— Chorował na malarię, ale wraca już do zdrowia, chociaż nie opuszcza jeszcze swego pokoju.

— Biedaczysko — mruknął Vandock i poprosił o zezwolenie na zapalenie fajki: — Zaledwie kilka pociągnięć. Przywykłem do fajki, odbiera apetyt. — Pstryknął ostrożnie zapalniczką i pyknął tytoniowym dymem.

— Jakże doszło do tego, że profesor chwycił żółtego Jacka? Dawno?

— W dniu odjazdu siostrzeńca. Ale dlaczego mnie pan tak wypytuje? — rozżłościłem się. — Czas już na pana, zmykaj pan!

— Jakiż pan dobry, panie Pingle, i jaki nerwowy — po prostu i łagodnie odpowiedział Vandock. — Pańskiej przysługi, poprzednim razem, nigdy nie zapomnę. Ale niech pan dokończy tego, co pan zaczął... Znałem siostrzeńca Millroysa, lecz dawno straciłem go z oczu. To niepospolity człowiek.

— Tak — potwierdziłem. — To znany uczoney, napisał książkę, mieszkał na Jawie...

— No tak, ten sam. Dobry i serdeczny. Ach, Pingle, gdyby!... Przecież od dawna chcę rozpocząć uczciwe życie. Gdybym wiedział, że siostrzeniec Millroysa jest tutaj, otwarcie bym przyszedł do niego, wszystko opowiedział, a on by mnie przyjął do pracy.

— Doktor Rolls jest w tej chwili w Mazatlanie — odrzekłem. — To zdaje się, w Australii...

— Całkiem słusznie, w Australii, niedaleko od Bieguna Południowego — dziwnym głosem wypowiedział Vandock. — No, do widzenia, Pingle, dziękuję za współczucie. Nie jest wykluczone, że i ja wyjadę wkrótce do Mazatlanu.

Szybko wskoczył na mur i zniknął.

Odchodząc od muru potknąłem się o coś i o mało nie upadłem. To leżał worek z dzyrrami. Vandock zapomniał o swoim łupie.

Zeszyt piąty

1

Rano przyszedłem do laboratorium i przywitałem się z Lizzie.

— Profesor prosił, ażeby przekazać panu, Pingle, tę oto kartkę — powiedziała przyjaźnie.

— Dziękuję pani, miss Elisabeth. Jak zdrowie naszego dobrego profesora? — spytałem

odbierając kartkę.

— Jest już prawie zdrowy. Zresztą niech pan przeczyta.

Z kartki wyczytałem, co następuje:

„Pingle! Mimo wszystko jestem z pana niezadowolony. Przygotował pan wczoraj roztwory niechlujnie. Szkoda, że jestem jeszcze na tyle słaby, iż nie mogę wychodzić na powietrze i do laboratorium. Pan będzie łaskaw niezwłocznie na nowo przefiltrować roztwory. Prócz tego zbyt długo guzdrze się pan z czytaniem podręcznika, który panu przesłałem. Do chwili kiedy pana zobaczę, powinien się pan choć coś niecoś przygotować teoretycznie”.

— Kartka ta zasmuciła mnie — powiedziałem czując, iż ogarnia mnie wzburzenie. — Czy nie mógłbym się zobaczyć z profesorem? Opowiedziałbym mu...

— Nie, nie — zaprotestowała Lizzie. — Teraz nie można. Pragnie pan mu opowiedzieć o swojej pracy? Sam niedługo się dowie, jak pan tutaj pracuje...

Wydało mi się, że dziewczyna z lekka podkreśliła ostatnie słowa. W tym momencie przypomniały mi się dlaczegoś chytre oczy Vandocka i jego wizyta tej nocy w parku. Trzeba wziąć rozbrat z tym jegomościem.

— Zaciekawia mnie, dlaczego profesor dał mi książkę o wirusach — wyrzekłem na poły pytająco. — Przecież to w niewielkim stopniu dotyczy węzów...

Lizzie pobłażliwie się uśmiechnęła.

— To tylko tak się panu zdaje. Węże wcale nie są pod tym względem wyjątkiem. Węże także mogą chorować. I, niech pan sobie wyobrazi, na choroby wirusowe, w dodatku bardzo zaraźliwe. A jeżeli mieszkańcy parku zaczną ginąć, będzie to strata dla naszej stacji. Wyrażam tylko przypuszczenie, ale sądzę, że profesor chce się poświęcić temu zagadnieniu i potrzebni mu są znający się na rzeczy pomocnicy...

— W takim razie wszystko jest dla mnie zrozumiałe! — powiedziałem z radością. — Mam teraz prośbę do pani, miss Elisabeth. Przygotowałem niewielki konspekt. Proszę panią o pokazanie go profesorowi. W szkole uczono nas nie polegać całkowicie na pamięci, lecz zapisywać najważniejsze z tego, co się przeczytało.

Lizzie wzięła notes z moimi notatkami i z zaciekawieniem przerzucała go.

— Bezwarunkowo przekażę — przyrzekła. — Sprawi pan tym profesorowi wielką przyjemność. On tak dobrze odnosi się do pana — zauważyła przy tym.

Z notesu mojego przeczytała na głos:

— „Wirusy — agenci choroby i śmierci — atakują najprzeróżniejsze istoty żywe, zaczynając od bakterii, a kończąc na człowieku”. Tak — powiedziała Lizzie — bakterie również cierpią z powodu wirusów. Wirusy mogą zniszczyć bakterie. Przecież wirusy są nieskończenie małe. Daleko mniejsze niż mikroby. Zgłębienie istoty wirusów jest nie lada osiągnięciem. Przecież z tym wiąże się ściśle rozwiązanie podstawowych zagadnień biologii — o powstawaniu życia, o granicy między życiem i śmiercią w przyrodzie...

— A jeśli się okaże, że wirusy to nie żyjątka? — spytałem zaciekawiony subtelnościami biologii.

— Jeżeli wirusy okażą się substancją organiczną, to chemia wcześniej lub później będzie w stanie hodować je w sposób sztuczny w laboratoriach, a następnie przygotowywać także odtrutki na nie...

— A więc to tak... — wymamrotałem pobity ostatecznie.

— Tak, tak — kiwnęła głową Lizzie. — Możemy teraz i rozmawiać, i pracować. Niech no pan przygotowuje roztwór nadmanganianu potasu...

Zająłem się roztworem. Lizzie ciągnęła dalej:

— Niech pan pomyśli, Pingle, co może się stać ze sztucznymi wirusami w przyszłości. Jeżeli chemia zsyntetyzuje w probówce wirusa, to będzie to oznaczało, że człowiek otrzymał sztucznie utworzony składnik życia. Wtedy zbliżymy się bardzo do rozwiązania pytania o pochodzeniu życia. Czy pan to rozumie, Pingle?

— Ach, miss Elisabeth — wyrzekłem — jakie to wszystko ciekawe! Nigdy się nie rozstanę ani z profesorem, ani z panią...

— Tak pan sądzi, panie Pingle? — dziwnie jakoś przeciągnęła Lizzie. — Bardzo dobrze. Tylko niech pan uważa! Uwaga, leje pan roztwór obok lejka!

2

Popracowawszy sumiennie w laboratorium trzy godziny udałem się w jak najbardziej entuzjastycznym nastroju na odpoczynek do bungalowu. Różowe myśli krążyły mi po głowie. Rzeczywiście, trzeba się uczyć u profesora. Millroys prędzej wyprowadzi mnie na ludzi aniżeli Clips lub jakiś tam Watson. Nareszcie, po różnych Halley'ach, Pollockach i pechowcach Harle'ach, trafiłem na prawdziwego człowieka. A potem... można będzie sprowadzić tutaj Edith i wówczas...

Zmierzchu tu nie ma. Słońce opada za dżunglę i ciemności następują od razu. Dzisiaj byłem nieomal pewny, że Vandock bezwarunkowo przyjdzie w nocy, jeśli nie po dżyrry, to po worek. Głód jest złym doradcą i Vandock podejmie próbę, ażeby nałapać świeżą porcję jadowitych tworów. Trzeba tak wszystko urządzić, ażeby jego dzisiejsza wizyta była ostatnią. Należy być oschłym, bezwzględny i nie od rzeczy będzie nawet go nastraszyć!

Nie omyliłem się. Istotnie, gdy pierwsza kwadra księżycy schowała się za horyzontem, Vandock o zwykłej godzinie po północy przelazł przez mur i znalazł się w moich rękach.

— Oto pański worek, panie Vandock — powiedziałem poważnie. — Jest w nim tuzin najlepszych dżyrr. Wczorajsze wyrzuciłem — pan nie umie wybierać ze smakiem. I... jazda stąd do wszystkich diabłów!

— Jakaż to mucha ugryzła mojego przyjaciela Pingle'a? — z drwiącym uśmiechem spytał Vandock zapalając fajkę. — I dlaczego pan mniema, że ja w dalszym ciągu interesuję się dżyrrami? Nie, Pingle, oto już trzy dni chodzę na mszę do ranguńskiej bazyliki i słucham kazań arcybiskupa. On to nieodwołalnie skierował mnie na drogę prawdy. Pragnę przestrzegać zasad religii, Pingle. Kradzież — to najstraszliwszy grzech, muszę się więc pokajać. Inaczej zginę.

— Któż panu broni się kajać? — uśmiechnąłem się również. — I, jeśli łaska, proszę głośno nie krzyżeć. Profesor usłyszy.

Vandock zaciągnął się tak mocno, że ogieniek fajki łysnął oświetlając mu nos.

— Właśnie, mister Millroys jest mi potrzebny. Wyplacę przed nim gorzkie łzy skruchy i wybłagam u niego przebaczenie. W przeciwnym razie nie dostanę się do rajy...

— Upił się pan, Vandock?

— Myli się pan. Nigdy w życiu nie byłem bardziej trzeźwy, panie Pingle, niż w tej chwili. Niech mnie pan prowadzi do profesora!

— Zwariował pan!

— No dobrze, mogę pójść na ustępstwa. Niech mnie pan jedynie przeprowadzi pod okno gabinetu Millroya, ja tylko nacieszę się oświetloną storą. Pragnę rzucić okiem chociażby na cień tego czcigodnego uczonego. To doda mi sił do poprawy. Mógłbym to zrobić i bez pana pomocy, ale nieprzyjemnie mi będzie usprawiedliwiać się przed Chińczykami, którzy wałęsają się po podwórku.

Zuchwalec wyprowadził mnie z cierpliwości.

— Wynos się pan stąd, panie Vandock!

Vandock w milczeniu wytrząsnął popiół z fajki i z lekka zagwizdał.

— Doskonale, przyjacielu! Ale mnie to nic nie będzie kosztowało, gdy zawiadomię jutro mister Millroya, jak zawiódł pan jego zaufanie.

— Zawiodłem?

— Naturalnie. Przecież to pan pomagał mi kraść dzyrry z parku. On przebaczy zbłąkanej duszy grzesznika, ale nie przebaczy młodzieńcowi, który jest mu zobowiązany i któremu on wierzył. Niech pan wybiera: albo pokaże mi pan okno gabinetu, albo profesor jutro o wszystkim się dowie.

— Chytry diabeł z pana, Vandock — powiedziałem po chwili, zastanowiwszy się nad położeniem. — Dobrze, przeprowadzę pana pod okno, ale warunek: nigdy więcej nie zjawi się pan na stacji.

Vandock westchnąwszy zgodził się. Zarzucił worek na ramię i poszedł za mną. Otworzyłem boczną furtkę i weszliśmy na podwórko. Na wężowej stacji wszyscy już dawno spali, jedynie okno gabinetu profesora było oświetlone. Millroys czytał przy biurku i obaj widzieliśmy jego sylwetkę rysującą się na storze.

— A teraz niech się pan wynosi — wyszeptalem.

Lecz ku memu przerażeniu Vandock rzucił na ziemię worek z dzyrrami, szybko i bezszelestnie, niczym pantera, wdrapał się na gzyms, otworzył okno i odchylił storę. Krzyknąłem spojrzawszy w okno.

W pokoju nie było nikogo. Na biurku kiwała się słomiana kukła, której cień brałem za sylwetkę Millroysa. Nieduża lampa z reflektorem oświetlała kukłę od tyłu.

— Jak się to panu podoba? — roześmiał się Vandock.

Ale w tej samej chwili rozległ się wystrzał. Pocisk ugodził w ramię. Vandock zeskoczył na ziemię, ale nim zdążył zrobić krok, zwałił go z nóg Cho. Z bungalowu przybiegli Chińczycy z latarkami.

— W danej sytuacji wszelki opór jest bezcelowy — powiedział Vandock leżąc na ziemi. — Proszę wydać zarządzenie, ażeby pozostawiono mnie w spokoju. Wszystko to jest zwykłym nieporozumieniem...

Lizzie stała przede mną. Nigdy nie przypuszczałem, że może się tak rozgniewać. Trzęsa się z wściekłości, a słowa jej spadały na mnie, wstrząsające i wymowne:

— Jakież z pana hipokryta, panie Pingle! Dawno się już domyślaliśmy...

„Wężowy profesor” i jego asystentka naprawdę przechytrzyli .samego Vandocka.

— Znaczyliśmy ogony dzyrr, które kupowaliśmy od tuziemców. Cha! cha! cha! Niegłupio to wykombinowaliście! Sprzedać, ukraść i ponownie sprzedać... Wszyscy przed chwilą widzieliśmy, jak się pan skradał z tym złodziejem przez podwórko i rozmawiał z nim... A oto i worek!

— Proszę wybaczyć, miss Elisabeth... — powiedziałem, ale Lizzie nie dała mi dojść do słowa.

— Profesor dawno przekonał się o pańskiej nieuczciwej grze, panie Pingle. Dawno zrozumiał, że podstawieni tuziemcy sprzedają mu dzyrry kradzione tutaj i że bez pana pomocy złodziej nie mógłby zdobywać wężów.

— Niechże mnie pani wysłucha...

— Milcz pan, niktzemny człowieku! Profesor nie mógł znieść takiej podłości od osobnika, którego uratował od dżumy. Byłoby mu przykro patrzeć w tej chwili na pańską hańbę. Przewidział, że my sami zdemaskujemy pana, i wyjechał razem z doktorem Rollsem...

Daremnie starałem się usprawiedliwić.

— Pozwoli pani, szanowna miss Elisabeth, że ja coś powiem — z godnością powiedział Vandock. Chińczycy mocno trzymali złodzieja. Ręce jego były związane, — Na próżno oskarża pani tego chłopca o przestępstwo, którego nie popełnił i, o ile zrozumiałem, nie miał powodu go popełniać. Po prostu zablądziłem w nocy, a dojrawszy światełko przyszedłem tutaj. Ktoś z okna mnie zawołał. Wydawało mi się, że po podwórku biegają psy. Przestraszywszy się wskoczyłem na gzyms. Ale zjawił się ten młody człowiek, krzyknął i, zdaje się, strzelił do mnie... A potem ci ludzie... Chory jestem na serce... Nie wolno mi się denerwować. Rozwiąż-

cie mi ręce, niech to diabli, nie mam najmniejszego zamiaru uciekać...

— Pan mija się z prawdą! — z wściekłością krzyknęła Lizzie. — Kim pan jest, że włóczy się w nocy po stacji profesora Millroysa? Rzeczywiście, trzeba postarać się o psy i trzeba, by wszyscy zaopatrzyli się w broń. Brakowało tylko, ażebyśmy nie mieli spokoju nawet na własnych śmieciach... A co pan ma w worku? Dżyrry!

— Proszę nie dotykać worka, milady! To moja własność. W nim nie ma pani dżyrr. I niech pani nie stara się otwierać worka. Zresztą i tak go pani nie otworzy. Zamek z sekretem. A gdyby pani rozcięła worek, to pociągnę panią do odpowiedzialności za uszkodzenie mojego mienia i wniosę powództwo, jeżeli nie doliczę się w nim pięćdziesięciu dwóch złotych monet należących do mnie...

Vandock wypowiedział to spokojnie, akcentując słowa, Lizzie kazała, aby rozwiązano mu ręce.

— A teraz niech pan sam otworzy worek.

— Nie, milady — ukłonił się Vandock. — Pani oskarżyła mnie o przestępstwo. Gotów jestem dać odpowiedź na to w sądzie. Tam dowiodę swojej niewinności... Gdzie pani rozkaże spędzić czas do rana?

3

Nadszedł ranek; Cho wsunął głowę do bungalowu, gdzie drzemałem w hamaku.

— Obydwóch was zawiozą do Rangunu — szybko wymawiając słowa wyszeptał Chińczyk. — Li przygotowuje samochód. Zaraz tu przyjdzie policjant z wiejskiego posterunku. On przedstawi was sądowi. Niech pan idzie i poprosi miss Elisabeth o przebaczenie. Wróci profesor — ona stanie w pana obronie. A ten złodziej nie chce się rozstać ze swoim workiem...

— Ja tu nic nie zawiniłem, Cho — powiedziałem krótko.

Po pięciu minutach zastukałem do drzwi laboratorium. Lizzie siedziała przy stole obstawiona próbkami.

— Miss Elisabeth — wyrzekłem — niech mi pani przebaczy.

Popatrzyła na mnie tak, jak gdybym był ze szkła. Jej spojrzenie nie zatrzymało się na mnie.

— Widzi pan, że jestem zajęta.

Surowo patrzyła na kolbę, pod którą łapczastym kwiatkiem rozpląszczyła się tęczowa korona spirytusowej lampki.

— Przysięgam, iż odbiorę natychmiast od złodzieja wszystko, co ukradł — mruknąłem onieśmielony lodowatym przyjęciem.

Lizzie zajęta była próbkami i nie odpowiadała. Po upływie mniej więcej pięciu minut, nie patrząc na mnie, powiedziała:

— Pan jeszcze tutaj? Proszę przynieść klucze od parku, od klatek i czekać na policjanta, który po pana przyjedzie.

— Pani mnie wypędza?

— Profesor nie zechce pana więcej oglądać. On nigdy nie wybaczy panu.

Przez chwilę Lizzie patrzyła na mnie uważnie, tak jak bywało dawniej na lekcjach w parku.

— I ja panu nie przebaczę — powiedziała z goryczą.

— Zawiniłem, ale nie w ten sposób, jak pani myśli! — wykrzyknąłem z rozpaczą w głosie.

Starając się mówić spokojnie, opowiedziałem Lizzie, w jakich okolicznościach przyłapałem Vandocka i jak ulitowałem się nad nim. Ale Lizzie chłodno pokręciła głową.

— I mimo to nie przebaczę panu. Widziałam w panu przedtem człowieka z naszego grona, rozumie pan? Proszę mi wierzyć, nie traciłabym czasu na lekcje, jeżeliby pan był tylko włóczęgą jak ten... Vandock. Ale pan nie docenił tego.

Oczy dziewczyny zamigotały niedobrym blaskiem.

— Żegnam panią — bąknąłem i odwróciłem się do drzwi widząc, że rozmowa jest nadaremna.

Ostatni raz przeszedłem się po parku zatrzymując się na chwilę przy ogrodzeniu, za którym rosły niskie krzewy himalajskie.

„Żegnajcie i wy, ślicznotki” — pomyślałem rzucając smutne spojrzenie na gady, które sprawiły mi tyle zmartwień. Lecz dżyrry obojętnie wygrzewały się na słońcu.

Klucze od parku oddałem Li i wolniutko powlokłem się do bungalowu. Wpadłem w rozpacz. Byłem zgnębiony wstydem i hańbą. Cała nikczemność i lekkomyślność mojego postępowania stanęły przede mną. Łzy cisnęły mi się do oczu. O, gdyby tak zobaczyć profesora, opowiedzieć mu wszystko i wybłagać przebaczenie!

Siedziałem odrętwiały, dopóki nie zjawił się policjant i nie kazał mi zbierać manatków. Chińczycy przyprowadzili Vandocka. Policjant pierwszy wsiadł do samochodu.

— Ano, chłopcy, wsiadać! — powiedział. — Niech wam przypadkiem nie przyjdzie do głowy uciekać w drodze. Będę strzelał.

Kierowca zapuścił silnik. W tej chwili z laboratorium wybiegła Lizzie.

— Proszę oddać to pismo sędziemu — powiedziała do policjanta wręczając mu grubą kopertę.

Na mnie nawet nie spojrzała. Policjant z ważną miną schował kopertę za mankiet rękawa i krzyknął:

— Jazda!

Vandock z niewzruszonym spokojem uchylił z lekka kapelusza :

— Do widzenia, milady. Proszę przekazać ukłony profesorowi.

Siedział obok mnie, mocno trzymając worek w rękach. Mogłem się bliżej przyjrzeć Vandockowi. Przecież widywałem go tutaj tylko po nocach. Nic a nic się nie postarzał od chwili, gdy spotkaliśmy się w Belle Harbor; kto wie, czy nie wyglądał nawet lepiej, w każdym bądź razie nie robił wrażenia głodującego.

— Ma pan szczęście, Pingle — wycedził przez zęby. — Pan tylko świadek. A ja nie jestem winny...

— Nie waż się pan rozmawiać! — przerwał mu policjant.

— A ja nie rozmawiam — uśmiechnął się Vandock. — Wypowiadam tylko na głos myśl, że w grubych kopertach, adresowanych do sędziów, mogą się znajdować bardzo ważne dowody... Poza tym milczę, sierzancie.

Ja również milczałem i myślałem o słowach Lizzie. Jeżeli profesor wyjechał z doktorem Rollsem, to dlaczego Lizzie zwoziła mnie słomianą kukłą? Nic nie rozumiałem.

Samochód nie odznaczał się szybkością. Na szosie prowadzącej do miasta spotykaliśmy jadące nam naprzeciw skrzypiące pojazdy, zaprzęgnięte w kłapouche osiołki, śniadzi, oliwkowi ludzie w szerokich słomkowych kapeluszach nieśli na nosidłach puste kosze. Owoce swojej pracy zostawili na bazarach Rangun. Samochód nasz zatrzymał się na brzegu rzeki, w cieniu drzew mangrowych. Kierowca nalał świeżej wody do chłodnicy.

Na skraju drogi ogolony fakir uczył swego pomocnika, dziobatego, o czarnych brwiach chłopca, gry na flecie. Nagie dzieciaki przykucnęły dookoła i uważnie przyglądały się, jak uczeń przebierał palcami po otworach fletu. Na ramieniu ociemniałego zebra siedziała niebieska małpka i zabawnie wyciągała łapkę po jałmużnę.

Człowiek z zieloną opaską na głowie, oparłszy się o pień drzewa, nabijał złotym tytoniem długą cienką fajkę i bacznie wpatrywał się we mnie i Vandocka. Powolutku zapalał fajkę. Vandock spojrzał na niego i podrapał się za uchem.

— Nie zwieszaj nosa, Pingle — ostrożnie, ażeby nie usłyszał policjant, szepnął Vandock. — Już ja sędziego wystrychnę na dudka.

Człowiek z zieloną opaską odwiązał gniadego, o suchych nogach konia, wskoczył na niego i trącił wodzami. Koń ruszył z miejsca, wzbijając kurz na szosie do miasta.

4

Na Wschodzie nie ma zwyczaju przetrzymywać ludzi w oczekiwaniu na sąd. Samochód zatrzymał się przed niedużym budynkiem. Wysiedliśmy, kierowca zaś pojechał z przesyłką do biura handlowego portu, obiecując wstąpić powrotnej drodze po policjanta. A więc Vandock i ja stanęliśmy przed sędzią. Ja jednak nie byłem oskarżony. Vandock miał rację, jak gdyby znał treść pisma Lizzie.

Sędzia, źle ogolony i prawdopodobnie niewyspany, ponuro wysłuchał policjanta i skierował swój apatyczny wzrok na Vandocka.

— Zdaje się, że ja już wysyłałem pana w zeszłym roku? A może nie pana? Zresztą wszystko jedno. Włóczędzy są zawsze podejrzani, a ci, którzy ratując się przed nie istniejącymi psami wążą w nocy na cudze okna, przysparzają sprawiedliwości jedynie kłopotów. Ale pan jest oskarżony o kradzież węzów. Bardzo dobrze. Gdyby pan ukradł wszystkie węże na świecie, ludzkość miałaby z tego wielkie korzyści. Przerazająco wstrętne stworzenia...

— Węże stanowią własność profesora Millroysa — zameldował policjant.

— Ach tak, a więc węże stanowią prywatną własność? No, to inna sprawa. Co to za węże?

Policjant otworzył usta chcąc odpowiedzieć. Lecz Vandock jak gdyby tylko czekał na to pytanie. Nie zwlekając ani chwili od razu opróżnił swój brezentowy worek bezpośrednio na stół tuż przed surowym sędzią.

— Oto one, wasza miłość... Dżyrry pierwszego gatunku...

Mój Boże, co się wtedy działo! Szkoda, że nie miałem z sobą aparatu kinematograficznego!

Dżyrry zainteresowały się nowym położeniem i zasyczały ciesząc się z dziennego światła. Po ich nocnej łagodności śladu nawet nie zostało. Natychmiast rozpełzły się po stole, powłaziły do sądowych teczek, zagrzebywały się w papiery, dotykały kałamarza, dwie okręciły się wokół świeczników. Ciekawscy próżniacy, siedzący trzema rzędami na ławkach dla publiczności, zniknęli, jak by zaczarowani, tłocząc się i wrzeszcząc:

— Dżyrry!

Sędzia podskoczył w fotelu i piskliwie zawołał:

— Policjant! Walić po łbach!

Policjant zrozumiał rozkaz dosłownie, wyrwał gumową pałkę i rzucił się za publicznością. To był dla niego najbardziej dogodny pretekst, ażeby uciec przed dżyrrami.

— Ośle! Nie ich!... — zawył sędzia, zwinnie wyskakując przez okno.

Za przykładem sędziego ruszył co sił w nogach łysy sekretarz unosząc jedną dżyrrę uczeponą do skórzanej sztylpy.

Prawdę powiedziawszy, gdy ze trzydzieści zdrowych grubych węzów zaczniesz gospodarować na waszym biurku, to, jestem przekonany, że nie będziecie się namyślali i natychmiast wywalicie głową szybę w oknie.

— No, jesteśmy sami, Pingle — uśmiechnął się Vandock. — Spiesz się pan, dopóki sędzia nie opamiętał się z przerażenia. Niech pan śmiało wychodzi z budynku i skręci na prawo, spotka pań tam człowieka na gniadym koniu i powie do niego: „Bycze Oko” *, a on ochroni pana przed niepotrzebnymi przykrościami.

— Nie chcę pańskich usług! — krzyknąłem niemal.

Tak, byłem zły i najprawdopodobniej policzki moje wydymały się ze złości jak u wściekłej kobry.

— Szkoda mi rozstawać się z panem — powiedział Vandock.

Odwrociłem, się do niego plecami i wyszedłem z opustoszałego sądu, nie myśląc o przyszłości i nie pragnąc wspominać przeszłości.

Jeździec z zieloną opaską na głowie, siedząc na gniadym koniu, jak by oczekiwał mnie w odległości stu kroków od sądu.

Minąłem go, ale nagle ogarnęła mnie ciekawość i odwróciwszy się powiedziałem:

— Bycze Oko.

— Siadaj za mną — usłyszałem odpowiedź.

Uczepiłem się z tyłu jeźdźca, ten ścisnął konia łydkami. Gniadosz pogalopował.

— Tutejszy klimat szkodzi chłopakowi — mówił po upływie godziny Bycze Oko w portowej knajpie do siedzącego tam nad butelką whisky krępego szypra. Dojadałem polewkę zmęczony przejściami.

— Słyszysz, co się o tobie mówi? — przemówił basem szyper. — Tak, słońce jest tutaj złośliwe...

— Byłbym panu bardzo wdzięczny, kapitanie...

— Ech, przecież z ciebie prawdziwy szczer łądowy, jeżeli dotychczas nie nauczyłeś się odróżniać oznak szypra od oznak kapitańskich! Ja zaś myślałem wziąć cię do siebie na „Lituanie” — żebyś się powłóczył po oceanie. No, podrzucę cię do Hongkongu, a stamtąd przeskaj się dalej.

Napomknąłem o Vandocku, ale obaj rozmówcy zrobili takie miny, jak by mnie zupełnie nie rozumieli.

W nocy podwieszono mnie szalupą do jakiegoś towarowego parowca oceanicznego. Tęgi szyper zawołał do mnie z pomostu:

— Włóż, chłopcze! Nasz kok potrzebuje chłopaka do czyszczenia korzeni.

Zeszyt szósty

1

W czasie drogi zdążyłem się zapoznać z pracą kuchenną. Po przybyciu do Hongkongu, wykorzystując poparcie dobrodusznego koka, urządziłem się jako steward na „Greevedge'u” — parowcu odbywającym terminowe rejsy do San Francisco. Ale znowu mi się nie poszczęściło. Trzeciego dnia żeglugi, podając w restauracji podczas obiadu pieczone, wylałem zupełnie przypadkowo gorący sos na kamizelkę jakiegoś argentyńskiego ministra. Nie stałoby się tak, gdybym w przeddzień nie nasłuchał się w ładowni okrętu różnych okropności o pływających minach. Akurat w chwili podawania pieczonego wydało mi się, że „Greevedge” wpadł na minę. Okazało się jednak, że to po prostu restauracyjny jazz zagrał „Chińskiego marsza”.

Za karę przeniesiono mnie z sali restauracyjnej do kuchni, ażeby regulować za pomocą zaworu dopływ gorącej wody do zlewozmywaków. A gdy na horyzoncie ukazały się brzogi Kalifornii, pomocnik szefa kuchni, westchnąwszy, bardzo spokojnie powiedział:

— Rozstajemy się, Sam!

* Bycze oko — w języku karciarzy oznacza asa karo.

No i rozstaliśmy się.

Frisco przywitało mnie przyjaźnie. Ponieważ nie miałem talentu aktorskiego, dlatego pchanie się stąd do stolicy kina — Hollywoodu, nie miało dla mnie najmniejszego sensu. Jednakże pływająca fabryka konserw przyjęła mnie bardzo chętnie. „Booksous” — tak nazywał się olbrzymi okręt-fabryka — wypływał na ocean na mniej więcej dwa tygodnie i polował na tuńczyki — bardzo smaczne ryby, nie do porównania ani z pstrągiem, ani z łososiem. Przydzielono mnie do jednego z sześciu wielkich zbiorników wypełnionych aż po brzegi żywymi sardynkami. Wyrzucając ze zbiorników za burtę strumienie sardynek „Booksous” wabił nimi ku sobie stada tuńczyków.

Rozpoczął się połów. Tuńczyka nie złowi się żadną siecią. Bierze on tylko na sardynki. Dlatego z burt „Booksousa” spuszczone były aż do powierzchni oceanu wąskie trapy, na których ustawiali się doświadczeni wędkarze. Jedna wędka na dwóch, a trzeci — z podbierakiem do podchwytywania ryby. Tuńczyk łapczywie chwycił sardynkę nasadzoną na haczyk. Wędkarze ciągnęli zdobycz do góry i wrzucali do dużych beczek, skąd tuńczyki szły natychmiast do przeróbki. Krócej niż w ciągu godziny mięso złowionego tuńczyka było już przyprawione i w zalutowanych puszkach konserwowych zmagazynowane w chłodni. Stojąc obok zbiornika z sardynkami przerywałem od czasu do czasu rzucanie przynęty i przypatrywałem się z góry, jak szybko wędkarze dają sobie radę, zdejmując w okamgnieniu rybę z haczyka, nasadzając nową sardynkę, zarzucając ponownie wędkę do wody po to, by natychmiast wyciągać ją z powrotem z trzepoczącą się rybą i znowu zdejmować żarłocznego tuńczyka.

Wędkarze pracowali na akord. Praca była męcząca i niebezpieczna, Niekiedy zjawiały się rekiny, pożerały sardynki i wypłaszały tuńczyki. Wtedy strzelano do nich z „Booksousa”, statek zmieniał miejsce połowu i polowanie rozpoczynało się na nowo. Rozlegał się okrzyk:

— Hej, zbiorniki! Sardynki za lewą burtę!

Ale rekiny, okrutne drapieżniki wodnych przestrzeni, tygrysy oceanów, często nie przeżywały prześladowania „Booksousa” robiąc to jednak ostrożnie, bez wynurzania się na powierzchnię wody. Wówczas połów stawał się jeszcze bardziej niebezpieczny: rekin mógł odciąć stopę wędkarzowi, gdyby ten zagapił się, a trap podczas fali zanurzył się w wodzie.

Pewnego razu ujrzelśmy olbrzymiego rekina. Kołysał się na spokojnej powierzchni oceanu, jak gdyby był nieżywy. Młody, ale doświadczony marynarz Tillboy zaręczał, iż rekin żyje; powiedział ponadto, jakoby rekiny potrafią się same hipnotyzować i w czasie sztilu unoszą się na powierzchni oceanu przez cały dzień. Jedynie wieczorny chłód przywołuje je do życia, a wtedy stają się szczególnie złe i żarłoczne.

Po nocach śniły mi się połowy i często się budziłem. Wydawało mi się, że Tillboy krzyczy mi nad uchem: „Hej, zbiorniki! Za prawą burtę!...”

Gdy byłem zatrudniony przy lewej burcie, to na ten sygnał musiałem szybko przebiec po wąskiej śliskiej desce nad otworem zbiornika i za pomocą czerpaka wyrzucać sardynki do oceanu.

Nie lubiłem tego przebiegania. Tillboy straszył wszystkich opowiadaniem o pewnym kuchciku, który podczas poprzedniego rejsu przepadł jak kamień w wodę. Myślano, że wypadł za burtę. I wreszcie w drodze powrotnej do portu, gdy wyczerpano ze zbiornika sardynki do dna, znaleziono tam ciało kuchcika. Prawdopodobnie swawolił, biegnąc po desce, zwałił się do zbiornika i utonął.

Przyzwyczailem się do „Booksousa”, prześmiardłem cały sardynkami, nauczyłem się kołysać podczas sztormu, nie odczuwając napadów choroby morskiej, i. biegałem w czasie fali i chwiejby po pokładzie, nie trzymając się poręczy.

Z czwartego połowu „Booksous” wracał obciążony tuńczykami. Trzymaliśmy powrotny kurs na Todos Santos, położony akurat pod zwrotnikiem Raka. Otrzymawszy z „Booksousa” radosny telegram o udanym połowie właściciele pływającej fabryki obliczali już zapewne zyski w swoich kantorach. Na pokładzie w cieniu próżnych zbiorników marynarze „Bookso-

usa” różniły karty i kości. Poszczęściło mi się bodajże po raz pierwszy. Grałem z Tillboymem w kości i pięć razy z rzędu wyrzuciłem po dwie szóstki. Hazardując się Tillboy podwajał stawki, ale trafiały one niezmiennie do mojej kieszeni. Rozwścieczony Tillboy wziął kości od innego marynarza, ale to bynajmniej nie przywróciło mu szczęścia. Przegrał do mnie swoją piękną kurtkę i wśród ogólnego śmiechu włożył na siebie moją starą i dziurawą. Serce skakało mi radośnie z powodu wygranej, ale nie dawałem tego poznać po sobie i byłem chłodny jak lód.

— Będziemy grali w kości aż do samego Frisco! — wykrzyknął Tillboy. — Odegram się, chociażbym miał duszę diabłu zaprzedać...

I od razu rzucił na stół pstry, z paciorków zrobiony woreczek, przegrywając go z miejsca do mnie.

— Chciałbym się dowiedzieć, jak ty, Sam, szachrujesz! — ryczał pechowy gracz, a krew biła mu do twarzy.

— On gra uczciwie — wstawili się za mną marynarze stojący wokół nas i obserwujący pojedynek.

Wachtowy patrzył na ocean przez lornetkę. „Booksous” dał krótki gwizdek.

— Oto i Przylądek Świętego Łukasza — powiedział ktoś.

Wszyscy odwrócili głowy w kierunku prawej burty. Przepływaliśmy obok południowego cypla Kalifornijskiego Półwyspu.

— No, twoja kolejka, Sam — powiedział Tillboy podając mi rożek z kośćmi do gry.

Wyciągnąłem rękę...

I w tejże chwili pokład „Booksousa” stanął dęba, na mnie poleciała deska ze zbiornika, uderzając jednak z rozpędu swym końcem w twarz Tillboya. Ktoś z rozdziawionymi ustami i wystraszonymi oczyma przeleciał przede mną. Chwyciłem dłaczegoś rożek i skoczyłem z nim do wody.

— Wpadliśmy na minę! — usłyszałem rozpaczliwy wrzask.

„Booksous” z rozdartym dziobem, uniósłszy wysoko rufę, pod którą w dalszym ciągu wściekle obracały się śruby, szybko pograżał się w fale. Z rufy i lewej burty ludzie rzucali się do wody. Ktoś się domyślił, ażeby spuścić kilka szalup i rzucić z tuzin pasów ratunkowych. Odpłynąłem dalej, żeby nie dostać się w wiry nad pograżającym się w fale „Booksousem”. W chwili gdy woda przeniknęła do kotłów, rozległ się potężny wybuch i statek, osnuty kłębamii pary i dymu, przeleciał się na pół. Na falach pływali ludzie, taborety, deski, szczątki takielunku. W pobliżu szalup toczyła się walka. Ludzie bili się o miejsce w szalupach. Wielu przy tym, straciwszy siły, utonęło. Odpłynąłem jeszcze dalej, położyłem się na wznak na wodzie i zacząłem rozmyślać nad położeniem: jeżeli nie złakomi się na mnie rekin, to oszczędzając siły będę mógł dopłynąć do lądu. No i popłynąłem na zachód.

Przypływ podciągnął mnie do brzegu i wyrzucił na piasek porośnięty nikłymi kaktusami w odległości dziesięciu mil od Santo Jose, w pobliżu wejścia do Zatoki Kalifornijskiej.

Rybacy, którzy mnie tutaj znaleźli, pozwolili mi owinać się żaglem i wyspać się, podzielili się ze mną skromnym posiłkiem i odmówili przyjęcia zapłaty za gościnę. Rozmawiali po hiszpańsku. Zdołałem jedynie pochwycić uderzające mnie słowo „Mazatlan”.

Wreszcie zrozumiałem, że na przeciwległym brzegu zatoki znajduje się meksykańskie miasto Mazatlan. Musiałem sam sobie natrzeć uszu za niedostateczną znajomość geografii. A więc Mazatlan leży w Meksyku, a nie w Australii. I wtedy przypomniałem sobie o Rollsie. Przecież mieszka w Mazatlanie. Nie jest wykluczone, że razem z nim jest jeszcze wuj jego, profesor Millroys... Muszę obowiązkowo wszystko, ale to wszystko opowiedzieć osobiście profesorowi!

Wiele rozmyślałem patrząc na niewyraźne zarysy Mazatlanu widniejącego w oddali.

A co będzie, jeżeli spotkam tutaj również Vandocka? Chciał udać się do Rollsa... Przecież Vandock to też niezły człowiek. Całą winę wziął na siebie i urządził mój wyjazd z

Rangunu tak, że nie kosztowało mnie to nawet pajsja. Równocześnie ma on wobec mnie zobowiązania, gdyż pomagałem mu przecież wykradać dżyrry z parku.

Wniosek z tego prosty — w Mazatlanie powinni być ludzie, którzy mogą mi pomóc. Prawdę powiedziawszy, dlaczegoś najbardziej liczyłem na Vandocka. Włóczęga ten obmyśliłby lepiej, jak mi pomóc, niż firma konserwowa, która jeszcze gotowa obwinie, co nie jest wykluczone, załogę „Booksousa” o to, że statek wpadł na minę z powodu jej gapiostwa.

Na pokładzie szkunera „Revealia” los w postaci rybaka Quartero i jego trzech synów przerzucił mnie do Mazatlanu.

2

Meksykańskie słońce jest złośliwsze niż ranguńskie. Jest najbardziej palące ze wszystkich tropikalnych słońc. Tak rozpaliło skaliste odnogi Sierra Madre, że z gór zionęto na Mazatlan żarem, niczym z odwietrzników siłowni na „Booksousie”.

Murowane białe domki w gąszczu palm, bananów i drzew pomarańczowych ładnie wspiwały się od zatoki w górę malowniczymi tarasami. Czekano mnie zadanie odnalezienia doktora Rollsa. Po hiszpańska nie umiałem ani słowa. Od biedy można by było zagadać po łacinie któregoś z katolickich księży, dostojnie kroczących po nadbrzeżu w czarnych sutanach i kapeluszach o szerokich rondach, ale to wywołałoby niepotrzebną ciekawość przechodniów. Nie ryzykowałem także zwracać się do bosonogich policjantów, spokojnie drzemających na skrzyżowaniach w cieniu palm.

W kiosku napiłem się wody, wziąłem cygaro, wyciągnąłem woreczek z paciorków i dałem czarnookiej Meksykance jedną ze złotych monet, które wygrałem od Tillboya.

Sprzedawczyni uśmiechając się zaczęła coś mówić. Z ruchów jej wywnioskowałem, iż nie ma reszty. Machnąłem ręką i powiedziałem:

— Ja jeszcze tu przyjdę, seniorito. Wówczas obliczymy się...

Na przedmieściu Mazatlanu spodobał mi się bardzo jeden z piętrowych domów. Efektownie rysował się na tle kwitnącego sadu. Zatrzymałem się przed żelazną furtką, kutą w piękne wzory, i podziwiałem wspaniałe róże. żaluzje w oknach były opuszczone. Nagle jedna z nich na pierwszym piętrze nieco się uniosła. Męska ręka otworzyła okno i znajomy głos Vandocka przyjaźnie się odezwał:

— Kogo widzę! To pan, kochany panie Pingle?

Ma się rozumieć, że odpowiedziałem radośnie:

— Oczywiście, że ja. A to pan, panie Vandock?

— Tak. Niech pan szybciej wchodzi, wystarczy obrócić klamkę w furtce, śmiało, tutaj psów nie ma...

Vandock całkiem niedwuznacznie robił aluzje do historii pod oknem profesora. Odważnie wszedłem do sadu. Z okna dochodził głos Vandocka:

— Biorę zimny natrysk, Pingle. W tym przeklętym miasteczku upał piekielny. Gospodarz mój wyjechał służbowo i powróci za jakieś dwa dni. Doskonale spędzimy czas. Proszę wejść tymczasem do domu, pokój mój jest na lewo. Niech się pan tam rozsiądzie i czuje się jak u siebie w domu. Zaraz będę gotów i zejdę na dół. Pan też może wziąć natrysk.

Tak też zrobiłem. Odnalazłem pokój Vandocka i wygodnie usadowiłem się w wypłatanym fotelu na biegunach. W domu było tak cicho i chłodno, że mimo woli zasnąłem.

Ktoś ostrożnie otworzył z tyłu za mną drzwi do pokoju.

— Jakiż jestem szczęśliwy, że widzę pana... — zacząłem, ale odwróciwszy się ujrzałem bynajmniej nie Vandocka.

Policjant podsunął mi pod nos lufę rewolweru.

— Tak, dawno nas nie widział i nie wahałeś tego tulipana.

Skutek tej niespodzianki był taki, że odchyliłem się gwałtownie na oparcie fotela, a nogi moje poleciały w górę. Policjant wystrzelił. Pocisk trafił w coś szklanego. Odłamki szkła poleciały we wszystkie strony. Ludzie ubrani na pół po cywilnemu schwycili mnie z tyłu za ręce, a z przodu za gardło.

— Zakuć tego bandytę! — zakomenderował starszy stopniem policjant. Szczęknięty ręczne kajdanki i rzucono mnie na podłogę.

Nie miałem nic do stracenia prócz życia, więc wrzasnąłem:

— Niech was diabli, co wy robicie? Czy tutaj wszystkich turystów wita się w ten sposób?

Uderzenie w dolną szczękę przerwało w zarodku moje dyplomatyczne poczynania. Koniuszkiem języka wyczułem, że jeden z moich zębów zaczął się ruszać. Policjanci potrząsnęli mną i postawili na środku pokoju. Starszy stopniem ważnie rozsiadł się w fotelu na biegunach.

— Jakes się tu znalazł, Carnero? — bardzo spokojnym głosem zapytał starszy i w tej samej chwili wystrzał nad moim lewym uchem zmusił mnie do skierowania oczu na sufit.

— Jeżeli ogłuchnę, to nie będę w stanie usłyszeć waszych pytań, dżentelmeni — rzeczowo zauważyłem przygotowując się jednocześnie do tego, że natychmiast zaczniesz się strzelanina nad moim prawym uchem.

— Odpowiadaj, bandyto, jak się tu znalazłeś? — znowu zadźwięczał spokojny głos. I nie omyliłem się — wystrzał huknął z prawej strony.

Wściekłość we mnie zaczęła się podnosić jak rtęć w termometrze wystawionym na żar słoneczny.

— Strzelajcie do śmierci z dodatkiem, pies by was ugryzł! — zakląłem ulubionym powiedzonkiem Tillboya. — Podoba mi się wasz sposób zawierania znajomości. Odprowadźcie mnie do konsula...

Policjanci parsknęli śmiechem.

— Oto hipokryta!...

Starszy stanął naprzeciwko mnie i powiedział:

— No, słuchaj! Ja, naczelnik policji Pedro Muranjes del Aronso, oskarżam cię, bandyto Carnero vel Diego Alvarez, vel Nick Tillboy, oskarżam o popełnienie niezliczonych przestępstw, rabunków i morderstw, z których ostatnie — zamordowanie doktora Thomasa Rollsa — dokonane zostało w jego domu, w którym cię w tej chwili zatrzymano. Zrewidować go!

Gdyby mnie na zmianę polewano wrzącą i lodowatą wodą, wywarłoby to na mnie mniejsze wrażenie niż wiadomość o zabójstwie Rollsa.

— Ależ nie znam żadnego Carnero... Nazywam się Sam Pingle — wymamrotałem płacząc się w słowach na skutek niespodziewanego zarzutu. — Owszem, znałem Tillboya...

— Milcz, łajdaku, albo każę cię obić — cicho powiedział starszy. — Masz na sobie ubranie Carnero. Oto jego woreczek z paciorków, znany wszystkim wywiadowcom od El Paso do Dosterro. I śmiesz jeszcze zaprzeczać, że nie jesteś tym, kim jesteś?

— Mój Boże! Czyżby Rolls, siostrzeniec profesora Millroya, został zabity? — wyszeptałem drętwiejąc z przerażenia.

— Sam wszystko zobaczysz, morderco — usłyszałem. I poprowadzono mnie.

3

Pokój Rollsa, w którym według wszelkiego prawdopodobieństwa dokonano zabójstwa, wywarł na mnie wstrząsające wrażenie. Podłoga zlana była krwią, ściany też były nią zbrzy-

zgone. Straszliwa walka toczyła się między Rollsem a mordercą. Krzesła, półki z porcelaną, stół z książkami — wszystko to było przewracane, wywrócone do góry nogami, stratowane.

Karafka z wodą poniewierała się na podłodze, korek wyskoczył i połowa wody z niej się wylała. Budzik z brązu z rozbitym szkiełkiem leżał w kałuży. Na parapecie okiennym zobaczyłem okrwawiony młotek i kunsztowną wąską brzytwę.

— Opowiem ci, jak tutaj gospodarowałaś — chmurnie powiedział do mnie del Aronso — a ty jedynie powinienes przytaknąć, że mam rację. Doktor siedział i czytał przy stoliku. Zakradłeś się z tyłu i uderzyłeś go młotkiem, ale nie obliczyłeś, że senior Rolls jest silniejszy niż ty. Schwycił cię. Uderzyłeś go jeszcze raz, ale się wyrwał, pobiegł, a ty za nim, uderzając go w dalszym ciągu. Ta oto brzytwa dokonała reszty...

— Pokażcie mi biednego doktora Rollsa — odezwałem się.

— Ach, jakież on chytry! — zgrzytnął zębami del Aronso. — Ale to przecież twój system — topić ofiary po morderstwie, chować końce w wodę. Chodźmy! Prowadźcie łajdaka!

Zeszliśmy po tylnych wąskich schodkach, gdzie na stopniach widniały krople krwi.

— Tędy taszczyłeś ciało — powiedział del Aronso popychając mnie na dół i nie dając mi się opamiętać. — Na progu odpocząłeś nieco od ciężkiej pracy i...

Del Aronso otworzył na oścież drzwi do wspaniałego tropikalnego sadu. Drzewa kwitły i przecudnie pachniały. Strach było pomyśleć, że w tym rajku ziemskim mogło być dokonane przestępstwo.

Na ścieżce wysypanej morskim piaskiem i muszelkami ślady wyraźnie wskazywały, jak morderca dźwigał ciało Rollsa.

— Aha! — zawołał radośnie del Aronso nachylając się i podnosząc ze ścieżki biały guzik z masy perłowej. — Oto jeszcze jeden dowód uzupełniający, dlaczego na schodach widać niezbyt wyraźne ślady krwi, a tutaj wcale ich nie ma. Wykrwawiłeś trupa w pokoju, owinałeś go w fartuch lekarski, może nawet w dwa albo trzy fartuchy, i przywlokłeś tutaj ścieżkami.

Było to potworne, ale w najmniejszym stopniu mnie nie dotyczyło. Pierwsze wrażenie tego koszmaru nieco złagodniało i zacząłem odzyskiwać zwykły spokój. Zapytałem:

— Senior naczelniku policji, dokądże kierował się morderca?

— Nie śpiesz się, Carnero — łagodnie odezwał się del Aronso.

Dróżka prowadziła w bok od ścieżki do stromego urwiska. W dole cicho pluskały fale.

— Głębokość wynosi tutaj dziewięćdziesiąt stóp i młode rekiny lubią to miejsce — smętnie powiedział do mnie del Aronso. — Skłoń głowę przed miejscem wiecznego spoczynku swojej ofiary i ruszaj do więzienia. Będiesz tam miał niewiele czasu, ażeby modlić się o zbawienie swojej przestępczej duszy.

— Chwileczkę, senior — powiedziałem poważnie. — Przecież to oczywiste nieporozumienie, pomyłka. Nazywam się Samuel Pingle, obsługiwałem zbiornik na „Booksousie”, przed trzema dniami uległem katastrofie morskiej koło Przylądka Łukasza.

— Bardzo ciekawe — ironicznie uśmiechnął się del Aronso. — Co dalej?

— Znalazłem się tutaj, ażeby odszukać służącego doktora Rollsa, mego znajomego Vandocka.

— A senior Rolls nie interesował cię? — spytał del Aronso.

— Owszem, interesował.

— Chwała Bogu, chociaż raz powiedziałeś prawdę. Aniołowie odpuszczą ci za to jedną setną twoich grzechów. Ale pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć setnych wystarczy, ażebyś pomęczył się w piekle aż do końca świata. Co za banialuki pleciesz o służącym seniora? Przecież tyś sam służył u doktora... A jak się nazywałeś, to nie ma dla mnie znaczenia.

— Ale wówczas jakże?... — wykrzyknąłem i od razu umilkłem. Nie miało teraz sensu

opowiadanie policjantowi o całym splocie wydarzeń, które doprowadziły mnie do miejsca tragicznego zabójstwa doktora Rollsa. — Proszę mnie odesłać do więzienia, senior — wykrztusiłem wreszcie — i niezwłocznie zawiadomić konsula. Muszę się z nim zobaczyć.

— Trzeba będzie powiadomić konsula — zgodził się ze mną del Aronso. — Jeśli chodzi o mnie... powiesiłbym cię natychmiast na długim postronku, spuszczać z tego urwiska. Ale to byłaby najłżejsza kara za wszystkie twoje przewinienia. Marsz! Odprowadzić aresztanta!

Policjanci, otoczywszy mnie, szczęknęli rewolwerami i ruszyliśmy w kierunku więzienia.

4

W wilgotnej, murowanej szczurzej norze, dokąd mnie wtrącono, spędziłem dwa dni. Karmiono mnie polewką, w której pływał bób i resztki dziwnej zwierzyny mającej za życia jednocześnie i łuskę, i pióra. Tutaj również leżeli na słomie starcy, okropnie wymyślający sobie przy lada okazji. Przeszkadzali mi skupić się. Ofuknąłem ich dość ostro. Ku mojemu zdumieniu nagle umilkli.

Trzeciego dnia przyprowadzono mnie do del Aronso. Siedział w gabinecie szczerze zalanym meksykańskim słońcem. Koło okna stał wysoki mężczyzna paląc fajkę. Było tak jasno, że zmrużyłem oczy.

— Oto przed panem, senior Robinson — usłyszałem głos del Aronso — słynny Carnero, którego awantury okryte są sławą od przylądka Horn do Alaski. Teraz udaje, że ani słowa nie rozumie po hiszpańsku.

— Rozumiem po chińsku i po hindusku — zauważyłem otwierając oczy. Zwracając się zaś do wysokiego mężczyzny ukloniłem się: — Pan konsul?

— Tak, jestem nim — oschle odpowiedział mister Robinson. — Może pan opowie w paru zdaniach, o co tu chodzi? Proszę siadać i mówić spokojnie...

— Dziękuję panu — jeszcze raz ukloniłem się siadając na krześle wyplatany słomą.

Zacząłem opowiadanie od chwili przyjazdu do Kalkuty z Afryki, opisując park z węzami, dżumę w Nabuhatrze i sąd, ale zaciąłem się, gdy doszedłem do Bycznego Oka.

— Dokończ opowiadania, Carnero — łagodnie wymówił del Aronso.

Milczałem. Mister Robinson przyglądał mi się uważnie.

— Proszę mówić dalej... A co pan robił w Afryce?

Ale del Aronso w zadumie pocmoktał niedopałek cygara i odpowiedział za mnie:

— Nie będzie pan zmuszony czekać zbyt długo, a opowie panu taką historię, iż gotów pan będzie zdjąć mu z rąk kajdanki. Ale, senior Robinson, niech pan nic a nic mu nie wierzy. On potrafi hipnotyzować i pięciokrotnie już uciekał z separatek pod potrójną strażą w przeddzień ostatecznego rozrachunku z życiem.

— Tym bardziej ciekawa jest rozmowa z takim oryginalnym kawalerem — zauważył Robinson i zwrócił się do mnie: — Jest pan oskarżony o zabójstwo obywatela amerykańskiego doktora Thomasa Rollsa, do którego wynajął się pan na służbę pod jednym ze zmyślonych przez pana nazwisk. Zastano pana na miejscu przestępstwa...

— I to w zupełności wystarcza, senior Robinson! — wykrzyknął poirytowany del Aronso. — Proszę go zostawić nam, a otrzyma według zasług...

— Nie, kochany Aronso — spokojnie odparł Robinson. — Najwyższa sprawiedliwość wymaga, ażeby wymierzono mu karę zgodnie z prawami naszego kraju...

Uważałem za stosowne wtrącić się do rozmowy:

— Mister Robinson, w moim obecnym położeniu nie życzylibym sobie nic lepszego, niż

dostać się w ręce cywilizowanych władz wolnego państwa. W college'u przyswoiłem sobie podstawy prawoznawstwa i mam nadzieję, iż bezstronny sąd mnie uniewinni.

Ale ani Robinson, ani del Aronso nie słuchali mnie. Rozmawiali teraz między sobą o subtelnościach procedury przekazania mnie w ręce sądownictwa Stanów.

Telegram z Mexico City ze zgodą na wydanie przestępcy już otrzymano. Za trzy godziny hydroplan powinien być wywieźć mnie z Mazatlanu.

Nie będę opisywał podróży powietrznej, tak. smutnej dla mnie, i pierwszych dni pobytu w więzieniu zbudowanym według wszelkich wymagań kryminologii i architektonicznej techniki. Pomału przyzwyczaiałem się do położenia człowieka, na którego pasiastej kurtce wyszyta była wielka liczba „1011”.

To był mój aresztancki numer, zastępujący teraz imię nadane mi przez rodziców w Ashwharfie.

Kilkakrotnie przesłuchiowano mnie. Sędzia śledczy mister Gregge słuchał moich zeznań, a malutki kędzierzawy stenografista w binoklach cierpliwie je zapisywał.

— Teraz podsumujemy — powiedział mi wreszcie pewnego dnia nadzwyczaj ożywiony sędzia śledczy, gdy wszedłem do jego gabinetu.

Poprzednim razem zakończyłem swoją epopeję na tym, kiedy to del Aronso podsunął mi pod nos lufę rewolweru.

— Z przyjemnością, mister Gregge — zgodziłem się, ze zdziwieniem patrząc na kilka grubych tomów pod wspólnym tytułem — „Sprawa Carnero”. Tomy leżały przed Gregge'em, który pilnie je wertował.

— A więc twierdzi pan, iż jest pan Samuelem Pingle'em z Ashwharfu — powiedział sędzia śledczy, rozkosznie ziewając. — Wybaczy pan, iż nie będę zbijał pana twierdzeń, ale wręcz zaprzeczę pańskim arabskim bajeczkom. Korzystając z nieograniczonych możliwości naszego wymiaru sprawiedliwości, zbadałem postępowanie niejakiego Pingle'a, pracującego na plantacjach mister Pollocka w Pendżabie. Potem Pingle ten miał proces w Rangunie za kradzież trzydziestu dusicieli z królewskiego ogrodu zoologicznego...

— Nic podobnego! — wykrzyknąłem. — Nie dusiciele, ale dzyrry. I nie ja, ale Vandock!

— Niech pan nie przerywa mister Gregge'owi — uprzedził mnie kędzierzawy stenografista. — Bardzo nie lubi, gdy mu się przerywa. Pogorszy pan swoją sprawę.

Mister Gregge ziewnął i patrząc na sufit ciągnął dalej:

— Tenże sam Pingle usiłował oparzyć w celach przestępczych argentyńskiego ministra w restauracji oceanicznego parowca. W Hongkongu ukrywał się przed władzami. Coś niecoś wiadome panu jest o awanturach włóczęgi Pingle a i epizody te pan opowiedział, ale w wersji mocno złagodzonej...

Nie pozostało mi nic innego, jak gorzko się uśmiechnąć.

— Proszę się nie śmiać — ponownie zwrócił mi uwagę kędzierzawy stenografista. — Mister Gregge nie lubi uśmiechów. Będzie gorzej.

— Ale co może być gorzej? — wychrypiałem.

Gregge był niewzruszony. Podniósł znowu oczy i jak by czytał coś na suficie, coś, co było tylko jemu widoczne.

— I ciało Samuela Pingle'a — powoli, z przerwami wymówił sędzia — znaleziono w pobliżu latarni morskiej „Łukasz” ze zmiążdżoną głową. Wyrzucił je przybój w nocy na jedenastego kwietnia...

— Czy pan kpi ze mnie? — zerwałem się z krzesła.

Gregge wlepił we mnie oczy.

— Sędzia śledczy Gregge, mój kochany, wykrył trzysta osiem zabójstw, dwieście rabunków, wytropił pięć tysięcy oszustów, a kiedy podsumowuje wyniki... — w tym momencie Gregge potrząsnął jednym z tomów i dodał rzeczowym głosem: — to się nie śmieje. On

płacze uświadamiając sobie, jak nisko może upaść dusza człowieka. On na wszystko ma dowody... Otóż to! — Z tymi słowami Gregge wyciągnął do mnie rękę trzymając w niej kwadratowy kawałek papieru: — Oto... Znalezione to w wewnętrznej kieszeni kurtki tego, którego wyrzuciły fale oceanu.

Dyplom Dijanu! To był mój dijański dyplom, nadgryziony przez morską wodę, ale starannie doprowadzony do porządku w Laboratorium Urzędu Kryminalnego. Złoto zniknęło z grzywy lwa, na pysku zaś wystąpiły zmarszczki nadając lwu dobroduszny wygląd starego pijaka.

Pozostawało mi tylko klepnąć się w czoło. Przecież wtedy, kiedy zamieniałem kurtkę z tym chłopysiem Tillboyem, zapomniałem zupełnie, podniecony grą, że dyplom mój znajdował się w wewnętrznej kieszeni.

Zdenerwowany zacząłem opowiadać, jak grałem w kości z Tillboyem na „Booksousie”. Gregge machnął ręką.

— Daj pan spokój, panie, nazywający siebie Pingle'em. Proszę słuchać moich wniosków. Służył pan u doktora Rollsa, Zamordował go pan, porobił pan tobołki z co cenniejszych rzeczy i przygotował się pan do ucieczki. Ale pańscy kompani, którzy powinni byli przyjść, ażeby pomóc panu wywieźć zrabowane rzeczy, spóźnili się. Del Aronso dowiedział się o morderstwie, zanim przybyli członkowie pańskiej szajki. Pan się denerwował, wyszedł pan z domu na spotkanie oczekiwanych współuczestników. Widziano pana na nadbrzeżu. Oto zeznanie czcigodnego padre Ignatiusa Velerose, znającego pana jeszcze w Wenezueli, gdzie dawał panu rozgrzeszenie w przeddzień egzekucji... Oto zeznanie sprzedawczyni płynów owocowych Mercedes Glisanii, której pan z właściwą sobie szczodrością podarował pięćdziesiąt peso... Ona widziała pański woreczek. Oto zeznanie policjanta Juana Loresa, który z oddali śledził pana...

— Ach, mister Gregge, pana logika wstrząsnęła mną! — odpowiedziałem poważnie. — Wie pan, nawet nie podejrzewałem, że znam się na przykład z padre Ignatiusem. Co w końcu zamierza pan ze mną zrobić?

— Do końca też dobrniemy — wyniośle zauważył Gregge. — Interesuje nas pańskie ostatnie przestępstwo. Ujawniliśmy wszystko. Kto zamordowany — wiadomo. Gdzie zamordowany — nie wiadomo. Za pomocą czego, jak, dlaczego, kiedy — wiadomo. I oto zostaje pan oddany pod sąd. Nie będzie pan powieszony, jak w Meksyku, ale posadzą pana na krześle elektrycznym. I tu już nie wykpi się pan sianem. No? Milczy pan? Rozumiem. Wszyscy denerwują się, gdy napomykam o mister Beebrze, kierowniku urządzeń elektrycznych w Sing-Singu. Proszę, niech pan zapali...

Gregge bardzo uprzejmie podał mi paczkę papierosów. Zapaliłem i zamyśliłem się.

A więc, mimo mojej całkowitej szczerości, nie mogłem nikogo przekonać, że jestem Pingle'em, a nie jakimś tam bandytą Carnero. Dyplom znaleziono w kieszeni mojej kurtki podczas oględzin ciała Tillboya. Zatem krąg się zamknął. Wszystko, co mogę podać na swoje usprawiedliwienie, wydaje się nieprawdopodobne sędziemu śledczemu, który w tej chwili pali w milczeniu z jak najbardziej dobroduszną miną, a w odpowiedzi na, moje słowa bądź wzrusza ramionami, bądź też ironicznie się uśmiecha. Nie mam ani jednego centa, żeby wziąć adwokata, który zebrałby również kilka olbrzymich tomów różnych dokumentów stwierdzających, iż jestem Pingle'em. Przecież informacje należy zbierać poczynając od Ashwharfu i Dijanu, trzeba równocześnie odnaleźć palacza z „Zielonego Kota”.

Przebiegłą twarz i przymilny głos Vandocka uzmysłowiłem sobie w tej chwili bardzo wyraźnie. Pamiętałem jeszcze, co odczuwałem, gdy trzymałem go za gardło w parku z wężami. Dłonie moje zacisnęły się w pięści i patrząc prosto w wylupiaście bezbarwne oczka Gregge'a powoli cedziłem słowa:

— Niech mnie pan oddaje pod sąd, będę się sam bronił.

Oczka Gregge a niczym w modlitwie wzniosły się ku sufitowi.

— Niech się pan broni, ale tym razem nie wymiga się pan, mój przyjacielu.

Nalałem wody z karafki i wypilem całą szklankę. Uspokojenie przyszło od razu, tak samo jak i nagłe olśnienie.

Przez głowę moją, jak gdyby ognista błyskawica, przeleciała myśl, i to taka prosta, że aż się zdziwiłem, iż nie wpadłem na nią wcześniej.

Zeszyt siódmy

1

Na sąd czekałem z półtora miesiąca. Obowiązkowa praca aresztantów wywoływała we mnie specyficzne więzienne otepienie. Oprawialiśmy książeczki do nabożeństwa. Od tego czasu wyciskany złotem wizerunek anioła z gałązką palmową i napisem „Hosanna na wysokościach” doprowadza mnie do wściekłości.

Pewnego razu podczas spaceru któryś z aresztantów wsunął mi w rękę karteczkę: „Carnero, jeśli potrzebna ci będzie moja pomoc, jestem do usług. Bigden”.

Kartkę miałem w spoczonej dłoni dopóty, dopóki nie zamieniła się w proszek, i nic na nią nie odpowiedziałem.

Spałem po nocach marnie. Męczyły mnie nieodstępne myśli. Występował przeciwko mnie najstraszliwszy wróg, jakiego zna wyłącznie człowiek — zniechęcenie. Można je przezwyciężyć jedynie uderzeniem równie nieoczekiwanym, co i mocnym. Do szturmowania trzeba iść tylko wtedy, gdy się ma całkowitą pewność zwycięstwa,

W przeddzień rozprawy sądowej dozorca więzienny Jigs, wygolony olbrzym z mięsistymi odstającymi uszami, łaskawie zezwolił mi po obiedzie poleżeć na łóżku, co też uczyniłem zadartłszy nogi powyżej głowy.

— Jutro, chłopcze, będziesz musiał pokręcić głową — współczująco popatrzył na mnie Jigs. — Zdaje mi się, że wpadłeś jak zając w potrzask, zastawiony na wilki. A i wyglądu nie masz takiego, ażebyś mógł sprzątnąć w swoim życiu ze dwa tuziny ludzi. Niech ci nie wpadnie do głowy jutro uciekać, gdy będą cię wysadzać z samochodu więziennego. Wiem, iż nie tak dawno jeden z dziewiętej celi przekazał ci na podwórku kartkę od Bigdena, a tyś na nią nic nie odpowiedział.

— Jeśli to możliwe, to niech pan powie, kochany panie Jigs, nie znanemu mi Bigdenowi, ażeby zostawił mnie w spokoju. Niechaj wszyscy pozostawią mnie w spokoju.

Zadartłem nogi jeszcze wyżej i udałem śpiącego.

Jigs wyszedł, ja zaś wykorzystałem ostatnie godziny, ażeby przemyśleć te wszystkie słowa, które wypowiem jutro w sądzie.

Gdy wprowadzono mnie do sali sądowej, byłem przygotowany na to, iż zobaczę coś majestatycznego i wstrząsającego. Lecz w tym wielkim pokoju wszystko było po codziennemu rzeczowe. Zebrało się tu około stu ludzi, wliczając w to i publiczność, interesującą się, jakim tłuszczem będą podlewany podczas smażenia się na elektrycznym krześle.

Bardzo podobał mi się sędzia, podobny do naszego ashwharfskiego Jeremiasza, krępy, różowy, lecz nieco ociężały, jak gdyby dopiero co zjadł obfite śniadanie. Twarze przysięgłych, siedzących na krzesłach naprzeciwko mnie, zlały się w jedną plamę i teraz nie mogę sobie przypomnieć ani jednego z nich. Prokurator wydawał się malutki, gdy siedział przy swoim stole nachylony nad znanymi mi tomami „Sprawy Carnero”. Ale gdy się wyprostował, ażeby wstać i powiedzieć sędziemu: „O, tak”, to okazało się, że jest to bardzo wysoki i chudy

dżentelmen i że w mankietach ma złote spinki.

Przygotowywałem się na najgorsze: że zwałą na mnie wszystkie występki przekłętego Carnero i jakiś tam padre Ignatius istotnie uzna mnie za południowoamerykańskiego bandytę, nie mówiąc już o uroczej Mercedes, która otrzymała ode mnie pięćdziesiąt peso.

Ale sędzia i przysięgli nie byli skłonni zagłębiać się w historię przestępstw Carnero. Interesowało ich zabójstwo doktora Rollsa. Dlatego też tylko opis tego wszystkiego, co wykrył del Aronso w domu Rollsa, wywołał nieco ożywienia tak u przysięgłych, jak i wśród publiczności.

Przewodniczący ospale zadzwonił ręcznym dzwonkiem i wydawszy z lekka wargi powiedział:

— Ciszej tam, w łoży prasowej!

W kącie, za niewielkim przepierzeniem, siedziało dwóch dżentelmenów z notesami w rękę. To właśnie była łoża prasowa. Jeden z dziennikarzy robił w notesie zapiski, drugi zaś delektował się żuciem gumy i skrzypiał krzesłem na całą salę.

Carnero mnie nie interesował. Zająłem się czyszczeniem paznokci, wyrażając w ten sposób całkowitą obojętność w stosunku do sekretarza sądu, który szybko odczytywał akt oskarżenia.

— Podsądny, pan, zdaje się ogłuchł?... — rozległ się wreszcie głos sędziego.

— Nie, panie sędzio — odpowiedziałem wstając.

— Przyznaje się pan do winy?

— Proszę mi wybaczyć, panie sędzio — wyrzekłem z największą uprzejmością i godnością. — Nim odpowiem na pana pytanie, proszę sąd o zaprotokołowanie następującego mego oświadczenia. Nazywam się Samuel Pingle, rodem z Ashwharfu. Nieboszczyka doktora Rollsa w ogóle nie znałem i nigdy u niego nie służyłem. Żadnych przestępstw w życiu nie popełniałem...

— Proszę wprost odpowiadać na moje pytania — twardo rzekł sędzia.

— Niech pan wybaczy, panie sędzio, lecz obiecałem panu odpowiedzieć dopiero po zakończeniu swego oświadczenia — I zupełnie takim samym twardym tonem odparowałem cios. — Całe oskarżenie oparto wyłącznie na tym, iż bierze się mnie za kogo innego. To pomyłka mister Gregge'a, który w toku śledztwa mozolił się nad zbieraniem dokumentów demaskujących jakiegoś tam bandytę, ale nie mnie, Samuela Pingle'a, doskonale znanego pańskiemu miastu...

— Jak mam rozumieć to „znanego”? — zmarszczył się sędzia. — Pan chce udowodnić, iż jest pan Pingle'em? Pingle'em, którego ciało fale wyrzuciły na brzeg?

Ale nie na próżno uczono mnie w Dijanie początków prawoznawstwa. O, kochani moi nauczyciele, mister Awer i mister Slowly! Dopiero teraz zrozumiałem, że należy uczyć się wszystkiego i że nie ma na świecie takich nauk, które by się kiedyś nie przydały.

— Tak, panie sędzio i panowie przysięgli! — powiedziałem głośno, prostując się i efektownie podnosząc rękę — gestu tego używał zazwyczaj w college'u mister Slowly, gdy przytaczał cytaty z mów Cycerona. — Uroczyście oświadczam, iż jestem właśnie tym Samuelem Pingle'em, który debiutował w tutejszym „Kolosium” w roli...

W tym miejscu nastąpiła pauza, którą w college'u zalecał robić mister Awer „przed każdym słownym uderzeniem”. Widziałem porozdziawiane usta, ironiczne półśmiechy i przymrużone oczy otaczających mnie. Należało nie przeciągać pauzy, lecz uderzyć.

— ... w roli „Człowieka lżejszego niż powietrze”!

Wśród publiczności nastąpiło ogólne poruszenie. Krzesło, na którym siedział dziennikarz, ogłuszająco zatrzeszczało. Przewodniczący z furią potrząsał dzwoneczkiem.

— Ogłaszam przerwę! — wykrzyknął w końcu sędzia starając się, by go usłyszano.

Sąd udał się na naradę. Do ławy, na której siedziałem, zbliżył się przystojny dżentelmen i powiedział:

— Sędzia zezwolił mi porozmawiać z panem. Jest pan bardzo młody, ażeby zrzucić z siebie taką górę oskarżeń. Jeśli chce pan żyć, to ja panu pomogę. Jestem prawnikiem, nazywam się Godwin i będę bronił pana bezpłatnie. Proszę podpisać pełnomocnictwo.

Sądząc po szacunku, z jakim otaczający patrzyli na mister Godwina, zrozumiałem, że nie powinienem odmawiać. Podpisałem papierek. Godwin odszedł.

Powrócił po pięciu minutach i usiadł przede mną przy stole, akurat naprzeciwko prokuratora. Po bokach jego usiedli dwaj inni dżentelmeni. Zaczęli wyładowywać z teczek różne informatory, zbiory ustaw, zeszyty, notesy, przybory piśmienne i wkrótce na ich stole zrobiło się równie ciasno jak na stole prokuratora.

Godwin odwrócił się do mnie:

— Uważnie przysłuchiwałem się całemu aktowi oskarżenia i wnioskowi oskarżenia. Tutaj, niewątpliwie, zaszło fatalne nieporozumienie i sądzę, że nie tylko w stosunku do pana. Z chwilą gdy złożył pan sądowi oświadczenie, jestem przekonany o pana niewinności. Teraz należy przekonać przysięgłych. Ja to z kolegami zaraz zrobię. Niech się pan nie bawi w krasomówstwo, sędziemu trzeba odpowiadać zwięźle. Jeżeli poprawię sobie włosy na głowie prawą ręką, proszę mówić: „tak”, jeżeli lewą — niech się pan upiera przy „nie”. Urządźmy zaraz nieduży turniej. Niech pan nie upada na duchu, panie Pingle. Sąd trochę odpoczął, napił się wody sodowej i idzie...

Nigdy nie zapomnę wystąpienia mego obrońcy, gdy udzielono mu głosu dla uzasadnienia mego oświadczenia. O, temu Godwinowi nie brakowało rutyny! Wyszedł na środek sali przed stół sędziowski, mając wygląd człowieka, którego zmusza się do przestawienia Everestu na inne miejsce. Rozpoczął cichym, znużonym głosem:

— W życiu zdarzają się sytuacje, które...

Nastąpiła taka cisza, iż słyhać było, niczym akompaniament, pobrzękiwanie u Godwina breloków na łańcuszku do zegarka.

A w loży prasowej było już pełniuteńko. Dziennikarze pisali nie odrywając się od notesów. Gdzieś trzaskały aparaty fotograficzne. A Godwin, wydawało się, wpadł w trans. Nie skąpił gestów i umiał robić pauzy, jak gdyby grał na jakimś olbrzymim wielostrunnym instrumencie. Poły jego surduta rozwiewały się, gdy zwracał się o współczucie do publiczności, robiąc przy tym lekki półobrót. Duże krople potu wystąpiły mu na twarzy, oczy błyszczały. Robił zagadkowy, ledwie dostrzegalny, zawodowy ruch ręką i jeden z jego pomocników natychmiast podawał mu otwarty informator. Godwin chwycił książkę niemal w locie, odczytywał artykuły ustaw, z hałasem rzucał informator na stół i mówił, stopniowo podnosząc głos. Teraz grzmiał jak trąba archanielska:

— Trzeba od razu rozstrzygnąć, kto to jest...

Prawa ręka Godwina dotknęła skroni. Siedziałem jak zaczarowany, słuchając i upewniając się z każdym słowem obrońcy, że najbardziej niewinna istota na kuli ziemskiej — to Sam Pingle.

— Tak, sąd powinien natychmiast postanowić... — perorował Godwin wczepiając prawą rękę w swoje mokre kędziory i obrzucając mnie piorunującym, rozwścieczonym spojrzeniem.

— Tak! Tak! — zawołałem z całej siły, przypomniawszy sobie pouczenia obrońcy.

A więc wystąpiłem jako akompaniator-perkusista tego wspaniałego piewcy Temidy.

Godwin przemawiał ponad dwie godziny. Miał do tego prawo na podstawie ustaw stanu, w którym mnie sądzono.

— Domagam się, ażeby sąd skontrolował twierdzenie mego klienta, iż jest on nie kim innym, lecz tym samym Samuelem Pingle'em, który, przed dwoma laty występował w naszym „Kolosum” — kończył Godwin przy wzrastającym podnieceniu całej sali. — Proszę sobie przypomnieć, lady i dżentelmeni! Nikt na świecie nie mógł wykonać śmiertelnego numeru, prócz tego młodzieńca „łżejszego niż powietrze”, który tylko jeden raz był wyrzucony

przez pamiętną dla nas potworną katapultę. Po nim kilku innych śmiazków próbowało powtórzyć numer, ale okazali się, niestety, ciężsi niż powietrze... I oto wspaniały czempion skoku figurowego, mister Pingle, znowu stoi przed wami, panowie sędziowie. Cięży na nim najstraszliwsze oskarżenie o zabójstwo. Krew zamordowanego woła o pomstę do nieba. Nawiasem mówiąc, ciała Rollsa nie odnaleziono... Za to tutaj rozlega się jęk niewinnego. Ten młodzieniec jest bez winy...

— Nie! Nie! — omal nie zaszlochałem, ponieważ teraz lewa ręka Godwina szarpała włosy na jego głowie.

— Pingle pragnie tylko jednego — aby mu pozwolono udowodnić, że jest Pingle'em.

Godwin wsunął prawą rękę za klapę surduta i powiedział wyraźnie, akcentując słowa, podobnie jak wybija się nowiutkie gwinee:

— Proszę o zadośćuczynienie prośbie.

Opadł na swoje miejsce całkowicie wyczerpany. Widziałem wyraźnie, jak parowała mu głowa. Owładnęło mną wariackie pragnienie, żeby ucałować obrońcę, ale dzwonek sędziego przeszkodził temu.

— Wychodząc z założenia, że decydującym...

Tak zaczął sędzia, a mnie się zdawało, że on nie mówi, lecz coś żuje. Słowa dziwacznie splatały się w misterne desenie, to wykpiwając zjadliwie Godwina, to zahaczając o los młodzieńca oddanego w ręce sprawiedliwości. Sędzia ten również był kuty na cztery nogi, a prócz tego był stylistą. Głos jego zaczynał nabierać pełnego dźwięku i barwy. Słuchając go, to wznosiłem się na szczyty nadziei, to spadałem w otchłań rozpacz. I oto gdy melodia w głosie sędziego już dźwięczała tragicznie, nagle spuścił z tonu:

— Postanawiam: pozwolę oskarżonemu dowieść swojej tożsamości wykonaniem przed sądem śmiertelnego numeru programu cyrkowego.

2

Posiedzenia sądu w mojej sprawie przerwane zostały na przeciąg dni dziesięciu. W tym czasie powinienem był przygotować się do wystąpienia w cyrku.

Od tej chwili, gdy przywieziono mnie z sądu, życie moje w więzieniu zmieniło się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

— Oho, z ciebie, widać, niepospolity ptaszek! — powiedział Jigs wchodząc za mną do celi i zatraskując drzwi. — Aleście obaj z Godwinem obrobili sędziego... Cudownie! Przeglądziłeś się oczywiście? Zarządziłem, ażeby podali ci obiad tutaj. Kucharz nadzorcy więziennego wcale nieźle robi pasztety. Zamów przy sposobności cokolwiek i na kolację...

— Kochany panie Jigs, pan drwi sobie ze mnie — uśmiechnąłem się gorzko.

Dozorca nieomal się obraził.

— Z artysty? Z czempiona? To nie leży w moim usposobieniu. Mam dwóch synów — obaj sportowcy. Bredzili o „Człowieku lżejszym niż powietrze”, gdy wrócili z twojego debiutu w „Koloseum”. Czyżby cię, przyjacielu, życie nie nauczyło nie dziwować się?

Przyniesiono wystawny obiad. Przełknąłem go tak jak iig-szu połykał maleńką myszkę. Jigs krytycznie oglądał celę.

— Obok zwolniło się piękne pomieszczenie. Mieszkał w nim przez pół roku pewien bardzo dowcipny chłopak, uniewinniony przez sąd, chociaż przyłapano go na rozpruwaniu kasy pancernej w skarbcu banku. Mam nadzieję, że pobyt w jego celi przyniesie ci ostateczne szczęście...

Po obiedzie przeniosłem się do sąsiedniej celi. Były tam piękne meble, miękkie łóżko, marmurowa umywalnia. Brakowało jedynie obrazów w połączonych bagietach.

— Niech mnie pan uszczyplnie w nos, panie Jigs, ażebym się obudził — poprosiłem, z rozkoszą sadowiąc się w miękkim fotelu. — Co się właściwie stało, Jigs?

Dozorca przyjemnie się uśmiechał.

— Sensacja, przyjacielu. Masz, bracie, szczęście. Teraz wszystkie gazety tylko o tobie będą pisały. Ha, „Człowiek lżejszy niż powietrze”! Czy będziesz przyjmował gości?

— Mister Godwina?

— Adwokaci się nie liczą. A reporterzy? Dziennikarze? Autorzy zabawnych historii? Fotografowie? Kronika filmowa? Nie pozwalaj, by fotografowali cię za darmo. Owiń sobie twarz ręcznikiem. Wówczas szybko rozwiążą sakiewki...

Można by było pożartować z tych rad Jigsa, ale oczekiwała mnie poważna rozprawa, że oświadczenie moje rzeczywiście wywołało sensację, nie miałem wątpliwości. Ale za dziesięć dni powinienem znaleźć się w katapulcie. Oto co mnie przerażało.

Wkrótce zjawił się Godwin z dwoma dżentelmenami.

— No, dobrego piwa nawarzyłeś, Pingle! — rozłożył ręce jeden z nich, gdy tylko wszedł do celi. Był to dyrektor „Kolosium”. Długo nie mógł się uspokoić. — Ach, na jakie straty naraziłeś mnie wtedy, gdy zerwałeś swoje występy! Ale mówiłem: „On wróci”.

— A to doktor Wilson — przedstawił mi Godwin drugiego dżentelmena, poważnego szczupłego człowieka, przyodzianego w surdut. — Nie będziemy tracili cennego czasu. Pano- wie, sprawa jest następująca. Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że mister Pingle jest mister Pingle'em. Prawdą jest również, że wykonał on w swoim czasie słynny skok. Teraz powinien powtórzyć go wobec sądu...

— Powinien — westchnąłem, zdając sobie sprawę, iż nawarzyłem niezłego piwa.

— Panie dyrektorze, zdaje się, że katapulcie niczego nie brakuje? — spytał Godwin.

— Jest w całkowitym porządku — skłonił głowę dyrektor.

— A mister Clips? — zawołałem.

Dyrektor spuścił oczy.

— Pingle, na razie niech pan o niego nie pyta. Są okoliczności, które nie pozwalają...

Godwin zamachał na dyrektora rękami.

— Niech się pań nie rozprasza. Należy sprawdzić, czy Pingle jest w formie... Jaka nadwagę toleruje pańska katapulta?

— Nie więcej, niż pół funta. Nawet mniej...

Godwin w podnieceniu zaczął biegać po celi, zacierając ręce.

— A więc widzicie... Trzeba, ażeby ciężar „Człowieka lżejszego niż powietrze” odpowiadał sile sprężyny katapulty. Wilson, niech pan zbada chłopca. Proszę się rozebrać, Pingle...

Musiałem się rozebrać. Wszyscy trzej obejrzeni mnie od stóp do głów, obmacali mięśnie rąk i nóg. Doktor zmierzył mnie taśmą wzdłuż i wszerz, coś poszeptał, obliczając w pamięci, i zreasumował naukowe wyniki badania:

— Chłopiec waży o sześć funtów za mało...

— No, to katapulta rzuci go na galerię — w zamyśleniu powiedział dyrektor. — Trzeba będzie zmienić sprężynę...

— Odkarmimy go — powiedział doktor wyniośle. — Dieta według mego systemu. Słodczyce, białka, trochę tłuszczów. Dwukrotnie w ciągu dnia masaż całego ciała. Stałe sprawdzanie wagi, ćwiczenia na reku...

— Przewidziałem to już i wydałem zarządzenie — oświadczył dyrektor.

— Wobec tego jestem spokojny — szeroko uśmiechnął się Godwin. — Do ćwiczeń należy przystąpić natychmiast...

„Pieniądz załatwia wszelkie sprawy” — mówi przysłowie indyjskie. Pieniądze dyrektora przeistoczyły moją celę w zdumiewające połączenie sanatorium z salą ćwiczeń. Więźniowie w pasiastych kurtkach przynieśli tu dokładną wagę i ustawili rek. Odziany w ciepłątką

piżamę intensywnie odżywiałem się i przeprowadzałem ważenie własnej osoby. Potem masowano mnie; następnie odpoczywałem, wykonywałem według rozkładu ćwiczenia i z zadowoleniem rejestrowałem, jak narastały i krzepły moje mięśnie. Godwin, dyrektor i doktor Wilson odwiedzali mnie codziennie.

A tam, za murami więzienia, tętniło życie z jego codziennymi kłopotami, i tylko głuchy urywany hałas dochodził do moich uszu. Skłonni do zachwyków wielbiciele cyrkowych trików przesyłali mi kwiaty. Cela upodabniała się do oranżerii. Na moje nazwisko przychodziły listy i telegramy, ale Jigs miał surowo nakazane nie niepokoić mnie korespondencją, zresztą, nie miałem nawet czasu, ażeby ją czytać. Tylko jeden raz się zdarzyło, że masażysta przypadkowo zostawił u mnie gazetę, w której przeczytałem o sobie.

Redakcja podawała jako fakt wiarogodny, że znany miliarder Hophar odkupił przed dwoma laty od dyrekcji „Koloseum” całą aparaturę śmiertelnego numeru „Człowiek lżejszy niż powietrze” i kilkakrotnie wzywał reflektantów, ażeby powtórzyli mój skok. Ale dziewięciu śmiałków, jeden po drugim, poniosło śmierć uderzając głową w ziemię obok zbiornika. Miliarderowi zaś, namiętnemu wielbicielowi ryzykownych dyscyplin sportu, ogromnie podobała się taka interesująca zabawa. Szuka więc dziesiątego. Lecz mija już rok, a na całej kuli ziemskiej nie może znaleźć człowieka, który zdecydowałby się na wystrzelenie go za pomocą katapulty. Oczywiście, miliarder Hophar ani przez chwilę nie wątpi, że obwiniony nie jest wcale tym czempionem, który niegdyś zdołał trafić właśnie do zbiornika. Ale mister Hophar jest zachwycony, iż wreszcie znalazł się dziesiąty śmiałek. Mister Hophar wpłacił dziesięć tysięcy dolarów do towarzystwa „Equitable”, ubezpieczając życie śmiałka. Mister Hophar nie liczy się z groszem. Wziął na siebie wszystkie wydatki związane z posiedzeniem sądu w cyrku „Koloseum” i osobiście naciśnię guzik katapulty, która w obecności sędziego i przysięgłych wyrzuci zwałę siebie Pingle'em na wysokość stu dwudziestu trzech i jedna trzecia stopy. Informowano również, że fatalny zbiornik będzie napełniony roztworem soli morskiej, przygotowanym w laboratorium chemicznym kompanii „Horward Ltd.” na specjalne zamówienie, i że ciężar właściwy roztworu solnego wynosi 1,71 przy temperaturze czterdziestu pięciu stopni Fahrenheita.

3

Na jedenasty dzień, zgodnie z postanowieniem sądu, posiedzenie w sprawie zabójstwa Rollsa zostało otwarte w pomieszczeniu cyrku „Koloseum”.

Sąd umieścił się na skraju areny, którą do dyspozycji sędziów zaofiarował Hophar. Ale miliarder, wynajawszy na ten dzień cyrk od dyrektora, nie miał najmniejszego zamiaru tracić na próżno pieniędzy jedynie dlatego, że lubował się w śmiertelnych zabawach. Oddał sądowi tylko arenę i bynajmniej nie przekazywał mu pozostałego pomieszczenia cyrku. Dlatego publiczność płaciła podwójne i potrójne ceny i zapełniła wszystkie miejsca „Koloseum” od parteru po galerię.

Gdy ukazałem się na arenie w skromnej kurtce marynarza z „Booksousa”, przysłanej mi do więzienia przez jednego z kolegów ze statku, przychylny gwar rozszedł się po cyrku. Ten i ów zaklaskał w dłonie. Na galerii ktoś krzyknął:

— Halo, Pingle! Trzymaj się mocno!...

Sędzia potrząsnął dzwoneczkiem. Delikatny dźwięk ginął w olbrzymim pomieszczeniu niczym brzęczenie samotnej muchy w szczerym polu.

Sąd rozlokował się z komfortem w otoczeniu stenografistek, maszynistek, klerków i policjantów. W przejściach stały tłumy fotografów i filmowców⁷.

Dyrekcja włączyła pełne światło. W łóżach prasowych powstał ścisk. Przygotowano

kilka dalekopisów do przekazywania szczegółów procesu do New Yorku, Waszyngtonu i za ocean. Widocznie zmobilizowano wszystkie środki łączności prasowej.

A przed sądem stał znany mi zbiornik z wodą i kołyska katapulty.

— Wznawiam posiedzenie — ogłosił sędzia. — Czy oskarżony w dalszym ciągu utrzymuje, iż jest Samuelem Pingle'em, i pragnie to udowodnić?

Cyrk zamarł oczekując mojej odpowiedzi.

— Tak, panie sędzio, natychmiast gotów jestem udowodnić swoją tożsamość — wypowiedziałem twardym i donośnym głosem.

Godwin powstał.

— Proszę zrobić przerwę. Oskarżony powinien się przebrać w odpowiedni ubiór. Nie może wykonać numeru w ubraniu krępującym jego ruchy.

Na sali wszczyna się hałas.

Sąd uwzględnia prośbę obrony i zarządza przerwę.

Żandarmi wyprowadzają mnie za kulisy.

Oto znowu jestem w szatni, przez której okno niegdyś uciekłem. Jaką skomplikowaną drogę musiałem przebyć, ażeby wydostawszy się przez to okno być doprowadzonym tutaj dla odmiany przez drzwi! Los jawnie naigrawa się ze mnie. A co będzie, jeżeli lecąc z góry postaram się trafić nie w zbiornik z wodą, ale po prostu w sędziego? Przecież zgrabnie skręcę kark, nie tylko jemu, lecz jednocześnie i sobie.

Tak myślałem, gdy milczący krawcy teatralni pod nadzorem żandarmów ubierali mnie w jedwabny trykot. Poznali mnie, lecz nie uronili ani słowa: przecież obcym Zabronione było rozmawiać ze mną. Ale ja pierwszy naruszyłem milczenie.

— Panie Godwin, niech pan posłucha — zwróciłem się do adwokata czuwającego razem z dyrektorem nad moją toaletą. — Proszę mi pokazać mister Hophara. Przecież to on będzie naciskał feralny guzik. Pragnąłbym wiedzieć, jak zamierza spuszczać sprężynę.

I nagle opanował mnie nieprawdopodobny strach. A jeżeli wszystko to urządzono umyślnie? Jeśli nieznany Hophar gwałtownie spuści sprężynę? Jeżeli nie da sobie z nią rady? Jeśli oni wszyscy pragną, ażeby...

— Nie chcę! Nie będę! — zawołałem nagle, nie panując nad sobą, i zerwałem się z miejsca.

— Ach, posadźciez go na krzesło! — usłyszałem drwiący głos.

— Tak, tak! — krzyczałem wijąc się w krzepkich rękach Godwina. — Na krzesło mnie posadzić, na krzesło!

— Mister Hophar pragnie z panem rozmawiać — powiedział mi Godwin na ucho.

Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem miliardera. Wchodził tutaj dumny i niezależny. Był to Clips we własnej osobie, ubrany bez zarzutu. W szpilce jego krawata błyszczał wspaniały brylant. Clips surowo popatrzył na mnie i nagle niepowtarzalnym ruchem uniośł nieco swoją lewą brew. Było to wezwanie do milczenia i rozwagi. Zrozumiałem, iż nie należy teraz okazywać zdumienia z powodu nieoczekiwanego spotkania. O, to był prawdziwy miliarder, jedynie szminkę widać było zupełnie wyraźnie. Clips grał. Niedbale wycedził przez zęby:

— Godwin, chłopaczek w formie? Proszę mu dać pięć kropli rumu na kawałku cukru. Skoczy jak młody bóg.

Zachęcająco uścisnął mi rękę.

— Zrobisz dwie spirale — nie więcej. Licz do jedenastu. Na „dwanaście” będziesz już siedział w zbiorniku. A teraz na manez. Niechaj sędzia przygotowuje parasol. Zrobimy na arenie burzę w szklance wody...

Dossałem kawałek cukru i podniosłem się z krzesła.

— Gotów.

— Już ci lepiej — wyrzekł Clips. — Patrz na świat weselej, a pobijesz rekord niejakie-

go Pingle'a...

Z areny dochodziły dźwięki orkiestry. Dyrekcja nie cofała się przed żadnymi wydatkami i podczas sądowego antraktu muzyka uprzyjemniała czas publiczności.

— Chodźmy, chłopcze! — zakomenderował Clips. — Parade-allez!...

Zagrzmiał „Marsz gladiatorów”. Przy wyjściu na arenę oświetlono mnie jaskrawo reflektorami. Szedłem między dwoma szeregami żandarmów i umundurowanych funkcjonariuszy cyrkowych. Bezpośrednio przede mną jechały na wózku zdjęciowym dwa aparaty filmowe z mikrofonami. Miałem ochotę zniszczyć te aparaty, tak niestosowne w tej chwili, i zbić krzątających się na wózku ludzi. Zacisnąłem dłonie, wyprostowałem się i... usłyszałem z tyłu głos Clipsa:

— Odważnie, synku kochany! Cały świat patrzy na ciebie!

Wydeklamował to szlachetnym głosem kochającego ojca.

W tym momencie rozległ się straszliwy hałas. Roztrącając żandarmów i służbę cyrkową rzuciła się do mnie z dzikim łkaniem wspaniale ubrana dama. Padła przede mną na kolana, rozpostarła ręce i wykrzyknęła:

— Drogi Charlie! Nie opuszczaj mnie!

Wstrząśnięty cofnąłem się o krok i w podnieceniu zdołałem jedynie powiedzieć:

— Przepraszam, milady...

Niemal że przestąpiwszy płaczącą kobietę, która w napadzie hysterii wrywała sobie włosy, posunąłem się dalej.

— Nie zwracaj uwagi na drobnostki — zdążył szepnąć mi Clips naturalnym głosem, który dodał mi otuchy. — Czyż mało na świecie entuzjazmujących się dam! Pokaż no im swoją sztukę.

Znowu jestem na arenie. Oto kołyska. Dookoła hałasuje pstry tłum, spragniony za własne pieniądze krwawego widowiska. Sędzia otwiera nad swoją głową parasol i bojaźliwie spogląda na zbiornik z wodą.

„Nie — poszedłem po rozum do głowy — ja nie chcę i nie będę umierał dla waszej przyjemności. Nie chcę tak ginąć, jak za dawnych czasów ginęli niewolnicy na arenie Colosseum”.

— Oskarżony, zwący siebie Pingle'em — odezwał się do mnie sędzia — proponuję panu zaprodukować sądowi wiarogodny dowód...

Clips stanął obok mnie i uklonił się na wszystkie cztery strony.

Orkiestra zagrała „Zaśnij, kotku...”

Położyłem się w kołysce.

„Mój Boże, gdzie jesteś, Edith?” — była to moja ostatnia myśl.

— Uwaga!

— Gotów!...

— Lot!...

„Rrrrrrrrr...” Werbel bębnowy i okrzyk tłumu zlały się razem. Cyrk runął pode mną, wyrócił się do góry nogami. Jeszcze chwilka i oto siedzę w zbiorniku, kręcąc głową i plując niczym pudel.

Clips podał mi rękę. Wrzask tłumu ogłuszał nas. Sędzia potrząsał dzwoneczkiem, ale nie było go słyhać.

„Kolosium” nadal był tym samym cyrkiem. Ja jednak przestałem być bandytą Carnero i stałem się znowu Samuelem Pingle'em.

Godwin wygłosił mowę. Powiedział, że świetnie udowodniłem swoją tożsamość. Mówił również, że przybyłem do Mazatlanu w południe, jak zeznał to rybak, który mnie przywiózł. Powiedział, że doktora Rollsa zamordowano o dziewiątej rano. Zostało to ustalone na podstawie danych zegara z brązu, stanowiącego własność doktora Rollsa. Zegar ten spadł na podłogę w czasie walki Rollsa z mordercą i zatrzymał się na godzinie dziewiątej.

Prokurator zrzekł się oskarżenia. Wypuszczono mnie niezwłocznie na wolność.

Ale w sercu moim pozostał na całe życie dziwny osad. Od tego czasu znienawidziłem arenę cyrkową, choćby pokazywano na niej najbardziej ciekawe numery.

Wielotysięczny tłum odprowadzał samochód, którym jechałem z Godwinem i Clipsem do więzienia.

Wreszcie zostałem sam. Do celi wszedł Jigs.

— Gratuluję — powiedział do broszki i mocno uściśnął mi dłoń. — Jakie wasza miłość wyda rozkazy? Jutro otrzyma pan tyle pieniędzy, iż będzie pan mógł zapędzić w kozi róg wszystkich Clipsów.

— Kochany Jigs — powiedziałem smętnie, ale twardo — jeżeli pan jest moim przyjacielem, w co nie wątpię, to proszę urządzić wszystko tak, ażeby wypuszczono mnie stąd dzisiaj wieczorem. Nie chcę czekać do rana.

— Słowo takiego człowieka jak pan jest dla mnie prawem — odpowiedział Jigs. — Wszystko na świecie jest dziełem rąk ludzkich — zauważył wieloznacznie i wyszedł zawiwszy drzwi celi nie zamknięte.

Około północy wezwano mnie do kancelarii więziennej. Klerk Ben, siedzący przy pulpicie na wysokim krześle i bujający nogami, przychylnie popatrzył na mnie z piedestału swej wielkości.

— Pingle, może się pan udać w dowolnym kierunku. Ciekawa historia, mówiąc między nami. Pańskie papiery zaginęły. Ciało nieszczęsnego Rollsa zaginęło. Pański kompan zaginał. Niezła pomyłeczka, ale to nie zmienia postaci rzeczy. Skoczył pan jak wszyscy diabli i teraz, zgodnie z prawem, idź pan sobie z naszego czcigodnego zakładu, dokąd oczy poniosą...

— W takim razie żegnam pana — powiedziałem zdejmując z siebie więzienną kurtkę.

— Pożegnamy się, gdy zakończymy formalności — burknął Ben grzebiąc w papierach na pulpicie. — Ta-ak... Oto postanowienie sądu... — Ben chytrze mrugnął do mnie okiem. — Ależ pan sprytnie zrobił balona z sędziego... Niech się pan przyzna, zdażył pan coś niecoś odłożyć?

Nieogłędna odpowiedź mogła znowu przyodziać mi w pasiastrę kurtkę, więc tylko westchnąłem.

— Grzechem jest naigrawać się z bliźniego wtrąconego w otchłań niedoli — pokornie spuściwszy oczy wypowiedziałem zdanie z książeczki do nabożeństwa, którą wypadło mi oprawiać w więzieniu.

To uchroniło mnie przed napadem wściekłości. A taką miałem ochotę palnąć w szczękę tego cwaniaka, pragnącego przyłapać mnie na ostatek.

Stąpając ciężko, wszedł Jigs.

— A oto i rozkaz naczelnika. Wypląć, Ben, mister Pingle'owi pieniądze.

— Ach, prawda! — ocknął się Ben. — W introligatorni naszej zarobił pan dziewiętnaście dolarów i dziesięć centów. Proszę pokwitować odbiór, mister Pingle...

Ben wręczył mi pieniądze.

— Ruszaj pan w drogę — powiedział do mnie kpiąco — na swoją wyspę, wędz pan dorsze i bądź pan szczęśliwy. Dostyc kłopotów pan nam przysporzył. Przy sposobności, pan trzykrotnie golił się w więziennej fryzjerni. Trzeba odliczyć panu trzydzieści centów...

Zostawiłem na pulpicie dolara. Ben zwinnie strącił go na swoje biurko i przykrył postanowieniem sądu.

— Do rychłego zobaczenia — zjadliwie powiedział, gdy wkładałem czapkę.

— Proszę przekazać mister Gregge'owi moje gorące pozdrowienia i mój szczerzy zachwyt dla jego metod śledczych — odpowiedziałem nie mniej zjadliwie.

Jigs, wypuszczając mnie za bramę, powiedział serdecznie:

— Proszę nie brać do serca słów Bena. Los obdarzył go psim jęzorem i na to nie ma rady. Niech się pan uda do któregośkolwiek hotelu, przenocuje tam, a rano niechaj pan idzie

do dyrektora cyrku. On dla pana zawsze znajdzie robótkę...

Ja jednak skierowałem się śliskim na skutek nocnego deszczu chodnikiem na poszukiwanie dworca kolejowego. Chciałem iść przez życie własną drogą.

Po nowych tułactwach dotarłem wreszcie do wschodniego wybrzeża. Dmuchał już na mnie świeży wiatr ojczystego oceanu. Z wielką radością zobaczyłem w porcie, że u nabrzeża przycumowany jest „Zielony Kot” i ładuje towar. Z włazu wyjrzał białozęby Cza i poznał mnie. Szyper, pykający na pokładzie fajkę, przymrużył oczy, spojrzął na mnie i nagle przyjaźnie zawołał:

— Halo! Halo! Zaginiona duszo! Widzę cię, mały, na wylot. Chodź no tutaj! Bierz się za łopatę, jeżeli chcesz do domu... Szyper odgadł — chciałem jak najprędzej być w domu.

Zeszyt ósmy

1

Przez trzy prawie lata — od chwili gdy rozstałem się z rodzinnym Ashwharfem — nie znalazło się dla mnie miejsca na ziemi. Po podróży naokoło świata znowu mam przed sobą zamglone brzegi. Ojczyzna przyjęła mnie nieprzyjaźnie. Nie uśmiechało mi się dokończyć żywota jako węglarz. Jeszcze się tliła we mnie nadzieja. Ale w wielkim mieście, gdzie wylądowałem, nie było dla mnie pracy.

Jesień zbliżała się chyłkiem. Pewnej nocy wypadło mi siedzieć na skwerze z jakimś włóczęgą. Ażeby było cieplej, oparliśmy się o siebie plecami.

— Życie włóczęgi gorsze jest niż śmierć — filozofował. — Nie mam nikogo bliskiego na świecie i wszystko mi jedno, gdzie się podzieję. Ach, ileż ja, chłopcze, narobiłem błędów w swoim życiu! Tak, teraz jest już za późno na skruchę!

— A cóż panu przeszkodziło stanąć na nogach? — zapytałem. — Być może niezgodny charakter?

— Przede wszystkim nędza i bezrobocie — odpowiedział. — Oto siedzę w oczekiwaniu północy. Niedaleko, za tunelem, stoi pusty skład wagonów. Przyjdą tam dwaj moi przyjaciele i wskażą, z którego końca dogodniej będzie wdrapać się na ten węglowy ekspres. W ciągu doby dolecimy do Wesly...

Rodzinne strony nęciły. Zdecydowałem się. Pasażerowie na gapę sprytnie wyprowadzili w pole „byków” — strażników strzegących pustych wagonów towarowych i węglarek. Po rzadkim błocie podczołgaliśmy się we czwórkę do wagonów. Potem leżałem na cuchnącej węglarce, zwinąwszy się jak bezdomny pies. Do nosa wciskały się woniejące ostro nieczystości. Dokuczało mi niesamowicie pragnienie. Obdarte, żałosne postacie stłoczyły się na węglarce, tworząc zbity kłębek ciał. Pociąg szarpnął nieoczekiwanie, jak by w paroksyzmie. Uderzyłem głową o jakiś żelazny sworzeń. Jeszcze bardziej zachciało mi się pić. Odwróciwszy się na wznak, otworzyłem usta i chwyciłem spadające od czasu do czasu krople skałego deszczu.

— Nie wierć się tak! — gniewnie mruknął ktoś leżący na moim brzuchu.

Inny zaś sąsiad niechcący, choć boleśnie, szturchnął mnie nogą w bok i zachrapał.

Pociąg pędził w przestrzeń, w mrok, w nieznanne, rozważnie nabierając prędkości.

Dzień spędziłem w rowie obok toru kolejowego, oczekując nocy i próżnego składu wagonów. Znalazłszy się wreszcie na węglarce, zamierzałem dojechać do Wesly. Wypadło jednak wcześniej opuścić wagon. Przede mną była jeszcze daleka droga. Posuwałem się teraz na piechotę. Niedługo już znajdę się w Ashwharfie i zobaczę ojca oraz Edith.

Lecz z każdym krokiem trapiły mnie coraz czarniejsze myśli. Czy mam prawo wracać? Przecież w listach, z rzadka pisanych z Burmy do Edith i ojca, tak barwnie opisywałem swoje niby to świetne położenie, pisałem, że jestem niemal asystentem przemysłowego laboratorium, komponowałem, upiększałem i chwaliłem się po to, ażeby uspokoić starca i biedną dziewczynę. Oczywiście, oni wierzyli moim listom. Po co zaszczeniałem im takie złudzenia i nieziszczalne nadzieje? I co teraz? Po dawnemu jestem bezdomnym nędzarzem. Dlaczego posłuchałem Clipsa? Trzeba było, wyrznuwszy w piasek areny lub stół sędziowski, skrócić sobie kark i wszystko byłoby skończone. Nękanie wątpliwościami, zwalniałem kroku. W końcu zatrzymałem się, nabierałem przydrożnych kamieni i wypełniłem nimi stary plecak, po czym zarzuciłem go sobie na ramię i ruszyłem dalej, ledwie powłócząc nogami.

A oto i głęboki kanał Wesly.

2

Pamiętam, iż długo stałem na brzegu ogarnięty straszliwym smutkiem.

Ach, szkoda, że nie zatrzymałem się w mieście: tam przynajmniej mogłem zanocować, jeśli już nie pod krzakami na skwerze Wiktorii, to chociaż na śmietnikach Goldhillu!

Z nieba pokrytego smugami dymu opadał na ziemię szkaradny wieczór późnej jesieni, kiedy to z północy zamierza dać zimny wiatr, a w powietrzu czuć już zbliżanie się mglistej morki. Na samo wspomnienie tego faktu każdemu bezdomnemu włóczędze skóra cierpnie na plecach, on sam zaś szczerzej otula się kurtką, która niejedno widziała na świecie.

„Nie, nie dojdę do ojcowskiego domu. Niechaj wody kanału pogrzebią mnie razem z moją męką” — pomyślałem całkiem logicznie.

Ale niełatwo było zrobić decydujący krok. Na myśl o zimnej, samotnej, wieczystej nocy zapiąłem kurtkę na wszystkie guziki. Zresztą pozostało ich tylko dwa. Potem przyszło mi na myśl jedzenie, ale nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy jadłem ciepłą strawę po raz ostatni.

— Przepraszam pana, młodzieńcze — usłyszałem obok siebie uprzejmy głos i obróciłem się.

W pobliżu, przy ogrodzeniu kanału, stał niestary jeszcze, zarośnięty, niechlujnie ubrany człowiek w pomiętym kapeluszu i w zadumie pluł na mętną wodę. Drgały w niej odbicia drzew, rosnących na przeciwnym brzegu, i łagodne światła sygnałowe. Głębokie oczy nieznanego łyskały posępnym humorem. Rękoma przytrzymał leżącą na granitowej balustradzie ciężką cegłę i z uśmiechem spoglądał na mnie.

— Przepraszam — powtórzył nieznanomy. — Chciałbym poprosić pana o dwie przysługi.

Mówił uprzejmie i dlatego poczuwałem się do obowiązku grzecznie odpowiedzieć.

— Do pańskich usług, sir.

— Hm!... — odkaszlnął nieznanomy. — Czy nie ma pan przypadkiem kawałka porządnej linki, która by wytrzymała ciężar tej cegły?

W plecaku zabranym przeze mnie z „Zielonego Kota”, przepojonym zapachem ładowni okrętowych i noclegowych domów, w plecaku, który stracił swój solidny wygląd, miałem stare sznurki.

— Niestety, linki nie mam — odpowiedziałem. Mimo to chciałem jakoś pomóc temu człowiekowi i dlatego dodałem: — Jeżeli jednak wystarczą panu żalosne resztki siatek własnej roboty, to proszę bardzo. Są mocne. Doskonale łapałem w nie kiedyś gołębie.

I chociaż ze zrozumiałych względów nie chciałem w danej chwili otwierać plecaka, wykonałem ruch, jak bym zamierzał rzucić go z ramienia. Ale nieznanomy, uśmiechnąwszy się kąciakiem ust, zatrzymał moją rękę.

— Dziękuję panu, kierunek moich myśli zmienił się. Hm!... Sądzę, że wystarczy włożyć cegłę za pazuchę i dokładnie się zapiąć. Nie ma zupełnie potrzeby przywiązywać sobie cegły linką do szyi, czyż nie tak?

— Co pan zamierza robić? — wyszeptałem z niepokojem.

— Mam nadzieję, że się pan domyślił? — wykrzywił w uśmiechu usta nieznajomy. — Wleźć na balustradę, a potem rzucić się do tej kloaki. Cegła może zapewnić mi szybsze opadanie na dno.

— Takie buty... — wyrzekłem pełen podziwu dla bądź co bądź niecodziennej szczerości.

— Hm!... A pan przypuszczał, że ma przed sobą hydrologa, który w celach naukowych interesuje się głębokością tej hydrotechnicznej budowy.

Nieznajomy wymamrotał to niemal gniewnie i dlatego wzdrygnąłem się.

— Nie rób pan tego!

Ten jednak popatrzył na mnie z tak wielką pogardą, że się odsunąłem. Wściekle zgrzytnął zębami.

— Hm!... Zapewne jest pan wielebnym wikariuszem z kaplicy świętego Ducha. Uczy pan ludzi, jak powstrzymywać się od zła i czynić dobro? Albo, być może, jest pan akwizytorem Towarzystwa Zaopatrującego Bezrobotnych w Patentowane Wykałaczki? Nie? Hm!... Domyślam się. Pan jest synem milionera i w poszukiwaniu przygód zamienił pan dzisiaj frak i białe rękawiczki na łachmany. Ach, przyjacielu, gdyby pan był w moim położeniu, to zamiast odradzać mi, zdjąłby pan z siebie ostatnie szelki, przywiązał nimi cegłę do mojej szyi, złożył mi życzenia nieprzerwanego snu i obiecał spełnić także drugą moją prośbę!...

Krańcowo osłupiały nie przerywałem tej przemowy zaprawionej zjadliwym sarkazmem i nienawiścią, tak znanymi mi w ostatnich czasach. A nieznajomy energicznym ruchem zdecydowanego na wszystko człowieka wsunął cegłę za pazuchę i nieoczekiwanie łagodnym, zwykłym głosem powtórzył:

— Tak, drugą prośbę. Gdy z głębokości piętnastu stóp zacznę wypuszczać pęcherzyki, mogą się w tym czasie zjawić policjanci. Diabli noszą ich tu po szosie na motocyklach. Niechaj pan będzie tak dobry i powie im, że nic się nie stało. W przeciwnym razie zaczną szukać bosakami. Na wyciągnięcie mnie zabraknie im chęci, ale mogą pokaleczyć mi oczy. To do nich zupełnie pasuje. A ja pragnę stanąć na tamtym świecie w pełnej gali i bynajmniej nie jako ślepiec. Przyrzeka pan? Dziękuję. Zatem...

— Proszę zaczekać! — zawołałem. — Niech mnie pan wysłucha!...

Ale nieznajomy uczeplił się już obiema rękami balustrady przygotowując się do skoku w wodę. Wybałuszył na mnie oczy.

— Proszę mówić, byle prędzej! Nie mam czasu!

Ze wzburzenia traciłem oddech. Okropnie nie chciałem, ażeby ten dzielny człowiek zaczął wypuszczać pęcherzyki z głębokości piętnastu stóp.

— O, sir... — z trwogą wybałałem. — Zapewniam pana, iż wielokrotnie sam się znajdowałem w okropnym położeniu. Gorzkie rozczarowania czyhały na mnie jak jastrząb na kuropatwy. Nie tracę jednak nadziei...

Nieznajomy roześmiał się.

— Ależ z pana komik. Zapewne życie obdarzało pana tylko lekkimi szturchańcami. Nie znalazło jeszcze wolnej chwili, ażeby zadać panu miążdzący cios pod dolną szczękę i to tak, ażeby z piętnaście zębów zamieniło się na drobny proszek, a z oczu fajerwerkiem strzeliły bengalskie ognie. No? Nie obarczał pan jeszcze taką pracą dentystów? Hm!... Co pan powie? Proponuje pan zaczekać z ostatnim skokiem?

Ogarnęły mnie odległe wspomnienia o arenie i dlatego powiedziałem z wielką zaciętością:

— Tak!

Najprawdopodobniej, przytakując, starałem się ratować prze a własną rozpaczą. Przecież osobiście wybrałem ten samotny zakątek kanału z dala od szosy w tym samym straszliwym celu, co i mój dziwny rozmówca. Plecak, wypełniony solidnymi brukowcami, pociągnąłby mnie na dno szybciej aniżeli cegła — mogłem pójść o zakład sto do jednego, że na odległości piętnastu stóp w linii pionowej finiszowałbym pierwszy.

— Ale na co możemy liczyć? — w zadumie wyrzekł nieznajomy.

Czepiając się godnych pożałowania resztek nadziei wybąkałem:

— Dotrzemy do Wesly i spróbujemy urządzić się w domu noclegowym Towarzystwa Zbawienia Grzesznych Dusz.

W odpowiedzi nieznajomy zgrzytnął zębami:

— Hm!... Nie wymyśliłby pan, młodzieńcze, przypadkiem czegoś stosowniejszego? — I poprzedni sarkazm zadźwięczał w jego głosie. — Do drugiej w nocy stać na dworze w kolejce z podobnymi nam „grzesznymi duszami”? Potem, walcząc, wdrzeć się do zbawiennej budy, gdzie stare lady każą nam śpiewać akafisty Jezusowi i wysłuchiwać kazania wielebnego dżentelmena na temat „Odpłacajcie dobrem za zło”? Nie, dziękuję...

— Za to otrzymamy po talerzu owsianki i miejsce pod dachem — zaoponowałem powodowany dziwną przekorą, która odsuwała moje myśli od nieuchronnego, zdawałoby się, nurkowania z plecakiem brukowców.

Oglądając mnie od stóp do głów nieznajomy zmrużył oczy, w których malował się gorzki grymas.

— A może zamiast do Wesly udamy się do przepięknego zamku Oldmount? Zbliżymy się do okien sypialni dobrego właściciela i zawołamy: „Ej, zacny dżentelmenie! Prosimy o parę słów!” Właściciel zamku wyjdzie na balkon albo otworzy wietrznik i wysunie głowę w szlafmocy. „Dobry wieczór, dżentelmeni — powie. — Czym mogę służyć?” Wówczas złożymy niski, wielkoświatowy ukłon i zakomunikujemy: „Nie jedliśmy od wczorajszego ranka i nie mamy kąta, gdzie byśmy mogli się przespać”. Oczywiście właściciel zamku może zauważyć: „A co ja mam z tym wspólnego?” My zaś spróbujemy nalegać: „Mimo to czy nie znajdzie pan dla nas czegoś odpowiedniego? Słyszeliśmy o pana wyjątkowej dobroci. Na pierwszy raz zadowolilibyśmy się resztkami pańskiej skromnej kolacji. Przydałaby się także pana stara odświętna opończa. Posłużyłaby nam jako kołdra. A jutro rano sprzedalibyśmy ją tandeciarzowi i przez tydzień żylibyśmy pełni szczęścia...”

— Dobry właściciel Oldmountu? — spytałem ze zdumieniem. — Czyżby on wrócił?

— O kim pan mówi? — machnął ręką nieznajomy. — Oni wszyscy są jednacy... Zabawne... Lecz zanim otworzylibyśmy usta, dozorczy zamku daliby nam takiego łupnia... — I nieznajomy wykrzyknął, jak by ukąsiła go kobra: — Nie chcę tego! żegnam!

Zaczął przełazić przez balustradę.

— Niech pan poczeka! — wyszeptałem, łapiąc nerwowo powietrze... Strach mnie obleciał na myśl, że mogę pozostać sam na świecie, dlatego ja też zdecydowałem się na skok. Drżącymi rękoma zacząłem mocniej zaciągać paski plecaka przygotowując się na ostatnią podróż. — Jedną chwilkę — omal nie płakałem. — My razem... Ja z panem...

Nieznajomy otworzył usta ze zdumienia i postawił z powrotem na wilgotnych wybojach nadbrzeża zarzuconą już przez balustradę nogę.

— O tym nie było mowy — posepnie uśmiechnął się. — Wie pan, to wyszłoby całkiem źle i nawet bardzo nieładnie. No, rozumiem, nieciłbym ja się utopił, Ale pan taki młody i już porzuca pole bitwy? Nie, proszę zezwolić mnie samemu...

Znowu przerzucił nogę za balustradę.

— Nie zezwalam — dławiąc się łzami mamrotałem w podnieceniu. — Nie pozwolę samemu!...

Nieznajomy usiadł na balustradzie tyłem do wody i w zamyśleniu potarł sobie nos.

— Hm!... Ma pan w tej chwili taki władczy wygląd, jak gdyby pan przedtem był straż-

nikiem pieczęci królewskiej. No cóż, jeśli nie mogę, przystać na to, ażeby pan towarzyszył mi tam — wskazał czarną wodę — powinienem zostać z panem tutaj. — Wyciągnął zza pazuchy cegłę i położył ją na balustradzie. — Teraz na pana kolej. Nie podoba mi się zawartość pańskiego plecaka, młodzieńcze — dodał przyjaźnie.

Oblałem się rumieńcem, mamrocząc coś niezrozumiałego.

Ale nieznajomy dodał mi odwagi:

— Proszę się nie krępować. Różnie w życiu bywa. — Zmrużył oczy i łagodnie się uśmiechnął. — A więc, młodzieńcze! Kamienie do wody, a my zostaniemy!

Pomógł mi powrzucać brukowce do kanału i na koniec zwałił tamże swoją cegłę.

— Razem? — spytałem ponownie, zakładając teraz już pusty plecak na ramiona.

— Jeśli pan sobie tego życzy.

Oczywiście, samotność nieprawdopodobnie dokuczyła mi, dlatego też to dziwne spotkanie odwróciło ode mnie straszliwe myśli i wzbudziło jakąś mglistą nadzieję.

— A czegoż więcej może życzyć sobie pechowiec?

Wówczas nieznajomy po przyjacielsku wyciągnął do mnie rękę:

— Poznajmy się... Dobby. Tak się nazywam.

— A mnie proszę nazywać po prostu Sam.

— Cieszę się bardzo. Ja również mam zaszczyt być pechowcem. Ale dzisiaj los był dla mnie wyrozumiały.

— Wrócił panu życie? — naiwnie spytałem.

— O nie, proszę mi przebaczyć, Sam, historię z cegłą. Nie zamierzałem umierać, ale pan miał taki rozpaczliwy i bezradny wygląd i tak zdecydowanie pochylił się nad tą obrzydliwą kloaką, że ja... Pan rozumie?

Zbyt wiele zrozumiałem, gdy rzuciłem okiem na pełną odwagi twarz przypadkowego znajomego, i odpowiedziałem mu mocnym uściskiem dłoni.

— Dziękuję panu, sir.

— Proszę bardzo — kiwnął głową Dobby. — A wie pan co, Sam — Dobby poszperał w kieszeniach palta — okazuje się, że w mojej kieszeni zawieruszyło się kilka monet...

Usłyszałem wyraźnie delikatny metaliczny dźwięk, od którego w ciągu ostatnich tygodni całkowicie odwykłem. Dobby zręcznie podrzucił na dłoni monetę.

— Wystarczy, ażeby zaspokoić pierwszy głód? A z pełnym żołądkiem łatwiej będzie zatroszczyć się o nocleg, nieprawdaż? Hm!... Znam tu pewien przytulny kącik. Może tam wstąpimy?

Byłem głodny i nie rozumowałem.

— Jeszcze raz dziękuję panu, sir — ukłoniłem się.

Ale Dobby zamyślił się i przyłożył palec do czoła:

— Hm!... A czy warto, abyśmy szukali podmiejskiej knajpy? Mieszkam w pobliżu. Wie pan co? Pójdziemy do mnie. Będziemy musieli wspiąć się na Przełęcz Ashwharfską i przejść jakąś milę wąwozem na lewo...

— Tunelem świętego Tomasza? — zapytałem.

— No tak... Bardzo dobrze, iż zna pan teren. Idziemy?

— Idziemy — zgodziłem się.

Jeżeli los życzy sobie jeszcze mnie doświadczać, niech tak będzie. Nie sprzeciwiałem się więc, gotów iść za Dobby'm, dokąd zechce.

Niezbyt dobrze znałem tę część przełęczy i ostrożnie posuwałem się za Dobby'm, kiedy skręcił w wąski parów, przypominający nocą podziemny nie kończący się korytarz, znany pod nazwą „Tunelu świętego Tomasza”. Dobby szedł lekkim szybkim krokiem. Gdy przed nami wyłonił się niewielki plac, było już tak ciemno; że rozróżniałem jedynie wysoką metalową siatkę ogrodzenia. Maleńka furka, którą obrotem klucza otworzył Dobby, była ostatnim etapem naszej wędrówki. Wśród kilku wysokich drzew, smętnie szumiących jesiennymi gałęziami, świeciło się samotne okno domu. To łagodne światło przypomniało mi moje domowe ognisko w Ashwharfie. Tak bardzo zapragnąłem spędzić chociażby kilka minut pod dachem, iż nie mogłem stłumić wzruszenia, a serce moje zabiło przyspieszonym tętnem...

— Oto jesteśmy w domu, Sam.

Dobby ostrożnie otworzył drzwi, od których oddzielały mnie dwa stopnie ganku, i przekroczył próg.

— Proszę wejść, Sam. Zaraz włączę światło...

Przy świetle elektrycznej żarówki zobaczyłem niewielki westybul, wieszak na odzież, stolik. Kilkoro drzwi prowadziło do wewnętrznych pokoi. Szerokie schody biegnęły na pierwsze piętro.

— Niech pan zdejmie swoją kurtkę i rzuci ją w kąt razem z plecakiem — zaproponował Dobby. — Jeżeli oczywiście w plecaku nie ma nic drogiego — dodał półzartem.

Ale plecak był pusty. Nawet dyplom zaprzepaszczonego został w „Sprawie Carnero”. Zażenowany stałem bez ruchu. Pod kurtką nie miałem nic — prócz podartego podkoszulka przypominającego mi pokład „Zielonego Kota”, i dlatego zwlekałem z rozpięciem dwóch ocalałych guzików.

— Nad czym pan tak rozmyśla? — spytał Dobby. — Przydałaby się teraz gorąca kąpiel? Tak czy nie?

Nie oczekiwałem takiego błędnego szczęścia. Dobby bez reszty zaskarbił sobie moje serce. Wszedłszy za nim do łazienki, bez najmniejszego żalu zrzuciłem swoje łachmany.

— Niech się pan roztasuje i umyje gruntownie. Zaraz przyniosę panu czystą bieliznę i ubranie. Jesteśmy obaj jednakowego wzrostu i, mam nadzieję, wszystko będzie dobrze leżało... — Mówił szeptem. Spostrzegłszy pytający wyraz mojej twarzy, dodał: — Służący mój jest niezdrów. Nie chciałbym go niepokoić.

— Ależ naturalnie — zgodziłem się również szeptem.

Wylegając się w gorącej mydlanej pianie, która zmywała ze mnie geologiczne nawarstwienia, nagromadzone w czasie bezdomnej włóczędzy, nie myślałem o tym, co za oryginał z Dobby'ego i po jakiego diabła potrzebne mu było ściąganie do siebie włóczędzy, spotkanego na nadbrzeżnej ulicy.

Drzwi do łazienki uchyliły się i szczupła ręka Dobby'ego rzuciła na ławę ręcznik, prześcieradło, bieliznę, ubranie i trzewiki. Kolorowe skarpetki i krawat w paski uzupełniły garderobę.

Podziękowałem gospodarzowi i teraz, niczym beztroskie dziecko, pluskałem się w ciepłej wodzie, starając się jednocześnie jak najmniej myśleć. Przecież wylegiwanie się w wannie było nieporównanie przyjemniejsze, niż wypuszczanie pęcherzyków na dnie głębokiego kanału. Dwukrotnie napełniałem wannę i wreszcie z zadowoleniem stwierdziłem, że ciało moje nabrało naturalnego różowego odcienia. Prócz tego spostrzegłem, że skóra moja była idealnie czysta, a przecież zdarzało mi się stykać z bardzo niechlujnymi ludźmi.

Wziąwszy chłodny natrysk i ubrawszy się zasmuciłem się nieco, gdyż na toalecie nie było ani lusterka, ani przyborów do golenia. Dlatego nie miałem pewności, czy krawat mój zawiązany jest bez zarzutu. Włosy na głowie przyglądałem jako tako. Ostatni raz brałem

natrysk przed trzema miesiącami w domu noclegowym Kobiecego Towarzystwa Opieki nad Ubogimi. Od tego czasu dałem pełnię swobody włosom na głowie oraz wąsom i brodzie — niech sobie rosną, jak im się podoba,

Teraz pozwoliłem sobie na uśmiech: „Czyżby los zmienił swój stosunek do mnie?”

— Przepraszam pana, Sam — usłyszałem cichy głos Dobby'ego. Stał we drzwiach w takim samym szarym garniturze jak mój. — Robi pan korzystne wrażenie. Chodźmy.

Roztaczał wokół siebie przyjemny aromat lawendy, a oczy błyszczały mu bynajmniej nie ponuro.

I gdy wprowadził mnie do jadalni, gdzie na okrągłym stole w smakowitym nieładzie ustawione były patery z owocami, koszyczek z chlebem, maselniczka, półmisek z pasztetem, a obok na spirytusowej maszynie usadowił się bulgoczący imbryczek do kawy, zdawało mi się, iż jestem w malignie. Być może, istotnie dałem nurka z brukowcami na dno kanału, wypuszczam pęcherzyki z głębokości piętnastu stóp i wszystko to przywidziało mi się przed śmiercią? Albo też śpię w domu noclegowym przy kaplicy świętego Ducha i wszystko to śni mi się?

Niepostrzeżenie z całej siły, aż do bólu, uszczypnąłem się w ucho.

— Proszę siadać — powiedział Dobby. — Niech pan je. To jedzenie jest rzeczywistością. Wina nie ma — sam nie piję i innym nie zalecam.

Nie dawałem się prosić. Mój Boże i święty Tomaszu! Przebaczcie mnie grzesznemu! Za uszami trzeszczało mi tak, jak gdyby wszystkie ashwharfskie młyny wodne i wiatraki postanowiły zemleć roczny zbiór jęczmienia natychmiast i w ciągu jednego wieczora. Z chwilą gdy wpiłem zęby w nieporównanie elastyczne i gorące jajko na twardo, miałem ochotę rozplakać się ze wzruszenia. Nigdy nie podejrzewałem, że żołądek ludzki może za jednym zamachem pomieścić w sobie taką ilość jedzenia. Mój apetyt, niczym samum, zmiotł ze stołu prawie wszystko. Co prawda, na półmiskach coś niecoś zostało, ale ja, lekko zmęczony, odchyliłem się na oparcie krzesła, czując błogi ciężar w żołądku i zdając sobie sprawę, iż trzeba być rozsądnym i zachować umiar po tak długim poście.

— Bardzo panu dziękuję, sir — wyrzekłem dopiwszy kawę i złożywszy serwetkę.

Dobby uprzejmie zaproponował mi papierosa. Z jego niemego spojrzenia wywnioskowałem, że nie czekając na zaproszenie powinienem opowiedzieć mu o sobie. Widocznie osoba moja zainteresowała czymś dziwnego gospodarza i chciałby wiedzieć, kogo wprowadził do swego domu. Nie miałem prawa mu odmówić i obowiązkiem moim było odwzajemnić się za okazaną gościnność.

Nieoczekiwana myśl, jak dzyrra spod krzaka, wśliznęła mi się do głowy: „A jeśli ten dziwak wypyta, wysłucha opowieści o całej mojej niedoli i powie: »No, moje kochanie, teraz jesteśmy z sobą kwita. Za opowiadanie podjadłeś sobie, przeto zbieraj swoje manatki i wynoś się stąd!« Po co opowiadać każdemu, kto podsunie ci kasek, o swoim życiu? Alboż on może zrozumieć, że wina moja polega jedynie na tym, iż nikomu nie jest potrzebne moje wykształcenie? Zresztą, niech wypędza!...”

Lecz za dzyrrami pełzły inne myśli, jadowite jak lachesis: „Jakże to? Znowu zostać samemu jak palec? Na deszczu? W wąwozie?”

Wstrząsnąłem się jak psina, którą zamierza się uderzyć nie wiadomo za co.

Opowiedziałem więc Dobby'emu nie całą prawdę, lecz tylko o dzieciństwie, o rodzinnym miasteczku, nie wymieniając Ashwharfu, i o tym, iż zmuszony byłem wypuścić się w podróż w poszukiwaniu szczęścia, ponieważ ojciec był biedny.

Zegar wybił północ. Dobby dopalił fajkę i położył ją na popielniczce. Dymek cienką zamierającą smuzką wznosił się do abażuru wiszącej nad stołem lampy. Gospodarz wstał, zrobił kilka kroków między oknem i okrągłym stołem. Uwarstwiony dym tytoniowy kołysał się i głowa Dobby'ego z potarganą fryzurą i brodą pływała nad tym szarobłękitnym obłokiem.

— A więc, Sam — powiedział w końcu Dobby. — Zdaje się, że będzie pan dla mnie

odpowiednim człowiekiem.

— Do pańskich usług, sir — pochyliłem głowę. — Proszę mną rozporządzać.

Dobby pilnie wpatrywał się we mnie surowym wzrokiem.

— Potrzebny mi jest człowiek odważny i zdecydowany, wykonujący moje rozkazy bez słowa sprzeciwu, trzymający język za zębami i nie wścibiający swego nosa w sprawy, w które go nie wtajemniczono...

— Przepraszam bardzo, spodziewam się, że sprawy będą jednak tego rodzaju...

— Hm!... źle mnie pan zrozumiał. Na piętrze mam laboratorium, a w szopie na podwórzu wiwarium...

— Węże?

— Hm!... Jakie tam węże? Najzwyklejsze zwierzęta laboratoryjne... Króliki, świnki morskie, szczury, myszy, koty, psy...

— Przepraszam, sir. Z tego, co słyszę, wnoszę, iż jest to jednak dość duży ogród zoologiczny? A spytałem pana dlatego, że w swoim czasie byłem dozorcą u takiego, co to hodował węże.

— Na Jawie?

— Nie, w Burmie..

— Nie słyszałem, nie wiem — pokręcił głową Dobby. — Ale to nieważne. Jeżeli pan umiał dopilnować węzów, to tym bardziej potrafi pan obsłużyć króliki...

— Postaram się nie zawieść pańskiego zaufania, sir.

Dobby z zadowoloną miną uśmiechnął się.

— Spodziewam się. Będzie pan tu miał całkowite utrzymanie i pensję. Ale zobowiązany pan będzie... hm!... nigdzie nie oddalać się bez mojego rozkazu. Nie wychodzić poza granice siatki okalającej moją willę. Zrozumiano? I jeszcze... Pan nie powinien się golić... Gdy zajdzie tego potrzeba, ja pana ogolę własnoręcznie...

Było to dziwne, ale na świecie spotykałem nie takich oryginałów.

— Cóż, niech mnie pan goli, sir, kiedy pan tylko zechce. Zgadzam się i na to — powiedziałem. — Przecież, gdy się ma pieniądze, można sobie pozwolić i na taką przyjemność.

— Ma pan rację, Sam — szybko usankcjonował to Dobby. — A teraz będzie pan łaskaw podpisać ze mną mały kontrakt.

Wyciągnął z kieszeni notes i pióro.

Chciałem odmówić, ale było już za późno.

— Z przyjemnością — wymamrotałem spostrzegając jednocześnie, że pocieram zapalną niewłaściwym końcem.

Pióro w ręku Dobby ego pośpiesznie biegło po papierze.

— Niech pan podpisze... — powiedział Dobby. — Otóż... Proszę słuchać: „Pieniądze każdej soboty... Nie ma prawa odmawiać... Nie ma prawa porzucić pracy...” Proszę pisać. Wystarczy choćby tylko imię „Sam”. Wierzę panu.

Nie dosłuchawszy, byle jak się podpisałem.

— Proszę.

Dobby jeszcze raz przeczytał kontrakt.

Przewidując przyjemny odpoczynek po obfitej kolacji, z lekka ziewnąłem. Teraz mój nowy gospodarz powinien życzyć mi dobrej nocy i odprowadzić do przeznaczonego dla mnie pokoju.

— No, Sam, do roboty — oschle powiedział Dobby chowając kontrakt do kieszeni.

— Co? — rozdziawiłem usta.

— Właśnie to jeszcze oschlej rzekł Dobby. — Lubię pracować po nocach. Pan będzie łaskaw przejść do wiwarium, nakarmić zwierzęta, oczyścić klatki. Roboczy fartuch jest w szopie. Niech pan zamknie usta, Sam, i przestanie się dziwić... Hm!... Pan zapomniał o kontrakcie. Niechaj pan nie będzie zbyt ciekawy i nie robi wielkich oczu. To na razie wszystko,

czego ja od pana wymagam.

Zęby moje niezależnie ode mnie przecięły w ustach papierosa na połowę. Historyjka zaczynała mi się podobać.

— Słucham, sir — powiedziałem wstając spokojnie. — Przypuszczam, że pan mnie tam zaprowadzi?

Obszerne wiwarium mieściło się w szopie: Klatki widocznie nie co dzień były czyszczone i dlatego od razu musiałem zaprząć się do brudnej roboty.

— Wpadnę po pana nad ranem — powiedział Dobby wychodząc i zatraskując za sobą drzwi szopy.

Chciało mi się strasznie spać, ale nie należało lekceważyć nowego miejsca.

Żarówki oświetlały szeregi klatek, starannie ponumerowanych, i dlatego szybko zapoznałem się z ciekawymi bądź co bądź zwierzątkami. W porównaniu z parkiem „węzowego profesora” był to raj, zamieszkały przez anioły.

Tak byłem pochłonięty pracą, iż nie dostrzegłem, kiedy nastąpił ranek.

— Czas na odpoczynek — rozległ się głos Dobby'ego, który wszedł do wiwarium. — Zaraz panu wytłumaczę, jak należy karmić zwierzęta.

Pokazał mi, jak trzeba się obchodzić z laboratoryjnymi zwierzątkami, pomógł mi napęłnić karmą koryta i nalać wody do poidełek.

— A teraz, Sam, niech pan się kładzie, spać — rzekł Dobby, widocznie zadowolony z mojej pracy.

— Tak, sir, ledwo powłóczę nogami...

Wyszliśmy z szopy. Przede mną stała śliczna willa z czysto utrzymanym podwórkiem, opasanym, wysoką siatką drucianą. Stoki góry, na której stał dom, wydały mi się znajome.

Skierowałem się ku siatce. Daleko w dole, pod stromym skalistym urwiskiem, na brzegu oceanu kąpało się w promieniach porannego słońca ładne miasteczko. Był to mój rodzinny Ashwharf.

4

W domu Dobby'ego, zbudowanym zapewne niedawno akurat na tarasie nad Skalą Dwóch Róż, mieszkał prócz mnie i gospodarza posunięty w latach służący Meeghly, małomówny, ale doskonale przygotowujący wyszukane potrawy. Karmił znakomicie i dlatego zawsze z niecierpliwością czekałem na obiad, kiedy to popisywał się on swoją sztuką kulinarną. Szczególnie udawał mu się deser. Przecierane kasztany ze śmietanką bywały znakomite.

Piętro zajmowały pokoje Dobby'ego, który spędzał tam dnie i noce w całkowitym odosobnieniu. Do moich obowiązków należało przynoszenie mu żądanych zwierząt do pierwszego na piętrze pokoju. Co on tam z nimi robił, nie wiedziałem. Potem na sygnał dzwonka znowu wchodziłem na górę, zabierałem koszyk ze zwierzątkami i odnosiłem do szopy. Tutaj miałem dość roboty. Zwierzęta trzeba było karmić według rozkładu, rano zaś i wieczorem ważyć niektóre króliki, a wyniki podawać Dobby emu. Ponieważ Meeghly był skąpy w słowach, a Dobby'ego widywałem tylko wtedy, kiedy on sam zechciał, zaprzyjaźniłem się więc z Keepem, pięknym szkockim terierem, bardzo mądrym psem. Odprowadzał mnie z domu do szopy, do której, jednak nie wchodził uważając widocznie, że jest to poniżej jego godności. Szczególną pogardę budziły w nim koty, które trzymano w osobnej klatce.

Muszę tu powiedzieć, że kocury i kotki to najbardziej grymaśne ze wszystkich laboratoryjnych zwierząt. Zgadzą się nie wrzeszczeć w niewoli tylko wtedy, gdy otrzymują świeżutkie mięso i mleko. Niekiedy w wiwarium nachodził je, przy tym wszystkie jednocześnie, dziki napad tęsknoty za wolnością. Wówczas tak przeraźliwie miauczały, przeklinając zape-

wne wszystko i wszystkich w swoim kocim języku, że Dobby rozkazywał:

— Sam, niech pan z nimi pospaceruje na słoneczku.

Keepa zamykano w kuchni, ja zaś wyprowadzałem koty na łańcuszkach partiami po cztery sztuki, uważając, ażeby nie wysmyknęły się z obróż.

Niepostrzeżenie zakradła się zima. Pracowałem w spokoju, dobrze się odżywiałem i mogłem, wydawało się, być zadowolony z takich mało skomplikowanych obowiązków, tym bardziej że cotygodniową pensję otrzymywałem regularnie i chowałem ją do nocnego stolika.

W dniu wypłaty pensji Dobby własnoręcznie namydłał mi twarz i zręcznie golił, ani razu nie zacinając skóry. Niestety, nie mogłem ocenić wyników pracy swego fryzjera, ponieważ w całej willi nie było ani kawałka lustra. Chciałem jakoś zapytać gospodarza, czy rozmyślnie usunął lustra ze swojego domu, czy też jest to tylko przypadek, ale podświadomie wyczułem, iż takie pytanie na pewno mu się nie spodoba. Zresztą co mnie mogły obchodzić dziwactwa Dobby'ego? Jego stosunek do mnie był życzliwy, ale takiego dobrotliwego tonu i serdecznego uśmiechu, jak pierwszego wieczora naszej znajomości, więcej już u niego nie dostrzegłem. A w ogóle to on bardzo mało ze mną rozmawiał.

Ja zaś, nieskończenie wdzięczny za swoje ocalenie, na każdym kroku starałem się mu dogodzić i nawet niepokoił mnie stan jego zdrowia. Nie podobało mi się jego ciągle pokazywanie.

Lecz wciąż byłem samotny, nawet tutaj, i dobrowolne uwięzienie na terenie willi zaczęło mi się przykrzyć, szczególnie od tego zimowego poranka, kiedy to zbliżyłem się do ogrodzenia w miejscu, gdzie bezpośrednio dochodziło ono do skraju urwiska. Zimowe słońce ślizgało się w dół po dachach Ashwharfu. Gwałtownie zapragnąłem zejść z gór i powłóczyć się po cichych uliczkach, wstąpić do „Neptuna” albo do „Królewskiego Tygrysa”, ogrzać się przy kominku i posłuchać ashwharfskich nowin. Czy jednoreki wujek po dawnemu filozofuje? Jak się miewa mój ojciec? Co porabia rudy Edd? A doktor Fleet prawdopodobnie jeszcze bardziej utył...

Odgadywałem niewyraźne zarysy ulic Ashwharfu. Tam oto wystaje wierzchołek wieży kościelnej, gdzie kaznodzieją jest pastor Jeremiasz. A za tamtym wzgórzem powinny być domki tak miłe memu sercu. Z pewnością złotowłosa Mary wyrosła... A Edith Winter? Gdy tylko o niej pomyślałem, stawała przede mną niczym żywa, serce zaczynało się tłuc jak skowronek o druty klatki...

Moje poprzednie, pełne przygód życie zniewalało mnie do przyglądania się temu, co mnie otaczało w domu Dobby'ego.

Z gospodarką tej zadziwiającej willi oswoiłem się. Dwa wiatraki dostarczały energii elektrycznej, pompowały wodę ze studni artezyjskiej i wprawiały w ruch silniki, które huczały w pokojach Dobby'ego. Willa ogrzewana była elektrycznością, a Dobby kiedyś pochwalił się, że całe jego gospodarstwo jest zautomatyzowane. Gdy akumulatory są całkowicie naładowane, wiatraki przełączają się na pompowanie wody.

Obserwując, jak szczury łapczywie jedzą zupę przygotowaną przez Meeghly'ego, rozmyślałem często o Dobby'm. Przecież myśleć o gospodarzu kontrakt nie zabraniał?

Co mnie mogą obchodzić jego zajęcia? Dobby niewątpliwie jest bakteriologiem. Wczoraj na przykład byliśmy obaj zajęci przez cały wieczór przygotowywaniem pożywki do hodowli mikrobów. Meeghly ugotował z cielęciny doskonały zawiesisty bulion, ja zaś starannie precedziłem go przez sączkę, a następnie wyjałowiłem w autoklawie stojącym w pierwszym pokoju na piętrze. A więc wszystko, zdawałoby się, przebiegało zupełnie normalnie. U „węzowego profesora” miss Lizzie również zajmowała się podobnymi sprawami kulinarnymi. Ale dlaczego ten Dobby przesiaduje w odosobnieniu i trzyma tyle zwierząt?

Przypuszczenie samo się nasunęło. Prawdopodobnie Dobby jest wynalazcą. W San Francisco widziałem na ekranie film pt. „Tajemniczy pustelnik”, który wywarł na mnie wstrząsające wrażenie. Pustelnik pracował nad wynalazkiem, który miał rozbić atom, ażeby w

ten sposób przeniknąć tajemnice budowy materii. W zakończeniu filmu laboratorium profesora-pustelnika wylatuje w powietrze, a uroczą córkę pustelnika, przyleciawszy samolotem na ratunek ojcu, pomyślnie wychodzi za mąż za laboranta, który, jak się okazało, był synem milionera. A Dobby? Czyżby był tylko dziwakiem?

Pewnego dnia Meeghly podał na obiad jako drugie danie pieczoną kaczkę z jabłkami. Dlaczegoś zaciekało mnie, skąd ją Meeghly zdobył. A w ogóle jak to się dzieje, że Dobby nie odczuwa żadnych braków? Czyżby wynalazł sposób chemicznego wytwarzania w laboratorium tłustej śmietanki, świeżych kasztanów, prawdziwych mięsistych kaczek ashwharfskich?

Ale sprawa przedstawiała się daleko prościej.

Pewnego ranka, gdy zasnąłem po nocnej pracy w wiwarium, obudził mnie miarowy odgłos silnika samochodowego. Ostrożnie wyjrzawszy oknem, zobaczyłem, że jakiś dryblasowaty rudy chłopak przywiózł do willi paczki, skrzynki, bańki, złożył je pod bramą i odjechał. Potem brama się otworzyła. Meeghly podjechał wózkiem elektrycznym, szybko załadował dostarczone towary i zniknął za rogiem domu — prawdopodobnie zawiózł je do kuchni. Skoczyłem do drzwi, lecz pokój mój był zamknięty od zewnątrz. To mi się nie podobało i kazało mieć się na baczności. Zastukałem. Meeghly nie od razu otworzył, zrzędząc, iż nie wiedział o moim powrocie z wiwarium.

W ciągu najbliższych dni mogłem przekonać się, że Meeghly najwidoczniej schodził z góry rankami do miasta i powracał stamtąd przed moim obudzeniem się.

Życie nasze, zdawałoby się, płynęło normalnym trybem. Jakoś raz tak się zdarzyło, że Dobby zastał mnie patrzącego przez siatkę ogrodzenia na Ashwharf i powiedział:

— Kontrakt kończy się za pół roku. Wtedy może się pan udać, Sam, dokąd oczy poniosą.

— Niekiedy, sir, ogarnia mnie tęsknota — przyznałem się.

— Hm!... Rozumiem — odrzekł Dobby. — Ale takie są warunki... Zresztą ja sam porządnie się już zmęczyłem tym pustelniczym życiem. Wie pan, a może byśmy się jutro wybrali na spacer w góry? Są piękne, nieprawdaż?

I oto przekroczyliśmy próg odrutowanej klatki.

— Proszę być moim przewodnikiem, Sam — powiedział Dobby zrobiwszy sto kroków i stanąwszy nad urwistą krawędzią tarasu. — Wybrzeże mnie nie interesuje... Takich miasteczek jak Ashwharf jest bardzo dużo w naszym kraju. Co innego góry... Hm!... Sądzę, Sam, że urodził się pan gdzieś tu w pobliżu.

— Tak, sir.

— I pan, być może, wie, dokąd prowadzi ta ścieżka?

Wśród tarniny pięła się w górę stroma ścieżka, którą znałem jeszcze z czasów, gdy nie było tu willi.

— To Czarne Wzgórze — powiedziałem myśląc, że pewną dozą szczerości zamaskuję swoje podstawowe życzenie bliższego poznania się z Dobby'm. — Za wzgórzem przebiega stara droga do kopalni.

— Jeżeli to nie jest zbyt daleko, Sam, to niech pan tam prowadzi — wyrzekł Dobby. — Przypuszczam, że stamtąd będziemy mieli bardziej rozległe widoki...

— Ma pan rację, sir — zgodziłem się skracając na kamienistą ścieżkę.

Z wierzchołka Czarnego Wzgórza podziwialiśmy rozległy burzliwy ocean i piękne wybrzeże, obramowane gęstą wstęgą białej piany przyboju. Skała Dwóch Róż sterczała daleko w dole i wydawała się w tej chwili szarą plamką. Gęste obłoki wolno płynęły nad oceanem, tworząc dziwaczne figury. Kępy sosen koło Góry Sharpy i Las Patricka ciemnozielonymi kaskadami opadały w oddali w kierunku brzegu. Zima miała się ku końcowi i orzeźwiający wiatr w połączeniu z ciepłym promieni słonecznych był bardzo przyjemny. Jakież cudowne widoki rozpościerały się przede mną! I jaka tutaj urzekająca cisza! Tylko bezlistne

krzaki szemrzą na wietrze.

Założywszy ręce na plecy Dobby przechadzał się po wierzchołku wzgórza. Od czasu do czasu uderzał nogą przydrożny kamyczek i słuchał, jak z hałasem staczał się w dół. Zajęcie to, zdaje się, bawiło go. Myślał o czymś z natężeniem. A ja zachwyciałem się widokami przyrody.

„Jakże śliczna jest moja ojczyzna! — pomyślałem. — Widok stąd jest piękniejszy niż koło słynnej Bramy do Indii. Jest tu ładniej niż na Cejlonie i w Kalifornii...”

Przypomniały mi się niskie posępne brzegi Południowej Afryki, skwar Meksyku i duszne zarośla posiadłości Denby-Gange'ego...

Wielkie ptaszysko o ściętych skrzydłach przeleciało nad moją głową i minawszy mnie wydało drapieżny krzyk. Polowało na jakiegoś ptaszka, kryjącego się w krzakach. Odwróciłem się. Dobby siedział na złomie skalnym i uważnie patrzył w kierunku przeciwnym od oceanu.

— Sam, proszę tutaj — przywołał mnie.

— Do pańskich usług, sir — zbliżyłem się.

— A co się znajduje za tym wąwozem? — spytał wskazując na odległe wzgórza.

„Aha, chce wybadać, czy powiedziałem prawdę, iż stąd pochodzę!” — pomyślałem sobie i zadośćuczyniłem ciekawości gospodarza:

— Jest tam jeszcze kilka wąwozów, ale nie tak wąskich jak Tunel Tomasza. Potem, jak pan widzi, ścieżka omija Wzgórze Panny świętej i zagłębia się w góry. Tamtędy przebiega dawna droga i tam znajdują się porzucone szyby kopalniane...

— Hm!... Może pan przypadkiem wie coś o tych szybach?

Nie byłem przygotowany do egzaminu z historii ashwharfskich szybów. Jednak ojciec coś niecoś opowiadał przy mnie matce i wujkowi o sporach jakichś tam akcjonariuszy. Wzruszywszy ramionami odpowiedziałem:

— Mówiono, że niegdyś znajdowały się tu, prawie na powierzchni ziemi, bogate pokłady węgla. W ciągu stuleci wyeksploatowano je. W ostatnich zaś stu pięćdziesięciu latach właściciele kopalń głębili już szyby we wnętrzu gór. Lecz im niżej schodziły sztolnie, tym bardziej pogarszała się jakość węgla i wydobywanie go stało się nieopłacalne. Za mojej pamięci, sir, opuszczone zostały szyby koło Lasu Patricka i wyżej. A te dalsze porzucono już bardzo dawno. Nikt u nas w Ashwharfie nawet ich nie pamięta...

— Hm!... To niewesoło — zauważył Dobby, jak gdyby odpowiadał własnym myślom.

Mnie zaś w tej chwili przypomniały się niewyraźne, jak by zamglone obrazy z lat dziecięcych. Zimą biedne kobiety z przedmieść Ashwharfu wyruszały do starych kopalń z dużymi kosztami. Tam przez czas dłuższy grzebały w hałdach węglowych, w czarnym miale zmieszonym z topniejącym śniegiem, i wybierały kawałki węgla. Uginając się pod dźwigającym ciężarem zgarbione kobiece sylwetki schodziły z pagórków do swoich ognisk domowych. Z naszej ulicy widać było tę drogę czarnych postaci na tle białych, zaśnieżonych pagórków, a pod wieczór — łagodne dymki nad domami przedmieścia...

— Z pana, Sam, nieoceniony człowiek — przyjaźnie powiedział Dobby wstając. — Zna pan te miejsca lepiej niż ja. Całe życie spędziłem na Północy i oto dopiero na stare lata przeprowadziłem się tutaj, bliżej słońca. No, chodźmy do domu... Robi się zbyt chłodno...

5

Następnego dnia po spacerze rozboleła mnie głowa.

— Sam, pan się przeziębził — zauważył Dobby widząc, że przy obiedzie prawie nic nie jem. — Chyba ma pan atak malarii albo grype...

— Nigdy na nic nie chorowałem, sir — wymamrotałem czując lekkie dreszcze. — Zresztą, przepraszam... Pewnego razu w Indiach znalazłem się w zadżumionym osiedlu...

I tu w paru zdaniach opowiedziałem o szczepionce Millroysa.

— Millroys, owszem... — z zadowoleniem odezwał się Dobby — czytałem jego prace o węzach. Wielki koneser, ale handlowiec. Zdaje się, zdobył majątek na odtrutkach i gdzieś w koloniach żyje teraz w dostatku... No, Sam, niech pan idzie do siebie. Dam panu proszki i jutro będzie pan zdrów.

— Czy pan jest lekarzem, sir? — spytałem leżąc u siebie w pokoju i przełykając proszek przyniesiony mi przez gospodarza.

— Tak, mam dyplom lekarski, ale od dawna już nie zajmuję się praktyką lekarską — odrzekł Dobby. — Sam, niech się pan stara zasnąć. Meeghly przyniesie panu grzałkę do nóg. On również poradzi sobie bez pana w wiwarium... Życzę szybkiego powrotu do zdrowia, Sam.

Obudziłem się w porze obiadowej, przespawszy prawie całą dobę, odczuwając przyjemną świeżość w głowie i zwierzęcy apetyt.

— Dziękuję panu, sir — powiedziałem sadowiąc się przy stole naprzeciwko Dobby ego. — Czuję się doskonale...

— Wygląda bardzo, blado... Z pewnością chory jest na żółtą febrę — posepnie zamruczał Meeghly rozlewając bulion.

— Meeghly, proszę zamilknąć! — odezwał się Dobby. — Sam jest trochę anemiczny i nic ponadto. Chętnie pomogę mu pozbyć się tego.

Po obiedzie Dobby poprosił mnie do siebie na górę. Przeprowadził mnie przez pierwszy pokój do swego gabinetu zastawionego szafami bibliotecznymi. Zachwycony widokiem, jaki ujrzałem, zdołałem tylko wyrzec:

— O, sir!

— Ano, proszę siadać, Sam — zaproponował mi Dobby — i opowiedzieć o sobie... Hm!... Zdaje mi się, że pan ma wiele zalet, których nie należy bynajmniej przede mną ukrywać.

— Chyba się pan nie myli, sir... — odezwałem się wpatrzony, jak zapalał fajkę przygotowując się do słuchania mnie. — Historia zbyt długa, ażeby zaczynać ją od dnia urodzin. Ale, zdaje się, w życiu swoim miałem szczęście do laboratoriów. Profesor Millroys był bardzo dobry dla mnie i zamierzał zrobić ze mnie laboranta. Ale niestety los wciąż żartuje sobie ze mnie...

Opowiedziałem Dobby'emu o węzowej stacji skomponowawszy, iż odszedłem od Millroysa, kierując się wyłącznie chęcią powrotu do ojczyzny.

— Hm!... A więc pan mieszkał w Indiach i Burmie? — zawołał Dobby. — No, to na pewno chorował pan na żółtą febrę. Wie pan, że przydałoby się panu nieco zastrzyków, bo w tym klimacie może nastąpić nawrot malarii, która zwali pana ostatecznie z nóg. Przejdźmy do mnie...

I Dobby wprowadził mnie do trzeciego pokoju.

— Oto miejsce mojej pracy i odpoczynku.

Był to wspaniały jasny pokój. Na jednym ze stołów laboratoryjnych znajdowały się podstawki do kolb i bańki z różnobarwnymi cieczami, na drugim próbówki. Termostat na ścianie przypominał mi laboratorium Millroysa, oglądałem więc ten pokój okiem człowieka, który zna się na rzeczy. Na ścianie między oknami ustawiona była szafa z przyborami laboratoryjnymi. Na oknach z wielką powagą ulokowały się doniczki z najzwyklejszymi, zdawałoby się, roślinkami. W kącie stał nieduży stół z przykręconą do niego wirówką. Nad stołem wisiała szafka. Na drzwiczkach jej wypisane były dwie duże litery: „M.E.”.

— Bardzo mi się tutaj podoba, sir — powiedziałem rozglądając się wokoło. — Nie widzę tylko mikroskopów.

— Hm!... Mikroskopy potrzebne są bakteriologom. Oglądają przez nie zakaźne mikroby — odezwał się Dobby. — Ja zaś mam do czynienia z, pierwiastkami chorobotwórczymi, których przez mikroskop nie widać.

— Wirusy? — wykrzyknąłem.

Dobby przymrużył oczy z poważną miną.

— Oho, Sam!... Pan, zdaje się, nie na darmo spędzał czas u tego... Millroysa. Cóż, on zapewne siedział i bez przerwy patrzył w mikroskop? — kpiąco zapytał Dobby.

— Ja bym tego nie powiedział — z całą stanowczością odparowałem kpiny Dobby'ego, uważając za konieczne stanąć w obronie swego zacnego profesora. — Lecz nieco dziwnie to wygląda — laboratorium bez mikroskopów.

— No, wie pan, Sam, nawet udoskonalony mikroskop jest zbyt prymitywny do badania wirusów. Będzie tutaj wyglądał tak zabawnie jak teatralna lornetka w rękach astronoma, któremu by wpadło do głowy z jej pomocą badać, powiedzmy, budowę widma gwiazd Arktura lub Kapelli...

— Profesor Millroys nigdy nie wydawał mi się śmieszny, sir — wyrzekłem powoli ze źle ukrywaną urazą.

— Sam, pan się nie zna na żartach — ściągnął brwi Dobby. — I wygląda na to, iż się pan obraził z powodu swego Millroysa. Lecz sądząc z tego, co pan powiedział, specjalista ten zainteresowany był, ażeby gady w jego węzowej farmie nie chorowały. Nie jest wykluczone, iż zajmował się także badaniem chorób wirusowych u węzów. Nie wie pan? W każdym bądź razie musiał brać to pod uwagę, gdy zapoznawał pana z książką o wirusach.

Dobby zbliżył się do okna i wskazał ręką doniczki z roślinami.

— Zgłębianie wirusów rozpoczyna się od baczego obserwowania chorych roślin. Porównuje się je z egzemplarzami zdrowymi, śledzi się rozwój choroby. Niech pan popatrzy, oto młoda zdrowa roślina — tytoń. A tu egzemplarz chory na mozaikę.

Obraz dotkniętych chorobą mozaikową liści tytoniowych był mi znany. Dobby objaśniał dalej:

— A oto pomidor. Ta roślina jest zdrowa. Proszę spojrzeć, jakie ma piękne liście. Tu zaś mamy chory egzemplarz. Gdzież są jego liście? Zamieniły się w nitki. Czy jest pan w stanie rozpoznać w tej roślinie owies? Jakież to dziwne twory zamiast kłosów! To także choroba wirusowa.

Dobby wyciągnął dwie fotografie. Najpierw pokazał mi jedną.

— Co to takiego?

Przeczytałem napis u dołu.

— „Trzcina cukrowa”.

— Tak, proszę zwrócić uwagę, jak ładnie wystrzeliwują w górę te smukłe łodygi. Zawierają w sobie sok cukrowy. Z tego właśnie powodu uprawia się plantacje trzciny cukrowej... Lecz oto plantacja trzciny podlega zakażeniu wirusem...

I Dobby pokazał mi drugą fotografię.

— Ależ to nie trzcina cukrowa! — wykrzyknąłem.

Na fotografii dojrzałem jakieś krzaki z trawiastymi listkami. Żadnych strzelistych łodyżek nie było nawet śladu.

— Niestety, jest to najprawdziwsza trzcina cukrowa, ale dotknięta specjalnym wirusem. Pod jego wpływem wzrost źdźbeł jest hamowany, jak gdyby przygniatany...

Kolekcja fotografii ukazała mi szereg roślin zakażonych różnymi wirusami.

— Jaki ogólny wniosek należałoby wyciągnąć z tego, co pan zobaczył? — spytał mnie Dobby.

— Nie wiem — przyznałem się otwarcie.

— Otóż taki wniosek — odrzekł Dobby — że wirusy głęboko oddziałują na zewnętrzny wygląd zakażonej rośliny, na jej kształtowanie się. Niech pan popatrzy na tę roślinę... Pod

wpływem wirusa zaczęły na niej wyrastać liście z liści.

Rzeczywiście, dziwnie wyglądał liść pokryty maleńkimi listkami. Z fotografii patrzyły na mnie chore rośliny z powykrzywianymi łodygami, ze zniekształconymi liśćmi. Dziwaczne, pokrzywione kwiaty, jak by zastygłe w milczącej męce.

Fantastyczne zarysy ich płatków, smutne, żałobne zabarwienie — wszystko to nadawało im bardzo oryginalny wygląd.

— Kiedyś porozmawiamy o tym szczegółowiej — powiedział Dobby chowając fotografię do szuflady,

Potem umył ręce i podszedł do mnie:

— A teraz, Sam, proszę mi dać swoją rękę...

Dobby ujął strzykawkę.

— Nie, nie, sir, proszę się nie fatygować — schowałem rękę za siebie. — Czuję się doskonale.

— Jak pan sobie życzy — poważnie odrzekł Dobby. — Lecz ja rzadko się myślę w diagnozie...

Ale nazajutrz znowu poczułem się bardzo kiepsko. Nie było żadnych wątpliwości, że potrząsał mną zófty Jack. Dlatego sam poprosiłem Dobby'ego, ażeby zrobił mi zastrzyk.

— Sam, uprzedzałem pana — powiedział Dobby niezadowolonym głosem, chowając strzykawkę do szafy po zrobieniu zastrzyku. — Niech pan idzie na dół. Odwołuję pańskie nocne prace. Za jakieś trzy dni zacznie mi pan pomagać tutaj...

Na czwarty dzień Dobby znowu zrobił mi zastrzyk i ogolił mnie.

— Teraz niech pan wkłada biały fartuch i zaczynamy — powiedział. — Mam do przeprowadzenia zaledwie kilka małych doświadczeń... Zresztą proszę poczekać, najpierw przeegzaminuję pana... Co pan wie o wirusach?

6

— Hm!... — parsknął Dobby wysłuchawszy mnie. — Nie można zgłębić istoty wirusów nie będąc obeznanym z podstawami chemii biologicznej. Ale postaram się coś niecoś panu wytłumaczyć. Hm!... Gdzie się pan uczył, zanim trafił pan do tego... Millroysa?

— Ukończyłem średni kurs Dijanu — skromnie odpowiedziałem.

— Co? Kształcił się pan w dijańskim college'u? — zdumiał się Dobby. — Czyżby rodzice pańscy byli aż tak bogaci?

— O nie! — oblałem się rumieńcem. — Bogaty był człowiek, który opłacał za mnie college. Ale wpadł w biedę i... być może, umarł. A ojciec mój nie miał środków na dalsze kształcenie mnie.

— Hm!... No więc... — rozmowę na temat niezamożności mojej rodziny Dobby delikatnie skierował na inne tory. — Powinien pan wiedzieć, że wszystko, co nas otacza, składa się z pierwiastków... Pierwiastków chemicznych mamy dziewięćdziesiąt dwa * zaczynając od wodoru a kończąc na uranie. Atomy pierwiastków, łącząc się z sobą, tworzą cząsteczki, te zaś z kolei...

— Całkowicie to rozumiem, sir — uważałem za stosowne wtrącić. — Na dyplomie mam z chemii stopień celujący. Ale, przepraszam, słucham pana z przyjemnością.

— A więc każda substancja, mająca właściwe sobie cechy, składa się z cząsteczek. Na przykład chinina składa się z cząsteczek chininy, których skład chemiczny, rozmieszczenie i ilość atomów dokładnie znamy. Ale wystarczy zmienić w cząsteczce chininy rozmieszczenie

* Obecnie znane są już sto dwa pierwiastki chemiczne.

lub ilość atomów, wprowadzić do niej nowe atomy, przegrupować je, a otrzyma pan cząsteczkę nie chininy, lecz innego ciała, powiedzmy — cynchoniny lub kupreiny.

— Zdaje mi się, że otrzymuje się ją z kory drzewa chinowego? — spytałem.

— Tak. Ale w nieskończonej ilości substancji znajdują się bardzo ciekawe ciała chemiczne — to białka albo proteidy. U podstaw życia leży żywe białko.

— O, rozumiem, sir.

— Beccari w roku 1747 wyodrębnił najprostsze ciało białkowe — gluten, i od tego czasu białkiem zaczęto się interesować jako ciałem chemicznym. Po tym fakcie chemicy otrzymali ze zwierzęcych i roślinnych tkanek wiele różnych białek. Analiza wykazała, że budowa cząsteczki białek odznacza się wyjątkową złożonością. Przed sześćdziesięciu laty niektórzy uczeni usiłowali zbudować cząsteczki białek w sposób chemiczny z pojedynczych pierwiastków. Istotnie, otrzymywano w laboratoriach ciekawe produkty syntetyczne. Dawały one odczyn na białko, ale to nie były białka. A przecież gdyby się udało w sposób sztuczny stworzyć białko, jakież by to, Sam, było zwycięstwo nauki!

Milczałem nie chcąc powtarzać, że znam to wszystko z wykładów chemii.

— Teraz wiadomo, że białko może przyjąć trwałą krystaliczną postać jak inne substancje chemiczne, a więc białko to po prostu najpospolitsza chemiczna substancja. Uczeni więc zaczęli dociekliwiej badać chemiczne właściwości cząsteczki białek i w ten sposób poznali wiele szczegółów jej budowy, ale... — Dobby głęboko zaciągnął się dymem z fajki — ale nikt jeszcze dotychczas nie potrafił dać, choćby w znikomym stopniu, prawdopodobnego przestrzennego wzoru cząsteczki białka...

— Wielka szkoda, sir — odezwałem się. — Czyżby nie można było wynaleźć czegoś, ażeby...

— Hm!... Wynaleźć... — nieprzychylnie popatrzył na mnie Dobby, — Zadanie uczonego polega na tym, ażeby obserwować, wyciągnąć z obserwacji słuszny wniosek i eksperymentować. Ale żeby mieć do tego prawo, trzeba wiele umieć. Trudność eksperymentu z białkami polega na tym, iż w laboratoriach chemicy i fizjologowie mają do czynienia ze zmienionym, skurczonym, martwym białkiem. Robi się ono takie, skoro tylko zetknie się z odczynnikiem. A przecież podstawowa cecha aktywnego białka polega na tym, że ono żyje.

— A co to znaczy „żyje”? — spytałem.

Dobby ucieszył się z tego pytania i oczy mu zabłyszczały.

— Życie to bezustanne krążenie materii, Sam, działanie, rozwój, przejście od jednej formy do drugiej. W żywym organizmie trwa bez przerwy rozpad jednych cząsteczek i budowa drugich, zjawisko wzajemnego przenikania, proces — zdawałoby się — sprzeczny, ale jedyny i wieczysty. Niech się pan uczy, Sam, myśli nad tym, a zacznie pan dostrzegać to, czego dawniej nawet pan nie podejrzewał. Tajemnica żywego białka jest zdumiewająca, ale nie mistyczna...

Zbliżył się do wirówki.

— Sam, słyszał pan już o wirusach. Nie dojrzy się ich przez mikroskop jak mikroby, lecz aktywność ich jest nadzwyczaj duża. Wystarczy znikoma ilość wirusa tytoniowej mozaiki, ażeby zakazić całą plantację. Pierwsze zadanie polega na otrzymaniu klarownych, czystych wirusów różnych chorób zwierzęcych i roślinnych. Do tego celu służą wirówki i sączki...

Dobby uniósł z lekka pokrywę zakrywającą wewnątrz wirówki, gdzie na pionowej osi umieszczone były cztery gniazdko z probówkami, po czym włączył silnik. Oś zaczęła się obracać, a próbki pod wpływem działania siły odśrodkowej przybrały położenie poziome.

Dobby ciągnął dalej :

— Pod wpływem tej samej siły wszystkie drobinki mieszaniny, nalanej do probówek, osiadną na dnie. Najcięższe znajdą się najniżej, nieco lżejsze — wyżej. Tak wykorzystuje się wirówki dla szybszego otrzymania osadu z płynnych mieszanin. Ażeby otrzymać osad wiru-

sów, trzeba zastosować specjalne wirówki, wprawiane w ruch sprężonym powietrzem i wykonujące około sześćdziesięciu tysięcy obrotów na minutę. Oto co się otrzymuje w wyniku żmudnych badań...

Dobby zatrzymał wirówkę, po czym pokazał mi szereg hermetycznie zamkniętych próbek, ustawionych statecznie rzędami w podstawkach na stole.

— Przed panem, Sam, wszystkie znane nauce wirusy, wyodrębnione w stanie czystym. Oto ten czerwony płyn z powytrącanymi drobnymi kryształkami — wirus ziemniaczanej mozaiki. Oto wirus powodujący zwijanie się liści ziemniaczanych. Oto wirus zdrewnienia owoców pomidorowych. Oto choroba wirusowa prowadząca do skarlenia drzew owocowych. W Japonii hoduje się prześliczne karłowe drzewa wiśniowe. Tajemnicę wyhodowania drzewkarzełków sadownik przekazuje na ucho najstarszemu synowi przed ostatnim tchnieniem jako największy sekret. A ja go znam! Chodzi tu o technikę szczepienia wirusa. Proszę popatrzeć na te różnobarwne płyny i kryształki. W tej próbce — czysty wirus przyszczycy. W tamtej — wirus grypy. Kosztował mnie on wiele zachodu. Najbardziej wrażliwe na grypę okazały się tchórze. Krew ich bardzo podoba się wirusom grypy. Koncentrują się w niej w wielkich ilościach, a zawartość tej próbki wystarczy, ażeby cała ludność kuli ziemskiej zaczęła kasłać i kichać.

— Jakież piękny pomarańczowy kolor! — zwróciłem uwagę na jedną z próbek.

— Tak — powiedział Dobby wyciągając z podstawki cienką próbkę. — Tutaj jest wirus kurzajek. Tak, najzwyczajszych kurzajek, które także wywołuje specjalny wirus. I jeżeli utworzą się one panu na rękach, to niech pan poprosi lekarza, ażeby wypalił je kwasem azotowym. A oto kryształki wirusowe takiej samej barwy, które nie wywołują na skórze kurzajek, ale tworzą na niej pęcherzyki — słyszał pan zapewne takie powiedzonko: „na wargach wyskoczyła febra”. To jest opryszczka, również choroba wirusowa...

— Dobrze, ale co z mikrobami? — spytałem pełen ciekawości.

Dobby uśmiechnął się figlarnie.

— Całkiem słuszne pytanie. Ja też je sobie zadawałem, gdy jako młody lekarz poświęciłem się studiowaniu odry. Mnie samego uczono na wydziale medycznym, że nie ma zakaźnej choroby bez zakaźnego mikroba. Pasteur dokonał odkrycia mikroba, ale natknął się także na wirusa wścieklizny. Koch odkrył przecinkowca cholery i pałeczkę gruźlicy. Ale ci, którzy poszli ich śladami, nie mogli wykryć mikrobów — pierwiastków chorobotwórczych wielu chorób. Teraz już wiemy, że jedyne choroby wywoływane są przez mikroby, a drugie — przez wirusy. — Twarz Dobby ego promieniała triumfem. — Wkrótce wszyscy będą musieli zrozumieć, że studia nad wirusami są nie mniej ważną nauką niż na przykład bakteriologia.

— O, sir! — wykrzyknąłem w zachwycie. — Jaka szkoda, że nic nam o tym nie mówiono w college u. Przecież jeżeli pan trzyma w próbkach takie straszliwe rzeczy...

Dobby uśmiechnął się.

— Wirusy są groźne w ręku ignorantów, a nie w laboratorium eksperymentatora. Uczy się on kierować nimi i przetwarzać je...

— Jak to przetwarzać? — zapytałem.

— Zaraz się pan dowie, żywy organizm reaguje bardzo rozmaicie na wprowadzenie do niego w określonej dawce obcego białka. Najistotniejszy jest tutaj fakt, że organizm wytwarza od razu antagonistę wprowadzonego białka. Pański Millroys zrobił majątek na tym, że opracował sposób otrzymywania antagonistów jądów wężowych. Jego laboranci wstrzykiwali koniowi lub baranowi niewielkie ilości jadu kobry, potem wyodrębniali wytworzoną we krwi konia substancję; to był właśnie przeciw jad, odtrutka na ukąszenie kobry. Z mikrobami błonicy postępuje się tak samo i otrzymuje się przeciwbłoniczną surowicę.

— Jakież to proste, sir! Trzeba więc tak zrobić, ażeby się ustrzec przed wszystkimi chorobami.

— Hm!... Też pan powiedział... Proste... — Dobby pokręcił głową, jak by ubolewał nad

moim nieuctwem. — A właśnie że wcale nie takie proste. Dla każdego prażródła zakaźnego trzeba dobrać najodpowiedniejszy rodzaj zwierząt. Dla błonicy znaleziono konia. Dla wirusa ospy — cielę. Dla wirusa grypy...

— Tchórza — podchwyciłem, ażeby wykazać się swoją znajomością rzeczy.

— O, robi pan postępy — roześmiał się Dobby. — Zaraz pan zobaczy, jak taki sam eksperyment można inaczej wykorzystać.

Dobby podszedł do stołu laboratoryjnego, na którym stały dwie rośliny.

— To z rodziny psiankowatych — powiedział. — Krewni ziemniaka. Jedna z nich zakażona jest wirusem mozaiki. Trzeba rozpoznać, która z nich jest. zdrowa, a która chora...

Nie miałem co się namyślać.

— Trzeba przełamać łądygę i sprawdzić, czy nie zaczęła gnić.

Dobby uderzył dłonią w stół.

— Po pierwsze, gnicie zaczyna się nie od razu. A poza tym jeżeli ma pan pięć tysięcy akrów pod tą techniczną kulturą? Cóż, zacznie pan łamać łądygi?

— Przepraszam, sir, powiedziałem bez zastanowienia.

— Otóż właśnie — zmiękł Dobby. — Hm!...

Po chwili wziął szkiełko laboratoryjne, zerwał z jednej z roślin liść i wycisnął na szkiełko kroplę soku. Następnie podszedł do umywalni, umył ręce mydłem i z kolei zerwał liść z drugiej rośliny, z którego także wycisnął kroplę soku na szkiełko obok poprzedniej kropli, ale tak, żeby się z sobą nie łączyły.

— Proszę popatrzeć, Sam. Krople jednakowe? Obie przezroczyste?

— Tak, sir. Za nic na świecie nie odróżniłbym.

— Zgoda. Teraz, jak pan widzi, biorę tę oto ampułkę. Znajduje się w niej wyhodowana surowica z krwi królika, któremu kilkakrotnie szczepiłem wirusa mozaiki. Co zaszło we krwi tego królika?

— Wytworzyła się specjalna substancja, sir... — niepewnie wymamrotałem.

— Słusznie, Sam — pochwalił mnie Dobby. — Substancja, która przy zetknięciu się z danym wirusem wywołuje określoną reakcję. Jaka? Pan zobaczy. Proszę patrzeć.

Ostrożnie kapnął z ampułki nieco przezroczystej surowicy króliczej na pierwszą kroplę soku rośliny. Kropla powiększyła się, lecz pozostała przezroczysta.

— A druga kropla, Sam...

Z chwilą gdy surowica zmieszała się z sokiem drugiej rośliny, kropla na szkiełku zmętniała, jak gdyby nakapano tam mleka.

— Ależ ciekawe! — wyszeptalem. — To znaczy...

— To znaczy, że pierwsza roślina jest zdrowa, a druga — chora — uroczyście rzekł Dobby. — Królik wytworzył w sobie tak zwane aglutyniny, które powodują zlepianie, kurczenie się zakaźnego prażródła. W podobny sposób można rozpoznać u człowieka, czy rzeczywiście chory jest na tyfus brzuszny.

Byłem w podniosłym nastroju, ale przybrał on jeszcze bardziej na sile, gdy Dobby powiedział:

— Spodziewam się, że pan zrozumiał, co? Całkowicie? No, to niech pan przeprowadza dalej doświadczenie samodzielnie...

Ręce mi drżały, gdy krzątałem się koło szkiełka. Doświadczenie udało mi się. Dobby pochwalił:

— Doskonale. Teraz każdego dnia będzie pan sprawdzał tutaj pod moim okiem surowice zwierząt naszego wiwarium. Szczepiono im różne wirusy i trzeba czuwać nad wynikami. Zyskam nieco na czasie, ażeby pracować nad rękopisem. Tak, Sam, będzie to dobra książka.

— O, jestem tego pewny — powiedziałem patrząc z zachwytem na Dobby'ego.

A więc zacząłem pracować u Dobby'ego w laboratorium. Nauczył mnie pobierać krew od zwierząt doświadczalnych, oddzielać w wirówkach surowicę od ciałek krwi, tak że sądzi-

łem już, iż bardzo dużo umiem.

Dobby leczył mnie na anemię, te przeklęte skutki żółtej febry, i czułem się już jakoś szczególnie radośnie. W przypiływie szczerości opowiedziałem Dobby'emu kilka epizodów z własnej tułaczki, zatrzymując się na swoim życiu w Indiach i Burmie. Co do areny i Mazatlanu krępowiałem się coś mówić. Ach, biedny doktor Rolls!... Dotąd jeszcze przykro mi było o nim wspominać.

Pewnego razu przy obiedzie spytałem Dobby'ego, dlaczego zaszył się tutaj na tarasie nad Skalą Dwóch Róż. Dobby długo milczał i już myślałem, że nie ma chęci odpowiadać. Ale gospodarz smutno popatrzył na mnie i rzekł:

— Sam, pan zapomniał o kontrakcie. Ale to miejsce związane jest ze starą legendą, która mi się podoba. Niegdyś na tym tarasie Kupidyn podarował Harpokratesowi, mitycznemu bogowi milczenia, dwie róże, ażeby ten zachował milczenie i nikomu nie mówił o swawoli bogów. Lecz Harpokrates obraził się i rzucił róże z urwiska. Kwiaty, upadłszy na ziemię, skamieniały, obróciły się w skałę... Róża, Sam, to symbol milczenia. Płatki jej pączka są szczególnie zaciśnięte jak wargi, nie chcące zdradzić tajemnicy. Sam, kontrakt na razie się nie skończył, proszę pamiętać o róży i milczeć...

Tego dnia Dobby był zamyślony, smutny i jak by zdenerwowany.

Wieczorem zbliżyłem się do ogrodzenia, ażeby rzucić okiem na Skalę Dwóch Róż, i odskoczyłem. Na szosie u podnóża skały stał maleńki człowieczek i przez lornetkę uważnie przypatrywał się willi Dobby'ego.

Zeszyt dziewiąty

1

Tak upłynęła zima. Moja tęsknota za domem stawała się coraz silniejsza, aż wreszcie nadszedł taki wiosenny poranek, kiedy to znowu zapragnąłem gorąco, choćby jednym okiem, spojrzeć z bliska na ojca, na wujka i na Edith Winter. Nie mogłem dłużej opierać się temu pragnieniu i postanowiłem, że święcie dotrzymam kontraktu i z nikim w Ashwharfie nie zamienię słowa, ale... tylko z daleka rzucę okiem na ojcowski domek, na Edith i wrócę. Była właśnie bardzo sprzyjająca chwila do oddalenia się z willi. Dobby zamknął się na piętrze i oświadczył, iż jest zajęty przepisywaniem swego rękopisu i nie zejdzie przed obiadem. Meeghly krzątał się w kuchni. Niedbałym głosem powiedziałem mu, że będę pracował w wiewarum i żeby mi nie przeszkadzał. Meeghly bowiem miał takie paskudne przyzwyczajenie, iż nagle zjawiał się w szopie, przez chwilę patrzył na mnie, mamrocząc coś pod nosem, i znikał.

Z drżeniem serca przekroczyłem próg furtki w ogrodzeniu z siatki drucianej.

Znanymi mi od dzieciństwa ścieżkami szybko schodziłem do Ashwharfu. Tędy było bliżej. Cieszyłem się lekkomyślnie jak ptak, który wyleciał z klatki. Wydawało mi się, że nie dalej niż wczoraj biegałem po tych wzgórzach razem z Eddem i innymi drapichrustami, schodziłem tymi porośniętymi dziką tarniną stokami. Tutaj marzyłem o włóczędze po szerokim świecie. O, jakim nieprzerwanym świętem wydawała mi się wówczas podróż dookoła świata i jakim okrutnym doświadczeniem okazała się ona dla mnie w rzeczywistości! Zresztą nie żałowałem tego. Zapoznając się z niedolą tułaczego życia, poznawałem jednocześnie urok ciągłej zmiany wrażeń. Surowość losu często okazywała się złudna. Co prawda los zmusił mnie do włóczęgi po naszej planecie, ale w zamian za to zapoznał mnie z najbardziej interesującymi

przejawami życia.

Takie myśli przyszły mi do głowy gdy nie oglądając się dochodziłem do Skały Dwóch Róż, dziarsko schodząc po krętej znajomej ścieżce. Była po dawnemu kamienista, po bokach zaś obramowana wrzosem, budzącym się z zimowego snu pod wpływem wiosennego powietrza i słońca. Oto stary zwęglony pień olbrzymiego dębu spalonego niegdyś od pioruna podczas burzy. W pobliżu niego przebijały się przez zeszlóroczne warstwy liści duże ciemne fiołki, przypominające oczy Edith. Liszajce oblepiły szerniąłą korę starego pnia, a zapobiegliwe mrówki zbudowały już tutaj swoje wymyślne miasteczko. Kiedyż zdążyły to zrobić? Tak, przeminęły dni mojego dzieciństwa. Są one teraz daleko w tyle razem z tą nocą burzliwą, kiedy to cały Ashwharf patrzył z dołu na płonący dąb.

A oto Skała Dwóch Róż! Deszcze i wichry zniszczyły szczyty olbrzymich głazów. Kształtem swoim przypominały z daleka nierozwinięte pąki kwiatów. Ileż to razy zachwycałem się stąd pięknymi widokami wybrzeża, i nigdy nie mogłem napatrzeć się do syta! Obraz tutaj był bardziej wypukły i malowniczy aniżeli z wierzchołka Czarnego Wzgórza. Na wprost przede mną rozpościerał się majestatyczny przestwór oceanu i miła dla oka krągłość Ashwharfskiej Zatoki. Latarnia morska koło Przylądka Jen wyglądała niczym mała zapalka, wetknięta w kręty brzeg. Na dalekim horyzoncie niskie warstwowe chmury zlewały się z gęstymi smugami dymu. Tamtędy przechodził szlak wodny parowców linii Europa-Ameryka. Po prawej stronie w mgiełce wesołego ciepłego poranka rozciągnęły się wzdłuż brzegu zabudowania osiedla Oldmount. Domków Wesley z jego śluzami na kanale nie widać — zasłania mi je Góra Sharpy, za którą powinien przebiegać Tunel Tomasza. Spoza lesistych wzgórz wygląda brunatna plama dachu z czterema gotyckimi wieżyczkami. To zamek Oldmount. A w dole pode mną całkiem blisko Ashwharf. Na brzegu znane mi zarysy przystani, maszty rybackich szkunerów, białe plamki żagli jachtów wyścigowych. Z lewej strony w kierunku strumienia ciągną się szeregi niskich murowanych szop. Jeszcze bardziej w dole dostrzegam pamiętny dla mnie mostek, gdzie pożegnałem się z Edith...

Z pełną pietyzmu powolnością szedłem rodzinnymi ulicami starego Ashwharfu, nisko naciągnawszy na oczy kapelusz, ażeby mnie nikt nie poznał. Wszystko tu jest jak dawniej. Nie, raczej prawie jak dawniej. Nad „Neptunem”, jak przedtem, na zżartych przez rdzę łańcuszkach chwiały się wyblakły szyld z groźnym trójzębem boga mórz. Ale w tej chwili twarzy boga już nie ma. Zmyły ją do reszty ulewy jesienne, a trójząb jest zgięty i bezradny. Lecz pod tentem traktierni i teraz, jak zwykle, marynarze grali w kości, palili, postukiwali szklankami, wymieniali między sobą soczyste słowa. W oknie apteki po dawnemu pyszniła się suszona jaszczurka, a wielkie szklane kule, napełnione różnobarwnymi płynami, majestatycznie spoczywały po jej bokach. Pamiętam, że wieczorami stary Orphy zapalał z tyłu za kulami ogarki, co powodowało, iż jaszczurka leżała w tajemniczym sinozielonym oświetleniu. I nikt nie miał wątpliwości, że tutaj jest apteka.

Gdy wszedłem do apteki, spostrzegłem, że zamiast starego Orphy'ego obsługuje kupujących młody drogista. Po wypukłych baranich oczach i piegach poznałem w nim Edda. Ale rzecz dziwna, Edd zupełnie mnie nie poznał, chociaż zapominając o środkach ostrożności uniosłem nieco kapelusza i Edd doskonale mnie widział. Rozdzielała nas tylko wąska przestrzeń aptecznej lady i Edd pytająco patrzył mi prosto w oczy.

— Czego pan sobie życzy, sir?

— Nie ma pan przypadkiem środka na zadyszkę? — wyrzekłem, ledwie dysząc z podniecenia i bojąc się, iż Edd mnie pozna. Było bardzo ryzykowne z mojej strony wstępować do apteki. Trzeba się stąd szybko wynosić.

Ale Edd zrobił przyjemny wyraz twarzy, jaki robią subiekci wobec nieznanego klienta.

— O, naturalnie... Oto pigułki... Ekstrakt nieco droższy...

Poprawił krawat, ściskający mu gumowy kołnierzyk, i głos jego przybrał liryczny odcień, zupełnie jak u starego Orphy'ego:

— Życzy pan sobie jedno i drugie? Przygotowane przez nas według recepty doktora Fleeta. Przy sposobności pozwoli pan wręczyć sobie prospekt i bilet wizytowy doktora. Przyjmuje codziennie.

Potaknąwszy w milczeniu głową, uregulowałem rachunek. Do apteki wszedł ktoś dopominając się uporczywie o troisty proszek. Był to niziutki człowieczek w kaszkieciku z długim daszkiem. Podchodząc do lady potrafił mnie i nie przeprosił. Wsunąwszy do kieszeni pigułki i ekstrakt pośpieszyłem do wyjścia.

A oto knajpa „Królewski Tygrys Mali gazeciarze biegli mi naprzeciw, wesoło wykrzykując ostatnie wiadomości:

— Kradzież brylantów księżnej Acseet! Wiec górników w Wesly!

Jednoręki wysoki starzec w wyrudziałym cylindrze i staromodnym surducie zatrzymał się koło mnie.

— Ej, gazetę!

Rozzochrany chłopak wsunął staruszkowi świeży numer i pomknął dalej. Starzec zwinnie rozłożył jedną ręką gazetę, przebiegł oczami stronicę i obojętnie popatrzył na mnie.

Wujek Reggie — we własnej osobie — nie poznał mnie podobnie jak Edd... Ruszył chodnikiem, wyprostowując ramiona i wypinając pierś. Owładnęło mną gwałtowne pragnienie, ażeby dopędzić go i zawołać:

„Wujku najmilszy, zaczekaj! To ja, twój pędrak Sam. Opowiedz mi o ojcu. Co porabia Edith? A ty, wujku, po dawnemu chodzisz do «Królewskiego Tygrysa», ażeby posiedzieć tam wieczorkiem przy kieliszku pomarańczówki? Wciąż jeszcze filozofujesz tam z przyjaciółmi, mój kochany?”

Wujek skręcił do knajpy, ja zaś boczną uliczką na Stary Rynek, przesycony zapachem ryb i zgniłego warzywa. Przejdę teraz koło sklepów i zobaczę za rogiem dach ojcowskiego domku. Ale na rogu spokojnej niegdyś uliczki rozłożyła się okrągła brezentowa buda, która przypominała mi moje artystyczne przygody. Napis z wymalowanymi gębami uroczyście głosił o gościnnych występach jakiegoś pogromcy i smarkateria w podnieceniu kręciła się w pobliżu kasy tego wędrownego cyrku.

Doktor Fleet wyniośle skierował się ze swoimi niezbyt urodziwymi córkami prawdopodobnie po bilety do cyrku. Znali mnie doskonale. Teraz, zetknąwszy się ze mną, wszyscy troje popatrzyli na mnie pustymi, obojętnymi oczyma.

Domek ojca wydał mi się nie zamieszkanym. Dym nie unosił się z kuchennego komina. Na tabliczce domu — jako jego właściciel — wymieniony był Reginald Brand, a nie Isidore Pingle.

— Mój Boże... Czyżby ojciec?...

Stara Olivia siedziała na ganku z robótką i nie poznała mnie. Podejść do niej? A moje słowo? Kontrakt? Przecież Dobby dosłownie przywrócił mi życie. Trzeba być rzetelnym.

Machnąłem ręką. Bezludnie było również w ogródku Winterów. Wolnym krokiem ruszyłem z powrotem, mając serce przepełnione takim smutkiem, jakiego nigdy dotychczas nie doznawałem.

„Przeklęty kontrakt! — myślałem przyspieszając kroku. — Czas z powrotem do Dobby ego. Tak, byle prędzej od niego się odczepić...”

2

Wiosenną urodą jaśniał ten dzień. Słońce wspaniale płonęło nad spokojną gładzią oceanu. Chłodny wiaterek pieszczotliwie muskał mi twarz. Wspinaczka nie męczyła mnie, ponieważ od dziecka przyzwyczajony byłem do chodzenia po górach.

„Ale dlaczego jednak nikt nie poznał mnie w Ashwharfie? Czyżbym się tak zmienił?” — pomyślałem wspiawszy się ku willi na tarasie. Za ogrodzeniem słychać było radosne poszczekiwanie Keepa, który poczuł moje zbliżanie się.

Zatrzymałem się, odsapnąłem, chusteczką do nosa otarłem spocone czoło i... drgnąłem: zaświtało mi w głowie, że moja twarz... nie jest moją twarzą, lecz cudzą.

Pędem rzuciłem się w kierunku willi. Uradowany Keep podbiegł do mnie, ale dostał porządne kopniaka. Wpadłem do kuchni. Za mną skomlał urażony Keep. Meeghly krzątał się koło imbryczka do kawy, ustawionego na blasze kuchennej.

— Gdzie się pan podziewał? — wyszeptał Meeghly. — Mister Dobby cały czas dopytywał się o pana... Proszę poczekać...

Ale ja wpiłem oczy w kucharza.

— Meeghly, popatrz pan na mnie...

Ten spojrzął na mnie z ukosa.

— No, patrzę. I co?

— Nic pan nie zauważył?

— Nic, absolutnie nic.

— Czyżby nic? Proszę przyjrzeć mi się uważniej...

Meeghly surowo ściągnął brwi.

— Sam, niech pan przestanie żartować. Widzi pan, iż jestem zajęty. Co się panu stało?

Przybliżyłem swoją twarz do twarzy Meeghly'ego.

— Ja nie żartuję. Czyżbyś pan nic nie zauważył?

Meeghly tupnął nogą.

— Zauważył... Tfu!... Spił się pan jak ostatni moczygęba. Pańska toaleta nie jest w porządku. I w takim stanie ośmielił się pan zjawić przed mister Dobby'm? Wynoś się pan do siebie przespać się...

Nagła myśl niczym huragan wtargnęła mi do mózgu: „Lustro!”

Chwyciwszy Meeghly'ego za rękę, wychrypiałem:

— Daj pan lustro...

Myśli galopowały mi po głowie niczym konie na arenie: „W tym domu — ani jednego lustra. Tajemniczy pustelnik nie dbał o własną powierzchowność, a mnie golił? Cha! cha! cha!”

— Meeghly, błagam, wszystko, co pan zechce, za kawałek lustra!

Ale ten odtrącił mnie.

— Ciszej! Jeszcze mister Dobby usłyszcy. W takim stanie...

Wpadłem we wściekłość:

— Do wszystkich diabłów, Meeghly! Czyż tu nie powinno być luster?

Na blasze kuchennej grzał się pękaty błyszczący imbryczek do kawy. Aha!... Chwyciłem bulgoczący imbryczek, popatrzyłem na niego jak w lustro, nic wyraźnego nie dostrzegłem i postawiłem go obok blachy, imbryczek spadł z hałasem, a kawa czarna dymiąca strugą rozlała się po podłodze. Skoczywszy niczym wściekły kot ku półce kuchennej, pośliznąłem się w kałuży, mimo to jednak zerwałem z gwoźdźca wyczyszczony miedziany rondel i uniosłem jego dno na wysokość swojej twarzy. Pożądliwie wpatrywałem się w to prymitywne lustro. Patrzała z niego na mnie nieznajoma gęba. Wówczas parsknąłem śmiechem, zaczerpnąłem rondlem wody ze zbiornika i śmiejąc się w dalszym ciągu, wybiegłem na powietrze. Wiedziałem, czym można zastąpić lustro. Nasi prarodzice korzystali ze zwierciadlanej gładzi wodnej, ażeby móc popatrzeć na siebie. Na podwórku postawiłem rondel na ziemi i poczekałem, aż się woda uspokoi i znieruchomieje. Nie zwracałem uwagi na to, że z kuchni dobiegały gniewne krzyki Meeghly'ego. Zajęty jedynie sobą, nachyliłem się nad przezroczystym kręgiem wodnym.

Zimny strach ogarnął mnie całego. W wodzie odbijała się zupełnie niepodobna do

mojej.

Ale twarz ta zniknęła. Woda również zniknęła. Za to orzeźwiająca kaskada wodna spadła na moją rozpaloną głowę. Surowy głos rozległ się nade mną:

— Sam, gdzie pan się zdążył tak zalać?

Kpiący wzrok Dobby ego spotkał się z moim spojrzeniem, gdy uniosłem głowę. Z lekką odrazą Dobby beształ mnie:

— Mało tego, że pan uciekł, łamiąc kontrakt. Pan w dodatku pił! Przecież prosiłem o to, ażeby nie odnawiał pan swoich ashwharfskich znajomości. Mój Boże!... I ja takiego alkoholika przygarnąłem do swego laboratorium! Pan, być może, wpadnie na pomysł, ażeby upijać się odczynnikami i zakąsywać preparatami. Teraz wszystkiego można się po panu spodziewać.

Niepewnie uniosłem się z ziemi.

— Drogi mister Dobby, zapewniam pana, iż nie wypilem ani kropli alkoholu, przysięgam na honor! Prawda, że odwiedziłem Ashwharf, ale tutaj tak mi smutno...

— To pana nie usprawiedliwia — oschle powiedział Dobby. — Dlaczego pan awanturował się w kuchni?

— A jakżeż, sir? -- wykrzyknąłem. — Rudy Edd nie poznał mnie. Wujek również! I coś dziwnego stało się z moją twarzą. Mogę szczegółowo opowiedzieć panu... Przecież ja siebie ni poznaję!

Podszedł Meeghly i wygderał:

— Niech pan go przepędzi, sir. Ale niechaj przedtem wyszoruje podłogę w kuchni. Wstyd, Sam, niedobrze...

Ale Dobby delikatnie uściśnął mnie, całkowicie opadłego z sił i wstrząśniętego do głębi.

— Sam, proszę iść do swego pokoju, a pan, Meeghly, niech mu da zimnego mleka. Przespacerował się po słońcu, które z lekka przypiekło mu głowę. Ma pan migrenę, Sam...

— Pan jest zbyt dobry, sir, dla tego swawolnika — zrzędził Meeghly. Ale szybko przeszedł od gniewu do łaskawości, powiedziawszy do mnie: — Chodźmy, niech już tak będzie...

Łapczywie opróżniłem w kuchni kubek mleka i zrobiło mi się lżej. W swoim pokoju usiadłem na łóżku. W drzwiach stał Dobby, dobry i uprzejmy.

— No co, Sam? Ależ z pana neurastenik!... Ma pan głowę na karku i to jest najważniejsze. Zaaplikuję panu dietę, ażeby odechciało się spacerów...

Ogarnęła mnie gwałtowna senność... I miałem prześliczny sen. śniło mi się, że własnym wspaniałym jachtem płynę po Morzu Karaibskim. Na końcu pokładu, pod pasiastym tentem górnego pomostu, rozłożyłem się w wygodnym plecionym fotelu. Na stoliku przede mną stoi w lodzie woda mineralna z sokiem. Jest upalnie. Wyciągam rękę po puchar z napojem chłodzącym i nie mogę go dosięgnąć...

Uderzyłem się boleśnie w rękę o twardą ścianę i obudziłem się.

Znajomy czworokąt okna słabym zarysem połyskiwał w nocnej mgle i nie od razu uświadomiłem sobie, że leżę w łóżku w domu Dobby'ego, a nie na pokładzie jachtu. Chciało mi się ziewnąć, ale ziewnięcie ugrzęzło mi w gardle. Wydawało mi się, że ktoś miękkimi krokami, jak gdyby człowiek w samych tylko wełnianych skarpetkach, opuścił przed chwilą mój pokój i ostrożnie zamknął za sobą drzwi, życie już zdążyło do pewnego stopnia wyrobić we mnie zmysł szybkiej orientacji.

Nie poruszyłem się, lecz ostrożnie wyciągnąłem się oddychając powoli i bezdźwięcznie. W takiej pozycji zacisnąłem dłonie, gotowy do skoku i walki. Jednocześnie jednak sam sobie nie wierzyłem. W dzieciństwie doznawałem po nocach nieuzasadnionego strachu i wiedziałem, jak należy z nim walczyć. Trzeba myśleć o czymś ciekawym, a wtedy strach sam odleci.

„Edd nie poznał mnie... Słońce przypiekło mi głowę... Co się stało?”

Dokuczało mi pragnienie, wyciągnąłem więc rękę do nocnego stolika. Kubek napełniony był mlekiem. Wypilem je i nadstawiłem ucha. Jaka zadziwiająca cisza! Dobby z pewno-

ścią siedzi w gabinecie, a Meeghly śpi w odległym pokoju. Postawiłem kubek na miejscu i... zdrewniałem. W prostokącie okna ukazała się dziwna sylwetka. Początkowo mignęła, potem zaś przysunęła się do szyby. Zdażyłem odrzucić głowę na poduszkę i przymknąć oczy, zostawiwszy jedynie wąziutkie szparki między powiekami, jak robią to, udając śpiące, lamparty.

Za szybą błysnęła latarka elektryczna. Promień jej światła niczym maleńki reflektor zatrzymał się przez dwie, trzy sekundy na mojej twarzy i zginął. Ja zaś leżałem nieruchomo w poprzednio zastygłej pozycji twardo śpiącego człowieka. Promień jeszcze raz błysnął, znowu padł na moją twarz i zgasł. Poczekawszy ze dwie minuty otworzyłem powoli oczy. Cień za oknem zniknął. Dalekie gwiazdy spokojnie migotały w oknie i to podniosło mnie na duchu. Chłodna obojętność wobec tego, co mnie otaczało, przeniknęła nagle w moje serce i myśl stała się bardziej natężona i jasna.

Złodzieje? Starając się zachowywać jak najciszej wstałem i popatrzyłem przez okno. Światło z laboratorium padało na drzewo.

Ostrożnie otworzyłem drzwi swego pokoju. Wychodziły na korytarz, którego każdy zakamarek znałem na pamięć. Nie chciało mi się budzić przedwcześnie Meeghly'ego i Dobby'ego. Prześliznąłem się przez kuchnię i bezgłośnie otworzyłem zewnętrzne drzwi. Keep wyłonił się z ciemności i delikatnie liznął mi rękę. Pogłaskałem psa po głowie między uszami, jak gdybym prosił o przebaczenie za swoje niedawne grubiaństwo.

Keep otarł się o moje nogi i westchnął, być może wybacząc mi i ciesząc się z pojednania. Pies rozumiał, że popiskiwać teraz nie wolno. Słyszałem, jak energicznie pomachiwał ogonem.

Oczy moje przyzwyczały się do nocnych ciemności. Nie było chyba później niż druga w nocy. Świt powinien nastąpić dopiero o trzeciej. Nad oceanem wisały zapewne gęste chmury — ziało tam bezdenną, czarną pustką. Nad moją głową nieruchomym zakrętasem błyszcząca Kasiopea — olbrzymie „w” odwiecznych niebiańskich znaków pisarskich. Za willą na tle gwiazdzistej iskrzącej się tkaniny Drogi Mlecznej można było odgadnąć linię niskich gór. Za nimi wyczuwało się raczej, niż widziało, niewyraźną lunę dalekich światel dużego miasta.

Keep zwlekał z ułożeniem się w swojej budzie koło ganku. Prychnął, obwąchując ziemię, i wreszcie, westchnąwszy, spokojnie się położył. A więc na podwórku nie było nikogo obcego. Uspokoilem się, ale zapragnąłem zobaczyć, co też dzieje się nocami na pierwszym piętrze u Dobby'ego. Skręciwszy za węgiel domu, cichutko podsunąłem się pod łapczaste sklepienie kasztana. Oświetlone okno z białą zasłoną widać było jak na dłoni. Na tle zasłony poruszała się sylwetka niepodobna ani do Dobby'ego, ani do Meeghly'ego. Kogo mi ona przypomina? Niech to diabli!

Ostłupiawszy nie mogłem nawet unieść ręki, ażeby poskrobać się po głowie, i oprzytomniałem dopiero wtedy, gdy ktoś rzucił się na mnie i zwałił z nóg. Silne szorstkie ręce boleśnie przycisnęły mnie do ziemi...

— Tutaj, sir, tutaj! — rozdarł się nade mną głos Meeghly'ego. — Złapałem go.

— A puśćże mnie — wyczyniając gwałtowne ruchy starałem wyrwać się z rąk kuchacza. — Teraz ty się wściekłeś, stary pierniku.

Walcząc tarzaliśmy się po trawniku. Keep, który tu przybiegł, zawzięcie ujadał.

— Aha, nareszcie! — usłyszałem głos Dobby'ego. — Mocniej go trzymać, Meeghly!

Dobby pędził do nas z latarką. W ręku jego błyszcząca „zabawka”, na którą nie lubiłem patrzeć, gdy wymierzona była we mnie. Przypominała mi obyczaj del Aronso.

— Meeghly, proszę zawołać Sama! — zarządził Dobby zbliżywszy się do nas.

— Jestem tutaj, sir — wymamrotałem. — Proszę rozkazać Meeghly emu, ażeby mnie puścił.

Światło latarki padło na moją twarz. Palce u rąk Meeghly'ego rozluźniły się. Usiadłem na trawniku, oparłszy się o pień kasztana. Dobby zgrzytnął zębami.

— Sam! niech to diabli, dlaczego pan się tu znalazł?

Poczuwając się do winy, spuściłem głowę.

— Proszę mi wybaczyć, zapomniałem uprzedzić pana, że cała moja rodzina cierpiała w moim wieku na lunatyzm. To u mnie dziedziczne. Dziękuję dobremu Meeghly'emu, bo mógłbym zabnąć na szosę i zwalić się z urwiska...

— Niech go pan nie słucha, sir — wyrzekł Meeghly gniewnym basem. — Mówi nieprawdę. Włóczy się tutaj już przeszło godzinę. Zamknąć by go do piwnicy, a rano rozpatrzymy, co jest w nim dziedzicznego.

— Zapewniam pana, mister Dobby — powiedziałem wstając i trzymając się za szyję. — Zdawało mi się, że ktoś zajrzał do mnie przez okno...

Meeghly wściekle potrząsnął głową.

— Mój chłopcze, zbyt wiele roi się panu wszelakich bzdur. To niegodziwość tak straszyc mister Dobby'ego.

Dobby schował „zabawkę” do kieszeni i skinął na mnie.

— Niech pan idzie spać. Jutro rano rozpatrzę wszystkie pańskie napady głupoty.

Nad górami słabiutko różowiło się niebo. Kładąc się spać słyszałem, jak Dobby wchodził po schodach do laboratorium.

3

Wiosenne słońce czupurnie wtargnęło przez okno do mego pokoju. I jak zwykle rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

— Sam, proszę wstawać, śniadanie gotowe — zabrzmiał za drzwiami gderliwy głos Meeghly ego.

Szybko się umyłem i ubrałem. W kuchni wszystko było po staremu.

— Dzień dobry, Meeghly.

Kucharz kiwnął głową.

— Dzień dobry, Sam.

Powiedział to dobrodusznie, prawie pieszczotliwie, i dodał poważnie:

— Mister Dobby kazał panu zjeść śniadanie tutaj, potem zająć się klatkami numer sześć i siedem. Wezwie pana do siebie później.

— W porządku!

— Prześliczna pogoda — zauważył Meeghly patrząc na mnie.

— Zgadzam się w zupełności — uprzejmie mruknąłem zezując na patelnię, na której posykiwał smakowity befsztyk. Od przysmażanych ziemniaków roznosił się po całej kuchni nieprawdopodobnie przyjemny zapach. Zachciało mi się strasznie jeść.

Mieszając na brytfance sos cebulowy Meeghly powiedział:

— Sam, proszę sobie nakroić chleba. Czego się pan tak nabuńdziuczył? Ma pan taką minę, jak gdyby się pan jeszcze nie obudził...

— Nie spałem pół nocy, pan o tym doskonale wie — wyrzekłem, mając na myśli wydarzenia sprzed kilku godzin, i zająłem się chlebem.

Ale Meeghly ironicznie wydał wargi.

— Toż pan chrapał całą noc.

Ze zdumienia rozdziawiłem usta.

— Co się z panem dzieje, kochany Meeghly? A kto mi dzisiejszej nocy o mały włos nie skręcił karku? Przecież to pan wziął mnie za złodzieja.

Zachowując powagę kucharz ustawił na stole półmisek z befsztykiem i z wolna pokiwał głową.

— Nakroił pan chleba? No to jedz pan, jedz, póki mięso gorące. A potem niech pan

weźmie zimny natrysk i nie plecie głupstw. Kiedyż to ja panu zamierzałem skrócić kark?

— Ach! nie zamierzał pan? Bardzo dobrze... — wymamrotałem w zamyśleniu i przycisnąłem rękę do czoła. Nie wyczułem jednak żadnych objawów gorączki.

Soczysty befsztyk aż się prosił, by go jeść, przeto wbiłem w niego widelec. Trzeba było nabrać sił. Przełknąwszy pierwszy kęs mięsa ze wspaniałym sosem cebulowym, przypomniałem sobie przebieg wydarzeń minionej nocy i wyskoczyłem na ganek.

— Co się stało? — rzucił się Meeghly za mną. — Udławił się pan?

— Lekki atak duszności — odpowiedziałem łagodnie wciągając łąpczywie powietrze i głaszcząc się po piersi. — Muszę się przejść, Meeghly.

Starałem się jak najobojętniej patrzeć na rozłożysty kasztan, pokryty wiosennymi rozwijającymi się pączkami, oglądając jednocześnie pod nim uważnie trawę. Trawnik był nieco zgnieciony.

— Sarn, proszę nie deptać trawnika! — zawołał Meeghly, gdy chciałem podejść do drzewa. — Mister Dobby zasiał tam nasturcje...

Westchnąwszy powróciłem do kuchni. Befszyk zdążył już wystygnać. Lecz ja z wściekłością żułem go myśląc: „Czyż możliwe, ażeby mi się to przysniło?”

Przy kawie powiedziałem kucharzowi:

— Proszę mi wybaczyć, Meeghly, jeżeli kiedykolwiek przysporzyłem panu zmar-twień...

Ale ten po prostu powiedział:

— Sam, co też pan!... Nie spotkałem bardziej delikatnego człowieka niż pan. Chce pan jeszcze filiżankę?

Podziękowawszy Meeghly'emu najbardziej wyszukаныmi słowami, nie odmówiłem propozycji, ale w tej samej chwili rozległ się głos dzwonka wzywający mnie do laboratorium.

Dobby przywitał mnie tak, jak gdyby nic nie zaszło.

— Dzień dobry, Sam. Niech pan przygotuje rozmary z probówek trzynaście — dwadzieścia dziewięć. Następnie proszę nalać spirytusu do kolb.

Wskazał mi długi szereg szklanych baniek stojących na stole i napełnionych jakimiś suszonymi jagodami.

— Słucham, sir.

— Sam, jakież pan ma ponury wygląd — rzekł Dobby, gdy wziętem do ręki blaszankę ze spirytusem. — Brwi ściągnięte. Niech pan się przyjrzy sobie.

Cóż za drwiny! Zatrzęśłem się z oburzenia.

— Sir Dobby, w kontrakcie nie ma tego, iż wolno panu drwić ze mnie...

— Co takiego? — Dobby spokojnie stał pośrodku laboratorium. Głos jego był twardy i wyraźny. — Co takiego?... Lituję się nad panem, a nie drwię. Pragnę panu pomóc.

— Pomóc?

— Tak. Czy pamięta pan swój wczorajszy atak wściekłości? I ma pan rację, Sam. Proszę wyjąć z szafy lusterko i popatrzeć w nie.

— Zdaje się, że w domu tym nie używa się luster — zauważyłem ponuro.

Dobby nachmurzył się.

— Skąd panu to przyszło do głowy? Proszę wyjąć lusterko. Jest w szafie.

Tłumiąc wzburzenie otworzyłem szafę. Na półce wśród futerałów i baniek szklanych leżało przyzwoite ręczne lusterko.

Jakaż ja mam zaspną nie ogoloną twarz! Dziwną, obcą twarz! To nie ja!

Lusterko wypadło mi z rąk i roztrzaskało się na kawałki.

— Jakiż z pana niezgrabiasz! — z przykrością stwierdził Dobby podnosząc kawałki.

— Co mi jest? — wyszeptalem owładnięty strachem, macając twarz. — Trać?

Dobby ujął mnie za ramiona i siłą posadził na taborecie.

— Mazgajowaty chłopczyk! Tchórz! A ja go uważałem za śmiałka! Niech pan nie

jęczy!

— Proszę mi opowiedzieć, co tu się ze mną działo? — rzuciłem oschle.

Dobby uśmiechnął się.

— Sam, jakież pan ma nie rozumiejące i pełne nienawiści oczy. Niech się pan stara wczuć w to, co za chwilę powiem, a zrozumie pan, iż nieżyczliwość pańska nie ma w tym wypadku podstaw... Hm!... Hm!... Tutaj nie działo się z panem absolutnie nic złego... Ale pan mieszkał w Burmie, dotykał gołymi rękoma dzyrr i zaraził się od nich tak zwaną „chorobą Pigmejów”. Jest to bardzo jadowity wirus, powodujący zmiany w tkankach organizmu. Wiadomo, że niektóre gatunki dzyrr są nosicielami tego wirusa.

Wzburzony do ostateczności zerwałem się z taboretu.

— Nie wierzę panu! Millroys rozumiał się na węzach bardziej niż pan! I jakoś nie sły-
szałem od niego, ażeby dzyrry zakażały kogoś wirusem. Należałoby wysłać do niego tele-
gram do Rangunu, zapytać go... On zna się na wirusach lepiej od pana. To prawdziwy uczony,
mój zacy Millroys...

Dobby pokiwał głową.

— Och! Sam, alboż ja nie znam wszystkich, którzy mieli lub mają do czynienia z wirusami? Ano dobrze, zapytamy Millroya, ale on odpowie to samo. Drogi zakażenia wirusami są różnorodne. Trzeba je długo jeszcze badać. Ot, gdzie możliwe są ciekawe odkrycia! O jednym z nich opowiem panu. Dotyczy ono pana...

Na znak zgody opuściłem nisko głowę i usiadłem na taborecie.

4

— Niegdyś, bardzo dawno temu — rozpoczął Dobby — miałem młodego przyjaciela... Nie ma go już na świecie. Spotkało go nieszczęście. Poznałem go... w Berberze. Jest taki port w naszym Somali. Wie pan, w Afryce! Pociągały go zawsze podróże. W latach młodzień-
czych troszczył się nie tylko o miejsce pod słońcem i kawałek chleba. Głowa także wymaga
strawy. Umysł rozwija się pod wpływem dobrych książek. Przyjaciel mój często głodował,
ale chciwie czytał wszystko, co dotyczyło zwierząt i roślin. Chciał zostać uczniem. Zaoszczęd-
ził pieniędzy i udał się do Afryki środkowej. Właśnie w czasie tej podróży poznaliśmy się.

„Pragnę — mówił do mnie — dokonać jakiegoś wybitnego odkrycia geograficznego,
żeby pan wiedział, mister Dobby, jak myśl ta nie daje mi spokoju!”

Ale cóż mogłem mu odpowiedzieć? że trzeba rzetelnie pracować? Że odkryć nie doko-
nuje się przypadkowo? że geograf-podróżnik także powinien być gotowy do czynów bohater-
skich?

Do Afryki środkowej jechałem dostatecznie przygotowany i z określonym celem —
szukać ciekawych wirusów roślinnych. Szczególnie zaprzyjaźniłem się z młodzieńcem, gdy
docieraliśmy do Hararu. Postanowiliśmy posuwać się dalej również razem. W stolicy Abisy-
nii, Addis Abebie, połączyliśmy nasze niewielkie karawany i ruszyliśmy na zachód.

Przez Przełęcz Bung dotarliśmy do Płaskowyżu Ugogo. Ludność miejscowa jest bardzo
niskiego wzrostu, mieszka w chatkach trzcinowych, w wiecznym strachu przed dzikimi zwie-
rzętami, a jeszcze bardziej przed miejscowymi przedsiębiorcami, którzy zmuszają ich do
kopania złotodajnego piasku w korytach wyschniętych rzeczulek. Mieszkałem z przyjacielem
w ciasnej chacie wiejskiej, oczekując końca nieprzyjemnej deszczowej zimy tropikalnej.

O okolicach Ugogo nie da się powiedzieć, ażeby były malownicze. Niewielkie gaje
pandusowe wydawały się oazami wśród niezmiernych przestrzeni porośniętych dzikim
chruśniakiem. Pola wokół wioski — nazwy jej w tej chwili nie pamiętam — były ubogie i
jałowe. Do kukurydzy Pigmeje Ugogo dodawali roztarte jagody pomarańczowej barwy,

zbierane z chruśniaków, robili z tej mieszaniny grube placuszki i piekli je na rozżarzonych węglach. Było to podstawowe jedzenie Pigmejów. Mniej więcej taki sam obrazek oglądaliśmy po drodze i w Ugandzie. Ale Uganda leży na wschód od Ugogo, bliżej morza. W Ugandzie udaje się niekiedy ludziom skosztować świeżego mięsa bawole go i importowanych konserw mięsnych. Ugogo zaś — przeklęta kraina. Nic ciekawego tam dla mnie nie było i już myśleliśmy obaj o powrocie. Chcieliśmy podążyć na północ, dojść do źródeł Nilu koło Wadeli, zejść w kierunku Assuanu i pożegnać się z Afryką w Kairze.

Pewnego razu podczas wycieczki przyjaciel mój natknął się na zarośla ciernistego chruśniaku, pokrytego żółtymi, lepкими, oleistymi jagodami. Roślina ta zaciekała mnie. Ale na towarzyszącego mi młodzieńca nie wywarła żadnego wrażenia. On pragnął niezwykłych odkryć, czym więc były dla niego jakieś tam niepozorne krzaki podobne do jałowca? A zresztą on w ogóle tak się rozczarował do naszej podróży, że wkrótce udał się na północ nie czekając na mnie.

Gdy któregoś dnia przyniosłem do wsi roślinę z żółtymi jagodami, tuziemcy przez tłumacza powiedzieli mi, że u nich ta roślina nazywa się buszm-agogo, co oznacza: cierni Buszmenów, i że sok żółtych jagód ma szczególną tajemniczą siłę. Zacząłem zbierać botaniczną kolekcję odmian tej rośliny i wtedy miałem możność przekonać się, że pod ciernistymi krzakami aż się kłębiło od dzyrr. Moje botaniczne wycieczki były bardzo niebezpieczne. Brałem z sobą ze dwudziestu tuziemców, którzy niezwykle śmiało i sprytnie wypędzali spod krzaków węże. Do gadów tych ja i teraz odczuwam wstręt. Wiele musiałem się wtedy napracować, ale nie żałuję tego. Cierniste rośliny sprawiały mi wiele przyjemności. Jagód ich Pigmeje Ugogo używali również jako pożywienia, lecz tylko w określonych porach roku. A odbywało się to tak.

Gdy kończyła się pora deszczowa, a wioska przygotowywała się do świętowania zbliżającego się nowiu księżyca, kobiety udawały się na step, skąd wracały z pełnymi koszami znanych mi jagód. Przygotowywały z nich gęsty, cierpki oleisty sok, rozcieńczały go wodą, a wytłoczyny dodawały do placuszków. Uważnie przyglądałem się pracy czarnoskórych gospodyń. Miałem bardzo dobrego, doświadczonego tłumacza i pewien zapas spirytusu. Dzięki temu starcy Ugogo chętnie zaprosili mnie na swoje święto. Z zachodem słońca tuziemcy rozpoczęli tańce w takt dzikiej muzyki na trzciniowych fujarkach, przy łoskocie bębnów. Potem Pigmeje pili sok jagodowy, widocznie sfermentowany, dlatego że tancerze wkrótce się popili, a żony odprowadziły ich do chat na spoczynek. Trzy dni cała wieś odżywiła się placuszkami z owoców ciernistej rośliny. Częstoowano mnie także, ale tłumacz sam nie jadł i mnie jeść nie radził. Powiedział: „Ugogo sądzą, że owoce ciernistej rośliny dodają siłę, dziarskości i przedłużają życie tym, którzy używają ich jako pokarmu. Ale owoce te hamują wzrost człowieka — staje się on karłem na zawsze”.

Istotnie, wśród niskich Pigmejów zdarzały się karły z obwisłymi brzuchami żarłoków, lecz zdumiewająco silne, pomimo swych siwych bród i pomarszczonych twarzy.

— No i co dalej? — spytałem.

— Udało mi się wyodrębnić z żółtych jagód czysty wirus, przeobrażający liście niektórych roślin w ciernie. Mieszkałem w Ugogo dwa lata i doświadczałem owo przeobrażenie. Fakt ten zadecydował, że ostatecznie poświęciłem się studiom nad wirusami. To, co się przydarzyło panu, potwierdza moje odkrycia. Nie trzeba jednak rozpaczać, ja panu pomogę. Wyleczę pana.

Opowiadanie Dobby'ego miało cechy prawdopodobieństwa. Kłócić się teraz z gospodarzem było oczywistym nonsensem. Niechaj mnie wyleczy z tego wirusa. Głosem pełnym skruchy wyrzekłem:

— Proszę mi przebaczyć, sir. Zdaje się, iż ze mnie bardzo niewdzięczna istota. Ale proszę wejść i w moje położenie...

— Wszystko będzie dobrze, Sam — przyjaźnie dotknął mego ramienia Dobby. —

Wirus karłowatych roślin był pierwszy, który udało mi się potem przenieść na laboratoryjne zwierzęta. Jaki cel przyświeca moim badaniom nad wirusami? Chcę je poznać, by potem oswoić, zrobić z nich pożyteczne narzędzie w rękach człowieka.

O, sir Dobby umiał mówić i zniewalać do słuchania!

— Sam, z pańskiej choroby nie zostanie nawet śladu — powiedział stanowczym głosem.

— Przepraszam, czy wysokość moja nie obniży się i nie stanę się karłem? — spytałem bojaźliwie.

— Na pewno nie — roześmiał się Dobby. — No, niech pan rozlewa spirytus do kolb. W nich właśnie znajdują się, jak pan widzi, żółte wysuszone jagody buszmen-agogo. Zrobimy z nich ekstrakt, odparujemy spirytus i otrzymamy krystaliczną substancję, która ze względu na swoje właściwości jest bardzo ciekawa. Jeżeli wstrzyknie się ją królikowi, to surowica tego królika będzie w stanie neutralizować działanie wirusa cierni. Surowica ta całkowicie wyleczy pana, Sam...

— Dziękuję! — powiedziałem radośnie. — Już ja się postaram pomóc panu w otrzymaniu surowicy.

Tego dnia pracowałem z wielkim podnieceniem.

Przy obiedzie spytałem Dobby ego:

— Jakież to nieszczęście spotkało pańskiego przyjaciela, o którym pan opowiadał?

Dobby ciężko westchnął.

— Od tego czasu nie widziałem go. W czasopiśmie spotkałem się z wartościowymi artykułami podpisanymi przez tego młodego amerykańskiego lekarza. Ale coś obito mi się o uszy, że został zabity przez swego służącego w Meksyku...

— Doktor Rolls? — wymamrotałem.

— Ach! to pan też go znał? — zmrużył oczy Dobby.

— O, nie!... Po prostu przeczytałem w gazetach o tajemniczym zabójstwie w Zamatlanie...

Rozmyślnie przekręciłem nazwę miasta Mazatlan i wiele wysiłku sprawiło mi pokonanie wzburzenia, które mnie ogarnęło.

Zeszyt dziesiąty

1

Dreńczyła mnie ciekawość. Co oznaczały tajemnicze przygody owej nocy, kiedy to ktoś zaglądał do mego pokoju? Dlaczego Dobby był jak by rozczarowany, gdy zobaczył mnie schwytanego pod kasztanem? I jakie to dziwne, że Dobby znał zmarłego doktora Rollsa. A może to nie on odkrył wirusa ciernia Buszmenów, lecz nieszczęsny Rolls, który przypłacił później... Jeżeli sprawy tak się mają, to...

Mimo to praca w laboratorium była bardzo ciekawa.

W ciągu kilku dni odparowywaliśmy spirytus z ekstraktu i wreszcie na dnie kolby Dobby otrzymał około uncji ciemnej oleistej smoły.

— Ale to jeszcze nie wszystko — powiedział przyglądając się otrzymanemu produktowi. — Tutaj wirus znajduje się w połączeniu z mnóstwem innych substancji białkowych. Trzeba go od nich oddzielić.

I znowu produkt poddany został rozpuszczeniu w odczynnikach, a roztwór poszedł na

sączki i do wirówki.

Wirówka Dobby'ego robiła sześćdziesiąt tysięcy obrotów na minutę, lecz dopiero po trzech godzinach pracy Dobby wyłączył prąd w wirówce i wyjął z niej probówkę.

— Oto wirus w stanie czystym! — wyrzekł uroczyście, podnosząc rękę z probówką. — Proszę zobaczyć.

Drobnokrystaliczny, z lekka żółtawy proszek leżał na dnie probówki.

Strzałka niezmiernie czulej elektromagnetycznej wagi wskazała: 14,55701.

— Odliczymy ciężar własny probówki — powiedział Dobby. — Wynosi on czternaście całych pięćdziesiąt pięć setnych grama. Uwzględnimy poprawkę na wilgotność i ciśnienie atmosferyczne. — Zmrużywszy z lekka oczy dodał: — Jakieś piętnaście miligramów czystego wirusa. Niech pan przyniesie sześć królików z klatki numer dziewięć.

Po upływie pół godziny zacząłem kolejno przynosić Dobby'emu króliki trzymając je za uszy. Dobby zdążył już rozpuścić drobinę wirusa w roztworze fizjologicznym i zastrzyknął go królikom. Kolba z resztą roztworu została umieszczona w termostacie. Zapaliłem lampkę spirytusową. Dobby zatopił szczelnie otwór ampułki, w której były czyste wirusy, i dołączył ją do swojej kolekcji.

Ręka mu lekko drżała, gdy woskowym ołówkiem pisał na ampulce: „Buszm-agogo. W. 12.”.

— Sam, teraz już jestem spokojny — rzekł Dobby z widocznym zadowoleniem. — Cały zdobyty przeze mnie dotychczas zapas wirusa poszedł na doświadczenia. A ja muszę mieć pełną kolekcję wirusów. Prócz tego należy pomóc panu. Dopiero w tych dniach za pośrednictwem biura, które trudni się komisem w Afryce środkowej, otrzymałem nareszcie owoce ciernistej rośliny z Ugogo.

— Kosztowało to zapewne wiele pieniędzy? — odezwałem się.

Dobby popatrzył na mnie poprzednim wzrokiem, który w dalszym ciągu podobał mi się.

— Hm!... Gdy się pracuje dla nauki, nie należy zastanawiać się nad wydatkami... — Po chwili dodał: — Dla nauki nie powinno się żałować ani zachodu, ani środków. Po tygodniu codziennych zastrzyków surowica królicza nagromadzi dostateczną ilość antywirusów i świeże lekarstwo na pańską chorobę będzie gotowe.

— Bardzo dobrze, sir — odezwałem się. — Przecież pracę swoją będzie pan mógł wówczas sprawdzić na mnie. Muszę się przyznać, że kiedyś chciałem uczestniczyć w podobnym eksperymencie.

— Hm!... Nawet tak?

— Tak, sir. Lord Paddington z Oldmountu...

— A, pechowy dyletant, którego przepędzono z królestwa? — spytał Dobby. — To pan też go znał?

— Nie, sir. Nigdy go nie widziałem. Ale historia...

— Historia jego zbrodni obleciała cały świat — drwiąco rzekł Dobby. — I ów lord źle skończył. Gorzej nawet niż nieszczęsny Rolls.

— Gorzej niż zamordowany? — wyszeptalem.

— Hm!... Pisano o tym w gazetach. Nie mógł przeboleć nieszczęścia. Zawał serca.

— Biedaczysko! — wyznałem szczerze.

2

Po tygodniu surowica była gotowa. Otrzymawszy zastrzyk świeżego antywirusa, z niecierpliwością oczekiwałem wyniku kuracji.

Dobby przeważnie spędzał czas przy biurku w gabinecie, doprowadzając do porządku

solidny rękopis. W laboratorium przebywał niewiele, zaglądając do niego tylko z rzadka i czuwając nad pracą wykonywaną przeze mnie.

Nauczył mnie przeprowadzać reakcje chemiczne na białko i to mi się już doskonale udawało.

— Sam, pan ma zapewniony stały kawałek chleba. Nauka potrzebuje nie tylko pracowników laboratoryjnych, lecz również ludzi, którzy mają zamiłowanie do realnej pracy laboratoryjnej. Dziedzina studiów nad wirusami nie zna granic. Każdy, kto poświęcił się wirusom, będzie rad mieć pana za swojego pomocnika...

Zasmakowałem w studiach nad wirusami. Uczoność Dobby'ego była bez porównania większa, niż uczoność „węzowego profesora”, który, jak mi się teraz zdawało, głównie interesował się dochodami ze swojej okropnej farmy. Z lekcji Dobby'ego czerpałem wiedzę pełnymi garściami.

Nie dość było wyodrębniać wirusy w stanie czystym. Dobby wynalazł sposób, aby zmieniać ich właściwości.

— Wirusy, Sam, to ciała białkowe — powiedział pewnego razu Dobby. — Częsteczka białka, według mego pojęcia, składa się z jądra centralnego i mnóstwa łańcuchów bocznych. Tak myślał już Erlich. Łańcuchy te są aktywne. Są one podstawą nieograniczonej różnorodności ciał białkowych z ich zadziwiającymi cechami stałej wzajemnej wymiany z otaczającym środowiskiem. Zadałem sobie pytanie: „Znam budowę chemiczną łańcuchów. Znam budowę cząsteczki wirusa tytoniowej mozaiki. Od którego z tych łańcuchów zależy zakaźna właściwość wirusa?” Usunąłem jeden łańcuch. Lecz wirus nadal pozostał wirusem. A więc nie ten łańcuch jest źródłem zakażenia. Wypróbowałem wiele możliwości i w końcu okazało się, że sprawa nie jest tak żmudna, jak sądziłem. W każdym wirusie jest taki łańcuch, który nazwałem pasożytniczym. Za pomocą tego właśnie łańcucha najłatwiej jest cząsteczce wirusa dokonywać wymiany ze środowiskiem zewnętrznym, zabierać z niego nie oddzielne proste substancje, ale całe kawałki innych cząsteczek białkowych. Lecz w tym celu cząsteczka wirusa musi zniszczyć inną, nie wirusową cząsteczkę białka, co też obserwujemy w przyrodzie. Moje wiwarium składa się ze zwierząt, na których wypróbuję różne rodzaje zmienionych wirusów. To by było wszystko...

— Przepraszam, sir — zauważyłem myśląc o tym, co powiedział Dobby — mówi pan o cząsteczkach, o bocznych łańcuchach. Wypowiada to pan tak, jak gdyby je pan widział. Czy można je zobaczyć?...

— Można, Sam — poważnie odrzekł Dobby. — Nie przez zwykły mikroskop, ale za pomocą specjalnego aparatu. Oto on.

Mówiąc to Dobby podszedł do szafki nad wirówką i otworzył drzwiczki z literami „M.E.”

W szafce znajdował się futerał, a pod nim solidny przyrząd.

— Przed panem, Sam, mikroskop elektronowy. Fale światła są zbyt długie, ażeby oko nasze mogło dojrzeć cząsteczki białka. Lecz gdy zamiast promieni świetlnych zastosujemy strumień elektronów, to przy odpowiednim powiększeniu dadzą one na kliszy obraz cząsteczek preparatu. W podobny sposób wykorzystuje się strumień promieni rentgenowskich, ażeby otrzymać obraz rozmieszczenia atomów w kryształach. W mikroskopie elektronowym sprawa nie jest bardziej skomplikowana.

Dobby zdjął futerał i postawił go na stole laboratoryjnym.

— Biorę — powiedział — odrobinę czystego wirusa, kładę ją na celuloidową płytkę i wstawiam ją do tej dolnej kamery. — Dobby pokazał mi kamerę. — Następnie zamykam ją hermetycznie i włączam pompę próżniową. Wypompowuje ona powietrze z kamery, ażeby nic nie przeszkadzało strumieniowi elektronów przedostawać się do kamery. W przeciwnym razie drobiny gazów powietrza będą zniekształcały obraz. Tutaj — Dobby pokazał mi — wstawia się kasetę z kliszą fotograficzną. Ogniskową wymierzono zawczasu i jest ona wielko-

ścią stałą. Gdy wszystko zostanie już dokładnie umieszczone, należy włączyć prąd. Przy zamknięciu obwodu prądu powstaje pole elektromagnetyczne. Elektrony zaczynają się poruszać w określonym kierunku. Przechodzą przez preparat, potem przez pole elektromagnetyczne i rzucają na kliszę obraz najdrobniejszej, ultramikroskopijnej budowy wirusa, a więc i jego cząsteczki. Ekspozycja trwa nie dłużej niż dziesięć sekund. Wyłączam prąd. Pozostaje już tylko wywołać kliszę, a następnie zrobić przezrocze...

Z wielkim szacunkiem patrzyłem na ten „M.E.”, niepospolitą zdobycz myśli naukowej.

— Ja nie wynalazłem mikroskopu elektronowego, jednak konstrukcja tego aparatu jest nieco uproszczona na podstawie moich wskazówek — dodał Dobby skromnie. — Tutaj zaś... — wyjął z szuflady stołu kilka zdjęć i podał mi je: — Proszę obejrzeć. Fotografia cząsteczek wirusów. Oto cząsteczki wirusa tytoniowej mozaiki. Widzi pan, podobne są do pałeczek. Koniuszkami łączą się w długie nitki. Laboratoryjne obliczenia wykazują, że ciężar cząsteczkowy wielu wirusów jest bardzo duży, wynosi miliony jednostek.

Przyglądałem się fotografiom. A więc tu jest rozwiązanie zagadki mozaiki! To te właśnie pałeczki wywoływały tam, na plantacjach Indii, chorobę roślin, tworzyły śmiertelne pierścienie na liściach tytoniowych i powodowały obumieranie łądog...

Nauka oszołomiła mnie swoim ogromem utrwaloną na tych skromnych fotografiach. I jaką nicością wydała mi się teraz moja własna droga życiowa ze skokami na arenie i poszukiwaniem niezwykłych krajów z niezwykłymi skarbami!

Przejrzałem kolekcję fotografii i pomogłem Dobby'emu nakryć „M.E.” w szafce futerałem.

3

W klatce numer sześć trzymano koty, w klatce numer siedem — małe krzywonogie jamniki, a w numerze osiem — małe czarne pudle.

Pamiętam, że po zapoznaniu się z działaniem „M.E.” poszedłem do wiewarum, ażeby popatrzeć, jak się mają moje króliki. Jutro powinienem otrzymać ostatni zastrzyk. Lusterko mówiło mi, że na razie nie zaszła jeszcze w mojej powierzchowności jakaś specjalna poprawa.

Króliki z apetytem wcinały trawę, którą naciałem im na placyku, i nic nie zapowiadało burzy.

Nagle usłyszałem jakieś dziwne miauczenie. Zbliżyłem się do klatki z kotami. Leżały spokojnie. Ale rzecz zdumiewająca — miauczenie trwało dalej. Miauczały jamniki! Z niesłychanym zdumieniem obserwowałem mieszkańców klatki numer siedem. Jeden z jamników siedział na tylnych łapkach i mył się.

— Kici, kici — zawołałem postukując w siatkę klatki.

Obudziło to koty znajdujące się obok, które... zaszczekały. Co prawda, szczekały one nie pełnym psim głosem. Lecz mimo wszystko było to szczekanie.

„Zdumiewające — pomyślałem. — Przecież to są skutki zmiany właściwości wirusów. Trzeba pędzić do Dobby'ego...”

Ale jedna myśl zatrzymała mnie.

„A jeżeli ten człowiek jest oszustem i ja dla niego jestem tylko zwierzęciem doświadczalnym? Co będzie, gdy raptem ja też zacznę miauczeć?”

Ogarnął mnie taki strach, że lot z katapulty wydał się żartem.

Ubrdało mi się, że mordki kotów stały się podobne do psich pysków. Ażeby się upewnić, otworzyłem klatkę. A zwierzęta jak gdyby tylko na to czekały. Z radosnym warczeniem i miauczącym szczekiem wyskoczyły z klatki. Usiłując je powstrzymać upuściłem klatkę z

jamnikami. Drzwiczki klatki otworzyły się...

— Meeghly! Na pomoc! — zawołałem wyskakując z wiwarium.

Przybiegł Dobby i kucharz. Łapiąc z trudem powietrze opowiedziałem o tym, co się zdarzyło.

— Niech pan idzie do domu! — ofuknął mnie Dobby. — Z mego polecenia Meeghly przestawił dzisiaj klatki.

— Tak jest, sir — potwierdził Meeghly. — Sam wiecznie buja w obłokach. Chętnie złożę przysięgę, że jest lunatykiem.

— Niech pan stąd odejdzie, słyszy pan? — rozkazał Dobby. — Ja sam umieszczę zwierzęta w klatkach.

— Ale zapewniam pana, sir, że koty szczekały... — zająknąłem się.

— Proszę iść! — krzyknął Dobby. — Zgodnie z kontraktem trzeba wymierzyć panu karę za nieposłuszeństwo.

W ponurym nastroju powlokłem się z wiwarium.

„Czy podobna, ażeby mi się to wszystko wydawało? — myślałem z wysiłkiem, wyjmując z wirówki probówkę i przemywając ją okrągłą podłużną szczoteczką. — No, dobrze! Jutro mam ostatni zastrzyk antywirusa i... żegnaj pan, mister Dobby. Lepiej przymierać głodem w Ashwharfie, niż jadać obiady na Skale Dwóch Róż w wirusowej willi”.

Dobby ciężkim krokiem wszedł do laboratorium i długo mył ręce.

— Najciekawsze zwierzęta rozbiegły się — zauważył gniewnie, wycierając ręce ręcznikiem. — Sam, pan się zdecydowanie zepsuł. Gdy tylko kuracja dobiegnie końca, rozstaniemy się. Pan mnie tak zdenerwował...

— Proszę o przebaczenie, sir — powiedziałem oschle.

Ale gniew Dobby'ego już ostygł.

— Nie należy, Sam, zatruwać ostatnich dni naszej wspólnej pracy — wyrzekł. — Wkrótce wszystko powinno się zmienić. Hm!... A na razie zgoda. Ja też ostatnio mam kłopot z nerwami. To skutki wyczerpanej pracy. Jutro chcę się wypuścić na dalszy spacer. Sprzykrzył mi się już ten pustelniczy żywot.

4

Wczesnym rankiem Dobby przygotował się do wycieczki w okolicę porzuconych kopalń.

Konieczna jest, Sam, jakaś zmiana wrażeń — powiedział wsuwając do kieszeni paczkę ze śniadaniem, starannie przygotowaną przez Meeghly'ego. Potem wziął manierkę z wodą i powiesił sobie na szyi górniczą latarkę elektryczną.

— Zabiera pan z sobą „Emmy”? — wykrzyknąłem wskazując latarkę.

— Tak, i prócz tego sto jardów sznura — odpowiedział Dobby. — Niech pan nie robi wielkich oczu, bo nie mam najmniejszego zamiaru schodzić do środka ziemi. Po prostu popatrzę, co dzieje się w pewnym starym szybie. Dawno już o nim słyszałem.

Ogarnęły mnie wspomnienia z lat dziecięcych.

— O, sir!... Z latarką to wcale nie takie straszne... Jako chłopiec spuszczałem się z Eddem bez lampy.

— Dość tego, Sam — odsunął się ode mnie Dobby.

— Słowo daję, sir! — zawołałem. — Łaziłem do szybów Patricka i w pobliżu Góry Panny. Tylko...

W tym miejscu zaciąłem się.

— Tylko nie był pan w Długiej Trąbie? — uśmiechnął się Dobby. — Hm!... A ja

właśnie tam idę.

Przypomniałem sobie o Długiej Trąbie. Tak nazywała się stara, porzucona studnia — legendarne miejsce, pełne wszelakich tajemnic i przygód; o niej to właśnie stali bywalcy „Królewskiego Tygrysa” lubili opowiadać niestworzone rzeczy. Jako chłopcu nie udało mi się dotrzeć w pobliże Długiej Trąby, ale doskonale wiedziałem, którędy można tam dojść. Edd Orphy bywał tam i chwalił się, jakoby schodził na dno tej węglowej studni. I ja wówczas okropnie zazdrościłem śmiałkowi.

— Tam bardzo pogmatwana droga, sir — zauważyłem. — Od Wzgórza Czarnego trzeba zejść najpierw do Martwych Szybów, a potem dopiero skręcić na prawo...

— Hm!... — zamyślił się Dobby. — Chyba nie znajdę drogi.

— Niech pan pozwoli towarzyszyć sobie, sir — zaproponowałem. — Martwe Szyby trzeba obejść bardzo ostrożnie. Niektóre z nich nie mają dna...

— Pan mnie straszy — powiedział Dobby w zamyśleniu. — No dobrze, możemy iść. Niech pan weźmie ze stołowego drugą manierkę i chodźmy. Nawiasem mówiąc, spacer na świeżym powietrzu dobrze panu zrobi.

Przewiesiłem manierkę przez ramię, włożyłem do kieszeni kilka sandwichów i zarzuciłem na plecy zwój sznurów.

Odprowadzani dobrymi radami Meeghly'ego ruszyliśmy w drogę i stosunkowo szybko i bez wysiłku przeprawiliśmy się przez Czarne Wzgórze. Dalej ukształtowanie terenu stawało się bardziej złożone. W parowach szeroko ziały puste milczące studnie. Ciemne kupy miału węglowego, z którego dawno już wybrano wszystkie nadające się na opał kawałki, piętrzyły się jedna obok drugiej. Deszcze i śniegi rozmywały miał, a czas i upał prasowały tę kaszę ponownie w zbite warstwy.

Gdy oddaliliśmy się od willi o jakieś dwie mile i wydostaliśmy się z ostatniego parowu, oczom naszym ukazał się pustynny płaskowyż.

Na tym płaskowyżu nigdy jeszcze nie byłem. W dzieciństwie Czarny Wąwóz był granicą, na której kończyły się nasze chłopięce eskapady. Dalej otwierały się niezbadane przestrzenie, oczarowujące nas wtedy swoją tajemniczością.

Jeżeli wyobrazicie sobie wyschnięte dno przedpotopowego jeziora, siłą wulkanicznych osuwów wydzwigniętego niegdyś wysoko nad poziom morza, wtedy zrozumiecie, jaki widok otworzył się przed nami, gdy po godzinie marszu przybliżyliśmy się do Długiej Trąby znajdującej się pośrodku płaskowyżu.

Gruby wał zwietrzałych piaskowców otaczał tę gliniastą olbrzymią zapadlinę. Bryły piaskowca najfantastyczniejszych kształtów sterczały dookoła, to podobne do dziwacznych olbrzymich grzybów, to jak by do skamieniałych ichtiozaurów wysokości dwupiętrowego domu, stojących dęba, z szeroko rozwartymi zębatymi paszczami. W środku kotliny zionął czarny otwór porzuconego szybu. Zachowały się jeszcze ponure ruiny murowanych budynków z zawalonymi dachami, a zardzewiałe żebra żelaznego rusztowania wyciągu, niczym kości potwornego szkieletu, wystawały ze spróchniałych resztek drewnianego pokrycia. I wszędzie leżał gęsty żalobny miał.

Była to właśnie słynna Długa Trąba.

— Należy przedsięwziąć środki ostrożności — rzekł poważnie Dobby.

Oderwałem wzrok od otaczającego nas posępnego widoku. Podeszliśmy do krawędzi Trąby. Dobby wrzucił do niej kamyczek i nadstawił ucha, ale żaden dźwięk nie doszedł nas z głębi studni.

— Tutaj nie ma dna — wymamrotałem.

— Hm!... A więc — uśmiechnął się Dobby — rzucony przeze mnie kamień leci w tej chwili poprzez naszą planetę i wynurzy się gdzieś w Chile? Bzdury!

Odważnie owiązał się w talii sznurem i przymocował do piersi „Emmy”.

— Czy pan poważnie zamierza spuścić się do szybu? — wykrzyknąłem, przyznając, z

zachwytem. Podobała mi się odwaga Dobby'ego.

Ten zaś wyczuł entuzjazm w tonie mego pytania.

— Tym razem uczynię odstępstwo od kontraktu — wyrzekł zupełnie serio. — Nie chcę, żeby pan patrzył na mnie jak na jakiegoś dziwaka. Lubię rzeczy poważne. Tak, zejść do szybu, ale nie z powodu dziecinady. Niech mi pan wierzy, Sam, iż nie jestem tak bogaty, jak panu, być może, to się wydaje. Zawsze lubiłem komfort, lecz pogardzałem marnotrawstwem. Każdą gwineę, którą wydaję, zdobywałem i zdobywam ciężką pracą. Ale niewiele jest wart ten, kto pracując i zdobywając środki egzystencji myśli wyłącznie o swoim żołądku i osobistej wygodzie. Trzeba myśleć o narodzie, którego jesteśmy dziećmi, i o ziemi ojczystej, na której się urodziliśmy i która przyjmie nasze szczątki do swego łona, gdy dobiegnie końca droga naszego życia. Trzeba myśleć o ojczyźnie, Sam.

— Niezupełnie pana rozumiem, sir — nadstawiłem uszu.

— Zaraz pan zrozumie — powiedział Dobby z głębokim przekonaniem. — Pańskie opowiadanie o porzuconych tutaj kopalniach bardzo mnie poruszyło. Zaprzestano je eksploatować dlatego, że stały się jakoby nieopłacalne. A jeżeli to nieprawda? Jeśli tutaj leżą jeszcze milionowe bogactwa, miliony ton węgla, które kraj nasz może wydobywać na miejscu, a nie przywozić z daleka? Jeżeli szyby opuszczono tylko dlatego, że chciwi właściciele kopalń doszli do wniosku, iż dają one zbyt mały procent zysku? Jeśli lenią się popracować nad wznowieniem wydobywania węgla? — Dobby popatrzył gdzieś bardzo, bardzo daleko. — Powinniśmy brać przykład z Rosjan — wyrzekł z powagą. — Kiepsko jeszcze znamy ten niepospolity, pracowity naród. Nie tak dawno zjednoczył wokół siebie wielką, przyjacielską rodzinę narodów olbrzymiego kraju. Zabrał się do gospodarowania nim własnymi potężnymi rękoma. Jakże oni tam teraz eksploatują swoje bogactwa naturalne! Na Uralu odbudowali setki szybów, porzuconych przez poprzednich właścicieli również z powodu rzekomej nierentowności! Ale naród zakasał rękawy. I szyby okazały się opłacalne! Pod względem wydobywania węgla Rosjanie mają szansę wysunąć się na pierwsze miejsce...

— Czyżbyśmy odczuwali brak węgla? — spytałem.

— Mogą nadejść, Sam, takie czasy, że każdy jego pyłek będzie dla nas na wagę złota — odpowiedział Dobby.

— Do czego właściwie pan zmierza?

— Najpierw sam sprawdzę, co dzieje się w szybie. Potem zaproszę ekspertów. Będę nalegał, ażeby oddano mi te tereny w dzierżawę. I może się okazać, że sprawa warta jest świeczki.

— O, mister Dobby! — pokiwałem głową. — Sprawa poważna...

— A co pan myślał? — uśmiechnął się. — Dobrze... Trzeba zejść i rozejrzeć się. Za to wieczorem naopowiadamy naszemu Meeghly'emu takich okropności, że aż strach! Niech pan tylko sobie przedstawi, jak on zacznie wykrzykiwać z wrażenia! No, proszę trzymać sznur, byle mocno. Jeżeli pociągnę z dołu dwa razy, to niech mi pan pomaga wydostać się na powierzchnię.

Drugi koniec sznura przywiązaliśmy zawczasu do żelaznego sworznia wystającego z ziemi.

— Do widzenia, Sam — wesoło powiedział Dobby spuszczać nogi do szybu. — Hm!... Wie pan, tutaj są bardzo dogodne schody.

Głowa Dobby'ego schowała się. Ostrożnie rozwijałem sznur. Dobby opuścił się na całą jego długość i koniec sznura leżał teraz spokojnie na krawędzi szybu. Spojrzawszy w dół dostrzegłem, iż maleńkie światełko poruszało się w nieprzejrzanym ciemnościach.

— Halo! — zawołałem podniecony.

W odpowiedzi sznur drgnął jeden raz. „Słyszy” — pomyślałem. Później sznur przez długi czas był nieruchomy. To mnie zaniepokoiło. W szybie mógł być gaz kopalniany, wówczas Dobby emu groziłoby niebezpieczeństwo zatrucia się. Ku mojej radości sznur wreszcie

się poruszył. Zacząłem go wyciągać czując ciężar Dobby'ego. Gdy twarz jego wyłoniła się z otworu szybu, była czarniejsza niż u Murzyna — to nie był Dobby, lecz jakiś umorusany kominiarz!

— Sam, niech pan nie będzie taki gorliwy — burknął wypluwając czarną ślinę. — Ciągnął mnie pan tak, że ledwie nadażalem.

— Bałem się o pana, sir.

Dobby wylazł z otworu i siadł na ziemi. Brudny pot strumieniami spływał mu po policzkach. Z rozkoszą oddychał świeżym powietrzem.

— Coś nieprawdopodobnego, Sam — uśmiechnął się błyskając zębami. — Tam są stalaktytowe groty niewypowiedzianej piękności... No, bierzmy się do śniadania, przyjacielu...

Rozwinął paczkę z sandwiczami i zaklął.

— Hm!... Ot, przykrość!

— Co się stało, sir? — spytałem.

— Hm!... Głupstwo! Zgubiłem fajkę. Szkoda jednak... Ale jutro ją znajdę.

W zadumie przystąpił do jedzenia sandwicza z wędliną.

— Niech pan opowie o stalaktytovej grocie, sir — poprosiłem.

— Sam, tego się nie da opisać. Wszystko błyszczy jak szlachetne kamienie. Ale ja żartuję. W samej rzeczy, wydaje się, iż węgla jest tam jeszcze sporo.

Sandwicze dość szybko zostały zjedzone.

— Dobrze by było zapalić, Sam — wymamrotał Dobby i zaraz dodał z przykrością: — Ach, fajka! Sam, pan natychmiast spuści mnie ponownie na dół.

W bezwiednym zapale młodości wyrwało mi się:

— Pan pozwoli, że ja to zrobię!

Lecz Dobby zbliżył się do krawędzi i wskazał palcem studnię:

— Tam? Nie, przyjacielu. Widocznie sądzone mi jest zaznać dzisiaj podwójnego zadowolenia. A zresztą, po co ma się pan utyłać w węglu?

Ja jednak nalegałem. Rozgorzały we mnie dziecięce marzenia o tajemnicach Długiej Trąby i tak żarliwie błagałem Dobby'ego, że o mały włos nie zwałem się w przepaść.

Dobby zdecydowanie machnął ręką.

— Niech mnie pan spuszcza i przestanie jęczeć.

Ale ja nie ustępowałem i dalej błagałem Dobby'ego wymyślając tysiące argumentów, że to właśnie mnie powinno przypaść w udziale wydobyć fajki z Długiej Trąby. Dobby w końcu zmiękł.

— Chce pan nacieszyć swój wzrok stalaktytami? Przecież nie ma ich tam. Ja żartowałem. A zresztą niech pan schodzi i wspomina swoje młodzieńcze figle. Byle tylko nie za głęboko, nie na całą długość sznura.

Mówił przyjaźnie i rozwiązywał węzeł sznura na swoim brzuchu.

— Sam, niech pan słucha uważnie. Z początku będą występy na ścianach — jak by stopnie. Trzeba schodzić po nich wolno i ostrożnie.

— Przecież umiem łaźić po szybach! — odezwałem się wesoło.

Dobby ściągnął gęste brwi.

— Niech pan mi nie przerywa. To bardzo brzydki zwyczaj przerywać starszym. Po pięciu-dziesięciu jardach natknie się pan na podest, z lewej zaś strony będą schody. Ale niech pan nie wchodzi na nie — wszystkie stopnie są spróchniałe. Radzę nie opuszczać się niżej i natychmiast wracać z powrotem. Jeżeli fajki tam nie ma, to niech pan jej już nie szuka.

— A grota?

— Przecież nie ma żadnej groty! Gdy przyjadą eksperci, to wtedy może pan łaźić z nimi do woli. A na razie proszę być ostrożnym.

Udzielając mi wskazówek Dobby okręcił sznur wokół mojej talii i zawiązał go z tyłu.

— Zdaje się, że będzie wystarczająco mocny, coś w rodzaju węzła marynarskiego —

nie rozwiąże się. Powtarzam, niech pan opuści się do podestu i poda sygnał, a ja pana wyciągnę.

— Latarka, sir?

— Hm!... Tak.

Dobby umocował mi „Emmy” na piersi. Wypróbowałem wyłącznik — latarka była w całkowitym porządku.

— Sam, mógłby pan zdjąć manierkę — zauważył Dobby, gdy spuściłem nogę w otwór szybu.

— Ona mi nie przeszkadza, sir.

— Niech pan schodzi. Trzymam — rzekł Dobby przygotowując się do popuszczania sznura.

— Dziękuję panu — zdążyłem powiedzieć, macając nogami występ na ścianie Trąby i zaczynając opuszczać się w głąb szybu.

— Doskonale, Sam — usłyszałem z góry zachęcający głos Dobby'ego. — Niech pan patrzy pod nogi, na stopnie.

Włączyłem światło. Trąba nie wydawała się wcale straszna, światło „Emmy” było wystarczające. W eskapadzie tej nie było nic nadzwyczajnego. Z przyzwyczajenia, nabytego niegdyś, liczyłem występy, ażeby pewniej wspinać się z powrotem. Na dole przelatywały z piskiem nietoperze. Minawszy szesnasty występ noga moja oparła się o stosunkowo szeroki podest. Na poły zetlałe szkielety ptaków leżały na jego krawędzi. Zdaje się, że to sowy próbowały wic gniazda w tym ustronnym miejscu. Uniosłem głowę. W górze połyskiwał przyjaźnie szarobłękitny skrawek nieba, w dole zaś, pod podestem, czerniła się przepaść. Tuż przy ścianie dojrzałem świeże ślady futbolowych trzewików Dobby'ego i jego fajkę. Podniosłem ją i wsunąłem do kieszeni. Dobby oczywiście schodził niżej. Nie miałem wielkiej chęci dawać sygnału do powrotu.

Na pół rozwalone, nie wzbudzające zaufania drewniane wieńce prowadziły w dół. Wybrawszy solidniejszy występ skalny, spełzłem z podestu, zawisłem na rękach i namacałem nogą punkt oparcia. Zanosilo się na to, że zejście będzie niełatwe. Przekrój szybu rozszerzał się i ja po jednej ze ścian spełzałem coraz niżej, trzymając się rękoma i nogami występów. Zapomniałem o wszystkim, nawet o strachu. Uczucie naiwnej dumy napełniało mi serce. „A więc ja też znalazłem się w Długiej Trąbie — pomyślałem. — Niechaj teraz Edd się nie puszy. To nie studnia koło Lasu Patricka”. Tamta studnia była niegłęboka, łapaliśmy tam czasem nietoperze i straszylimy nimi dziewczęta.

Zaprzagnąłem pozdrowić Dobby'ego za pomocą sygnału. W tym celu chwyciłem za sznur. Mówiąc dokładniej, chciałem chwycić i sądziłem, że mam go już w ręku. Niestety, mogłem tylko otworzyć usta ze zdumienia, ponieważ w istocie rzeczy sznur z cichym szelestem, niczym dzyrra, sunął w górę. Na moje kepi sypał się miał i wszelakie śmiecie. Sznur zniknął. Chciałem się palnąć w głupie czoło, ale ręce miałem zajęte — wisiałem na nich.

Nagle rozjaśniło mi się w głowie jak po szklance mocnej kawy. Przemknęła myśl niczym jaskółka: „Ładny marynarski węzeł!”

5

Podbródkiem nacisnąłem guzik wyłącznika „Emmy” i latarka posłusznie zgasła. Rozpłaszczwszy się, zdążyłem w porę przycisnąć się do ściany szybu. Obok mnie z szybkością meteorytu przeleciał olbrzymi kamień. W nieprzeniknionych ciemnościach wyczułem jego lot i słyszałem, jak piekielnie gruchotał odskakując od jednej ściany Trąby i uderzając o drugą, śladem jego następnego kamień wyrzwał o występ podestu i rozleciał się na kawałki. Posypały

się odłamki kalecząc mi ręce i policzki.

Bombardowanie nie podobało mi się. Jeżeli w pobliżu jest nisza, to można się ukryć. Zwisając na jednej ręce, drugą szukałem po ścianie. Prawą nogą namacałem występ, oparłem się więc o niego i odsapnąłem. Obok nadal grzmiały kamienie. Nawet maleńki okrągły gładki kamyczek, spadając z dużej wysokości, osiąga szybkość pocisku. Rozpłaszczywszy się i przylgnąwszy do ściany szukałem ocalenia pod występem podestu. Raptem noga moja ześliznęła się, zachwiałem się i przycisnąłem podbródkiem awaryjny guzik „Emmy”. Oczom moim ukazał się tuż pod nogami niewielki otwór chodnika, prowadzącego dokądś w bok. Nogami w przód wcisnąłem się jakoś w tę dziurę. Następnie przekręciłem się, zgasilem „Emmy” i odpełzłem od szybu.

Nagle tuż za mną zatrzęsała się ziemia, rycząc i szalejąc niczym furie. Potem nastąpiła cisza podziemia, zamurowanego na wieki jak zasypana mogiła.

Co to się stało? Czyżby Dobby źle zrobił węzeł? A może on... rozmyślnie?

Ale nie miałem czasu zastanawiać się nad przyczynami zachowania się Dobby'ego.

Spróbowałem wrócić z powrotem, lecz moje najgorsze przypuszczenia potwierdziły się. Wyjście do szybu było szczelnie zawałone. Nie pozostawało mi nic innego, jak czołgać się niskim chodnikiem do przodu. Najprzyjemniej by było natrafić na chodnik wentylacyjny. Ten z całą pewnością wyprowadziłby mnie na powierzchnię. Gdybyż to były stare szyby Patricka, których rozmieszczenie mniej więcej znałem! Ale Długa Trąba — największy ze wszystkich porzuconych szybów — jest mi zupełnie nie znany. Jeżeli tu nie ma dopływu powietrza, to uduszę się jak mysz w zamkniętym pudełku.

Leżąc w niskim chodniku obmyślałem plan ratunku. Latarki górnicze „Emmy” na suche baterie typu „H-8” obliczone są na siedem godzin nieprzerwanego świecenia. Pogrzebana razem ze mną latarka świeciła już z godzinę. A więc mam zapewnione światło nie dłużej niż na sześć godzin, jeżeli oczywiście Dobby nie popsuł baterii, gdy opuszczał się do szybu. Trzeba być przygotowanym na wszystko. A po sześciu godzinach...?

„Wieczyste ciemności — pomyślałem. — Ale spokojnie, Samuelu Pingle. Nareszcie otrzymałeś dobrą lekcję i dosyć już zbijania bąków”.

Z wyjątkową jasnością stanął mi przed oczyma długi łańcuch moich niepowodzeń od chwili powrotu z Ashwharfu do willi Dobby'ego.

Lecz czas był drogi. Sprawdziłem swój inwentarz. W kieszeniach znalazłem paczkę z pięciu papierosami, dwadzieścia trzy zapalki, chusteczkę do nosa i nie dojedzonego sandwiczka z serem. Wszystko to było całkowicie bezużyteczne. Przydałby się teraz bardziej chociażby scyzoryk. Gdybym był zabrał z sobą pilniczek do paznokci, to i on byłby teraz narzędziem. Kamień strącił mi kepi, lecz nie żałowałem go. Drogocenna była w tej chwili „Emmy” i manierka. Wypiłem łyk wody i poczołgałem się dalej.

Jeżeli ten chodnik jest przecznicą łączącą z sobą dwa główne chodniki, to można będzie spróbować wydostać się przez chodnik główny. A jeśli on również jest zawałony?

Czołgałem się pamiętając o tym, że światło i wodę należy ze wszech miar oszczędzać. Przy świetle „Emmy” patrzyłem w przód, zapamiętywałem drogę i wyłączałem latarkę. Potem czołgałem się na czworakach, macając ziemię rękoma. Gdy uderzałem o coś głową, włączałem „Emmy” i badałem przyczynę tego uderzenia. Chodnik wśród pokładów węgla to zwężał się, to rozszerzał. Największą tragedią byłby zwał węgla lub ślepe zakończenie chodnika. Ale jakoś nie traciłem oddechu. A więc powietrze tutaj dochodziło. Moje posuwanie się można było porównać jedynie z zanurzaniem się w wannę napełnioną atramentem. Pełzłem niczym pierwotny jaszczur pchany nienasyconym pragnieniem wydostania się na wolność.

Nagle wyciągnięta ręka natrafiła na próżnię. W świetle „Emmy” zobaczyłem, iż leżę na skraju przepaści. W górze nad sobą dojrzałem rozszerzającą się czarną kopułę. Grube warstwy węgla wyraźnie odcinały się na ścianach pieczary.

Między starymi, spróchniałymi stemplami kapala woda. Od dołu zaciągało chłodnym

wilgotnym powietrzem. Dokąd się posuwać? Niektóre szyby Ashwharfu miały wyjścia u podnóża wzgórz, a więc czy nie należałoby opuścić się niżej?

— No, Pingle — powiedziałem i głos mój dudniącym echem rozbrzmiał w tej podziemnej pieczarze — jedna szansa na tysiąc.

Bрудna woda szemrała na dnie szczeliny. Ten podziemny strumyczek oblewał kilka szkieletów końskich. Z trudem opuściłem się na dół i ruszyłem z prądem. Strumień biegł kręto szybami i dlatego nie zdaję sobie sprawy z tego, jak długo tułałem się pod ziemią w ciemnościach, zanurzając od czasu do czasu rękę w wodzie, ażeby się przekonać, dokąd płynie, by iść z prądem.

Otępiały ze zmęczenia nie odczułem ani zachwyty, ani radości, gdy powiało na mnie gdzieś z boku świeżym wiatrem. Strumień czystego powietrza uspokoił mnie. Oparłszy się plecami o ścianę starego chodnika, zasnąłem. Po obudzeniu się wiedziałem już, gdzie jestem, i bez obawy poczołgałem się na spotkanie wiatru.

Las Patricka, kołyszący sosnowymi wierzchołkami, życzliwie przyjął mnie w swoje zielone objęcia. Zachodzące słońce mieniło się pasowymi plamami na brzoźowych pniach stuletnich drzew. Powietrze pełne było żywicznego aromatu i delikatnego szczebiotu niewidocznych ptaków, cykania koników polnych, szmeru gałęzi. Posypało się na mnie igliwie z puszystego błękitnego świerka. Ktoś przemknął po szosie na motocyklu. Jak tutaj ładnie i jaki uzdrawiający balsamiczny zapach rozchodzi się po lesie! Pełną piersią wciągałem ożywcze powietrze leżąc na trawie, której gąszcz zakrywał wyjście ze starego, wszystkim ashwharfskim chłopcom znanego szybu Mokra Dudka. Podczas jesiennych burz żałośnie zawodził tutaj wiatr, a podziemny strumyczek, wybijając się na powierzchnię ziemi, wesoło toczył po kamieniach swoje wody na dół do Ashwharfu, pod most.

Oto gdzie się znalazłem! Było dla mnie niezrozumiałe, czy szyb Długa Trąba zawałił się przypadkowo, czy też rozmyślnie uczynił to Dobby. Jeżeli był to przypadek, to powinienem wracać do willi, ażeby zakończyć szczepienie antywirusa i uspokoić swego gospodarza. Prócz tego zostały tam przecież moje pieniądze. A jeśli wszystko to zaaranżowane było umyślnie, ażeby się mnie pozbyć? To drugie przypuszczenie bardziej przemawiało mi do przekonania. Dobby wypróbowywał na mnie swoje wirusy, ja zaś nie dawałem wiary jego bajkom o zakażeniu się od dzyrr, nie potrafił mnie wyleczyć, obawiał się awantury i dlatego...

Postanowiłem zaczekać. Niechaj Dobby na razie myśli, że na zawsze zostałem w Długiej Trąbie. A później zobaczy się...

Człowieczek w kaszkieciku leżał na brzuchu na polanie między krzakami i bardzo uważnie patrzył przez lornetkę dokądś w górę. Poznałem go. To on potrafił mnie w aptecę. To on obserwował willę Dobby'ego. Teraz przyłapałem go na tej samej czynności. Człowieczek tak był pochłonięty obserwacją willi, że nie słyszał, jak zatrzymałem się w odległości trzech kroków za jego plecami. Życie już nauczyło mnie nie wtrącać się do cudzych spraw, a przypadkowych znajomości miałem powyżej uszu. Ale pod moimi nogami trzasnęło suche igliwie i człowieczek obejrzał się.

— Czego pan tutaj szuka? — zapytał gniewnie. Jego okrągła twarz z drobnymi zmarszczkami wyrażała krańcowe niezadowolenie.

— Nie mam zamiaru panu przeszkadzać — odpowiedziałem dość ordynarnie. — Ale rozwalił się pan w poprzek drogi narażając się na przejechanie przez mój samochód...

— Droga jest niżej — burknął człowieczek. — Zmiataj pan stąd. Ma pan taki odstraszający wygląd... Prawdopodobnie złożył pan przed chwilą wizytę w piekle...

— Zgadł pan — wyrzekłem. — Można tam napotkać zdumiewające stalaktytowe groty, żegnam pana.

Ruszyłem, kierując się ku dolnej szosie. Ale człowieczek zatrzymał mnie.

— No? — odwróciłem się. — Czego pan chce?

Człowieczek stał teraz koło sosny, junacko uniósłszy daszek swojego kaszkieciku, i

uśmiechał się.

— Niech mnie pan źle nie sądzi — powiedział. — Jestem po prostu biedakiem i trudnię się chwytaniem ptaków. Lornetka pomaga mi wyszukiwać gniazda i wybierać miejsca na zastawianie sidła.

— Mało mnie to obchodzi — rzuciłem oschle w odpowiedzi i poszedłem.

6

Tom Bridge nic a nic się nie postarzał od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni. Bez pośpiechu wychylił przez okno swoją podobną do piłki, ostrzyżoną głowę, kiedy cichutko zastukałem w ramę i zawołałem go z podwórka, jak to mieli w zwyczaju czynić stali goście „Królewskiego Tygrysa”, jeżeli musieli załatwić jakąś delikatną sprawę.

— Dobry wieczór, Tom — powiedziałem starając się, ażeby w tonie mojego głosu nie było zbytnej tajemniczości.

Zielonkawe oczka na pulchnej twarzy Bridge'a nie wyrażały wzajemnej życzliwości.

— Dobry wieczór — mruknął ospale, czekając zapewne na to, co powiem dalej.

W sprawach rzeczowych właściciel knajpy lubił zwięzłość i dokładność. Dlatego nieco nonszalanckim tonem starego przyjaciela zaproponowałem:

— Słuchaj no, Tom, nie nabyłbyś ode mnie „Emmy” i manierki? Nie do zastąpienia w podróży i na piknikach.

— Diabli wiedzą, z powodu jakich głupstw odrywają człowieka od interesu! — niezadowolonym basem wychrypiał Bridge, jeszcze bardziej wychylając się z okna, ażeby dokładniej obejrzeć moją postać od stóp do głów. Wydarzenia lat ostatnich nauczyły mnie panowania nad sobą, dlatego też spokojnie wytrzymałem przenikliwy wzrok Bridge'a, a nawet zacząłem szukać w kieszeni paczki z pozostałymi mi papierosami.

— Zresztą pokaż towar, chłopcze! — wychrypiał Bridge jak by mięknąc nieco i położył na parapecie karty do gry, które trzymał w ręku.

Zorientowałem się od razu, iż niepokoję go w chwili podniecenia hazardem. Musiałem się usprawiedliwić, ale Bridge, nie zwracając na to uwagi, jak by od niechcienia wyciągnął purpurową żylastą łapę i wziął ode mnie „Emmy”.

— Kradzione? — zniżył swoje chrypienie do ostrożnego szeptu i znowu zatopił we mnie oczy.

— Niezupełnie — odpowiedziałem, niedbale zapalając papierosa. — Po prostu trzeba było porzucić pracę, która początkowo wydawała się korzystna. Nie, więcej już nie powrócę do tego przeklętego miejsca.

— Tyś z Wesly?

— A czy to dla ciebie ma jakieś znaczenie, Tom? — spytałem. — Potrzebuję na kilka dni przytulnego kącika, gdzie by mnie nie widział żaden Bobby.

W tym czasie Bridge pstrykał wyłącznikiem „Emmy”, obserwując błyski ostrego światła latarki i jak by rozkoszując się tą czynnością. Ale rozgryzłem jego podstęp. Słońce prawie już zaszło, a Bridge w zmroku chciał mi się lepiej przyjrzeć. Zbliżyłem się, ażeby latarka oświetliła moją twarz.

— No, twoja fizjonomia, chłopcze — wychrypiał Bridge — jest mi zupełnie nie znana. Czyś ty nie z tych, co to chętnie wypuszczają flaki z zapóźnionych podróży?

Znowu wytrzymałem ostry wzrok Bridge'a.

— Takie zajęcia nie przypadają mi do gustu, Tom — powiedziałem otwarcie. — Lecz nie każdy musi obowiązkowo jeść chleb z masłem. Sprzedaję przedmiot, ażeby móc kupić jedzenia. Za jakieś dwa dni mam szansę wypłynąć na powierzchnię.

Bridge postawił „Emmy” na parapecie.

— Z tobą, chłopcze, można się biedy napytać — wymruczał rzeczowo, oglądając pożądliwie manierkę z nakręcanym srebrnym kubkiem.

— Ale ty, Tom, masz najlepsze serce w całym hrabstwie — powiedziałem. — Wiadome jest wszystkim w Wesley i Ashwharfie, że nie ma lepszego gracza w pokera niż nasz Tom Bridge, a twoja życzliwość dla bliźnich...

Tak wykladałem przed Bridge'em atutowe karty subtelnego pochlebstwa, na które sam niedawno dałem się złapać Dobby'emu. Mózg Bridge'a nie był z sosnowego drzewa i grubas zmiękł niczym pudding świąteczny polany sosem.

— No, trzeba będzie chyba pomóc — chrypliwym szeptem wymamrotał Bridge. — Zajdź, chłopcze, do przybudówki. Ale chciałbym poznać twoje imię...

— Jack.

Twarz Bridge'a wykrzywił grymas.

— Brudnyś ty, Jack, jak kuchenny zmywak.

— Prosto z roboty — uważałem za konieczne odezwać się. — Nie domyślono się jeszcze, ażeby zainstalować dla nas w szybach marmurowe wanny z gorącymi natryskami...

Bridge chytrze się uśmiechnął.

— Pierwszy raz widzę górnika, który by się męczył w sztolni, włożywszy trzewiki futbolowe pierwszego gatunku, jedwabny krawat i zaopatrzywszy się w taką elegancką manierkę.

Pozostało mi tylko westchnąć, Bridge'owi zaś znudziło się grzebać w szczegółach mojej biografii i dlatego kiwnął głową.

— Zrobione. Zaczekaj, zaraz wyjdę...

— O, zawsze byłem jak najlepszego zdania o starym przyjacielu Tomie! — zaatutowałem po raz ostatni, przezornie zabierając z parapetu przedmioty targu — latarkę i manierkę.

Bridge nie zapomniał o swoich kartach i zatrzasnął okno. Na podwórzu, w niskiej murowanej przybudówce, w której zakamarkach można było zabłądzić jak w Długiej Trąbie, Bridge pokazał mi bokówkę.

— Bitch-Boy zawsze zatrzymywał się tutaj — powiedział z dumą. — Szkoda, że chłopak trafił na szubienicę. Ale to było zwyczajne nieporozumienie.

Nie interesował mnie Bitch-Boy. Chciałem jak najprędzej zakończyć transakcję i... wreszcie dogadaliśmy się.

— Ręka, Tom! Bierz przedmioty za ćwierć wartości.

To całkowicie rozbroiło Bridge'a.

— Nic na tym nie tracisz, Jack, wspomnisz kiedyś moje słowa. Pokój ten zawsze się podobał sławnym lokatorom. A tyś, jak widzę, kuty na cztery nogi. Odpocznij. Przyślę ci jakieś ubranie na zmianę i coś do mycia, a potem przyjdź na salę. Dzisiaj mam dla lokatorów świetną kolację. Zupa na główce cielęcej. Na drugie — baranina z ziemniakami. Napoje, prócz kufelka „Ale”, płatne osobno — uprzedził zostawiając mnie na nowym mieszkaniu.

Wychodząc pstryknął wyłącznikiem „Emmy”. Na chwilę zabłysła, jak by żegnając się ze mną. Zacząłem żałować, że ją oddałem. Można było sprzedać początkowo tylko manierkę. Przecież górnicza latarka była moim jedynym wiernym i pewnym współtowarzyszem podziemnej wyprawy. Gdybym nie miał „Emmy”, nie wy dostałbym się z okropnego szybu.

Leżałem z kwadrans, odpoczywając na podziurawionej kanapie. Zapukano do drzwi. Bosonoga dziewczynka-kopciuszek zjawiła się na progu.

— Gospodarz przysłał panu ubranie i kazał powiedzieć, że to bardzo odpowiednia toaleta do proszonej kolacji — zapiszczała drwiąco.

Oczka dziewczynki błyszczały niczym paciorki zabawkowej myszki. Rozwijają przyniesiony węzełek i szybko obracała językiem :

— Nazywają mnie Cat. Zmieniam wodę w dzbankach. Umiem zamiatać podłogę i

wycierać kurz ściereczką. Jeżeli potrzebny będzie panu posłaniec, to niech pan tylko krzyknie na podwórze: „Cat, do mnie!”, a zjawię się u pana w ciągu dwóch sekund. W kuchni płuczę korzenie, czyszczę je i kroję, przygotowując do...

— Ile masz lat? — spytałem ciesząc się z żywego ludzkiego słowa i naiwnej szczerości dziecka, powierzającego mi swoje małe sprawy.

— Dziewięć.

Na podwórku rozległ się skrzekliwy głos kobiety:

— Cat, do mnie.

Oczka dziewczynki zaśmiały się figlarnie.

— To mistress Bridge. Nie zaszkodzi jej, jeżeli nawet pokrzyczy.

— To nieładnie, Cat, kazać czekać na siebie — zauważyłem surowo i Cat gwałtownie wyskoczyła z pokoju.

Umywszy się- spojrziałem w lustro nad umywalnią, ale znowu siebie nie poznałem.

Bridge przysłał mi podniszczoną kurtkę, spodnie na szelkach i kepi z nadłamanym daszkiem. Przebierając się po umyciu, myślałem: „Jutro wszystko wyjaśnię w Ashwharfie, a potem — rozrachunek z Dobby'm”.

7

W sali „Królewskiego Tygrysa” unosiły się wilgotne opary wyziewów i obłoki dymu tytoniowego. Chwiały się one, skoro tylko otworzono drzwi do kuchni. Zapachy pieczonej baraniny, kiszonej kapusty i sfermentowanego piwa wpadały stamtąd strumieniami. Czerwony odblask ognia pod blachą kuchenną padał na nogi ludzi tłoczących się koło bufetu. Za nim majestatyczny Bridge nalewał wódkę w szklaneczki. Z olbrzymiej fajki, wygiętej ku dołowi, buchały kłęby dymu. Przy każdym pociągnięciu chwilowy błysk ognia oświetlał koniuszek nosa Bridge'a. Zręcznymi ruchami języka i warg Bridge przerzucał fajkę z jednego kącika ust do drugiego, obliczając w tym samym czasie pieniądze, rozmawiając z dziesięcioma ludźmi naraz i pokrzykując w stronę kuchni.

— Drugą szklaneczkę? Proszę... Należy się panu reszta... Cat, do mnie! Peggy! Niech pani nie łapie ustami much. One wcale nie są takie smakowite, jak to pani sobie wyobraża... Peggy! Dwa kufelki „Ale” dla dżentelmenów w lewy róg...

Przy masywnych stołach, przepojonych tłuszczem potraw i wilgocią napitków, siedzieli ashwharfscy rybacy, dokerzy, górnicy i ci spokojni ludzie, którzy lubią posiedzieć z fajką i posłuchać, co dzieje się na szerokim świecie.

Ujrawszy mnie Bridge kiwnięciem głowy wskazał mi nie zajęty stolik, obok którego stało drewniane krzesło z wysokim oparciem. Było to dogodne miejsce. Zasłonięty oparciem krzesła mogłem słyszeć wszystko, o czym mówiono w knajpie, a w nachylonym podłużnym lustrze, wiszącym nad kredensem, mogłem widzieć, co się działo na sali. Czy nie tutaj siadywał Bitch-Boy, zuchwały chłopak?

Ruda Peggy przyniosła mi kolację. Delektowałem się ogryzaniem tłustej kostki baraniej. W pobliżu okna grano w karty. Dochodziły stamtąd podniecone okrzyki. Napiwszy się przy bufecie ludzie uważali za swój obowiązek podejść do graczy i dać upust soczystemu słowu.

— Michael znowu bez lewy... Nie trzeba oszczędzać asów!

— Cha! cha! cha! Walić je atutami!

Dwoje przenikliwych i dziwnie znajomych oczu patrzyło na mnie z lustra. Malutki ptasznik stał u drzwi wejściowych razem z jednorękiem starcem. Potem przeszli przez całą salę kierując się do bufetu. Bridge uśmiechnął się szeroko.

— Dobry wieczór!...

Ptasznik znajdował się widocznie w doskonałym nastroju. Sukienny kaszkiecik z wydłużonym daszkiem miał ściągnięty na tył głowy, a kołnierzyk koszuli rozpięty. Głośno powiedział:

— Ach! dobry? W takim razie proszę nalać... Dwie. Gorzkie pomarańczówki. Niech pan pije, mister Brand.

Wujek drżącą ręką ujął szklaneczkę.

— Nie odmawiam.

— Na zdrowie — rzekł ptasznik. — Niech pan pije i dokończy swego opowiadania.

Wujek i ptasznik stali w odległości trzech kroków ode mnie, popijali i nie zwracali na nikogo uwagi.

— Tak, chłopakowi nie poszczęściło się — perorował wujek. — Lubił się łobuzować, miej, Panie, w opiece duszę jego. Jeżeli powiem, że włóczęgą był z przyrodzenia, to nie popełnię grzechu przeciwko prawdzie. Cały Ashwharf radził ojcu targać go za uszy, bo i zasługiwał na to. Z paczką urwisów włoczył się po okolicy, niszczył gniazda ptaków, łaził po opuszczonych szybach kopalnianych. Tom może opowiedzieć, jak to raz wyciągnął z wąwozu naszego urwipółcia! Ach! jesteś zajęty, Bridge? Dziękuję, wypiję. Nie powinienem... Każda szklaneczka — jeszcze jeden gwoździć do mojej trumny. A więc chłopak powracał do domu ze swoich eskapad taki brudny, iż Olivia płakała szorując go w balii. Że też nie zwał się do jakiejś bezdennej Trąby, to doprawdy zadziwiające... Ale siostra moja, a jego matka, i Isidore kochali pędraka...

Drgnąłem i o mało nie udławiłem się kością. Rozmawiano o mnie. Karciarze w tej chwili wszczęli spór zagłuszywszy słowa wujka. Interwencja Bridge'a zażegnała awanturę. I znowu usłyszałem opowiadanie staruszka:

— Ale gdyby pan zobaczył chłopaka, gdy zjawił się tutaj z dyplomem! Prawdziwy panicz. Wydało mi się jednak, że arystokratyczny college wypaczył mu charakter... Zabrał ojcu ostatnie pieniądze i wyjechał, żeby się urządzić. Z początku pisał, że powodzi mu się dobrze, a potem umilkł. Ojciec czekał na wiadomość, ale się nie doczekał. — Wujek gniewnie potrząsnął głową, mnie zaś ogarnął bezbrzeżny smutek. Dowiedziałem się więc, że ojca już nie ma. Dłuższą chwilę nie zdawałem sobie sprawy, gdzie jestem, pogrążony w rozpacz. Ocknąwszy się, znowu posłyszałem głos wujka: — Mnie też ten urwis potrafił przysporzyć tyle kłopotów, że można było oszaleć. Proszę sobie przedstawić, wzywa mnie do siebie rejent Seyton i mówi: „Mam wiarogodne wiadomości, że pański chłopiec siedzi w więzieniu po tamtej stronie oceanu”. Odpowiedziałem: „Mister Seyton, to ogromnie zmartwiłoby jego rodziców, gdyby żyli. Czy nie dałoby się w jakiś sposób pomóc chłopcu?” Proszę sobie wyobrazić, jaki byłem wzburzony! Ale Seyton wyczytał mi coś z kodeksu i bardzo się rozgniewał! A potem znowu mnie wzywa. „Mister Brand — mówi gniewnie — pańskiemu siostrzeńcowi nic już teraz nie pomoże”. I wtedy to dowiedziałem się, że chłopiec utonął na poławiaczu krabów w Kalifornii. Trzeba było ponownie nakładać krepę na rękaw.

— Bardzo smutna historia — odezwał się ptasznik. — Resztę opowie mi pan jutro, nieprawdaż?

Wujek żałośnie zwiesił głowę. Potem powlókł się ku wyjściu, a ptasznik obejrzawszy się dookoła podszedł do mego stolika.

— Przepraszam. Wszystkie miejsca zajęte. Pan pozwoli...

Otworzyłem usta zamierzając odmówić, lecz ptasznik siedział już naprzeciwko mnie i przytykał palcami.

— Ślicznotko Peggy! Proszę tutaj!

Bridge wychrypiął ze swego miejsca za bufetem:

— Nie spać, Peggy! Do dżentelmenów na prawo!

Ptasznik zdjął kaszkiecik i pomachał nim niczym wachlarzem.

— Bardzo gorąco, sir...

Nie odzywałem się. Zbyt wiele razy w życiu wdawałem się w rozmowy z nieznanymi ludźmi i nic dobrego dla mnie z tego nie wychodziło. Czego chce ode mnie ten karzeł? Dopiszący piwo z kufła, wyciągnąłem ostatniego papierosa.

— Pozwoli pan służyć sobie ogniem? — powiedział ptasznik i szybko podsunął mi pod nos zapalniczkę.

Trick, polegający na oglądaniu podejrzonej twarzy przy świetle zapalniczki, był mi znany i dlatego ze złością zdmuchnąłem ogień zapalniczki, wyciągnąłem własne zapalniczki i zapaliłem papierosa puszczając dym w twarz ptasznika.

— Nie obrażam się na pana — skromnie przemówił kichając od dymu. — Wiele ludzi woli samodzielność nawet w zapalaniu papierosa. Pan wybaczy, ale przecież myśmy się już spotykali. Dlaczego pan milczy? Miałem przyjemność widzieć pana w lesie. A może nawet nieco wcześniej? Ach, tak!... Powinienem prosić o przebaczenie... Potrąciłem pana w apteczkę... Mój Boże, jakież z pana skryty człowiek!

Peggy przyniosła „Ale”. Ptasznik uniósł kufel.

— Mimo wszystko pozwoli pan, że wypiję jego zdrowie.

Nie odpowiadałem na jego bajdurzenie. Myślałem o słowach wujka. Przekonałem się ostatecznie, że ojciec mój nie doczekał się mnie. Znowu puszczałem kłęby dymu prosto w nos nieproszonemu sąsiadowi, ale natręt nawet się nie skrzywił.

— Dziwni są teraz ludzie w Ashwharfie i okolicy — mamrotał pociągając z kufła. — Gdzie się podziała dawna uprzejmość? Do rzadkości należy, ażeby ktoś do kogoś zwracał się przez „sir”. Proponujesz sympatycznemu człowiekowi trącić się kufelkiem, a on w odpowiedzi puszcza ci dym w nos. Tłumaczę to oddziaływaniem tajemniczych miazmatów, które unoszą się w powietrzu i zatruwają nasze organizmy. Co? Nie wie pan? Dość udawania... Czyżby pan nie słyszał, co przydarzyło się wielbnemu Jeremiaszowi? Nie zna pan historii pacjentów doktora Fleeta? Nie, to po prostu zdumiewające. Czyżby pan spadł z księżycy?

Bardzo wolno zgasilem niedopałek i uderzywszy z lekka pięścią w stół, nachyliłem się do ptasznika.

— Zgadł pan. Ja spadłem z księżycy, ale ten kufel może spaść na pańską głowę. Zapamiętaj pan sobie raz na zawsze, iż jestem głuchy i niemy od urodzenia. Dlatego pańska elokwencja podobna jest do kropli deszczu spadającej na ognisko. Ona niknie. Nie wątpię, że pan także zniknie mi z oczu.

Przechodząc przez kuchnię do swojej bokówki poprosiłem Cat, grzmiącą łyżkami w szafliku:

— Obudź mnie, myszko, jak najwcześniej.

— Niech pan będzie spokojny, sir. Dobranoc.

Przy wejściu do przybudówki nadstawiłem ucha — czujnie i z natężeniem, wstrzymując oddech, jak robią to ludzie ścigani. Tak, znowu stare nawyki włóczęgowskie ocknęły się we mnie, obudzone przez ptasznika. Ale na podwórzu Bridge'a panował spokój.

8

King Street, główna ulica Ashwharfu, nic a nic się nie zmieniła od czasów mego dzieciństwa. Wciąż ten sam pstry, nieciekawny widok pralni, piekarni i starych sklepów z zakurzonymi witrynami, ziewającymi subiektami i brzuchatymi właścicielami w aksamitnych kamizelkach.

Stąpiłem po chodniku znajomej ulicy, a ciepłe słońce uśmiechało się do mnie. Zrobiło mi się niewypowiedzianie smutno, gdy doszedłem do skweru.

A oto i ławeczka, na której przed trzema laty siedziałem z Edith. Na klombie w zielonej bordiurze ogrodnik rozsadzał niezmiennie floksy. Na ukos od ławeczki znajdował się kiosk z napojami gazowymi. Sprzedawczyni wydała mi się znajoma. Podszedłem bliżej. Koło kiosku stał czerwonolicy chłopak w ubraniu jak z igły i zalecał się do dziewczyny, która odmierzała soki. Loczki na skroniach dziewczyny spowodowały, iż serce moje żywiej zabiło. Biały twarzowy kołnierzyk poruszał się z lekka na szczupłych ramionach przy każdym ruchu jej małych rąk.

— Ach, miss Winter, przejażdżka moim jachtem będzie czarująca! Moglibyśmy dopłynąć do Przylądka Jen i pospacerować koło latarni morskiej — mamrotał chłopak patrząc z boku na dziewczynę.

Oczywiście, to była Edith. Poznałem ją wcześniej, nim dojrzałem jej prześliczne oczy, które pamiętałem zawsze, nawet w przedśmionku śmierci, gdy podczas katastrofy „Booksousa” wir wodny wciągał mnie w otchłań oceanu.

Nie słyszałem, co odpowiedziała Edith. Ale wystarczyła mi jedna chwila, ażeby znaleźć się obok tego chłopca i powiedzieć doń bardzo przyjaźnie:

— Słuchaj no, Bob! Jacht twój przed chwilą zerwał się z kotwicy i dzieciarnia szuka cię po całym Ashwharfie. śpiesz się, żeby twój stateczek nie rozbił się o kamienie...

Przeżarty Bob Beardwarf spojrział na mnie z ukosa i popędził w dół ulicy do portu.

— Tysiącrotnie przepraszam, miss Winter — bąknąłem gwałtownie odwróciwszy się odszedłem od kiosku.

Oddalałem się czując na swoich plecach zaniepokojone baczne spojrzenie Edith. Miałem wielką ochotę obejrzeć się, ale nie zrobiłem tego. Edith mnie nie poznała i zresztą nie mogła poznać, gdyż twarz moja nie była już twarzą Samuela Pingle'a. A Edith zaniepokoiła się, rzecz jasna, z powodu Boba Beardwarfa...

W dzieciństwie, gdy czułem się czymś skrzywdzony lub zmartwiony, zawsze szukałem pocieszenia u matki. Przybiegałem do niej, opowiadałem o swoich żalach i strapieniach, ma zaś znajdowała dla mnie ciepłe słowa, pełne macierzyńskiej pieczy i pociechy. I teraz odczułem palącą potrzebę odwiedzenia grobu rodziców, ażeby choć trochę uspokoić wzburzone nerwy.

Cmentarz ashwharfski zajmował część parku, wychodzącą na urwisty brzeg. W dole, tuż koło skał, pluskały oceaniczne fale. Przeszedłem obok stróżówki, obok spowitego bluszczem cichego starego kościoła z szarego granitu, obok szeregu surowych smutnych nagrobków tonących w kwiatach i zieleni. Za zakrętem ścieżki, w odległości dziesięciu jardów od krawędzi urwiska, w cieniu dwóch zadumanych sosen znaleźli wieczysty spokój moi rodzice.

Zbliżywszy się do świętego dla mnie miejsca, ze złości zdjąłem kepi i uklęknałem. Łzy przesłoniły mi oczy i mogłem tylko wyszeptać:

— Kochani moi rodzice! Wy, którzy daliście mi życie... Gdybyście mogli zobaczyć teraz swojego syna! Oto ja...

Ogarnęło mnie uczucie bólu i rozplakałem się na dobre, nie wstydząc się gorących łez miłości i nieutulonego żalu.

Przez łzy czytałem napisy na nagrobkach ozdobionych skromnymi wiankami nieśmiertelników:

„Anna Mary Pingle

192...

*Nieodżałowaną żonę i matkę
opłakują pogrążeni w rozpacz syn i mąż”*

„Isidore Theophil Pingle

193...

*W dzień sądu odpłać nie według uczynków moich,
ale według miłosierdzia Swego”.*

Pochyliwszy głowę szeptałem historię swojej niedoli, jak gdyby matka mogła mnie słyszeć.

Nagle gdzieś niedaleko za krzakami róż rozległo się ciche pogwizdywanie — doskonałe naśladowanie ptasiego śpiewu. Gwizdanie na cmentarzu wydało mi się niestosowne. Odwróciłem się.

Małeńki człowieczek szedł ścieżką w pełnej okazałości łowieckiego stroju. Lornetka wisiała na pasku z prawego boku, a na krzyż przez ramię zwisała manierka, którą wczoraj sprzedałem Bridge'owi.

To ptasznik pogwizdywał zadarłszy głowę ku wierzchołkom drzew.

„No, nie wyjdzie to na zdrowie natrętowi, jeżeli znowu zacznie się do mnie przyczepiać!” Powstałem z klęczek i zacisnąłem pięści. Lecz zapasy bezczelności u tego człowieka były naprawdę niewyczerpane. Zatrzymawszy się o dwa kroki ode mnie, nieoczekiwanie otworzył ramiona, jak by spotkał dawno zagubionego, ale przed chwilą odnalezionego przyjaciela.

— To pan? — wykrzyknął. — Oczywiście, że tak! Jak gdybym wiedział, iż znajdę pana właśnie tutaj. Teraz nie mam wątpliwości...

Na tle wiosennego nieba, zwisającego nad oceanem niczym olbrzymia błękitna czasza, śmieszna postać ptasznika wydawała się nad urwiskiem figurką wyciętą z papieru. O, zuchwalec, zniknie raz na zawsze z powierzchni ziemi, jeśli zmusi się go do skoku w dół na skały!

Wycodziłem przez zęby:

— Nie wątpię, że z pana wielki szubrawiec! Depcze mi pan Po piętach. Ale ja miewam napady szaleństwa...

I zamachnąłem się, ażeby uderzyć.

— Chwileczkę! — wykrzyknął ptasznik. — Niech pan zaczeka, panie... Sam Pingle!

— Nigdy nie byłem Samem Pingle! — z wściekłością zgrzytnąłem zębami. — Pan się myli...

Ptasznik błagalnie złożył ręce na piersi.

— Zapewniam, Pingle, to pan się myli. Mój Boże, trudno mnie poznać... Przypomnij pan sobie doktora z Mazatlanu!

Zmieszany cofnąłem się nieco.

— Co? Pan jest Rollsem?

Lecz ptasznik smętnie pokręcił głową.

— Nie... Jestem Vandock...

Zeszyt jedenasty

1

Powinienem się usprawiedliwić przed czytelnikami moich zapisków za niewielką dygresję, ale koniecznie muszę opowiedzieć o zadziwiających wydarzeniach, które rozegrały się w tym czasie w Ashwharfie. Są mi one dobrze znane ze słów bohaterów tych wydarzeń i potwierdzone zeznaniami licznych świadków, dlatego też nie ma najmniejszej podstawy,

ażebym wątpić w ich wiarygodność.

Szpitalne historie chorób są, zdaje się, najnudniejszym rodzajem literatury. Jednakże oficjalne zeszyty, zapisane różnorodnymi charakterami pisma ordynujących lekarzy i upstrzone wklejonymi kartami chorób z krzywą temperatury, rentgenowskimi zdjęciami i wynikami analiz, są, jak twierdził doktor Fleet, najcenniejszymi ludzkimi dokumentami, gdyż dramaty i komedie życiowe znajdują w nich najbardziej obiektywne odzwierciedlenie. Co prawda naczelnik policji w Ashwharfie Fredson był tego samego zdania, gdy chodziło o kryminalistyczne protokoły, a rejent Seyton — gdy mowa była o testamentach. Wydaje się jednak, że doktor był ze wszystkich najbliższy prawdy. Często spotyka się, twierdził on, medyczne przypadki, których niepospolitość nie wyklucza bynajmniej ich całkowitej wiarygodności.

Pewnego pięknego majowego poranka doktor Fleet siedział w aptece Orphy'ego, do której wstąpił po należne mu pieniądze za pigułki na zadyszkę. Zaledwie Edd zdążył odkorkować butelkę z wodą sodową dla oblania tej drobnej operacji handlowej, gdy służąca ashwharfskiego sędziego niczym huragan wpadła do apteki i oświadczyła, że czcigodny sługa wymiaru sprawiedliwości potrzebuje bezzwłocznej pomocy lekarskiej.

Służąca nagliła doktora do pośpiechu i nie potrafiła sensownie opowiedzieć żadnych szczegółów o chorobie swego gospodarza.

Dokładnie w dwie minuty później doktor Fleet spokojnym krokiem posuwał się w kierunku domu sędziego. Niósł z sobą walizeczkę z narzędziami i rozmyślał, jaką też niespodziankę gotowała mu podstępna przyroda i jaką diagnostyczną zagadkę zmuszony będzie za chwilę rozwiązać. Głupkowata służąca szła obok, wypluwając z siebie po trzysta słów na sekundę, i doktor mógł tylko zrozumieć, że sędzia poszedł z rana do magistratu, lecz bardzo szybko stamtąd wrócił. Po przyjściu do domu powiedział: „O, dobra Sally, proszę na mnie nie patrzeć” — i pobiegł na górę do sypialni zasłoniwszy twarz chusteczką do nosa. Sally, według jej słów, nigdy nie była ciekawa. Lecz tym razem podeszła do drzwi sypialni, słusznie oczekując, że będą potrzebne jej usługi. I nie omyliła się. Za drzwiami rozległ się brzęk tłukącego się szkła i krzyk sędziego:

— Sally, gdzie pani jest, do wszystkich diabłów? Proszę pędzić do Fleeta i sprowadzić go niezwłocznie, żywego lub martwego! Niech pani powie, że zachorowałem.

Pośpiech nie był wadą doktora Fleeta. Przeciwnie, im głośniej proszono go o pośpieszanie do pacjenta, tym więcej flegmatycznego spokoju nabierały jego ruchy.

I teraz, zbliżywszy się do domu sędziego, doktor zwolnił kroku na stopniach podjazdu i przeczytał znany mu bilet wizytowy:

Withley, Prezes Sądu w Ashwharfie.

Sally otworzyła na oścież drzwi i doktor przekroczył próg z takim wyrazem chmurnej powagi, jaki przysługuje osobom urzędowym podczas wykonywania przez nich obowiązków służbowych, nie zawsze sprawiających zadowolenie obecnym. Doktor w milczeniu zdjął swój czarny cylinder, chusteczką do nosa otarł spoconą łysinę i pytająco popatrzył na Sally. Ta ruszyła naprzód, wskazując drogę i ostrożnie stąpając na palcach, a nie, jak zwykle, stukając obcasami.

Minąwszy salon i jadalnię doktor wszedł na piętro. Między wysokimi szafami, wypełnionymi prawniczymi rozprawami i kodeksami, widniały dębowe drzwi. Sally zapukała w nie. Następnie zapukał doktor. I wówczas rozległ się głos sędziego Withleya:

— Nie ma co pukać, Fleet, gdy pan wie o tym, iż czekam go z niecierpliwością. Niech pan wchodzi i będzie łaskaw przepędzić Sally na dół, ażeby nie podsłuchiwała. Ona często ulega temu paskudnemu nałogowi.

Wszedłszy doktor dokładnie zamknął drzwi za sobą. Sypialnia była jaskrawo oświetlona lampami i świecami w kandelabrach, pomimo że promienie słoneczne wesoło wpadały

przez okna. Sędzia Withley siedział na krześle tyłem do drzwi, koło których stał doktor, i nie odwrócił się. Był bardzo zajęty oglądaniem jakiegoś przedmiotu, który trzymał w rękach.

— Dzień dobry, mister Withley! — głośno powiedział doktor ze zwykłym odcieniem dobroduszości, która powinna wywoływać uczucie nadziei u pacjenta.

— Dzień dobry, Fleet — wymamrotał sędzia nie odwracając się. — I bądź pan łaskaw nie zbliżać się do mnie. Najpierw niech pan postawi gdziekolwiek swoją walizkę i usiądzie. Proszę się przygotować do oglądania nieprzyjemnego widoku. Obawiam się, że pan zemdleje i potłucze flakony ze swoimi lekami.

— Ale co się stało? — wykrzyknął doktor stawiając zresztą walizeczkę na pierwszy z brzegu fotel, ponieważ przywykł do spełniania żądań sług prawa, a prócz tego szkoda mu było dwuuncjowej strzykawki otrzymanej w spadku po ojcu, który dawniej również praktykował w Ashwharfie.

— Proszę stać na miejscu, Fleet! — niecierpliwie wykrzyknął sędzia. — Niech pan nie patrzy na mnie i słucha. Niech pan zapomni o tym, co napaplała panu Sally. Niech pan nie protestuje, gdyż wiem, jaki ozorek ma ta dziewczeczka...

Fleetowi doskonale był znany sposób prowadzenia rozmowy przez sędziego i dlatego w milczeniu przyglądał się tłustemu siwemu karkowi Withleya. Sędzia mówił dalej zirytowanym głosem:

— Sądziłem dzisiaj pewnego próżniaka, który nie chciał wyrazić skruchy. Zacząłem już pisać wyrok. Raptem słyszę głos sekretarza: „Mister Withley, co się z panem dzieje?” Uniosłem głowę i ujrzałem porozdziawiane usta obecnych na sali. Patrzyli na mnie tak, jak bym pochodził nie z tego świata. Zarządziłem przerwę, a w gabinecie sekretarz podał mi lustro...

— No i co? — spokojnie odezwał się doktor wyczuwając instynktem doświadczonego lekarza, że właśnie teraz nie należy tracić przytomności umysłu.

Badacz, pracujący nad zagadnieniami nietypowej epidemiologii, może sam zapoznać się z notatkami doktora Fleeta-juniora. Wystarczy tylko zażądać w miejskim archiwum teczkę Nr CXXI 14. Tam na sto dwudziestym dziewiątym arkuszu napisane jest na brudno ręką doktora Fleeta zawiadomienie do Towarzystwa Medycznego:

„Wypadek z sędzią Withleyem sprawiał trudności co do rozpoznania. Pod wpływem chorobowego procesu, którego istota była mi nie znana, powstały deformacje kości twarzy, skóry i tkanki podskórnej...”

Ujrawszy twarz sędziego, który się odwrócił, doktor w zdumieniu wykrzyknął:

— Ależ to przecież nie pan, mister Withley!

Istotnie, tylko po głosie i po sędziowskim surducie można było rozpoznać w dżentelnie, siedzącym z lusterkiem w ręku przed doktorem Fleetem, sędziego Withleya.

— Sam siebie nie poznaję — mruknął sędzia. — Gdy po przyjsciu do domu rzuciłem okiem na swój nos, przestraszyłem się i stłukłem toaletowe lustro. Wydało mi się, iż jestem mrówkojadem. Aha! Sally zapiszczała pod drzwiami. A więc podsłuchiwała, niegodziwa...

Doktor Fleet opanował się. Odrzuciwszy nogą kawałki lustra ujął sędziego za rękę.

— Spokojnie... Sprawdźmy puls. Proszę pokazać język.

Rozpoczęła się uroczystość badania pacjenta, która po upływie pół godziny zakończyła się. Doktor Fleet pisał recepty.

— Dieta... Kompresy na nos...

— Nie traćmy nadziei — mruczał sędzia. — Trzy doby aresztu domowego? Nie sprzeciwiam się. W takim stanie nie mogę się pokazać w magistracie. Będę musiał i ja raz w życiu znaleźć się pod kluczem.

W tym momencie zadzwonił telefon. Stary lekarz ujął słuchawkę. Rejent Seyton informował się, czy nie ma u sędziego doktora Fleeta.

— Tak, właśnie tu jestem — odpowiedział doktor. — Ach! chce pan, ażeby go odwiedził? Z przyjemnością, żadnych trudności. Wprost przeciwnie, to mój obowiązek. Zdrowie

mister Withleya? W porządku... Ach! pan już słyszał? O, drobnostka... Niewielka fluksja. Co? U pana też zaczyna się fluksja? Wspaniale. To znaczy chciałem powiedzieć, że fluksja to nic poważnego...

Do domu reagenta Seytona doktor Fleet podążał mniej spokojnym krokiem. Niepokojące myśli zaczęły wzbudzać trwogę w jego umyśle, przywykłym do niezamąconego nurtu ashwharfskiego życia. Kamienie podwodne zaczęły się wynurzać w najbezpieczniejszych, zdawałoby się, miejscach.

2

Sądząc z zapisków doktora Fleeta wypadek z mister Seytonem, rejentem z Ashwharfu, przedstawiał się w nieco innym świetle. Edd Orphy, u którego ujawnił się nieprzeciętny talent aktorski, bardzo żywo odtwarzał później przede mną postacie Fleeta i jego pacjentów, ponieważ wszystkie wieści o chorobach i rekonwalescencji zainteresowane osoby przynosiły zawsze do apteki.

Tego ranka, kiedy to sędzia Withley pisał wyrok na pewnego złodziejaszka, rejent siedział w gabinecie swego biura pogrążony w czytaniu projektu testamentu, którym poważna wdowa mistress Alice Bolivar, bardzo stara parafianka pastora Jeremiasza, oddawała gminie wyznaniowej na cele filantropijne wszystkie swoje pieniądze i majątek, oszacowany na tysiąc sto trzydzieści gwinei.

Do gabinetu wszedł z pilną wiadomością nowy pomocnik reagenta. Był on siostrzeńcem jednej z bogatych mocodawczyń pana Seytona i dlatego dopuszczony został do świątyni reagenta, tym bardziej że ciocia, pod groźbą pozbawienia dziedzictwa, postawiła warunek, ażeby siostrzeniec porzucił jachting. Był to Bob Beardwarf. Chciałbym tu dodać, że Bob miał oczy bez wyrazu i zadziwiająco brzydkie uszy.

A więc Bob wszedł pragnąc zawiadomić, że dzwoniło z biura zamku Oldmount. Seyton przerwał czytanie, marsowo ściągnąwszy brwi. Lecz Bob nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Był ogromnie zdumiony. Bobowi wydało się, że rejent umalował sobie twarz albo nałożył okropną indiańską maskę.

— Bob, czego pan tak wytrzeszczył oczy? — gniewnie spytał rejent.

Bob ledwie mógł poruszać językiem.

— Mój Boże — wymamrotał — co się z panem stało, mister Seyton?

Bob trząśnięty z przerażenia. Maskę na twarzy reagenta nabrała jeszcze bardziej odstraszącego wyglądu.

— Niechże pan mówi! — fuknął rejent unosząc się w staroświeckim fotelu.

— Pana twarz!... — dziko wykrzyknął Bob i wybiegł z gabinetu.

Rejent był zdumiony zachowaniem się Boba. Było ono bez wątpienia nienormalne. Co mamrotał ten wariat na temat twarzy? I rejent energicznie zadzwonił trzy razy.

Na wezwanie zjawił się stary służący Tim, którego obowiązkiem było przynosić rejentowi co godzina filiżankę gorącej mocnej herbaty. Tim wniósł tacę z herbatą, ale widok, który zastał, był niezwykle.

Seyton stał naprzeciwko okna energicznie poruszając ramionami i coś usilnie oglądał przez szybę. Później okazało się, że rejent z powodu braku lustra w gabinecie starał się przyrzeć swej podobiznie w szybie okiennej. Nie zdziwił się ujrawszy, że jeden z jego policzków szpetnie się rozdał. Sprawy cywilne, które prowadził, pozbawiły go jednej z czarujących cech żywego człowieka — możliwości dziwienia się.

— Lustro! — krótko rozkazał Seyton Timowi.

Długotrwałe przyglądanie się napuchniętemu policzkowi nie nasunęło Seytonowi za-

nych wniosków, prócz jednego: trzeba posłać po doktora Fleeta. Dla rejenta było to możliwe do przyjęcia pod warunkiem, że Fleet nie podwyższył taksy i że można ograniczyć się do jednej wizyty lekarza. Rejent nie lubił płacić za to, że mu się jedynie powie: „Fluksja jest fluksją”. Ale ta przekłeta opuchlina miała zamiar rozprzestrzenić się na ucho.

— Nikogo do mnie nie wpuszczać, Tim — zarządził Seyton. — Nikogo, prócz doktora Fleeta. Może pan odejść. Zresztą niech pan zaczeka. Mister Beardwarf, zdaje się, też jest niezdrów?

Wyszkolony służący doskonale rozróżniał najsubtelniejsze odcienie głosu swego zwierzchnika i ukłonił się.

— Obawiam się twierdzić, sir, lecz...

To „lecz” dotyczyło — nieprzyjemnego dla Tima — zwyczaju Boba, który zapomniał, iż co sobota należy dawać na wódkę staremu donosicielowi. Gdy Tim wyszedł z gabinetu, Bob z ożywieniem dyktował coś stenografistce. Korzystając z praw starego wygi biurowego Tim wyszeptał na ucho Bobowi:

— Jeżeli podoba się panu praca u mister Seytona, to nie należy krzyczeć, gdy dostrzeże pan, iż coś jest nie w porządku na twarzy patrona...

Seyton dzwonił na wszystkie strony, szukając Fleeta. Doktor zjawił się, obejrzał chorego i zapisał recepty.

Słońce zamierzało chylić się ku zachodowi, kiedy doktor Fleet wyszedł z biura rejenta. Nie zdążył jeszcze przejść po King Street nawet stu kroków, gdy dopędził go wąsaty policjant z naszywkami kaprała.

— Doktor Fleet? — spytał kaprał salutując ręką w białej rękawiczce.

— Phil, czyżby pan mnie nie poznał? — zatrzymał się doktor, przy czym wzdrygnął się i pomacał swoje kości policzkowe.

— Oczywiście, że poznałem — zameldował kaprał. — Ale naczelnik biura...

— Mister Fredson zachorował? — poinformował się doktor.

— Pozwoli pan zameldować. Naczelnik od rana był w pełni zdrowia. Ale po drugim śniadaniu mistress Fredson powróciwszy do stołowego, gdzie na kilka minut zostawiła swego małżonka, doszła do przekonania, iż twarz mister Fred...

Kaprał Philip Dregg nie zdążył dokończyć meldunku. Doktor Fleet rzucił się w kierunku domu Fredsonów z taką szybkością, że pędzący za nim kaprał nie mógł go doścignąć. Edd, przygotowujący w dziesięciuncjowej butli dwie porcje mikstury według jednakowych recept Fleet'a dla sędziego i rejenta, widział przez okno apteki biegnącego doktora i goniącego go kaprała. Sally i Tim, oczekujący na lekarstwo, widzieli to samo, i cała trójka wyraziła przypuszczenie, że Phil chce aresztować doktora.

Mistress Fredson przyjęła doktora Fleeta pełna rozpacz.

— O, to jest okropne!...

— Gdzie chory? — bąknął doktor zapomniawszy przywitać się z gospodynią domu i zdjąc cylinder.

— W stołowym — odpowiedziała mistress Fredson i rozplakała się.

Doktor zmuszony był przejść między jakimiś potłuczonymi skorupami, które ponieważ nie sprząnięte z podłogi. Przy okrągłym stole, zastawionym resztkami śniadania, butelkami i prawdopodobnie wszystkimi, jakie znajdowały się w domu, lustrami, siedział naczelnik policji Fredson w rozpiętym mundurze i kręcił głową, wydając nieartykułowane dźwięki.

— Zaczęło się u niego od lewej dziurki w nosie — zalewając się łzami, wyszeptala mistress Fredson wchodząc za doktorem do pokoju.

Fredson miał jeszcze serwetkę zatknięą za kamizelkę. A więc nieszczęście spadło na niego nieoczekiwanie, przy deserze, kiedy nikt nie mógł przypuszczać, że kości twarzowe Fredsona, poddając się jakiejś nieznaney sile, ulegną nagle doniosłym zmianom. Obrzęk

rozszerzał się na szczękę i podbródek nadając twarzy zastraszający wygląd.

— Trzeci przypadek — z ożywieniem stwierdził doktor kładąc rękę na ramieniu Fredsona. — Zaraz zbadamy... Pułkowniku, niech się pan opamięta! Ma pan przed sobą mnie, Fleeta...

Fredson podniósł oczy na doktora.

— A, to pan? Bardzo mi przyjemnie... Ale jakaż gęba! Przepraszam, mówię o sobie.

— George, opamiętajże się! — błagalnie wyrzekła mistress Fredson przykładając koronkową chusteczkę do swoich wilgotnych oczu.

— Nawet nie zamierzałem tracić panowania nad sobą — dość roztropnie zaprotestował Fredson. — Ta lady, doktorze, zbyt poddaje się nastrojom paniki, ja zaś chciałbym usłyszeć pańskie zdanie. Patrę w lustro i pytam: „Ja czy nie ja? O to właśnie chodzi!”

— Zbadamy — odrzekł doktor Fleet. — Niech pan powie, jak się to zaczęło...

Fredsonowie opowiadali. A dla doktora Fleeta od pierwszego wejrzenia było jasne, że ma przed sobą trzeci przypadek tej samej choroby. Jakiej? Tego Fleet nie wiedział. Gdyby nawet zdążył teraz przewertować wszystkie roczniki „Lancetu” i szesnaście tomów „Encyklopedii”, to i tam nie znalazłby najmniejszej wzmianki o podobnej zmianie oblicza, która zaszła u sędziego, rejenta i naczelnika policji. Więc co się stało?

„Jeżeli weźmiecie podobiznę dobrze znanego wam człowieka, odbitą na papierze, i zgniecicie odbitkę, to linie rysunku będą tak przemieszczone, że podobieństwo zatrafi się”. Tak napisane jest ręką doktora Fleeta na dwieście czterdziestej dziewiątej stronie wspomnianej już teczki archiwalnej.

Tymczasem Fredson denerwował się.

— Diabli mnie zmuszą do leżenia w łóżku! Służba, doktorze, rozumie pan? Powiniennem pracować, a nie chorować.

— Wszystko będzie dobrze — burknął doktor Fleet.

Głos jego znowu stawał się powolniejszy. Rozmyślenia doprowadziły go do wniosku: „Jasne, iż wiele jest jeszcze niejasności, a więc wyczekująca metoda leczenia będzie tu najodpowiedniejsza”.

— No, uspokoił mnie pan — z naciskiem powiedział Fredson podchodząc do kredensu. — Czuję się silny i zdrow, a fizjonomia nie jest dla służby ważna. Przy sposobności, doktorze, co będzie teraz w czasie mojej choroby pożyteczniejsze — rum czy koniak?

Nowa konkluzja wyrwała się z ust doktora Fleeta:

— To nie choroba, lecz stan...

Fredson kręcił się z butelką koło kredensu.

— Nie choroba? Tym lepiej. A stan powróci do normy...

Nalał dwie szklaneczki rumu, jedną z nich wypił, oblał się pasem, ale głos jego zadźwięczał bardziej miękko:

— Niech pan pije, doktorze, a nie pociesza mnie. Jestem żołnierzem i lubię patrzeć niebezpieczeństwu prosto w oczy. Wczoraj w cyrku na placu na podobną chorobę zapadła tresowana żyrafa. Przedsięwziąłem właściwe środki — posłałem weterynarza. Wiem o chorobie sędziego i rejenta i przewiduję, że doktor Fleet będzie miał nieco roboty. Nie chce pan pić? Wobec tego do widzenia. Proszę nie podawać mi ręki. Tak będzie lepiej...

Nic innego nie pozostało doktorowi Fleetowi, jak unieść cylindra na pożegnanie. Spokana na korytarzu mistress Fredson poinformowała go, gdzie może umyć ręce. Fleet zmiężył wiele czasu pod kranem z gorącą wodą, zanim dokładnie mył ręce mydłem i szczotką.

Tego dnia nie było sądzone doktorowi Fleetowi zjeść obiadu o godzinie uświęconej tradycją. Zaledwie zdążył wyjść od Fredsona, gdy podbiegł doń kościelny Michael z pilnym wezwaniem do czwartego pacjenta.

Wielebny Jeremiasz leżał w swojej sypialni obłożony grzałkami. W tajemniczym półmroku doktor Fleet rozróżnił u wezgowia nocny stolik. Koło łóżka pastora siedziały poważnie na krzesłach trzy szacowne lady. Jedna z nich głośno czytała modlitewnik, a po głosie doktor poznał w niej swoją dawną pacjentkę mistress Beardwarf, ciotkę sportsmena Boba. Nikt obecnych nie zwrócił uwagi na wejście Fleeta, ponieważ wszyscy byli zajęci pobożnym czytaniem.

— „I niech spłynie na wiernego niewolnika łaska twoja — czytała stara lady wzdychając co trzecie słowo. — I niech chwałą niewolnicy Pana, alleluja..”

— Amen — rozległ się słaby głos Jeremiasza. — Kto tu wszedł? A, to pan, czcigodny doktorze?

— Dobry wieczór, panie pastorze — z powagą wyrzekł doktor składając przy tym niski ukłon wezgowiu i trzem lady.

— Dobry wieczór — jęklwym głosem odezwał się Jeremiasz. — Błogosławione niech będzie przybycie pana do cierpiącego, albowiem napisane jest: „Był chory i odwiedziono go”.

— Ale co się panu przydarzyło? — spytał doktor Fleet zbliżając się do leżącego. — Tutaj jest dość ciemno. Trzeba zapalić lampy...

Wielebny wykonał słaby ruch ręką.

— O nie, proszę się wstrzymać z zapalaniem światła. Przed chwilą wysłuchałem modlitwę świętego Bonifacego i jego natchnione słowa dźwięczą mi jeszcze w sercu...

— Mistress Beardwarf nie przeczytała modlitwy do końca — rozległ się surowy głos drugiej lady.

— O, rozumiem, droga siostrzo moja, mistress Bolivar — jeszcze łagodniej wymamrotał Jeremiasz. — Pozostały nie przeczytane cztery wersety, ale miłosierdzie niechaj będzie łaskawe dla cierpiącego.

Doktor Fleet stracił resztki cierpliwości i panowania nad sobą. Był głodny, znużony troskami, które spadły dzisiaj na niego. Nachylił się ku wezgowiu, ażeby dokładniej przyjrzeć się twarzy leżącego. I wtedy poczuł na swym uchu muśnięcie warg pastora i usłyszał energiczny szept:

— Kochany Fleet, usuń pan stąd, z łaski swojej, te damy.

Dziękuję jednej chwili było dla doktora wyprostować się w pozie pełnej godności.

— Poproszę was, lady, zostawić mnie samego z chorym — sugestywnie wyrzekł i potrząsnął walizką, w której zadźwięczały złowieszczą strzykawki i rurki o specjalnym przeznaczeniu.

Lady, zgorzone podzwaniem szklanych utensyliów, pośpiesznie wstały.

— Poczekajcie, siostry moje, w salonie — jęknął Jeremiasz. — Czuję, że wasza szlachetna pomoc przyda się później. Błogosławieni czyści duchem. Pokój z wami.

Trzy damy posłusznie wyszły z sypialni. Doktor Fleet zamknął drzwi.

— Niech pan przekręci klucz dwa razy i zasunie portierę — jęcząc dalej, wyszeptał Jeremiasz.

Doktor Fleet spełnił prośbę.

— A teraz... — zaczął trzymając jeszcze w ręku sznur ze złotym chwaścikiem od grubej aksamitnej portiery.

— A teraz — podchwycił Jeremiasz głosem zupełnie zdrowego człowieka, zrzucając z siebie kołdrę i siadając na krawędzi łóżka — pozwoli pan, że mu podziękuję za wybawienie

mnie od tych lady. Dostojne parafianki, nic się na to nie poradzi... Nie wypadało przecież, ażebym ja je wypraszał...

— To pan pastor jest zdrowy? — wymamrotał doktor Fleet.

— Nie czuję się aż tak chory, by usprawiedliwiać natręctwo tych dam — rozległ się głos Jeremiasza. — Co prawda, od rana musiałem się schować przed wszystkimi za parawan.... Niech pan zapali światło i rzuci okiem...

Ręka doktora Fleeta znalazła i przekręciła wyłącznik. Zapalony żyrandol oświetlił siedzącego pastora. Doktor Fleet zamrugał ze zdumienia. Twarz wielebnego Jeremiasza jak by wywrócona była na nice. Czwarty przypadek dziwnej epidemii! Dla doktora Fleeta było to dużo jak na jeden dzień.

— Szpetne? — poinformował się Jeremiasz u doktora. — Boję się przeglądać w lustrze. Zupełnie jak by mnie kto zamienił. Nie podoba mi się takie przeobrażenie. Powiedzione jest w Piśmie świętym: „Twarz twoja jest świadkiem twoim”. I o czym może świadczyć moje opuchnięte oblicze? W poemacie Browninga jest powiedziane: „O luby, dusza twoja roztacza zapach na twarzy twojej”. Ale jak ja mam pokazać taką twarz moim parafiankom? Będą one złego mniemania o mojej duszy. Fleet, jestem z panem szczery tak, jak może być tylko szczery lekarz dusz ludzkich wobec lekarza doczesnych ciał naszych.

— Co się stało? — spytał doktor oschle. Nie interesowała o ani liryka Browninga, ani cytaty z Biblii. Pragnął faktów.

— Zaraz się pan dowie — powiedział Jeremiasz wstając podchodząc do stołu koło okna. Uniósł serwetkę, która przykrywała półmiski i menażki. — Aha! — zatarł ręce z zadowoleniem. — Staruszki zatroszczyły się. Nie jadłem od rana, pościłem czekając na pana. Ale Michael ledwie pana znalazł. Pan był zajęty i oczywiście nie jadł pan obiadu. Proszę siadać i jeść... Pasztet z dziczyzny. Mistress Bolivar robi go wspaniale. Pacjenci podobni są do parafian i nie pozwalają panu zjeść obiadu we właściwym czasie.

— Ma pan rację — z westchnieniem wyrzekł doktor Fleet siadając do stołu. — W tym naczyniu, zdaje się, faszzerowana flądra?

— Tak, dar mistress Beardwarf. Proszę zacząć od fladry.

Jeremiasz sięgnął po buteleczkę, odkorkował i powąchał:

— Aha, czarne porzeczeki!... Produkcja mistress Wattis. Będzie po cztery uncje. — Rozlał nalewkę do kieliszków.

Żuchwy wielebnego poruszały się niczym dobrze nasmarowane i dopasowane żarna, krusząc przypieczone grzanki z masłem i serem.

„Funkcjonowanie organu pastora, służącego do zucia — zapisał później doktor Fleet — nie pozostawiało nic do życzenia, pomimo znacznych zmian w ukształtowaniu szczęk, szczególnie dolnej, która nabrała zupełnie krągłego kształtu”.

Nasyciwszy się doktor Fleet nie przejawiał żadnej chęci zabawienia tu dłużej, tym bardziej że przypuszczenie Fredsona o zakaźnym charakterze choroby obudziło w nim czujność. Doktor słyszał wczoraj coś niecoś o wydarzeniu w wędrownym cyrku, ale nie przywiązywał zbytnej wagi do gadaniny mieszkańców miasta. Jeśli nawet żyrafa cyrkowa ma pryszczycę, to ani u Jeremiasza, ani u trzech pozostałych chorych nie można się było dopatrzeć nawet cienia tej choroby. Wrażliwość ludzi na pryszczycę jest w ogóle niewielka. Ale dzisiaj doktor mógł się przekonać, że pomimo różnorodności zewnętrznych objawów tych czterech przypadków są one w zasadzie do siebie podobne: zniekształcenie twarzy było tego rodzaju, iż człowieka nie można było poznać.

— No, doktorze Fleet — powiedział Jeremiasz dłubiąc w zębach wykałaczką — niech pan słucha. To stało się nagle, dzisiaj rano. Goliłem się przed lustrem i wszystko przebiegało normalnie. Natarłem już twarz wodą kolońską i układałem w futerałe przybory do golenia. W czasie tej czynności rzuciłem przypadkowo okiem w lustro. Zrazu pomyślałem, iż w jakiś sposób trąciłem je niechcący i dlatego pękło. W rzeczywistości to moja twarz pękła. Odnio-

stem wrażenie, jak gdyby czyjaś straszliwa łapa wybiła mi szczękę. Zadzwoiłem na Michaela i położyłem się do łóżka. Ale parafianki, dowiedziawszy się o mojej chorobie, zwały się tu z modlitewnikami i darami. Doktorze, pomóż mi pan! Przyzwyczailem się do swojej twarzy, przyzwyczailem się do niej także parafianie. Trudno im będzie nagiąć się do słuchania kazań wygłaszanych przez nieznanego. Rozumiem ich psychologię, a pan niech zrozumie moją.

— Chciałbym dociec prawdy — rzekł doktor Fleet. — Z czym pan mógłby skojarzyć powstanie tego... przeobrażenia?

Jeremiasz zamyślił się.

— Nie mam pojęcia... Wczoraj... Co było wczoraj? Zwykły dzień. Zresztą, poczekaj pan, doktorze... Nie, to po prostu był sen...

— Niech pan opowie ten sen! — zażądał doktor Fleet.

— Wczoraj gospodyni moja, mistress Hughes, wyjechała do rodziny swojej w Goole — zaczął Jeremiasz. — Aż do kolacji spędziłem czas na czytaniu kazań. Po wieczery przeszedłem z książką tutaj i otworzyłem okno. — Mówiąc to Jeremiasz odsunął aksamitną zasłonę okienną. — Jak pan widzi, okno wychodzi na ogród. Na wprost mamy placyk do krokieta, na prawo klomb róžany. Na lewo rośnie stary buk. Ta duża gałąź przebiega równolegle do okna. Przeczytałem kazanie „O słodyczy bytu”, rozebrałem się i zgasilem lampę. Jedyne odbłask latarni, która pali się koło kościoła, wpadał tutaj. O tak... — Jeremiasz zgasił kandelabr. Sypialnię oświetlała teraz tylko nocna lampka koło łóżka i smuga światła z zewnątrz. — Zdawało mi się, że spałem dłużej niż godzinę na tym oto łóżku, zwrócony twarzą do okna. Przebudziłem się raptownie z powodu dziwnego bulgoczącego dźwięku, jak gdyby jakieś małe zwierzątko coś chleptało. Otworzywszy oczy dojrzałem sylwetkę małej psiny, która przebiegła po parapecie. Wydało mi się, że zawadziła o szklankę i łyżeczka w niej brzęknęła. Dźwięk ten doskonale zapamiętałem. Dopóki zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób psina mogła wspiąć się po gałęziach buka do okna, zwierzątko odwróciło głowę w moją stronę, żałośnie miauknęło...

— Chciał pan powiedzieć: szczeknęło — poprawił doktor.

— Nie, Fleet, nie! Najdziwniejsze w tym śnie było to, że psina właśnie miauknęła jak kot i znikła.

— Cóż dalej? — spytał Fleet.

— Serce moje nieprzyjemnie waliło. Sen ten dla czegoś mnie zdenerwował. Podeszedłem do okna — wszędzie panował spokój. Racja, gałąź buka kołysała się z lekka.

— Co pan zrobił potem?

— Potem? Jak już powiedziałem, byłem nieco zdenerwowany i dlatego łączywie wypilem szklankę wody.

— Która stała na parapecie okiennym?

— Tak. A bo co?

— Nic. Przepraszam, przerwałem panu — wyrzekł doktor Fleet. — Jaki smak miała woda?

— Najzwyklejszy. Nie piję surowej. Mistress Hughes uznaje tylko gotowaną. Potem zamknąłem okno, opuściłem storę i zasnąłem.

— Wszystko? — głucho spytał doktor Fleet.

Za drzwiami rozległy się kobiece głosy. Jeremiasz wyszeptał z przerażeniem:

— Rzeczywiście! Ona!

Oczy doktora wyraziły zdumienie.

— Kto?

Jeremiasz beznadziejnie, prawie z rozpaczą machnął ręką.

— Mistress Hughes. Z pewnością Michael wysłał do niej telegram o mojej chorobie i już przyleciała. Drogi panie Fleet, gaś pan światło.

W półmroku Jeremiasz pośpiesznie kładł się do łóżka. Do drzwi bębiono uporczywie pięściami. Doktor Fleet szperał po sypialni, szukając swojej walizeczki, ponieważ zapomniał, gdzie ją postawił.

— No, schowałem się pod kołdrę — wyjęczał Jeremiasz wiercąc się na materacu. — Niech pan otworzy drzwi i wpuści tutaj mistress Hughes. Czy mogę mieć nadzieję, że przeobrażenie się skończy?

Doktor Fleet odnalazł walizeczkę:

— Dieta, reżim i mikstura — odpowiedział żywo. — Ta medyczna trójca od czasów Hipokratesa nie spaliła jeszcze, panie pastorze, ani razu na panewce. — Doktor przekręcił klucz w drzwiach. — Proszę panią, mistress Hughes.

Gospodyni wielebnego Jeremiasza wpadła do pokoju, nie zdążywszy zdjąć z kapelusika podróżnego woalu.

— Czy coś poważnego? Dlaczego zamknęliście się?

— Wielebnego Jeremiasza zmęczyło słuzenie ludzkości — rzekł w odpowiedzi z całą powagą doktor Fleet. — Ważne moralno-filozoficzne myśli, którymi jest zajęty, wymagają, ażeby nikt nie ważył się go niepokoić. Tak, nawet pani, mistress Hughes. Przejdźmy do gabinetu. Zapiszę recepty. Proszę wykonywać moje polecenia. I proszę zachować milczenie. Wielebny pastor umie modlitwy na pamięć i będzie je odmawiał w swoim sercu. Nie ma potrzeby, ażeby odwiedzali go obcy.

— Jaki pan dobry, doktorze! — wybełkotała mistress Hughes.

Doktor Fleet wolno powracał do domu, zamyślony i zmęczony. Po raz pierwszy w swojej praktyce miał do czynienia z takimi przypadkami. Bywają ludzie perkaci i z długimi nosami, z kwadratowymi i okrągłymi podbródkami, z niskim i wysokim czołem i to nikomu nie przeszkadza. Gdyby jednak u perkatego nos raptem się wydłużył albo podbródek u człowieka zmienił ni z tego, ni z owego swój kształt? Tylko nagłe zakłócenie normalnego toku życia wywołuje u ludzi niepokój. Czyż z biegiem lat nie zmieniają się rysy twarzy ludzkich? Czyż w staruszkach Orphy'm można teraz rozpoznać tego młodego drogistę, który przed trzydziestu - laty złożył pierwszą wizytę Fleetowi? A czyż ktoś poznałby teraz młodego studenta Fleeta w doktorze Fleecie, tłustym, nalany, z malinowym nosem kwitnącym błękitnymi żyłkami? A przecież to ten sam Horace Fleet.

„A więc — wywnioskował doktor Fleet — niespodzianka to tylko funkcja czasu”.

4

Wydarzenia te rozgrywały się w Ashwharfie tego dnia, gdy błądziłem po Długiej Trąbie.

Teraz stałem przed ptasznikiem.

— Vandock? — spytałem i pięści moje rozwarły się.

Było to coś niezwykłego, wprost nie do uwierzenia. Lecz ptasznik przypomniał mi takie szczegóły naszych spotkań w parku „węzowego profesora” i na rozprawie sądowej w Rangunie, że rozproszył wszystkie moje wątpliwości. Tak, to jest Vandock! Był teraz nieco niższy, ale przyjrawszy mu się i przysłuchawszy, można było jednak znaleźć odległe podobieństwo z tym osobnikiem, który przegrał do mnie dolara w Belle Harbor podczas naszego pierwszego spotkania.

— Vandock, strasznie się pan zmienił — odezwałem się wysłuchawszy ptasznika — ale nie przestał pan być łajdakiem. Mało tego, że trudnił się pan złodziejstwem, ale zamordował pan jeszcze doktora Rollsa...

— Niech pan da spokój, Pingle — poważnie rzekł Vandock.

— Milcz pan! Przez pana o mało nie trafiłem na krzesło elektryczne. A teraz pan tutaj, rabusiu węzów, bandyto Carnero?...

— Więcej spokoju, Pingle — przerwał mi Vandock. — Nie jestem Carnero i nie zamordowałem Rollsa. Pańskie pytania i wątpliwości są w pełni uzasadnione. Ja sam pragnę wyjaśnić coś niecoś z tego, co było przyczyną naszego przeobrażenia. Dlatego nie spuszczajmy nosów na kwintę i nie traćmy otuchy. Siadajmy, stary przyjacielu, i podyskutujmy nad położeniem.

Usiedliśmy na ławce koło czyjegoś grobu i Vandock rozpoczął opowiadanie.

— Sądzę, Pingle, że odpłaci mi pan szczerością za moje szczere wyznanie. To leży w naszym wspólnym interesie. Proszę słuchać. Pewna handlowa firma, zajmująca się przygotowaniem i sprzedażą preparatów medycznych, zleciła mi odnaleźć niejakiego profesora Millroysa i roztoczyć nad nim dyskretną obserwację. Przypuszczam, że firma ta obawiała się, ażeby Millroys nie wyprowadził jej w pole, wzięwszy na siebie obowiązek dostawcy oryginalnego surowca w postaci świeżych jądów węzowych. Zlecenie to opłacane było bardzo hojnie, ja zaś powinienem był przysyłać pocztą co tydzień dokładne sprawozdanie. Polecenie wykonałem rzetelnie. Millroysa znalazłem w New Yorku, gdzie pertraktował z dużymi firmami importowymi. Ponieważ nieodstępne śledzenie go wchodziło w zakres moich obowiązków, przeto pojechałem jego śladami do Belle Harbor. Millroysowi strzeżono do głowy wykapać się. Widziałem, jak zanurzył się w fale, ale w tym samym czasie zjawił się dobrze zbudowany młodzieniec i usiadł obok mnie, przeszkadzając mi obserwować kąpiącego się i Millroysa.

— Czy to ja byłem? — mimo woli wyrwało mi się pytanie.

— Pingle, pan jest okropnie domyślny — odpowiedział i Vandock. — Ale do kolekcji cech pańskiego charakteru należy także upór. Trzeba było zapędzić pana na wieżę, i ażeby zdemaskować samochwalstwo, jakoby pan potrafił wykonać skok figurowy.

— Przecież go wykonałem. A pan, panie Vandock, przegrał...

— Masz pan swego dolara — uśmiechnął się rozmówca. — Pańską wygraną dzwigam trzeci rok w kieszonce kamizelki. Lecz swoim skokiem, Pingle, zepsuł mi pan całą sprawę. Na plaży powstało zamieszanie. Clips przypiął się do pana, a potem widziałem koło wejścia do „Kolosium” afisz z pańską podobizną. Pomyślałem sobie, że nie jest pan taki głupi, za jakiego chciał pan uchodzić na plaży. Ale najważniejsze z tego wszystkiego, że Millroys nie wyszedł jednak z wody...

— Uratowany został przeze mnie — z dumą powiedziałem chowając do kieszeni sfatygowany dolarowy papierek.

— Co? — zdumiał się Vandock.

— No tak — wyrzekłem. — Pilno mi było rzucić się z tej diabelskiej wieży dla pańskiej przyjemności! Ale w dole człowiek szedł na dno i obowiązkiem moim było pomóc mu wydostać się na powierzchnię.

— A dalej?

— Chwyliłem go za włosy. Podpłynął kuter i zabrał go.

— To też z pana strony było całkiem nie na miejscu — zmarszczył się Vandock. — Ubranie Millroysa długo leżało w kabinie, nim zabrał je policjant. Rozumie ..pan? Ciało Millroysa w kostnicy nie znalazłem. Przecież byłby tam, gdyby utonął. Lecz klerkowie w biurach firm handlowych są strasznie gadatliwi i to mi pomogło odnaleźć Millroysa w jego węzowym gniazdku. Obrzydliwe miejsce, mówiąc między nami. Millroys prowadził tam życie, jak panu wiadomo, dość odosobnione. Pewnego razu wybrał się na wycieczkę z plecakiem. To mnie zainteresowało i w przyzwoitej odległości podążyłem za nim. Ale niech pan, panie Pingle, wyobrazi sobie, że Millroysa poniosło w dżungłę, i w dodatku do wioski, w której szalała dżuma. Dobrze się stało, na moje szczęście, że żołnierze z kwarantanny zatrzymali mnie i popędzili z powrotem. Pamiętam, że samopoczucie moje wtedy pozostawiało wiele do

życzenia. Szczególnie nieprzyjemnie było zdawać sobie sprawę z tego, że Millroys na pewno zginął we wsi. W blokhauzie od sierżanta Boro usłyszałem autentyczną wiadomość, że człowiek z workiem na plecach próbował przedostać się z zadżumionej wioski, lecz kilka strzałów danych w powietrze zmusiło go do powrotu, a strzała z liścikiem uprzedziła go o konieczności przygotowania się na ostatnią godzinę.

Opowiadanie Vandocka miało cechy prawdopodobieństwa i dlatego postanowiłem nie przerywać mu.

— Teraz, Pingle, niech pan sobie wyobrazi moje zdumienie, gdy wstąpiwszy do wężowej farmy jako dostawca dżyrr ujrzałem Millroysa w pełni zdrowia. Polecił swojej asystentce miss Milton zapłacić mi po trzy pajsy za sztukę i zaproponować, bym się szybko stamtąd wynosił. „Starczy nam dżyrr aż do jesieni, niech się pan nie fatyguje” — oświadczyła mi ta sama Lizzie, przed którą, pamięta pan, Pingle, starał się pan chodzić na dwóch łapkach. Ale ja jednak musiałem obserwować Millroysa... Ach, Pingle, pan nigdy nie był w skórze komisjонера i wątpię, czy potrafi pan przedstawić sobie, jakimi encyklopedystami musi być niekiedy ten gatunek ludzi! Niegdyś, jako chłopiec, długo mieszkałem na Jawie, gdyż ojciec mój pracował tam w ogrodzie botanicznym. Oto gdzie, Pingle, jest naturalny raj! Marzę o tym, aby znowu odwiedzić te miejsca. W latach młodości z podobnymi mnie urwisami doskonale dawałem sobie radę z węzami i to mi się przydało w Rangunie. Wykombinowałem sobie, ażeby ściągać dżyrry Millroysowi i ponownie mu je sprzedawać. Gra powinna była być, sądziłem, nie do przegrania. Ale w parku narwałem się na pana i to znowu poplątało mi szyki. Jest pan jednak wielkim amatorem zajmujących historii i łatwo ulega obcym wpływom. Dlatego udało mi się przy pana pomocy upewnić się, że Millroys wyjechał ze swoim siostrzeńcem Rollsem. Jestem panu za to dotychczas wdzięczny...

— Proszę bardzo... Wtedy ta historia bardzo mnie zmartwiła, ale teraz jest mi wszystko jedno. Pan też pomógł mi wspólnie z Byszym Okiem — zauważyłem.

— Drobnostka, Pingle. Przysługa za przysługę. Człowiek, który wyprawił pana z Rangunu, to po prostu gospodarz, u którego wynajmowałem pokój. Bardzo usłużny facet. On również mnie ukrył, gdy trzeba było zmykać przed sędzią. No, ale odbiegliśmy od tematu. Dowiedziawszy się od pana o Mazatlanie, udałem się tam na poszukiwanie Rollsa. Liczyłem na to, że właśnie od niego na pewno się dowiem, gdzie ukrył się Millroys. Taki jak ja komisjoner żyje ze zleceń. I bardzo nieprzyjemnie jest, Pingle, gdy popłatna sprawa, z której się żyje, nagle wyślizguje się z rąk. A ponadto, przyznaję się, historia ta zadrasnęła moją ambicję. Odległości nie przerażały mnie, a tym bardziej skwar Meksyku. W Mazatlanie pokazano mi dom Rollsa, którego właściciel chętnie przyjął mnie do siebie jako lokaja, skoro tylko przyszedłem do niego w charakterze uniżonego petenta. Przedtem nigdy go nie widziałem. Z twarzy przypominał nieco, choć bardzo mało, swego wuja Millroysa. Tylko z gardłem jego było coś nie w porządku, gdyż ciągle pokasływał, o tak: hm!... hm!... Palił mieszaną tytoniu tureckiego z madurskim. Doskonale znam ten zapach. Rolls postawił mi dwa warunki: nigdzie nie oddalać się z domku i nie golić się. Dziwi to pana? Mnie też dziwiło takie cudaństwo. Lecz jeśli człowiek ma pieniądze i daje komuś pracę, to ma prawo do dziwactw. Rolls zażądał, ażebym nie ważył się golić! Będzie mnie golił osobiście, kiedy wpadnie mu to do głowy.

— Hm!... Hm!... — odkaslnąłem, przypominając sobie Dobby'ego, i spytałem: — Prócz tego w domu Rollsa nie było ani kawałka lustra?

— Skąd pan wie o tym? — Vandock podejrzliwie zmrużył oczy. — A zresztą to szczerą prawdą. No, zgodziłem się na wszystkie warunki i dni moje popłynęły w niezakłóconym spokoju. Obiady przynoszono nam z restauracji, choć kuchnia meksykańska nie podobała mi się. Tam Wszystko smażą na oliwie... Przysięgam, Pingle, gotów byłem błogosławić los, który doprowadził mnie do cichej przystani. Posprzątawszy pokoje i odgrzawszy obiad, wylegiwałem się, najedzony, w swoim pokoju na dole, zna go pan...

— Tak, bardzo dobrze znam — odezwałem się ze złością. — Vandock, niech się pan nie wykręca...

— Boże, po co mam się wykręcać, skoro przedstawiam panu najdokładniejsze streszczenie faktów! Rolls całymi dniami pisał u siebie na górze, a ja, rozumie pan, powinienem był jakoś dowiedzieć się o jego wuju i udać się doń, ażeby nawiązać z powrotem przerwana znajomość. Rolls nie odznaczał się gadatliwością. Próbowałem ostrożnie wypytywać go o wuja Millroysa, miałem na oku jego korespondencję, ale... pech, Pingle! Prawda, szyfrowaną korespondencję można prowadzić za pomocą ogłoszeń w gazetach, a Rolls otrzymywał gazety. Lecz cóż mogłem zrobić w swoim dobrowolnym więzieniu, jeżeli nawet nie byłem w stanie wrzucić pocztówki do skrzynki pocztowej! Po miesiącu służby Rolls ogolił mnie, gdy odrosła mi dość twarda broda. Początkowo bałem się o swoje uszy. Ale doktor Rolls okazał się utalentowanym fryzjerem, prawdziwym wirtuozem brzytwy... Tak upłynęło cztery miesiące. Pewnego ranka, obudziwszy się, byłem zdumiony zadziwiającą ciszą w domu. Na górze nie rozlegały się kroki Rollsa. Miał zwyczaj spacerować po gabinecie podczas przerw w pisaniu. Nie odezwał się również jego zwykły dzwonek. Wówczas udałem się na piętro... No, zapalmy, Pingle. Mam trochę madurskiego tytoniu i żeby był mocniejszy, dodaję suchych liści dżati. Skręć pan sobie papierosa, Pingle...

Vandock przerwał opowiadanie i poczęstował mnie tytoniem.

Kilkakrotnie zaciągnąwszy się głęboko, odezwał się znowu:

— O, Pingle, w gabinecie Rollsa zastałem przerażający widok! Wszystko wywrócone było do góry nogami. Na podłodze i na ścianach widniały świeże ślady krwi. Pierwsza myśl — Rolls zamordowany! Rzuciłem się więc na poszukiwanie ciała nieszczęsnego doktora. Ze śladów można było wywnioskować, że morderca lub mordercy wlekli ciało przez ogród do urwiska...

— I rzucili do oceanu — wyrzekłem wzdygając się na wspomnienie okropnych godzin swego pobytu w Mazatlanie.

— Ja też tak sądziłem — zgodził się Vandock. — Lecz gdy pierwsze wrażenie nieco przygasło, postanowiłem trzeźwo rozważyć powstałe okoliczności. Jeżeli natychmiast zwrócę się do policji... Ale chyba pan dobrze wie, co to znaczy — mazatlańska policja? Albo do konsula... Przecież nikt mi nie uwierzy.

— A, i pan czmychnął? — zacisnąłem dłońe.

— Nie, Pingle. Rozebrałem się i dałem nurka. Akurat w tym miejscu pod urwiskiem, gdzie zrzucono...

— Rollsa?

— Nie. Worek z kamieniami. Znalazłem go na dnie, sympatyczny worek ciemnozielonego koloru, zadziwiająco harmonizujący z barwą wodorostów. Po wyjściu z wody przypomniałem sobie pewnego mądrego sędziego, który trzymał się nasady, że skoro ciała nie wykryto, to wersja o zabójstwie nie obowiązuje. I wtedy powróciłem do domu już zupełnie uspokojony. Dziwne, wszystkie pokoje były zalane krwią. Wystarczyłoby jej na trzy przestępstwa. Bryzgi krwi na sześciu ścianach. Gdy jednak wyobrazimy sobie przebieg morderstwa, to dojdziemy do przekonania, że Rollsovi miażdżono czaszkę w każdym pokoju, a więc trzykrotnie. Powstaje pytanie, jakże on, otrzymawszy śmiertelną ranę w bibliotece, mógł dalej walczyć w swoim gabinecie? Tutaj znów rozwalono mu głowę, a on uciekł do salonu w pobliże podestu schodów i tu zamordowano go po raz trzeci? A ja nic nie słyszałem, chociaż spałem pod gabinetem?

— Czy pan obeznany jest z kryminalistyką? — mimo woli zadałem pytanie.

Vandock wzruszył ramionami.

— Nie-e... Zdrowy rozsądek konsekwentnie uzmysławiał mi fakty. Pomyślałem, że krwią bryzgano umyślnie. Przecież Rolls mógł mieć w kolbach krew zakonserwowaną. Można by zeszkrobać ze ściany nieco zakrzepłej krwi, poddać ją chemicznemu i mikroskopowe-

mu badaniu i dokładnie dowiedzieć się, do jakiej istoty żywej ta krew należy. Nawet więcej: można by określić grupę krwi. Ale ja nie miałem czasu brać ze ścian próbek. Rozumowałem szybko i doszedłem do wniosku, że Rolls sam... Tak, tak, Pingle! Rolls miał podstawy do tego, ażeby tak postąpić. Ale zarówno przestępca jak i symulant bardzo często zostawiają po sobie ślady i dowody swojego zawodu. Rolls rozbryzgując krew był zanadto gorliwy. A gdy koło swego pokoju wykryłem dwa tobołki, w których, jak się zdaje, były spakowane bynajmniej nie wartościowe rzeczy, to wersja symulacji morderstwa i kradzieży stała się dla mnie oczywista. Komu więc potrzebna była inscenizacja morderstwa Rollsa i rzucenie podejrzenia na mnie? Przecież jeśli zamordowano Rollsa, to dlaczego mnie oszczędzono? Jeżeli pomyślnie zatarto ślady morderstwa, to dlaczego nie wyniesiono z domu tobołków? Nasuwał się tylko jeden wniosek: Rolls chciał się mnie pozbyć, oddając mnie w ręce policji, by się móc ukryć jak jego wujek, „węzowy profesor”. Lecz w takim razie ja muszę nie tyle ukrywać się przed policją, ile dopędzać Rollsa. Wstąpiłem na górę do łazienki, ażeby się umyć i przebrać, i wtedy dostrzegłem kieszonkowe lustro zapomniane przez Rollsa. Rzuciłem w nie okiem i... nie poznałem siebie. Teraz może się pan przekonać, czy podobny jestem do dawnego Vandocka.

— Bardzo mało — stwierdziłem.

— Zupełnie niepodobny — smętnie pokręcił głową Vandock. — A przez okno widzę, jak policjanci zbierają się w oddali na ulicy. Przecież Rolls mógł sam uprzedzić telefonicznie naczelnika policji, jeżeli zdecydował się na ostateczną rozgrywkę ze mną, czyż nie tak? No, w takich wypadkach należy nie rozumować, lecz uciekać. I w tej właśnie chwili do furtki ogrodowej podszedł pan, panie Pingle...

— Sprytnie mnie pan nabrał, niech pana diabli — wzdrygnąłem się pod wpływem nieprzyjemnych wspomnień.

— A cóż miałem robić? Sprytnie przedsięwzięcia są zawsze proste. Pokazywać się panu na oczy nie miało sensu. Pan by mnie nie poznał. Spotkanie z panem zatrzymałoby mnie, a obaj, zapewniam pana, nie wyplątaliibyśmy się z tej kabały. Doszedłem do wniosku, że jeśli policja zastanie w domu tylko pana, to nie będzie pan miał żadnych trudności z udowodnieniem swego alibi. Przyznaję, był to plan zuchwały, ale to nie moja wina, że nietęgo się panu powiodło. W gazetach drukowano sprawozdania z procesu Carnero ze wszystkimi szczegółami... Przy sposobności, wie pan, Pingle, co pana uratowało?

— Nie.

— To, że pan nie odpowiedział w więzieniu na kartkę Bigdena, przyjaciela prawdziwego Carnero, i że postanowił pan sam się bronić. Spodobało się to bardzo światu przestępczemu. Powiadają, że miejscowi bandyci siedzieli w sali sądu na pańskim procesie i jakoby opłacili adwokata.

— Vandock, skąd pan zna te szczegóły? — wykrzyknąłem wpatrując się podejrzliwie w twarz ptasznika.

— O tym wszystkim pisano w gazetach, kochany Pingle. We w tej chwili jest to bez znaczenia. A wtedy, umieściwszy pana w moim pokoju, wyraziłem panu w myślach głębokie ubolewanie i ześliznąłem się z urwiska do wody. Musiałem się śpieszyć. Rolls wyprzedził mnie co najmniej o trzy godziny. Rybacy w Mazatlanie — bardzo dobroduszni ludzie, i szkuner rybaka Quartero, który mnie zabrał, nawinął się w samą porę. A gdy znalazłem się na przeciwległym brzegu zatoki, w pobliżu Przylądka Łukasza, dowiedziałem się o katastrofie „Booksousa”, jak również o tym, że rano szalupa rybacka przewoziła z Mazatlanu jakiegoś Amerykanina z walizką, śladami Rollsa pędziłem niczym ogar. Jechałem z nim tym samym pociągiem, ale zeskoczył z niego na łuku w Harwood przed mostem. Ja zaś mogłem skoczyć dopiero po drugiej stronie rzeki. Dogoniłem go w Rowlinie, gdy zajął miejsce w samolocie pośpiesznej linii Frisco-Reno-Elko-Chicago. Pieniądze? Czyżby pan nie wiedział, Pingle, że firma handlowa nie cofa się przed żadnymi wydatkami, gdy chodzi o śledzenie konkurenta?

Do Bellefontu przyleciałem przed Rollsem, prześcignawszy go w powietrzu w okolicach Detroitu. Ale ten spryciarz zdążył wsiąść na „Kentucky” przede mną. Zostałem w porcie na przystani „White Star”. Nie warto opowiadać szczegółów moich poszukiwań Rollsa w Europie, ślady jego w końcu doprowadziły mnie do Ashwharfu. Nieboszczka matka moja pochodziła z Wesley, ale dawno wyjechała z ojcem na Jawę. Zamieszkałem w pobliżu kanału i zacząłem szperać po okolicy. Od młodego aptekarza Orphy'ego dowiedziałem się o willi, zbudowanej w zeszłym roku w pobliżu Skały Dwóch Róż, i o doktorze, który tam osiadł ze starym służącym. Mister Dobby zwrócił na siebie moją uwagę tym, że właściciele apteki porządnie, jak widać, zarabiali, dostarczając mu do willi wiele przyrządów laboratoryjnych i odczynników. Pół roku temu udało mi się podpatrzeć z dołu przez lornetkę, że w willi jest nie dwóch, lecz trzech mieszkańców. Jeżeli tam, przypuścimy, mieszka Rolls ze służącym, to kto jest ten trzeci? Czyżby nagle przyjechał wuj jego? Należy podkreślić, że ostatnio nie składałem żadnych sprawozdań swemu adresatowi na poste-restante. Pragnąłem napisać coś istotnego, ale chcąc pisać prawdę, musiałbym się przyznać, że zgubiłem i wuja, i siostrzeńca. Zdecydowałem się przeto na ryzykowne przedsięwzięcie — przekraść się do willi...

— To pan się pchał do mojego okna? — mruknąłem. — Jakże się to stało, że pies nie ugryzł pana?

— Niech pan, Pingle, nie dowierza zbyt łatwo kotom i psom. Wśród psów zdarzają się takie okazy, które za kawałek bekonu nie będą czekać, jeśli nawet włązi się przy nich przez okno. Ale to drobnostka. Pański pies delectował się tłustym kąskiem, ja zaś popatrzyłem przez okno, uruchomiwszy ten oto przedmiot... — Vandock pokazał mi lilipucią latarkę, imitującą guzik w dziurce jego kurtki. — Lecz na łóżku w pokoju leżał młodzieniec ze szczelnie zamkniętymi oczyma i starannie wstrzymywał oddech. Nie znałem go. Jak na pierwszą wizytę, było to dla mnie wystarczające. Można było wleźć na kasztan i popatrzeć stamtąd, co dzieje się na pierwszym piętrze. Ale za rogiem domu rozległ się jakiś szmer i dlatego uważałem za wskazane opuścić obręb willi. Teraz ostatnie wydarzenia. Przedwczoraj zauważyłem, iż na spacer w góry wyszło z willi dwóch mężczyzn, wrócił zaś tylko jeden. Z Lasu Patricka doskonale widać obydwa wejścia do willi, umieściłem się więc tam z lornetką. Oto ona... — Wymawiając te słowa Vandock pokazał mi wspaniałą lornetkę. — Obserwowałem czekając, czy powróci do willi i ten drugi...

— A może pierwszy tylko odprowadzał drugiego? — spytałem Vandocka.

— Dziwne odprowadzanie, skoro ludzie ci zabrali z sobą „Emmy”, manierki i zwoje sznurów. Ja to doskonale widziałem. Moja lornetka pozwala z odległości sześciu mil dostrzec nawet muchę na nosie marynarza wachtowego, a pan ma wątpliwości...

Na te słowa wzięłem lornetkę z rąk Vandocka i spróbowałem naprowadzić ją na latarnię morską na Przylądku Jen. Zobaczyłem krążące tam jaskółki tak wyraźnie, jak gdyby latały w odległości kilkunastu cali ode mnie.

— Z lasu patrzałem na willę pod górę — rzekł Vandock biorąc ode mnie lornetkę. — Nagle z tyłu za mną ukazuje się straszliwa mara — umorusany człowiek w podartym ubraniu, z „Emmy” na szyi i z tą oto manierką przy boku. Sprzedał ją pan Bridge'owi tego samego wieczoru, a dzisiaj rano ja ją od niego odkupiłem. Sposób mówienia pana przypomni mi nasze spotkania w wężowym parku. I wtedy mózg mój zaczął pracować. Zawołałem pana w lesie, żeby lepiej się panu przypatrzeć. Porównałem zaginionego turystę numer dwa z góry z ubrudzoną zjawą na dole. Przy sposobności, gdzie pan przepadł tam na górze?

— Złaziliśmy do Długiej Trąby — wymamrotałem, z ciekawością słuchając opowiadania o sobie.

— A wylazł pan przez Mokłą Dudkę? Miał pan wygląd człowieka zrozpaczonego. Manierkę pańską poznałem — wisiła na doktorze Rollsie, gdy wchodził po trapie na pokład „Kentucky”. Bardzo sympatyczna manierka, stara rzecz, muzealna, ten srebrny kubek ma co najmniej dwieście lat. Popatrz pan, jaki ornament, jaki cudowny monogram!... I pan oddał

taką rzecz Bridge'owi za bezcen! Musiałem postraszyć go pułkownikiem Fredsonem za skupowanie przedmiotów kradzionych dlatego zdarł ze mnie tylko połowę ceny antykwarskiej.

Obejrzelismy manierkę, odkręciliśmy kubek, przykręciliśmy go z powrotem i Vandock zakończył opowiadanie:

— Pan bardzo niegrzecznie potraktował mnie w „Królewskim Tygrysie”, kiedy to chciałem trącić się z panem kuflem. Przedtem zaaranżowana przeze mnie rozmowa moja z pańskim wujaszkiem wywarła pewne wrażenie na panu, ale pan zachował milczenie. Rozumiem, pan musiał zebrać myśli i zastanowić się nad sposobem dalszego postępowania. Prawda? I mimo wszystko nie byłem pewny, czy człowiek, który wylał z manierką z Mokrej Dudki, jest właśnie Samuelem Pingle'em. I dopiero tutaj, gdy ukląkł pan przed tymi grobami, przekonałem się, iż jest pan synem zmarłego małżeństwa Pingle'ów

Vandock wstał, obnażył głowę i z szacunkiem pochylił ją przed grobami moich rodziców.

— A teraz, Pingle — cichym głosem przerwał milczenie — chodźmy do miasta. Zatrzymałem się w „Neptunie”, gdzie podczas obiadu uzupełni pan, o co pana proszę, moje opowiadanie, a później postanowimy, co robić dalej...

5

Restauracja „Neptun” była dogodna z tego względu, że urządzono w niej separatki, gdzie można było zjeść i porozmawiać bez towarzystwa ludzi obcych.

Opowiedziałem Vandockowi swoje przygody, zwymyślałem go od ostatnich za brzydki żart, na który w stosunku do mnie pozwolił sobie w Mazatlanie.

— Jeszcze raz, Pingle, proszę mi wielkodusznie przebaczyć — powiedział Vandock drżącym głosem. — Sam pan widzi: nie tyle ja jestem winien, ile okoliczności.

Zjedliśmy dobry obiad, zapaliliśmy papierosy i przystąpiliśmy do podsumowania faktów.

— A więc, Dobby także najął pana pod warunkiem, że będzie pańskim fryzjerem? — powtórnie zapytał mnie Vandock. — No, teraz nie mam wątpliwości, że to jest właśnie Rolls, siostrzeniec „węzowego profesora”. Sprytnie to pan urządził zastępując lustro wodą! Pańskiemu Dobby'emu, a mojemu Rollsowi, było na rękę, ażebyśmy nie dostrzegali, jakie zmiany zachodzą w naszym wyglądzie zewnętrznym. I to „hm!... hm!...” Obu im tytoń gardła popsuł. I ta manierka z ornamentem... Tak, Pingle, doktor Rolls nie umarł, lecz pomyślnie pędzi żywot w willi pod nazwiskiem Dobby'ego. I dlatego powinniśmy...

W tej chwili dał się słyszeć za drzwiami lekki hałas. Vandock szybko się zerwał i otworzył drzwi na oścież.

— Co się dzieje? Kto tu jest?

W korytarzu stały dwie kelnerki i gawędziły z ożywieniem.

— Piękne panie, prosimy do nas — zaprosił je Vandock. — Sprzątnijcie ze stołu i przynieście pół butelki białego wina. Przy sposobności, co to się stało?

Dziewczęta zaczęły zbierać naczynia na tace. Jedna z nich powiedziała:

— Właśnie przed chwilą Susie słyszała... goście na sali opowiadają przedziwną historię, jakoby mistress Wattis, znana wielbicielka kotów, znalazła wczoraj na ulicy prześlicznego kotka, przyniosła go do domu, nakarmiła mlekiem, a ten rapem zaczął szczekać na staruszkę.

— Kot? — spytał Vandock uśmiechając się i mrugając do mnie porozumiewawczo. — Szczekał?

— Tak — wtrąciła się Susie. — Mówił to kościelny Michael, który słyszał o tym od gospodyni pastora. Staruszka zapomniała włożyć palto i trzewiki i przyleciała do domu pasto-

ra, ażeby ten odmówił modlitwę chroniącą od nawiedzenia przez diabła...

— Ale pastor też jest chory — przerwała jej druga kelnerka. — Podobno spuchła mu głowa. Sędziemu zaś wyrósł drugi nos. Jego służąca Sally opowiadała o tym przyjaciółkom na bazarze, dopóki piękny Phil nie zagroził jej, że skieruje ją do biura...

— A co jej tam zrobią w biurze, jeżeli Fredson jest przyjacielem Withleya? — roześmiała się Susie. — Fredson również, jak wszyscy mówią, tak się przedwczoraj rozchorował, że nikt go nie poznał nawet w biurze.

— Dziewczęta, wy sobie żarty ze mnie stroicie! — podbechtał kelnerki Vandock.

— Dlaczego miałybyśmy żartować? — obraziła się czarnooka roztropna Susie. — Niech pan idzie i posłucha, co ludzie mówią na sali.

Susie z godnością wzruszyła ramionami i obie kelnerki, wysoko uniósłszy tace z naczyniami, wyszły z pokoju.

— No? — zwrócił się do mnie Vandock. — Rolls pozbywszy się pana zaczął wyczytniać cuda? Pingle, niech pan posiedzi tu z pięć minut, a ja pójdę do Bridge'a i posłucham, o czym też gadają przy bufecie...

— Nie, drogi przyjacielu — wstałem z krzesła. — Teraz pan mnie nie wystrychnie na dudka.

— Co? — zdziwił się Vandock.

— A to, że nie mam najmniejszego zamiaru wachać po raz drugi tulipana w postaci dwunastostrzałowego pistoletu. Wystarczy mi Mazatlan.

— Ależ, Pingle...

— Nie „ależ”, lecz tak jest. Pan wyjdzie, a zjawi się tu Fredson i oskarży, że to ja napuściłem do Ashwharfu szczekających kotów. Dziękuję panu.

Vandock omal nie podskoczył ze złości.

— Chce się pan kłócić? Tak, teraz mam wątpliwości, czy nie pracuje pan ręką w rękę z Rollsem.

— Ja, ręką w rękę? Przecież niczego tak nie pragnę, jak rozprawić się z nim! — wykrzyknąłem.

— Tak? Doskonale. Nawiasem mówiąc, oto i Susie...

Vandock odebrał od przybyłej kelnerki wino i kieliszki.

— Sprzymierzeńcy, Pingle, nie powinni się kłócić. W przeciwnym razie będzie się cieszył ten trzeci. Powinniśmy wpakować Rollsowi gola wcześniej, nim zdąży się opamiętać. Pingle, za pokój i za sukcesy! Przed wyprawą trzeba zawsze z lekka odświeżyć głowę.

Trąciliśmy się kieliszkami. Potem Vandock zatrzymał się w sali „Neptuna” przy bufecie. Musiał rozmiąć banknot na drobne, ażeby rozliczyć się z kelnerkami, i dlatego mieliśmy czas przysłuchać się podnieconemu gwarowi gości, którzy zajęli wszystkie stoliki.

„Jedno słowo mędrca jest lepsze niż długa mowa głupca” — lubią mówić ludzie w Burmie. I kilka naprowadzających pytań, które przy bufecie rzucił przypadkowo Vandock, wiele nam wyjaśniło.

W Ashwharfie aż się trzęsło od pogłosek, plotek i rodzinnych niesnasek. Wprawdzie tresowana żyrafa cyrkowa już wyzdrowiała, ale na ulicach Ashwharfu nagle zjawiły się dziwne koty i pieski. Koty szczekały i rzucały się na przechodniów gryząc ich w łydki. Pieski natomiast próbowały łązić po płotach. Michael złapał parę tych zwierzków i wpadł na pomysł, by przynieść je do cyrku i tam sprzedać. Właściciel cyrku kupił je po konsultacji z weterynarzem. I już gazeta drukowała wywiad z weterynarzem, który twierdził, że istnieją w przyrodzie jamnikokoty i kotopudle.

Czytelnikowi znani są pacjenci Fleeta. Ilość ich wzrastała. Mistress Gladys nieoczekiwanie zaczęła mówić barytonem. Naczelnika poczty Colly'ego stróż nie wpuścił do jego urzędu, ponieważ człowiek, który zjawił się na służbę w mundurze resortu pocztowego, zupełnie nie był podobny do mister Colly'ego. U mistress Wattis zachorowała pokojówka Cleo, przy

tym wygląd zewnętrzny chorej tak przeraził gospodynię, że zabarykadowała się w mieszkaniu i na całą ulicę śpiewała psalmy. Inspektor kantoru bankowego „May End Little Union” w panice skierował do doktora Fleeta swego młodszego klerka Billa jako cierpiącego na tajemniczą chorobę. Bill przyszedł do pracy mając pod lewym okiem zwykły siniak, przypudrowany przez fryzjera z ulicy Pocztowej. Bill przysięgał i zaklinał się, że jest zdrow i że siniaka nabił sobie podczas upadku z roweru, przemilczając, iż stało się to po bytności w barze portowym. Mimo to przepędzono Billa z kantoru aż do wyzdrowienia. Opustoszały cyrk na placu strzeżony był przez dwóch policjantów, którzy odpędzali każdego, kto odważył się podejść do smętnej budowli bliżej niż na piętnaście jardów. Na drzwiach kościelnych Michael wywiesił kartkę z zawiadomieniem o zawieszeniu kazań. Na magistracie rzucało się w oczy ogłoszenie: „Załatwianie spraw sądowych odkłada się z powodu choroby sędziego”.

— Machniemy się do Rollsa — szepnął do mnie Vandock po wyjściu z „Neptuna”.

Szybko minęliśmy biuro Seytona. Na drzwiach biura Tim trzęsącymi się rękoma naklejał zawiadomienie: „Urzędowanie zawieszono”.

Dookoła gromadzili się mieszkańcy Ashwharf. Jednoręki starzec w staromodnym cylindrze przeczytał zawiadomienie, splunął i głośno powiedział:

— Doigrali się!

Stary Tim pokiwał głową i zaszlochał.

Ze drzwi wyszedł Bob Beardwarf, poruszył uszami i spytał:

— Dlaczego tu tyle ludzi?

Ulicą pędził gigiem doktor Fleet przyciskając do siebie dzwoniącą szklę walizeczkę.

— Nie mamy czasu, Pingle. Niech się pan nie gapi na publiczność — popędzał mnie Vandock. — Rozumiem: pan chce się dowiedzieć, jak miewa się sprzedawczyni z kiosku z napojami chłodzącymi. Mogę pana zapewnić — doskonale. Wczoraj się z nią poznałem. Miss Edith Winter ma pełen wdzięku sposób bycia... Przyśpieszmy kroku, Pingle. Nie chciałbym, aby ptaszek opuścił gniazdko. Teraz to się chyba dowiem, gdzie się podział „węzowy profesor”. Milutkiem siostrzeńcowi języczek się rozwiąże. Odpłacimy zawiązka temu mędrkowi za zeszpecenie naszych twarzy, za zamach na pańskie życie, za wszystko...

Rozwijając sportową szybkość rozpoczęliśmy bieg na przełaj ku willi doktora Rollsa.

Zeszyt dwunasty

1

Ściemniło się już, gdy obaj z Vandockiem dotarliśmy do willi. Piętro jej było rzeświście oświetlone. Koło furtki dojrzałem sylwetkę człowieka. Podeszliśmy bliżej. To stał Meeghly, który uporczywie wpatrywał się w nas. Keep, popiskując radośnie, rzucił się do mnie.

— Witaj, Keep — przygarnąłem psa do siebie.

Vandock również przywitał się z Keepem, podsunąwszy mu jakiś łakomy kąsek wyciągnięty z kieszeni.

— To pan, drogi Samie? — powiedział z przejęciem Meeghly podając mi rękę. — Cóż za radość! Mister Dobby tak się o pana niepokoił...

— Wiem, kim jest pański Dobby! — z irytacją odpowiedziałem dotykając chłodno ręki Meeghly'ego.

Ten popatrzył na mnie uważnie.

— Tym lepiej, Sam. Pan dawno już powinien o tym wiedzieć... — Po czym zwrócił

uwagę na Vandocka. — Kogoż to pan z sobą przyprowadził?

Vandock z głupkowatą miną pociągnął kilkakrotnie nosem i zerwał z głowy kaszkiecik.

— Dobry wieczór panu. Jestem starym górnikiem z Wesly. Oto odkopałem waszego Sama w porzuconym szybie, który zawalił się wczoraj na skutek małego trzęsienia ziemi. Trzeba się było trochę pomęczyć. I nie Sam mnie przyprowadził, ale ja chcę przedstawić młodzieńca jego gospodarzowi i, prawdę mówiąc, otrzymać napiwek za uratowanie ginącego...

— Muszę zameldować o panu mister Dobby'emu — wymruczał Meeghly zezując na manierkę dyndającą na pasku u. Vandocka. — Strasznie się niepokoił o Sama...

— Proszę się nie fatygować — bardzo grzecznie rzekł Vandock kłaniając się. — Pan zdaje się na kogoś czeka?

— Właściwie to tak — odezwał się Meeghly, znowu patrząc w kierunku szosy pograżającej się w ciemność i słabo już widocznej w dole.

— A więc widzi pan! Nie powinno się odrywać pana od jego obowiązków — łagodnie powiedział Vandock. — Prócz tego, pański gospodarz jest, zdaje się, chory na serce i nerwy ma teraz nie w porządku. Byłoby nierozważnie zawiadamiać, go w tej chwili o uratowaniu Sama...

Meeghly pomyślał i kiwnął głową.

— Chyba i pod tym względem ma pan rację. — Westchnął. — A to ci historia! No dobrze. Niech pan idzie, Sam, przez kuchnię. Klucz w drzwiach...

Przestąpiłem z Vandockiem próg furki. Meeghly pozostał na miejscu.

Gdy otwierałem drzwi do kuchni, Vandock poważnym głosem szepnął do mnie:

— Proszę posłuchać, Sam, trzeba się mimo wszystko liczyć z człowiekiem. Pańskie nieoczekiwane zjawienie się przed Rollsem może go po prostu zabić. Przecież jest przeświadczony, iż na zawsze uwolnił się od pana. Niech mnie pan przeprowadzi do jego pokoju... Najpierw ja wejść. Pogadam, przygotuję. Potem będzie pan mógł również wejść...

Takie postawienie sprawy wydawało się całkiem rozsądne.

— Dobrze — odezwałem się. — Niech pan idzie naprzód.

Zapaliłem światło w korytarzu. Podeszliśmy do schodów.

— Na piętrze są trzy pokoje — powiedziałem. — Jeśli go nie ma w drugim pokoju, to będzie w laboratorium...

Vandock w milczeniu kiwnął głową. Otworzył drzwi do pierwszego pokoju i natychmiast dał mi znak ręką. Zrozumiałem, że właściciel willi znajduje się w drugim pokoju.

— Meeghly, to pan? — rozległ się głos Dobby'ego. — Hm!... No, co tam sływać?

— Wszystko w porządku, sir — bardzo spokojnie odezwał się Vandock, szepnąwszy mi, ażebym pozostał w pierwszym pokoju, a sam, trzymając kaszkiecik w ręku, wszedł do pokoju, w którym był Dobby.

Przysunąłem się do drzwi, ile się tylko dało. Przez szeroką szparę doskonale widziałem to, co mnie interesowało.

W gabinecie jaskrawo, płonął kominek. Dobby siedział przed nim. Był starannie ogolony, uczesany, ubrany w szare ubranie podróżne i palił papierosa w cygarniczce. Przed zjawieniem się Vandocka brał najprawdopodobniej ze stolika obok jakieś arkusiki, w zadumie darł je na kawałki i rzucał w ogień.

Papier jaskrawo zapłonął i oświetlił Vandocka. Dobby odchylił się z lekka na oparcie fotela. Dojrzałem cięń zdumienia na jego twarzy. Trwało to jednak ułamek sekundy i Dobby popatrzył na Vandocka prawie obojętnym wzrokiem.

Twarzy Vandocka nie widziałem, ale słyszałem jego głos.

— Dobry wieczór — rzekł Vandock zbliżywszy się do kominka. — Dobry wieczór, doktorze Rolls — podkreślił.

— Ach, o to chodzi! — odezwał się Dobby. I w oczach jego zabłysła iskierka niedobrego uśmiešku. — Dobry wieczór...

— Od razu pana poznałem, doktorze Rolls — już bardziej uchwale przemówił Vandock ujmując oparcie krzesła. Nie czekając na zaproszenie usiadł po drugiej stronie stolika, naprzeciwko Rollsa-Dobby'ego.

— Tak, to ja — z taką samą ironią w głosie odpowiedział doktor. — Pana również można od razu poznać, panie Vandock, chociażby na podstawie pańskiego zachowania się. Ostatnimi dniami pan często kręcił się dookoła tego domu. Przyznaję, oczekiwałem, że prędzej lub później nabierze pan odwagi i przyjdzie tutaj zagrać w otwarte karty...

Vandock wzruszył ramionami.

— Dziwne!... Mam do pana o wiele poważniejsze pretensje. No cóż, jeśli pan chce — zagrajmy! Pana wyjście, doktorze Rolls!

Doktor wziął ze stolika kilka arkuszy, podarł je, rzucił j ogień i ze smutkiem obserwował, jak pożerał je ogień. Potem zmrząwszy oczy uśmiechnął się.

— Ja nie będę odpowiadał materialnie za to, że rysy pańskiej twarzy zmieniły się. Pan sam w tym wypadku zawinił. I to jest doskonale panu wiadome. Pańskie wyjście, Vandock!

Teraz uśmiechnął się Vandock.

— Ale pan urządził tak, że mogłem być oskarżony o morderstwo pana...

— Jeżeli pan uniknął oskarżenia — uśmiechnął się doktor — to pretensje pańskie są zbyt teoretyczne. Wszystko w porządku — dodał westchnąwszy nieszczerze.

Vandock drwiąco pokiwał głową.

— Ach, doktorze Rolls! Jestem praktyk. Ale uwielbiam teorię. I zaciekawiają mnie pewne szczegóły. Dlatego pozwoliłem sobie niepokoić pana w takiej nieodpowiedniej chwili. Przepraszam, lecz bałem się spóźnić. Niektóre okoliczności zmuszały mnie do pośpiechu... Teraz jest bardzo ciepło. A ja już z miasta widziałem, że komin nad pańską wilią dymi jak nad krematorium. I służący pana z niecierpliwością czeka na zamówiony samochód. Prawdopodobnie za godzinę już bym pana nie zastał na tym miejscu.

Doktor odłożył cygarniczkę i zabębnił palcami po stole.

— No, to inna sprawa. Hm!... Charakter rozmowy zmienia się. Rad bym mówić szczerze. Panie Vandock, czy zdaje pan sobie z tego sprawę, jak mi pan dokuczył? Od chwili gdy pan nieoczekiwanie zjawił się w Mazatlanie i uniżenie prosił o miejsce służącego... Przecież wiedziałem, hm!... domyśliłem się, że pan chciał się dowiedzieć o miejscu pobytu mego drogiego wuja. Lecz byłem związany słowem, które mu dałem...

— A więc pan nie powie? — z rozdrażnieniem spytał Vandock.

— Nie. Nawet gdyby mi pan czymkolwiek zagroził. Nie należę do strachliwych. W rozgrywce ze mną, Vandock, ma pan w rękę nieatutowy kolor. I zanim rzuci pan na stół swe Bycze Oko, ja rzucam atutową kartę. Dokuczył mi pan. Interesował się pan moją korespondencją. Lecz ani jeden list wuja nie trafił do pańskich rąk. Prawda? Otrzymałem je w paczkach z papierosami, które przynosił mi z kiosku chłopiec Pedro, brat pewnej czarującej seniority... Studiował pan również ogłoszenia w gazetach dostarczanych mi przez pocztę. Doszukiwał się pan ukrytego sensu w wierszach, które dla żartu specjalnie dla pana zakreślałem ołówkiem. Hm!... Bardzo śmiałem się z pana, Vandock! Ale pan popełnił wielki błąd, gdy w tajemnicy przede mną zaczął się interesować moją pracą naukową. Dobrał się pan do szafy laboratoryjnej. Przypomina pan sobie, w tydzień po zgodzeniu się do pracy u mnie? Zgniół pan wtedy ampułkę z wirusem, zakaził się pan nim i teraz ponosi pan za to karę. Jeśli się służy u biologa albo chemika, to trzeba go słuchać, ażeby uniknąć nieprzyjemnych wypadków. Sam pan sobie winien, jeśli chodzi o pańską chorobę. Przewidziałem to postawiwszy panu warunek co do golenia. Miałem rację, a pan nie zgodził się na szczepienie, które pod jakimś pretekstem zaproponowałem panu, skoro tylko stwierdziłem, iż popsuł pan moją kolekcję wirusów i zniekształcił własną twarz.

Vandock siedział spokojnie, ja zaś stałem za drzwiami i myślałem, że jednak ptasznik ten w małym tylko stopniu wyłożył przede mną swoje atuty w rozmowie na cmentarzu.

— I wówczas zapragnąłem ukarać pana, Vandock, w sposób najbardziej dla pana dotkliwy. Rozumie mnie pan? — wiele znaczącym tonem spytał doktor.

— Kto w istocie rzeczy będzie ponosił karę, nie wiadomo — jeszcze bardziej znaczącym tonem rzekł Vandock wyprostowując się na krześle. — Chociaż i dokuczyłem panu, ale mogę oddać panu przysługę, jeżeli pan ze swej strony umożliwi mi zobaczenie się z pańskim wujem.

— Nie pragnę pańskich przysług — gniewnie i jakby smutno powiedział doktor.

— O, sir, niech się pan nie podnieca! — roześmiał się Vandock. — I proszę być bardziej zgodnym. Proszę dać mi adres, a zniknę z pańskich oczu.

— A jeżeli nie dam? — doktor zaśmiał się niewesoło.

Vandock uniósł się nieco na krześle.

— Wtedy zawiadomię, kogo należy — wyszeptał tajemniczo — w jaki sposób unieszkodliwił pan w szybie swego służącego Samuela Pingle'a.

Doktor zerwał się z fotela.

— Kłamstwo! Ja dobrze się odnosiłem do tego młodzieńca. Nie miałem żadnych powodów, ażeby tak z nim postąpić.

Z zamierającym sercem słuchałem tych słów. Mój gniew tajał jak śnieg na wiosnę. Doktor chwycił się rękoma za głowę.

— Ach! ach!... A więc nawet kosteczek pan nie zebrał? Biedaczek! Jednakże zaprzeczyć zamachowi na jego życie będzie panu trudniej niż mnie morderstwu w Mazatlanie, gdybym się wtedy dostał w ręce policji! Oj! oj! Wspomnij, Boże, duszę nieboszczyka. — Vandock zmienił nagle ton: — Adres pańskiego wuja, doktorze?

Usłyszawszy to nie mogłem się dłużej powstrzymać i szybko wszedłem do pokoju.

— Vandock, dość okłamywania doktora — powiedziałem. — Dobry wieczór, sir — ukloniłem się doktorowi i wyciągnąłem z kieszeni fajkę. — Pozwoli pan, że wręcę mu ten przedmiocik.

Doktor szeroko rozłożył ręce ze zdumienia.

— Sam? Pan? Boże, jakże się cieszę! Jaki ciężar zdjął pan z mego serca!

Chwycił mnie za ramiona. Jego zawsze poważne, a teraz dobre i uszczęśliwione oczy były wilgotne ze wzruszenia.

— Tak... To pan, chłopcze! — Zwrócił głowę w kierunku Vandocka: — Nie wolno tak żartować, zły człowieku! Niech pan siada i nie próbuje wymknąć się. Nie wypuszczę pana stąd dopóty, dopóki... Hm!... Niech pan, Sam, też siada i opowie. Sam, zawiniłem wobec pana, przyznaję się... Winien jestem, że pozwoliłem zejść panu do szybu. Winien jestem również, że widocznie źle zaciągnąłem węzeł sznura.

— Proszę się uspokoić, sir — powiedziałem. — Chciałbym się jedynie dowiedzieć, w których bocznych chodnikach szukali mnie robotnicy.

— Na prawo od głównego szybu — odpowiedział doktor. — Bardzo szerokie korytarze. Stamtąd dawno już wydobyto wszystkie węgiel.

— A ja uratowałem się przez chodnik na lewo — wyjaśniłem. — Tam zachowały się jeszcze grube pokłady wartościowego węgla.

Doktor poweselał.

— Świetnie... Sam, niech pan opowiada o wszystkim.

Ale ja wskazałem głową Vandocka.

— Nie, najpierw niech ten dżentelmen opowie panu, kogo zamiast siebie podsunął policji w Mazatlanie.

Mówiąc to wyrwałem Vandockowi z rąk kaszkiecik.

— Stop! Nie uciekać! Niech pan mówi prawdę.

Vandock zmrużył chytre oczy.

— Po co znowu o tym opowiadać! No, udało mi się wymknąć z Mazatlanu, sir, a Sam

musiał zamiast mnie odpowiadać...

— Co! — wykrzyknął doktor. — Sam nic mi o tym nie mówił... Vandock, niech się pan usprawiedliwi! Jak pan mógł zamiast siebie oddać niewinnego Sama w ręce policji?

— Ja już przeproszałem Sama — wymamrotał Vandock patrząc na mnie i szukając współczucia. — Ale jeżeli to jest konieczne...

I Vandock opowiedział wszystko, co działo się z nami po zniknięciu doktora z Mazatlanu, a ja uzupełniłem jego opowiadanie.

— Tylko pan, doktorze Rolls, wykazał zbyt wiele gorliwości w inscenizowaniu swego zabójstwa — już z dawnym uśmiechem, uspokoiwszy się nieco, dokończył Vandock.

Doktor uderzył pięścią po poręczy fotela.

— Leniuchy! Spóźnili się! Przecież telefonowałem do del Aronso i do konsula, ażeby śpieszyli się z ujęciem Carnero...

— I popełnił pan błąd — triumfująco podchwycił Vandock. — Po co pan wspominał Carnero? Miejscowi pinkertoni trzęśli się ze strachu na samo wspomnienie nazwiska Carnero. Wie pan, do oblężenia pańskiego domku przygotowywali się pełne trzy godziny. A mnie to było na rękę. Przysięgam, doktorze Rolls, złapałbym pana za frak jeszcze pod Harwoodem...

— Gdybym nie wyskoczył z pociągu przed mostem przez Mayspring — poprawił doktor. — Kiepsko mnie pan zna.

— Ale wyprzedziłem pana nad Detroit — roześmiał się Vandock.

— Nie, pan wyprzedził rozkładowy jedenasty, ja zaś leciałem bardziej na północ, nad jeziorami i Niagarą, prywatnym sportowym dziewięćdziesiątym dziewiątym... Na ziemi prowadzi się pan jeszcze gorzej. Jakiż paskudny zwyczaj potraćać ludzi przy kasie lub kontuarze? Ostatni raz w mojej obecności pan skandalicznie rozpychał się łokciami w biurze „South Line”... — zmarszczył się doktor.

— Za to ja śladem pana wykupiłem bilet na parowiec „Alaska” — zachichotał Vandock. — Ale...

— Ale... — roześmiał się doktor — ja prócz tego miałem w kieszeni bilet na „Kentucky”. Niech się pan dziwi. Vandock... I nie tak szeroko rozdziawia usta. Pragnę jeszcze zadać pytanie Samowi. Sam, dlaczego nie powiedział pan ani słowa o wydarzeniu w Mazatlanie? Tak wiele pan mówił o moim wuju, a nie wspominał pan o jego siostrzeńcu. Przecież, pamięta pan, poruszałem ten temat.

Przypomniałem sobie opowiadanie Dobby'ego o jego młodym. przyjacielu. Sprytnie wtedy zaczął o temat!

— Według kontraktu, sir, zobowiązany byłem nie zadawać zbędnych pytań — odpowiedziałem. — I traktowałem to jako zobowiązanie obopólne.

— Hm!... Ma pan rację — odrzekł doktor i zwrócił się do Vandocka. — Przemyślał pan wszystko? Widzę, że nie. Niech się pan dziwi dalej. Na ashwharfskim wybrzeżu pan znów mi dokuczał, panie Vandock. Nie jestem planetą, żeby mnie każdego dnia obserwować przez teleskop. Hm!... A jak pan nastraszył mojego dobrego Meeghly'ego, kiedy to pan w nocy zakradł się tutaj! Złapałibyśmy pana i wytlukli, gdyby nie Sam. Jemu także tej nocy strzeliło do głowy włóczyć się po podwórku. I lanie dostało się jemu, a nie panu.

Chciałem w tej chwili, przyznaję, sprać Vandocka. I pogroziłem mu pięścią. Doktor ciągnął dalej z powagą:

— Niech pan powie otwarcie, dlaczego mnie pan prześladowuje? Chce się pan dowiedzieć, gdzie mieszka mój wuj? Proszę nic nie mówić, pańska odpowiedź nie jest mi potrzebna. Lecz niech się pan dowie, że jeżeli pan mnie śledził, to pana także śledził człowiek mi oddany. Co pan myśli, Sam? Czy można mu podać aktualny adres mojego wuja? Wówczas Vandock rzucił się w pogoń za nim i zostawił pana i mnie w spokoju.

Pomyślałem, iż nie tylko Vandock podaży pod wskazany adres. Nie jest wykluczone, że i ja przyłączę się do niego. Tak bardzo pragnąłem zobaczyć swego „węzowego profesora” i

wyjaśnić mu wszystko, wszystko!

2

— Tak, doktorze, niech pan poda adres — zgodziłem się.

Vandock zatarł ręce w przewidywaniu zwycięstwa i cały mienił się w słuch. Doktor Rolls uniósł się nieco w fotelu kiwnął głową.

— Hm!... Profesora Millroysa macie w tej chwili przed sobą, dżentelmeni.

Vandock drgnął zaskoczony. Mnie zaś ogarnęło uczucie najżywszej radości i zdumienia.

— Co, profesor to pan? Dlaczego w takim razie ja pana nie poznaję? Czyżby pan zmienił i swoją powierzchowność? Dlaczego pan tego wcześniej nie powiedział? — wykrzyknąłem. — przecież wszystko byłoby inaczej...

— Nieco cierpliwości, Sam — odrzekł Millroys. — Tak, wiele strumieni popłynęłoby innymi korytami... Ale łańcuch życia składa się z bardzo złożonych ogniwi. Cierpliwości, Sam. Muszę się rozprawić z Vandockiem. — Millroys wstał i podszedł do znieruchomiałego na krześle ptasznika. — No-o, czcigodny dżentelmenie, chce pan prawdy? Pan nieodstępnie śledził mnie od chwili, gdy trzy i pół roku temu wpadłem panu w oczy na Siódmej Avenue w New Yorku.

— Tak. Pan wyszedł z kantoru „Lowgrey Ltd.” — wyszeptał Vandock.

— Tak, tak... Przed odjazdem z Burmy zawarłem z tą firmą kontrakt na dostawę jadów węzowych. Lecz pan i w Burmie dokuczał mi. Prawda, podobało mi się, gdy pan z poświęceniem proponował nam dżyrry po trzy pajsy za sztukę, gdy sam pan płacił za nie tuziemcom po pięć pajs. Dla pana była to oczywista strata. Wszak nie z powodu pięknych oczu miss Elisabeth Milton pan to robił, chociaż taka myśl początkowo przychodziła mi do głowy — przecież pan tak nadskakiwał miss Milton, gdy przyjmowała od pana towar. Ale kiedy zobaczyła pana pewnego razu w Rangunie, gdy wysyłał pan kablogram pod znanym panu... i mnie... adresem...

Millroys wyraźnie akcentował ostatnie słowa i Vandock nisko spuścił głowę pod wpływem natężonego wzroku profesora.

— ...Wówczas zdecydowanie zmieniłem zdanie o panu i zrozumiałem, jaki jest pański zawód. Niech pan sobie przypomni swoje zachowanie się w Belle Harbor. Prześladował mnie pan nawet na plaży. Pływając wśród kąpiących się rozróżniałem pana postać na brzegu. Nie spuszczał pan ze mnie oczu. I wtedy zaświtała mi w głowie myśl, jak uwolnić się od pana. Jeśli udam tonącego, to kuter ratowniczy zabierze mnie.

— Profesorze, pan nie tonął? — spytałem przypomniawszy sobie obrazek, który dojrzałem z wieży sportowej.

— Ani mi się śniło. Ale pan tak się wczepił w moje włosy, Sam, że chciało mi się krzyknąć z bólu, i musiałem nałykać się wody. Dziękuję panu, Sam. Bardzo mi pan pomógł. Na kutrze nikomu nie nasunęły się wątpliwości, czy ja rzeczywiście tonąłem. A jak pan się tam znalazł?

Musiałem opowiedzieć Millroysowi o spotkaniu z Vandockiem: jak nabrał mnie na plaży na Blake Snake'a i jak zapędził mnie na wieżę. Vandock zaszępony milczał. A „węzowy profesor” zaśmiewał się.

— Być może, iż teraz zaciekawi Vandocka, jak spotkałem się ze swoim zbawcą w Burmie? Jeżeli już być szczerym, to do końca. Musiałem udać się do Nabuhatry i kupić dla doświadczeń kilka susłów. Miejscowi myśliwi często łapią je w sidła. Ale przyczepił się do mnie Vandock. W tym czasie wybuchła tam epidemia dżumy. Gdyby pan, panie Vandock,

przedostał się za mną do Nabuhatry, to na pewno zaraziłby się pan tam dżumą. Ja już dawno szczepiłem sobie odtrutkę i na wabę, i na mari. Wie pan co, Vandock, gdybym spotkał się z panem w zadżumionej wiosce, nie przeszkodziłbym panu przenieść się na tamten świat. Obszedłszy kilka zadżumionych chat zobaczyłem na drodze człowieka i pomyślałem z początku, że to pan. Już odczuwałem przedsmak słodczy rozmówienia się z panem w cztery oczy. Ale w kurzu siedział śmiertelnie przestraszony, trzęsący się Sam, tak bohatersko pomagający mi w Belle Harbor. Poznaliśmy się wzajemnie. Trzeba było ratować Sama. Lecz on stykał się już z zadżumionymi. Należało śpieszyć ze szczepieniem, a ja miałem z sobą tylko ampułkę z surowicą przeciwko wabie. Sam otrzymał zastrzyk. Na jego szczęście, okazało się, że w Nabuhatrze szalała właśnie waba, a nie mari. Przeszliśmy małą kwarantannę i rozgarnięty sierżant Boro pomógł mi przewieźć znużonego podróżami i wstrząsem Sama do mnie na stację, gdzie go uodporniłem również na mari.

— Jeszcze raz dziękuję panu — wyrwało mi się mimo woli.

Lecz Millroys zasępił się.

— A mimo wszystko uważam pana, Samuelu, za niewdzięcznika. Gdy w parku zaczęły ginać dżyrry, a Vandock, który zjawił się u miss Milton pod postacią strasznego obdartusa, zaczął mi je znowu sprzedawać, postanowiłem go złapać. Poznałem z Lizzie ogony wszystkich dżyrr. I raptem Vandock przynosi po pięciu dniach nasze znaczone dżyrry! Sam, nieładnie pan postąpił, gdy schwycił pan złodzieja w parku, tego oto złodzieja, i nie wszczął pan alarmu...

— Zrobiło mi się go żal... — wymamrotałem wskazując Vandocka. — On wtedy cztery dni nie jadł...

Millroys wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Cha! cha! cha! Nie jadł cztery dni! Toż on jadał obiady w najlepszych restauracjach Rangunu. Prawdopodobnie wynajmował kilka pokoi w różnych punktach — i w mieście, i w okolicznych wioskach. Miał wtedy pieniędzy daleko więcej niż pan, naiwny chłopcze! No, do źródła jego środków egzystencji jeszcze się dobierzemy. A teraz niech pan zrozumie, że wtedy w parku popełnił pan błąd. Złodziej jest złodziejem. I wyprowadzilibyśmy go na czyste wody wówczas, a nie teraz...

— O, ileż pan ma racji! — wypowiedziałem wstydząc i i czując niestosowność swego postępowania na stacji. Na Vandocka patrzałem ze złością.

— Oczywiście, że mam rację — powiedział Millroys. — Hm!... Jeszcze by tego brakowało... I skoro tylko spostrzegłem pańską dwulicowość, Sam, zrozumiałem, że trzeba się pozbyć nie tylko Vandocka, ale i pana. Tak, tak. Nie wolno mieć przeniewierców u siebie pod bokiem. Wydawało się, że najprościej będzie pana zwolnić. Lecz pan już się znał z Vandockiem. Obdarzony on jest wielkim talentem hipokryty. I zrobiłby z pana swego pomocnika. Ale zainteresowania tego człowieka są ograniczone. A pan, Sam, ma bardziej szerokie uzdolnienia. I ja z Lizzie opracowałem plan. Miałem już kilka próbek z czystym wirusem „ciernia Buszmenów”, o którym pan wie. Doświadczenia nad zwierzętami pozwalały sądzić, że wszczęcie tych wirusów człowiekowi wpłynie na zewnętrzne jego rysy, zmieni je. Zdecydowałem się więc sprawdzić to na sobie, chociaż Lizzie odradzała mi to ryzykowne doświadczenie. Zaszczepiłem sobie wirusa. Zainscenizowano przyjazd mego nie istniejącego siostrzeńca, doktora Rollsa. Szczepienie zrobiło swoje. Rysy mojej twarzy zmieniły się, lecz wirus podziałał także na struny głosowe. Głos się zmienił i zmuszony jestem ciągle odkasływać... hm!... Postanowiłem wyjechać, ażeby ukryć się przed prześladowaniem Vandocka i w spokojnych warunkach pracować i leczyć się zastrzykami antywirusowej surowicy. Wybrałem zaciszne miasteczko w Meksyku i szczęśliwie wyjechałem tam od wuja, to znaczy od siebie samego...

Vandock zerwał się z krzesła i przeszedł po pokoju, we wzburzeniu targając włosy na głowie.

— Nie mogę sobie tego darować! Jakoś nie przyszło mi to do głowy!
— Vandock, niech pan nie będzie takim skromnisiem — drwiąco odezwał się Millroys.
— Przyszło to panu do głowy, lecz późno, i nie przemyślał pan tego faktu do końca. Ale do rzeczy. Wyjeżdżając zostawiłem na stacji Sama, którego zdążyłem polubić jako niegłupiego młodzieńca. Włóczęgostwo zaczęło już wyciskać na nim swoje piętno i trzeba było skierować jego sprawy na drogę bardziej odpowiednią dla młodzieńca, który ukończył średni kurs Dijanu. Pewnego dnia dałem mu notatkę z formułą, żeby według niej przygotował roztwór w laboratorium. W ten sposób zapoznał się z charakterem pisma Lizzie, ponieważ formuła napisana była jej ręką. Lecz Sam doszedł dłaczegoś do wniosku, że to ja napisałem. Było mi to na rękę. Staralem się wzbudzić w nim zainteresowanie do nauki. Dana mu przeze mnie książka o wirusach zaciekała go i cel mój został osiągnięty. Wyjechałem już z Burmy, a Sam myślał, że leżą powalony malarią. Lizzie pisała kartki do Sama, niby to ode mnie, ja zaś w tym czasie przecinałem na parowcu Ocean Spokojny...

„Takie to buty — pomyślałem — przypominając sobie wszystkie szczegóły swego pobytu na stacji «węzowego profesora». — Doskonale było to wszystko wykombinowane. Niby to profesor chorował, potem nastąpiła poprawa... Zaczął pracować po nocach... Sylwetka na zasłonie była bardzo podobna”.

Vandock zaś nie przestawał wzdychać:

— Ach! ach! Przecież tak wiele, myślałem o „węzowym profesorze” i jego siostrzeńcu...

Przerwałem to biadolenie, które wydało mi się nieszczerze:

— Vandock, pan mnie też dokuczył. Proszę teraz odpowiadać na moje pytania. Dlaczego pan prześladuje profesora?

— Niech pan jeszcze powie, Vandock — dodał Millroys — kto kazał panu śledzić mnie? Pan się waha? Proszę się nie krępować. To drobnostka! Daję słowo, że hojnie mogę odwzajemnić się panu za jego szczerość... Ach! Obawia się pan stracić posadę, jeżeli się pan wygada? No to niech pan milczy i tylko kiwa swoją mądrą głową na znak zgody, jeżeli to, co zacznę zaraz mówić, odpowiada prawdzie. Sam, niech pan obserwuje swego przyjaciela. A więc, Vandock, pan przysyłał sprawozdania o Millroysie pod adresem: Ashwharf, post-restante, S.S. Prawda?

Vandock kiwnął głową jak posąg komandora w operze Mozarta. Millroys odkasłał, wziął z biurka przyniesioną przeze mnie fajkę i nabił ją tytoniem. Vandock otrząsnął się już ze swego odrętwienia i szybko podał palącą się zapalniczkę.

— Proszę, profesorze...

Millroys podziękował, z rozkoszą zaciągnął się dymem i dalej zadawał pytania:

— Ale pan nie wie, kto otrzymywał te listy? Powiem panu. Listy pańskie otrzymywał w Ashwharfie rejent Seyton. I beze mnie nigdy by się pan nie dowiedział, do czego te sprawozdania są mu potrzebne. Ciekawe, że i sam Seyton nie zna treści tych listów. Lecz Seyton prowadzi sprawy właściciela zamku Oldmount i przekazuje mu pańskie listy nie rozpieczętowane. Vandock, pan nie wiedział o tym? Nie wiedział pan? Pan, słynny agent numer czterysta dwadzieścia jeden Prywatnego Biura Detektywów w Bostonie? Ach! Błąd nie do darowania!

3

Vandock odskoczył w róg pokoju i wsunął prawą rękę do kieszeni. Wykonałem już ruch w jego kierunku, lecz Millroys uśmiechając się spokojnie, powstrzymał mnie.

— Spokój, dżentelmeni... Nie mam zamiaru szkodzić panu, numerze czterysta dwadzieścia jeden. Niekiedy bywa pan roztargniony i dzięki temu wykryłem pański pseudonim. Tym

numerem podpisał pan telegram z Rangun do Bostonu. Widziała pana Lizzie. W urzędzie telegraficznym zostawił pan odcisk tego numeru na bibule. Lizzie powiedziała mi o tym. Była poinformowana o wszystkich moich sprawach. Cudak z pana, Vandock... Gdy nie ma pan nic do powiedzenia, ucieka się pan do rewolweru. Niech pan zostawi go w kieszeni. Proszę siadać i palić.

Vandock w zadumie zaczął palić i pokręcił głową.

— Przyjemnie jest mieć do czynienia z takim przeciwnikiem.

— Rozwaga i żywa wyobraźnia zawsze pomagają w trudnych okolicznościach, jeżeli się umiejętnie korzysta z tych zalet. Pan, panie Vandock, wie o tym doskonale — powiedział Millroys. — Wyobrażam sobie jasno, jak to pewnego razu kierownik Biura Detektywów wezwał do siebie jednego z lepszych swoich ludzi i zwrócił się doń: „Miły numerze czterysta dwadzieścia jeden. Mamy korzystne zlecenie. Niech pan odnajdzie profesora Millroysa i śledzi go. Proszę się nie krępować wydatkami”. Czy tak było?

— Mniej więcej tak — zmuszony był przyznać Vandock.

— To chyba byłoby wszystko, Vandock, co? — przyjemnie uśmiechnął się Millroys. — Może pan iść...

Vandock popatrzył na profesora i w tej chwili ujrzałem po pierwszy, że w oczach detektywa nie było chytryści. Patrzył po ludzku — zwyczajnie i jasno.

— Dokądże pójdę? Sądzi pan, że skieruję się do mister Seytona i powiem mu: „Sir, proszę iść do willi koło Skały Dwóch Róż i osobiście poznać się z pewnym niepospolitym człowiekiem, który nauczył mnie szanować siebie”. Nie, raczej udam się do swojego kierownika i powiem: „Wie pan co, szefie, jakoś sprzykrzyło mi się niepoważne włączenie się w roli cienia...”

Millroys przerwał mu:

— Brawo, Vandock! Po oczach widzę, że pan nie kręci. Brawo dla Vandocka, Sam. Jest to mój największy sukces w życiu. Wypijmy za sukcesy, dżentelmeni. Zdarzają się one rzadko w naszym życiu i dlatego powinniśmy je cenić. Sam, proszę wyciągnąć z szafy coś orzeźwiającego. Drapie mnie gardle. Tytoń też przestaje pomagać.

W szafie znalazłem dwie butelki lekkiego wina. Na łeb, na szyję zleciałem ze schodów do stołowego i natychmiast przyniosłem stamtąd korkociąg i trzy kieliszki na tacy.

— Nuże! Sam — profesor zrobił do mnie oko — niech pan przypomni sobie o swoich obowiązkach.

Odkorkowałem butelkę i nalałem wina do kieliszków.

Millroys zrobił uprzejmy ruch.

— Proszę panów — i wysoko uniósł kieliszek. — Wypijemy za powodzenie.

— Pana zdrowie, profesorze — uprzejmie odezwał się Vandock. — Za pańskie sukcesy!

Millroys wypił i od razu nalał po drugim kieliszku.

— A teraz pragnę wypić za pańskie zdrowie, Vandock. Wypijmy, kochany Samie, za zdrowie Vandocka, który myślał Millroysie, a w rzeczywistości deptał po piętach lordowi Packlingtonowi.

Wydało mi się, że pode mną zapada się deska w podłodze, na której stałem. Vandock o mało nie rozbił kieliszka.

— Więcej opanowania, dżentelmeni — bardzo cicho rzekł profesor. — Przecież rejent Seyton był tylko instancją pośredniczącą między Vandockiem a dzisiejszym właścicielem Oldmountu Merlingiem, teraz Packlingtonem. On dotychczas interesuje się tym, co robi dawny lord Packlington, na którego rzucił oszczerstwo, odebrał mu Oldmount, odebrał wszystko...

— Niech to diabli! — wymamrotał Vandock. — Przecież słyszałem o tej historii...

Lord wyciągnął do mnie rękę z kieliszkiem.

— A dawny Packlington żyje jeszcze i w tej chwili trąca się kieliszkiem z Samem Pingle'em, którego umieścił kiedyś w dijańskim college'u.

— Sir... Pan... Wasza lordowska mość... Lord Packlington...— mamrotałem drżąc ze wzruszenia i odruchowo wyciągając rękę.

Kieliszki nasze spotkały się i lekki dźwięk kryształu przy wołał mnie do rzeczywistości.

4

Packlington wypił wino i poczekał, aż Vandock i ja opróżnimy swoje kieliszki. Siadł w fotelu i zapalił wygasłą fajkę.

— Tak, dżentelmeni — powtórzył. — Gdy straciłem wszystko, nie pozbawili mnie swojej sympatii jedynie stary mój sekretarz Pingle i starszy lokaj Meeghlton, którego od lat dziecięcych nazywałem po prostu Meeghly. Tylko w ten sposób mogli mi odpłacić za to, że dałem wykształcenie ich dzieciom: tobie, Sam, i miss Elisabeth Meeghlton. Ona również kształciła się na mój koszt. Proszę zwrócić uwagę, Vandock, że miss Lizzie nosiła w Burmie nazwisko Milton. Pan o tym donosił w swoich listach. Ale zdaje się, że Merling nie zwrócił uwagi na ten szczegół. Teraz widzę, że moja pomoc dla Sama i Lizzie była jedynym dobrem, które uczyniłem w życiu do chwili swego nieszczęścia. Byłem zbyt pochłonięty podróżami i nauką. I oto gdy Merling, ten nie zasługujący na szacunek człowiek, stał się właścicielem mojego tytułu i zamku, przysiągłem sobie, że wszystko odzyskam — honor, majątek, tytuł, ale będę się nazywał nie Packlington, lecz lord Ashwharf. I celem mego życia będzie troska o dobrobyt tego miasta. Koło Skały Milczenia, nad Skałą Dwóch Róż, zbuduję New Mount, nowy zamek, dokładną kopię starego rodowego, w którym spędziłem krótkie, ale pamiętne do śmierci chwile osobistego szczęścia... Miałem podstawy do tego, ażeby osiągnąć sławę i tytuł. Lecz nie mogłem żyć i oddychać bez nauki. I zapragnąłem odzyskać wszystko przy pomocy swojej naukowej działalności, przecież w ciągu dwudziestu lat studiowałem istotę wirusów roślinnych. Kocham wielką naukę. Zdobywcze jej wpływają nie na odrębne gałęzie techniki i przemysłu, lecz na cały układ życia ludzkości, rozstrzygają o poważnych zagadnieniach. Wielka nauka bada podstawowe objawy życia. Jedynie dzięki niej jesteśmy coraz bliżsi absolutnego poznania przyrody. Nie lubię zlecać komukolwiek swojego dzieła i jestem przekonany, że człowiek powinien wykonywać swoją pracę tylko własnymi rękoma. Nie miałem pozwolenia na ryzykowne doświadczenia. Z tego właśnie skorzystał Merling. W rzeczywistości zrobiłem tylko dwa ryzykowne doświadczenia. Na sobie w Burmie i na tobie, Sam, tutaj. I obydwie uwieńczone zostały powodzeniem. Zrobiłem je dla wielkiej nauki i na użytek ludzkości. Moje prace, gdy zostaną ocenione, przysporzą sławy naszej ojczyźnie, dżentelmeni...

— Wasza lordowska mość, pan dokonał odkrycia? — nie wytrzymał Vandock.

— Tak, odkryłem, że wirusy to pasożytnicze białka. Cząsteczki ich zachowują się jak chorobotwórcze praźródła, a najważniejsze...

— Wasza lordowska mość! — wykrzyknął Vandock. — Mój ojciec pracował w ogrodzie botanicznym na Jawie. Słyszałem coś niecoś od niego o tej zarazie.

— Doskonale. A więc nie będzie pan ziewał w czasie mego opowiadania. Wirusy albo, jak się je jeszcze nazywa, przesączalne wirusy, ultrawirusy można przeistaczać. Bakteriologowie potrafią hodować mikroby z niezbędnymi do doświadczeń własnościami, tak jak botanicy hodują różne gatunki roślin, podobnie i ja, zgłębiwszy budowę cząsteczki pasożytniczych białek, zacząłem je chemicznie przebudowywać.

Przy sztucznej przebudowie wirusy w pewnych wypadkach stopniowo traciły swoją szkodliwość, w innych zaś nabierały nowych biologicznych właściwości. Jedną z tych cech sprawdziłem na sobie. Wirus zmienił rysy mojej twarzy. Vandock, przyszedłszy do mnie jako

do doktora Rollsa, nie poznał, że ma przed sobą człowieka, którego prześladował jako Millroysa. Pan również, Sam, nie poznał w Dobby'm swego „węzowego profesora”. Ten sam wirus zmienił także Vandocka. Stąd też szereg przygód, które przypadły w udziale nie tylko Samowi. Niektóre z przebudowanych przeze mnie i sztucznie kultywowanych wirusów okazały się zdolne do przebudowywania całej struktury białek organizmu. Pomarszczona mozaika ziemniaka, kędzierzawość bawełny, przeobrażenie liści w ciernie, zmiany zewnętrznych cech trzciny cukrowej — wszystko to jest ci znane, Sam.

I mój dobroczyńca opowiedział, jak udał się na wygnanie do swojego starego laboratorium w Burmie, gdzie mieszkała i pracowała jego słynna uczennica Lizzie, córka Meeghly'ego. Laboratorium to powinno było również dostarczać środków na dalsze prowadzenie doświadczeń, przerwanych w Oldmounce. W Ameryce, w drodze do Burmy, zatrzymawszy się w hotelu, Packlington popełnił nieostrożność: zapisał się u portiera podając pierwsze lepsze nazwisko, które wpadło mu do głowy. Było to nazwisko jego dalekiego przodka z linii matki, nazwisko Williama Millroysa, żyjącego w okresie Wielkiej Rewolucji i 17 lutego 1646 roku głoszącego za utworzeniem republiki. Merling domyślił się, kto ukrywa się pod tym nazwiskiem, skoro tylko przeczytał listę przybyłych do Nowego świata w okresie od 6 maja do 6 czerwca 193.. dostarczoną mu przez dyrektora Biura Detektywów. Tożsamość Millroysa z byłym Packlingtonem została stwierdzona. Biuro Detektywów otrzymało korzystną ofertę i od tej chwili rozpoczęła się praca Vandocka. Preparaty z węzowej stacji okazały się najlepsze na rynku światowym, a tajemnica produkcji była znana tylko lordowi i Lizzie. Lord zarobił na jadałach węzowych dwukrotnie więcej, niż wynosiła wartość całego Oldmountu. Spostrzegłszy, że jest szpiclowany przez Vandocka, Packlington najpierw pomyślał, iż jest to agent nasłany przez firmy konkurencyjne w celu wykrycia tajemnicy produkcji. Na to zezwolić nie mógł...

— Ciebie też, Sam, poddałem pewnej kontroli, ale okazało się, że jesteś po prostu dobrodusznym, żądnym wiedzy młodzieńcem, i dlatego przywiązałem się do ciebie. Przecież wiedziałem, żeś ty nie tylko Sam, ale i Pingle... Było to powodem, iż pragnąłem wdrożyć cię do pracy na węzowej stacji.

— Będę ja pamiętał tę stację — zauważył Vandock. — Ale, nawiasem mówiąc, ja też zastanawiam się, czy niedobrze by było otworzyć sobie taką farmeczkę. Słowo daję, chyba korzystniej jest hodować dżyrry i inne zwierzątka pełzające niż świny lub osły. Tylko że to trzeba rozpoczynać z wielką uczonością w głowie, a mnie tego jakoś nie starcza. Przepraszam, wasza lordowska mość, ale pragnąłbym do końca dosłuchać o tych przeklętych wirusach. One tak zmieniły moje oblicze, nawet Sam mnie nie poznał. Jeśli zgłoszę się do biura, dyrektor również poczyta mnie za samozwańca.

- Ponadto, Vandock, okazało się, iż cząsteczki wirusów można zmieniać tak — powiedział Packlington — że czynią one organizm odporny na najstraszliwsze chorobotwórcze mikroby. Po szczepionkach w Nabuhatrze i tutaj jesteś, Sam, całkowicie uodporniony na zakaźne choroby. Mogą cię kąsać wściekłe psy, zadżumione szczury, malaryczne komary, lecz ani jeden wirus, ani jeden mikrob nigdy więcej, Sam, nie zaaklimatyzuje się w twoim ciele...

— Ale na zawsze pozostanę zmieniony — wyszeptalem.

— Nie, Sam. Tyś otrzymał wirusa w osłabionej postaci. Jego działanie jest tylko chwilowe. Jesteś po prostu zbyt wystraszony. Moim zdaniem, po zmianach, które się w tobie dokonały, śladu nawet nie pozostało. Weź z szafy lusterko i przejrzyj się.

W zwierciadle zobaczyłem, że nic strasznego ze mną się nie stało. Patrzała z niego na mnie szczupła, opalona, energiczna twarz młodego człowieka.

— Przecież to ja we własnej osobie! — wyrwał mi się radosny okrzyk. — Pan mnie wyleczył! Jak mam panu dziękować!

— Proszę dać i mnie lusterko — poprosił Vandock. Spojrzał i machnął ręką. — Rodzina matka nie poznałaby! Chyba tylko po bliźnie na potylicy: jakoś pewnego razu poczułem z chłopakami na mieście i o mało nie skęcili mi wtedy karku.

— Chce pan, to będę pana leczył? — zaproponował Packlington Vandockowi, ale ten ostrożnie położył lusterko na stole i przecząco pokręcił głową:

— Dziękuję panu. Nie warto się fatygować. Nie mam na świecie ani krewnych, ani bliższych. Przeżyję jakoś z takim wyglądem. Czym on jest gorszy od innych?

Packlington dodał kilka ciekawych uwag dotyczących wirusów. Być może, iż są to pozostałości mikrobów, które w toku ewolucji przez wiele milionów lat przystosowały się do takiego swoistego pasożytnictwa i w tym czasie utraciły niektóre cechy wspólne, właściwe mikroorganizmom. W każdym bądź razie zbadane przez Packlingтона wirusy stawały się „oswojone” i zaczynały być uległe ludzkiej woli i wiedzy.

Opowiadając nam o sobie i o wirusach lord wpadł w uniesienie. Znowu siedział przede mną dawny kochany „węzowy profesor” i to był ten człowiek, który pomógł mi kształcić się i w Dijanie, i w Burmie, i tutaj. Słuchałem go z rozkoszą i wydawało mi się, że każde jego słowo czyni mnie bogatszym.

5

Packlington opowiedział, że jeżeli z tkanek psa wyodrębnić białko i w sposób sztuczny wywołać w nim zdolność pasożytowania, potem zaś wprowadzić je do organizmu żywego kota, to można spowodować przebudowę struktury jego białek; nada to kotu właściwości psa.

— Przecież widziałeś w moim wiwarium, Sam, że psy zaczęły zachowywać się tak jak koty i odwrotnie.

Vandock uderzył się dłonią w czoło.

— Czy to przypadkiem nie pana zwierzęta wtargnęły przedwczoraj do Ashwharfu? Dziwne, podobne do kotów psy i miauczające pudle. Ależ to była zabawa!

— Niestety — potwierdził Packlington. — To skutki gapiostwa Sama — wymknęły mu się z klatek.

— No, nie podziękują panu za to — pokręcił głową Vandock zwracając się do mnie. — Te kotopudle rozniosły zarazę. Wasza lordowska mość, niech pan tylko pomyśli, w jakich okolicznościach zachorowali rejent, sędzia i wielu innych!

— Wiem, wiem — odpowiedział Packlington. — Hm... nie warto się przejmować! Sztuczne wirusy nie są tak trwałe, jak pan sądzi. Młody aptekarz, zaopatrujący mnie w odczynniki, niezwłocznie zawiadomił mnie o tajemniczej epidemii i o kłopotach, które sprawiła ona poważanemu doktorowi Fleetowi. Widziałem jego recepty. Są one słuszne. Widzę uśmiech na twojej twarzy, Sam. Nigdy nie należy śmiać się z tego, czego się całkowicie nie rozumie. Fleet jest starym, a więc bardzo świadczonym lekarzem. Połapał się w tej całej historii. W rozmowach z pacjentami doszedł źródła zarazy. Dzisiaj z nim widziałem... Przypomnieliśmy sobie, że — gdy w roku 1918 wybuchła na froncie dziwna epidemia, którą wszyscy lekarze uznali za „febrę niewiadomego pochodzenia”, dlatego że jej nie znali i mylili się w diagnozach — znalazł się pewien stary lekarz, obejrzał tylko z dziesięciu chorych i powiedział: „Kochani koledzy, przecież to najzwyczajniejsza influenza”. I okazało się, że ten stary praktyk miał rację. Nieznana febra, okrążywszy naszą planetę jako choroba zakaźna pod nazwą „hiszpanki”, nie była niczym innym, tylko influencą, grypą, chorobą wirusową, jednak w szczególnie ciężkiej postaci. Wszyscy bez wyjątku pacjenci doktora Fleeta wyzdrowieją, a stan ich zdrowia znacznie się już poprawił,

Pragnąłem dowiedzieć się, co robił Packlington tutaj, w tym laboratorium. Lord wyjaśnił:

— Na ziemi ojczystej, w Ashwharfie, powinienem był zjawić się jako człowiek nikomu nie znany. Przeprowadziłem już prawie wszystkie doświadczenia, pozostało zakończyć osta-

tnie i przedsięwziąć środki w celu przywrócenia sobie dawnego tytułu. Wydawało mi się, że w Mazatlanie uwolniłem się ostatecznie od pana, Vandock. Zniknął Millroys, zniknął Rolls i oto tutaj, w okolicy Ashwharfu, zamieszkał niejaki Dobby. Mój wierny Meeghly, który utrzymywał się w Wesley z funduszków dostarczanych mu przeze mnie za pośrednictwem jego córki Lizzie, wybudował ten dom przy współudziale starego Pingle'a. Szkoda, biedaczysko Isidore umarł, nie zastałem go już wśród żywych. Meeghly opowie ci o ostatnich chwilach twojego ojca, Sam. Umarł z imieniem ukochanej żony i z twoim imieniem na ustach...

Mimo woli łzy zakręciły mi się w oczach, gdy usłyszałem słowa wypowiedziane przez Packlingtona.

— Meeghly to mój najwierniejszy przyjaciel — ciągnął dalej Packlington, gdy się uspokoiłem. — To on wysłedził tutaj Vandocka, stwierdził, że pisze sprawozdania w „Neptunie” i zanosz je na pocztę adresując na litery „S. S.” On również dowiedział się, kto był rzeczywistym odbiorcą tych listów.

Vandock westchnął:

— Naczelnik poczty co tydzień otrzymywał ode mnie...

Packlington wyrozumiale kiwnął głową.

— Ale Meeghly dawał mu więcej. Dlaczego tutaj przybyłem? Musiałem przeprowadzić ostatnie kontrolne doświadczenie. I obowiązkowo nad człowiekiem. W Burmie mógłbym wynająć pierwszego lepszego tuziemca, a tutaj? Trzeba było za pomocą zmienionego wirusa „buszm-agogo” od razu zmienić strukturę białka w organizmie ludzkim, a następnie znowu przywrócić stan poprzedni. Nie mogłem pogrzebać pracy całego swego życia. Należało szukać zdecydowanego na wszystko człowieka. Na jesieni roku ubiegłego spotkałem na brzegu kanału Wesley młodzieńca, przygotowującego się do zakończenia porachunków z życiem na dnie tego kanału. Lecz gdy go tutaj przyprowadziłem, dowiedziałem się, że na drodze swojej spotkałem znowu ciebie, Sam, syna mojego Pingle'a, mego ucznia w Burmie, tego samego, który pomógł mi w Belle Harbor. I wtedy po raz pierwszy zakradło się do mojego serca uczucie przykrego niepokoj.

— Niech pan nie sądzi, że rozmyślnie spotkałem się z panem... — rozpocząłem przypomniawszy sobie podejrzenia o moich powiązaniach z Vandockiem.

— Miałeś wówczas taki wygląd kandydata na nieboszczyka, że podobne przypuszczenia były wykluczone — po prostu rzekł Packlington. — Długo się wahałem. Ale dobro nauki zwyciężyło. Rozboliła cię głowa. Powiedziałem, że to żółta febra. Uwierzyłeś mi. Pod pretekstem kuracji szczepiłem ci wirusa i wszystko pozostałe wykonałbym w sposób niedostrzegany dla twego oka...

— Ach, wasza lordowska mość! — klasnął w dłonie Vandock. — Gdybym w Mazatlanie nie wzbudził pana podejrzeń, to czy ze mną także przeprowadziłby pan takie doświadczenie? Dlatego to zapewne schował pan przede mną lusterko i osobiście dwukrotnie ogolił mnie...

— Jaki pan domyślny! — roześmiał się Paddington. — Ale pan sam zatroszczył się o siebie tłukąc probówkę z wirusem. Również Sam prawie się domyślił, gdy w tajemnicy przede mną poleciał do Ashwharfu i nikt go tam nie poznał. Urządził mi wówczas burzliwą scenę i dlatego musiałem opowiedzieć mu bajkę o dzyrrach...

— Teraz należy to już do przeszłości — odezwałem się.

— Wobec tego powracamy do terażniejszości — wyrzekł Packlington i wziął z biurka dużą kopertę z pieczęcią herbową. — Słuchaj, Sam — powiedział patrząc mi w oczy — przed miesiącem przesłałem swój rękopis do Medycznego Towarzystwa Naukowego. Opisałem wszystkie swoje odkrycia i doświadczenia. Czekałem na odpowiedź, która miała rozstrzygnąć o moim losie. Za swoją naukową działalność powinienem być otrzymać tytuł. Ale wczoraj wieczorem przyszła odpowiedź. Czytaj...

Na welinowym papierze widniała pod herbem zwięzła treść listu.

„Szanowny Mister Dobby!

Na podstawie opinii stałego członka Towarzystwa Wynalazków i Odkryć w sprawie przedstawionych przez Pana wniosków naukowych, dotyczących poznania istoty tak zwanych wirusów, obdarzony Pan zostaje zaszczytną dożywotnią emeryturą w kwocie jednego funta szterlingów rocznie, co w środowisku uczonych poczytywane jest za najwyższe odznaczenie w dziedzinie prac biologicznych.

Składając Panu pełne szacunku gratulacje zarówno od siebie jak i swoich kolegów, uważam zarazem za swój przyjemny obowiązek podać Panu do wiadomości, że materiały Pańskie o wirusach przesłane zostały do odpowiedniej komisji, a decyzja o zaszczytnej emeryturze — do Urzędu Finansów w celu formalnego załatwienia sprawy.

Proszę przyjąć moje zapewnienia itd.”

— Idę o zakład — wykrzyknął Vandock wstając z krzesła: — list podpisał lord Packlington... to znaczy Merling!

— Chyba nie — zauważyłem. — Podpis nieczytelny...

— Czy to nie wszystko jedno? — uśmiechnął się Packlington. — Zrozumiałe, że Dobby może się nazywać, jak mu się żywnie podoba: Millroysem lub Rollsem, lecz nigdy już nie będzie dawnym lordem.

Vandock podrapał się w kark.

— Ciężko walczyć z merlingami, wasza lordowska mość. Teraz wszystko jest dla mnie jasne „jak przez mikroskop”, powiedziałby grubas, popijający codziennie wodę sodową w aptece. Otóż to, Sam... Skoro tylko odbijemy stąd, popuść wodze swoim pięściom. Wygrzmoc mnie. Gotów jestem zainkasować lanie, któreś ty za mnie obrywał. A przy okazji dołącz coś jeszcze. Zawiniłem, bo pomagałem Merlingowi.

Dłuższą chwilę trwało uciążliwe milczenie. Wszystko stało się dla mnie zrozumiałe. Głębokie współczucie ogarnęło mnie, gdy patrzyłem na dawnego lorda Packlingtona.

Lecz ten nie tracił otuchy.

— Ano, dżentelmeni! — powiedział wesoło. — Pomóście mi wrzucić do ognia herb lorda Ashwharfu. Patrzcie, zrobiłem już sobie nawet rysunek herbu. Na tarczy umieściłem dewizę: „Tradycje i przekonania”. Ale niech spłoną, zwyciężone przesadami i błędami...

Packlington rzucił do kominka list z wiadomością o zaszczytnej emeryturze, potem koperty, jakieś papiery, fotografię młodej afektowanej lady ze sznurami pereł na długiej cienkiej szyi, zeszyty, świstki brudnopisów...

Akwarela na kartonie, wrzucana do kominka przez Vandocka, długo drgała konwulsyjnie na węglach, aż wreszcie stanęła w płomieniach, na poły już spopieliała.

— Czyżby pan zamierzał spalić swoje prace? — wymamrotałem patrząc na ognisko. — Jeżeli czuje się pan znużony i nie chce już dalej zajmować się nauką, to proszę przypomnieć sobie o Lizzie... o mnie...

— Masz rację, pędraku — rześko powiedział Packlington. — Oboje jesteście moimi uczniami. Dzięki wam ja także czuję się młody. Nie obawiaj się, nie przestanę pracować. I nie lituj się nade mną. To, co mam najdroższego — moja nauka — zostaje przy mnie. Nie jestem także osamotniony: wasza młodość — to moja podpora, mój odwód, z którym pójdę do dalszej walki przeciwko naukowym zabobonom. To, co spaliłem tutaj — to drobiazgi, sprawy osobiste. Przecież moje archiwum naukowe znajduje się na stacji węzowej. Dzisiaj rano otrzymałem od Lizzie niepokojący telegram. Zawiadamia mnie, że bardzo ważne przyczyny zmuszają do niezwłocznego przeniesienia mojej stacji i archiwum z Burmy na zachód. Znalazła już nawet odpowiednie miejsc gdzieś w Górnym Pendżabie. Żąda, ażebym niezwłocznie przyjechał. Wysłałem terminowy radiotelegram i czekam na odpowiedź.

— Ja z panem! — wykrzyknąłem z prośbą w głosie i umilkłem przypomniawszy sobie Edith.

Vandock wstał i grzecznie się uklonił.

— Proszę mnie także zabrać, wasza lordowska mość. Niby to już trochę późno przestawiać się na inny zawód... Ale za to dżyrry będą sprawowały się na medal. Przetransportuję wszystkie pańskie węże, dokąd pan zechce. Choćby na szczyty Himalajów. Proszę się niczego nie obawiać. Numer czterysta dwadzieścia jeden zostaje w tej chwili skreślony na zawsze z listy mieszkańców naszej planety. Pozostanie Dyck Vandock...

Nadstawił ucha. Szosą pędził motocykl zbliżając się do willi.

6

Meeghly wszedł do pokoju trzymając w rękach małą srebrną tackę.

— Telegram dla waszej lordowskiej mości — rzekł z powagą.

Packlington wziął z tacki telegram, rozerwał go, przeczytał i szybko wstał.

— Meeghly!

— Słucham, sir — skłonił z szacunkiem głowę Meeghly.

— Niezwłocznie zawezwać tu samochód! — zarządził Packlington. — Zaraz będę się ubierał. Pojedzie ze mną... — Packlington popatrzył na Vandocka, potem na mnie, a następnie znowu na Vandocka. — Pojedzie Vandock — dodał zdecydowanie. — Która droga według pana będzie najkrótsza?

— Samochodem do lotniska na wschodnim wybrzeżu, wasza lordowska mość. Stamtąd drogą powietrzną do Lizbony i Maroka. Dalej wzdłuż północnego wybrzeża Afryki. Z kolei przez Egipt, Suez i Cejlon, a z Colombo trzy godziny lotu pośpiesznym hydroplanem do Rangunu...

— Słusznie — powiedział Packlington. — Radiotelegram do Lizzie o odlocie nadamy z Lizbony. A ty, Sam, nie martw się. Nie żegnam się z tobą na zawsze. Powrócę. Wiem, że będę potrzebny tutaj, w ojczyźnie. Ciebie zaś oczekuje w Ashwharfie wiele radości... Posiedzisz tu sobie z Meeghly'm, który da ci jeść, a rano machniesz do rodzinnego domu. Zostawiam cię do pomocy Meeghly'emu, na was obydwóch spoczywać będzie ochrona tego domu. Gdy wrócę, powinienem zastać wszystko w należyтым porządku.

— Proszę się nie obawiać! — wykrzyknąłem z zapałem.

Wszczął się zamęt, jak to zwykle bywa przed nagłym odjazdem, i ja — aktywnie pomagając Meeghly'emu — nie od razu usłyszałem nawołujący dźwięk klaksonu przybyłego samochodu.

Zeszliśmy wszyscy na dół, niosąc walizki podróżne odjeżdżających. Wybrałem odpowiednią chwilę, odprowadziłem Vandocka na bok i mocno ścisnąłem mu rękę.

— Słuchaj pan, Vandock, jeżeli jeszcze raz użyje pan wybiegu, to obiję pana.

— Ma pan moje słowo, Sam. Do widzenia! — Vandock bez drgnienia powiek popatrzył mi w oczy i nieoczekiwanie uściśnął mnie.

Odjechali.

Przesiedziałem do rana w stołowym. Meeghly fetował mnie wystawną kolacją. Ja zaś musiałem opowiadać mu wszystko, cokolwiek wiedziałem, z najdrobniejszymi szczegółami o jego córce Lizzie. Pokazał mi fotografię. Lizzie stała na tarasie bungalowu w pidżamie w paski i trzymała w rękach nieszkodliwego ospałego iig-szu. Fotografia była bardzo efektywna, ale Meeghly zrzędził:

— Ależ znalazła sobie kompana do fotografii! Węża. Też ma pomysły!

Meeghly opowiadał mi wiele o lordzie Packlingtonie.

— Nietowarzyski z niego człowiek i dlatego nie ma przyjaciół. Ale dla mnie, dla pańskiego ojca, dla mojej córki zawsze był dobry. Sam, pana też bardzo polubił. Nawiasem

mówiąc, pańskie uposażenie polecił mi przekazać do banku w Ashwharfie na pana nazwisko i jeszcze coś niecoś do niego dorzucił. Na pierwsze potrzeby ma pan już jaki taki grosz, Sam.

W dalszej rozmowie wspomniał mego ojca i jego ostatnie chwile i gdy w końcu poszedł do siebie, dałem upust łzom. Opłakiwałem mego biednego ojca, który nie zaznał w życiu prawdziwego szczęścia, a jednocześnie wyraźnie jak nigdy wyczuwałem, że moje własne szczęście jest bliskie — wystarczy tylko sięgnąć po nie ręką. Cała moja zazdrość o Boba, tęsknota i obawy rozplynęły się tej nocy we łzach.

Znużony zasnąłem w fotelu. Obudziły mnie promienie słoneczne. Wziąłem kąpiel, ogoliłem się i uczesałem. Meeghly dał mi ubranie. Po przebraniu się pożegnałem się z ojcem Lizzie.

Schodziłem do rodzinnego miasta i rozmyślałem. Nie było się czego śpieszyć. Trzeba i tak poczekać na otwarcie sklepów. Kupię skromne upominki dla wujka, dla Olivi i dla...

Ale obmacawszy kieszenie przekonałem się, iż są puste. Nie miałem ani pensa. To mnie zasmuciło. Bank otwierano dopiero o dwunastej.

Wolno szedłem kamienistą ścieżką. Oto i resztki spalonego dębu, i bajkowy kobierzec fiołków, które rozwinęły się nad ranem. Narwałem bukiet tych delikatnych kwiatów, jeszcze wilgotnych od nocnej rosy. Z rozkoszą wciągnąłem ich subtelny zapach. Razem z nim spłynęło do mego serca kojące powietrze ojczyzny. Wszystkie wrażenia dzieciństwa i wczesnych lat młodzieńczych niczym wichur zwały się na mnie. Wydało mi się, że nigdzie stąd nie odchodziłem, że stale byłem tutaj...

Przyśpieszyłem kroku i niemal że biegłem w dół po szosie i zdawało mi się, że słońce jakoś szczególnie świeci, jak by cieszyło się z mego powrotu. Przebiegłem mostek i zatrzymałem się, żeby popatrzeć na Ashwharf. Ale spostrzegłem Edith.

Szła na moje spotkanie spuściwszy głowę, bladziutka i zadumana.

— Edith!... — zawołałem rzucając się ku niej.

Podniosła na mnie duże nieśmiałe oczy. I szczęśliwy dziecięcy uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Sam! Drogi Sam! — wyszeptała.

Wzięliśmy się za ręce.

— Wróciłem, Edith. Jakżeś ty wyrosła! Nie można cię poznać.

— A ty... A tyś zupełnie się nie zmienił. Tylko... — spuściła oczy — tylko stałeś się jeszcze... ładniejszy.

— Czekałaś na mnie? — spytałem podając jej bukiet fiołków.

— Dziękuję, kochanie — wyszeptała i jej gorące wargi musnęły mój policzek. — Oczywiście, że czekałam.

Szliśmy wolniutko szosą. Tylko raz w życiu bywają chwile, które chciałoby się przedłużyć do nieskończoności.

— Cały czas czekałam na ciebie — mówiła Edith. — Ale przedwczoraj podszedłeś do kiosku... Ja tam pracuję... Powiedziałeś Bobowi, że jego jacht porwało morze, i zaraz uciekłeś...

— Czyżbyś mnie poznała? — spytałem.

— Jakże mogłam cię nie poznać, Sam? Pomyślałam tylko, żeś zhardział i nie chcesz mnie teraz znać. Postanowiłam zachowywać się podobnie. A dzisiaj... No, nie wiem, ale coś pociągnęło mnie na mostek...

Patrzyliśmy sobie w oczy i śmieliśmy się.

— Wiesz co, Edith... Przeżyłem tyle przygód, że nie da się ich od razu opowiedzieć — wyrzekłem. — W tej chwili myślę o jednym: „Czy warto było się stąd oddalać? Przecież szczęście jest tutaj, obok mnie...”

— Warto było, Sam — poważnie odpowiedziała Edith. — Wiele przemyśleliśmy o naszej przyjaźni. Stała się ona inna, lepsza, mocniejsza. Nie sprzeczasz się, kochanie. Znam

ciebie lepiej, niż sam siebie znasz.

Tak rozmawiając przyszedliśmy do domu. Wujek ujrzawszy mnie krzyknął:

— Hip! hip! hura! Siostrzeniec! Samuel! żyje, pędrak!...

Stara Olivia całując mnie szlochala z radości.

— Bardzo na czasie, Sam — oznajmił wujek, gdy temperatura pierwszych zachwyków nieco opadła. — Przecież dla ciebie jest wezwanie z kantoru „Little Union”...

— Z banku? — spytałem.

— No tak... przekaz pieniężny. A listonosz bąknął coś o takiej kwocie, że nie uwierzyłem...

— Miejskowy przekaz? — poinformowałem się myśląc o Packlingtonie.

— A idźże choćby zaraz, to sam się dowiesz — przynaglił mnie wujek.

Wziąwszy od Edith słowo, że zaczeka na mnie, udałem się do banku.

Starszy klerk zerwał się z krzesła, skoro tylko usłyszał moje nazwisko.

— Mister Pingle? Jakże... jakże... Posyłamy do pana trzecie zawiadomienie. Ma pan przekaz z Hollywoodu. I list... Mamy nadzieję, że otworzy pan u nas, mister Pingle, rachunek bieżący?

— Proszę o list — powiedziałem niecierpliwie.

Oto co było w liście:

„Szanowny Mister Pingle! Pozwoli pan zakomunikować sobie, że... Nie, kochany Samie, nie potrafię pisać oficjalnych listów. Lepiej napiszę do Ciebie po prostu, jak do swojego utalentowanego ucznia. Pisze do Ciebie Twój Clips. Witaj, chłopcze! Spodziewam się, żeś wreszcie dotarł do swego miasteczka. Nasz adwokat Godwin dowiedział się od swego przyjaciela, sędziego śledczego Gregge'a, jaki jest Twój dokładny adres, i podał mi go. Obaj przesyłają Ci wiele pozdrowień, szczególnie Gregge. Bardzo pochlebiłeś mu swoją opinią o jego działalności, przekazanej mu od Ciebie przez jakiegoś Bena, którego nie znam. Piszę do Ciebie, żeby wyjaśnić pewne szczegóły, które prawdopodobnie zaintrygują cię, kiedy otrzymasz wysłane pieniądze. Otóż gdy przyprowadzono Cię po raz pierwszy do sądu, to w łoży prasowej siedział nasz Harry Pimpernickiel, król scenarzystów. Jaki los go tam zaprowadził — wytłumaczyć nie potrafi. Złe języki twierdzą, że jego silnik wewnętrznego spalania pracuje zwykle na winnych oparach. I oto nasz Harry siedział w sądzie i nudził się. Dręczyły go wyrzuty sumienia, ponieważ przejadł już zaliczkę na zamówiony u niego scenariusz, a napisał jedynie połowę pierwszej części. A ty nagle oświadczyłeś sądowi, iż jesteś „Człowiekiem lżejszym niż powietrze”. Wtedy to nieoczekiwane olśnienie spłynęło na naszego Harry'ego, a święte twórcze natchnienie zaczęło rosnąć w jego głowie niczym rajskie drzewo, gotowe pokryć się złotymi owocami. Temat, ostry jak długi składany nóż meksykański, był natychmiast gotowy. Z nas, Sam, ludzie praktyczni. Jeszcze chwila i Godwin zaangażowany został jako twój obrońca. Musiał się nieco pomęczyć, ale dał sobie radę i położył sędziego na obie łopatkę. Krótko mówiąc, w ciągu nocy scenariusz był gotowy. A następnego dnia król ekranu Charlie Beacher stał już w atelier przed obiektywem aparatu. Ażeby cię nie niepokoić, robiono wszystko w tajemnicy przed tobą. Ale Charlie nie ryzykował fikać koziołków w powietrzu. Kiepski z niego sportsmen. I najważniejszą scenę filmu — śmiertelny skok — powinien był wykonać Ty zamiast Charlie'ego. Koniec filmu przewidziano w dwóch wariantach. Jeden — optymistyczny, jeśli trafisz do miski z wodą soloną, a drugi — smutny, jeżeli zwalisz się obok. Temat obrazu nie był zbyt złożony. Gazety jeszcze przed zdjęciami pisały o nim na prawo i na lewo. Ja grałem rolę twojego ojca, miliardera. Matkę Twoją grała Florrie Gatty, gwiazda ekranu. Zgodnie ze scenariuszem powinna była błagać cię, ażebyś nie wykonywał skoku. To ona właśnie wyskoczyła, gdyśmy obaj wchodzili na arenę. Krótko mówiąc, wszystko wypadło doskonale. Być może zobaczysz Siebie na ekranie. Charlie bardzo dobrze ucharakteryzował się i jest do Ciebie podobny. Teraz wysyłają Ci należne honorarium, dziesięć tysięcy dolarów za skok. A za rolę — po tysiąc dolarów za słowo. Ponieważ wypo-

wiedziałeś dwa słowa, przeto należy Ci się dwa tysiące. Razem dykcja wysyła Ci dwanaście tysięcy dolarów. Daj znać o ich otrzymaniu”.

Dalej Clips opisywał jakiś nowy numer programu i wyrażał nadzieję ujrzenia mnie znowu na arenie.

Utraciwszy od dawna wszelką zdolność dziwienia się odebrałem nowiutką książeczkę czekową i skierowałem się do domu. Tam usiadłem w ojcowskim fotelu i opowiedziałem o nieoczekiwanej łasce losu. Po hałaśliwych wyrazach zachwytu wujek spytał mnie:

— No, a cóż byś chciał teraz?

Spojrzałem na rodzinne ściany, na znajome drzewa pod oknem, na drogie mi twarze i odpowiedziałem:

— Nie pragnę więcej ani trampolin, ani parków wężowych, ani śmiertelnych skoków, ani książeczek czekowych. Pragnę ożenić się z miss Elisabeth Winter. I pragnę to uczynić możliwie jak najprędzej.

Wujek podrzucił w górę fajkę. Olivia rozplakała się, a Edith oblała się pąsem.

Lecz niedługo sądzone nam było pędzić żywot ludzi spokojnych. Krótko rozkoszowałem się szczęściem z Edith. Wybuchła wojna. Sprawdziły się przeczucia wujka i mojego dobroczyńcy Packlingtona. W Ashwharfskiej Zatoce zjawiły się okręty podwodne faszystów. Samoloty ich zrzuciły bomby na nasze spokojne miasta.

Od pierwszego dnia wojny stanęliśmy wszyscy w szeregach obrońców ojczyzny. Bob Beardwurf dosłużył się stanowiska zastępcy dowódcy korwety wojennej i otrzymał szereg zaszczytnych odznaczeń. Wujek wziął udział w Terenowej Obronie Przeciwlotniczej i oddał wiele cennych usług, ucząc młodzież Ashwharfu rzemiosła wojskowego. Ja również włożyłem mundur i wcielony zostałem do wojsk lądowych. Moja Edith z nowo narodzonym synem naszym wiele wycierpiała. Ale powrócił Packlington i pomógł im przetrwać ten ciężki okres.

Wojna się skończyła. Zacząłem pracować jako pomocnik Packlingtona. Syn mój wyrósł i jest teraz doktorem biologii. W ciągu tego czasu byłem jeszcze świadkiem wielu niepospolitych wydarzeń. Lecz najbardziej zdumiewające przygody stały się udziałem Vandocka. Nie jest wykluczone, że któregoś pogodnego ranka znowu chwycę za pióro i napiszę ciąg dalszy swoich zapisków, jeżeli moja kochana żona tego zapragnie...

Na tym urywają się notatki Samuela Pingle'a.